



KOCHANKOWIE
BURZY

Gorzka cena wolności

ELŻBIETA GIZELA ERBAN

VIDEOGRAF

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ELŻBIETA GIZELA ERBĄN

KOCHANKOWIE
BURZY

TOM 7

Gorzka cena wolności

V I D E O G R A F

Redakcja

Anna Seweryn

Projekt okładki

Anna Slotorsz

Fotografia na okładce i grafiki na stronach rozdziałowych

© *Hermann Herzog / si.edu|KathySG / shutterstock.com*

Redakcja techniczna, skład i łamanie

Damian Walasek

Przygotowanie wersji elektronicznej

Maksym Leki

Korekta

Urszula Bańcerek

Marketing

Kinga Ucherek

promocja.videograf@gmail.com

Wydanie I w tej edycji, Siemianowice Śląskie 2023

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-100 Siemianowice Śląskie, ul. Olimpijska 12

tel. + 48 600 472 609, + 48 664 330 229

office@videograf.pl

www.videograf.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2022

tekst © Elżbieta Gizela Erban

ISBN 978-83-8293-081-8

*O roku świętych błędów! O roku szaleństwa!
Próżno cię wyklinały rachuby trzeźwości,
Ostało ziarno gniewu w oczach potomności,
Aż kłosem wybijało na polach zwycięstwa.
Twe echa, wielki roku, to sumień kołatka,
Co nie dała do reszty gnuśnić w niewoli.*

Benedykt Hertz, 1863

Rozdział 1

Major Markow mówił prawdę – pułkownik Czachowski został rozbity pod Rzeczniewem, lecz zamiast kryć się po lasach, krążył jak wilk po całej guberni, nie dając nieprzyjacielowi spokoju. Generał Uszakov wysłał za nim w pogoń wojsko, lecz stary wyga nie dał się po raz drugi zaskoczyć. Zdążył pośpiesznie ku Wiśle, pragnąc się przedostać do województwa lubelskiego. W połowie drogi rozpuścił niechętnych mu dowódców połączonych partii powstańczych i z małym oddziałkiem konnych ruszył na spotkanie swoich dwustu pięćdziesięciu strzelców, którzy pozostali mu wierni. Był to morderczy wyścig z czasem. Wielu jego żołnierzy, nie mogąc wytrzymać okropnej tułaczki, modliło się o śmierć. Żyli z dnia na dzień, brudni, zawszeni, często głodni, nieczuli już na nic ze straszego zmęczenia.

Pułkownik na równi ze swoimi żołnierzami cierpiał niedostatek, znosząc trudy życia partyzanckiego. Bezgranicznie oddany sprawie, wierny złożonej przysiędze, wiedział, że do domu już nie wróci i nie zobaczy oczekujących go córek. Jego dwaj synowie walczyli przy boku ojca. To jemu okoliczne dwory w Górach Świętokrzyskich zawdzięczały bezpieczeństwo oraz ochronę przed gwałtami i grabieżą. Ufał, że wkrótce nastąpi interwencja mocarstw zachodnich, bo Francja cynicznie podtrzymywała nadzieje Polaków, wiedząc, że ich nigdy nie spełni. Cesarz Napoleon III w czasie rozmowy z księciem Władysławem Czartoryskim na osłodę rzucił mu frazes: „Durer⁰¹!” – więc powstańcy trwali, ścieląc się trupem, walcząc i ginąc.

Z miast i miasteczek guberni radomskiej oraz kieleckiej wyszły na spotkanie Czachowskiemu kolumny rosyjskiego wojska. Pułkownik, powiadomiony o tym fakcie, pośpiesznie wcielał do swego umęczonego oddziału nowych ochotników i gotował się do rozprawy z nieprzyjacielem.

Domownicy zgotowali Ninie owacyjne przyjęcie. Pan Bochniak, dowiedziawszy się o sprzedaży domu w Warszawie, dopytywał się ciekawie, jaką cenę udało się jej uzyskać. Nina zaprosiła go do gabinetu, zamknęła drzwi i ułożyła na biurku rzędem paczki banknotów.

– Oto dwadzieścia pięć tysięcy rubli – oświadczyła tryumfalnie. – Z takim kapitałem możemy coś zacząć. Zrobiłam naprawdę świetny interes.

Pan Bochniak wytrzeszczył oczy i gapił się w milczeniu na rozłożone pieniądze. Potem ciężko opadł na najbliższe krzesło.

– Pani hrabina wybaczy, ale jakoś źle się poczułem – sapnął głośno. – Ten interes doradził pani mecenas Porzycki?

– Nie zastałam go w Warszawie. – Opisała początkowe trudności. – Na szczęście trafił się poczciwy kupiec rosyjski i bez targów dał mi dwadzieścia pięć tysięcy rubli.

– Wielka szkoda, że nie pojechałem z panią hrabiną do Warszawy, bo może coś bym doradził – odezwał się pan Bochniak słabym głosem.

– Uważa pan, że zrobiłam zły interes? – Nina poczuła niepokój. – Wzięłam za dużo?

Pan Bochniak zamierzał coś powiedzieć, lecz widząc jej promienne, uszczęśliwione oczy, zamilkł. Wymówiwszy się od zaproszenia na śniadanie z szampanem, wybąkał coś o czekających go pilnych obowiązkach i wyszedł z gabinetu jak z krzyża zdjęty. Nina była trochę urażona jego całkowitym brakiem entuzjazmu, ale zajęta myślą o remoncie domu i odbudowie wsi, całkiem o tym zapomniała.

Faktorzy żydowscy, zwęszywszy pieniądze, zbiegli się do Makowa, oferując swoje usługi. Za nimi zaczęły ciągnąć wozy ze zbożem, jarzynami, bydłem, trzodą chlewną i drobiem. Na polach dworskich i chłopskich od świtu do nocy wrzała gorączkowa praca. Szaleńczym wysiłkiem starano się nadgonić czas i zapewnić sobie zbiory na jesień. We wsi ze wszystkich stron dobiegał huk młotów i zgrzyt pił tnących drewno na nowe domy. Tartak bez przerwy przyjmował przywożone z lasu pnie drzew zwałonych huraganem.

Początkowo Nina czuła się uszczęśliwiona, widząc, jak ukochany dom powraca do dawnej świetności, a wieś rośnie w oczach, ale po kilku dniach straciła humor i snuła się po pałacu jak smętny cień. Była niemal chora ze strachu o życie męża i przyjaciół. Nawet opanowana Emilka nie kryła niepokojów. Praca kurierska zabierała jej większość czasu i do domu wpadała

tylko na kilka godzin, aby się wyspać. Pierwszym pytaniem, którym witała domowników, było: „Są jakieś wiadomości?”. Tymczasem to ona była dla wszystkich źródłem informacji, bo jako kurier miała najwięcej możliwości rozpytania się o oddział powstańczy. Nikt jednak nie słyszał o naczelniku „Czarnym” i jego partii. O pułkowniku Czachowskim także słuch zaginął, bo niespodziewanie jakby się pod ziemię zapadł. Przygnębiona Emilka niezmiernie pełniła swoje obowiązki, nigdy się nie skarżąc, tylko jej błękitne oczy wyrażały niemą rozpacz.

– Nie pojmuję, jak ona może ten koszmar tak spokojnie znosić – wzdychała głośno Nina, uzalając się pani Salomei. – Kiedy ja mam zmartwienie, zamykam się w sypialni i ryczę. Cały świat może się wtedy walić, nic mnie to nie wzrusza. Ale Emilka jest jak z żelaza.

– Ona musi coś robić, żeby nie oszaleć. – Na twarzy pani Salomei malowała się chrześcijańska rezygnacja. – Jest przekonana, że Janek byłby zadowolony z jej pracy. Ale ja się o nią lękam, bo w tych czasach powinna bardzo na siebie uważać.

Zapewne starsza pani miała rację, bo Emilka wychudła, a w jej wzroku i w rysunku zaciśniętych ust malował się wyraz desperacji. Jednakże ani na moment nie przestała nad sobą panować i nigdy nie zwierzała się nikomu, jak bardzo jest jej ciężko. Kilka razy Nina zastała ją wpół żywą, siną na twarzy po męczących wymiotach, ale na jej prośby, aby zrezygnowała ze swojej pracy, Emilka stanowczo odmawiała.

Pewnego razu przywiozła wiadomość o zgromadzonych w Puszczy Kozienickiej znacznych siłach powstańczych pod dowództwem pułkowników Kononowicza oraz Jankowskiego i Drewnowskiego. Dochodziło w tych stronach do walk, z których Rosjanie wychodzili pobici. Generał Uszakov na gwałt ściągał posiłki, gdy nagle jak diabeł z pudełka w północnej części guberni radomskiej pojawił się Czachowski i włączył do walki. Ta informacja zelektryzowała kobiety. Nina jeszcze tego samego dnia posłała wiadomość do Brzezińca. Po południu do Makowa przyjechała Zosia, przywożąc ze sobą Dorotę, zupełnie samotną po wyjeździe matki do Krakowa.

Siedziały w głębi parku przy okrągłym stolyczku zastawionym owocami i zimnymi napojami, bo tego dnia żar lał się z nieba. W pobliżu przechadzało się kilka sarenek, skubiąc soczystą trawę i machając krótkimi ogonkami.

– Nie, to niemożliwe, żeby ich rozbito – powiedziała Emilka głosem, w którym znać było znużenie. – To przecież duża i doskonale uzbrojona partia. W walce poległoby wielu żołnierzy z obu stron i tego nie dałoby się ukryć. Rosjanie z pewnością pochwaliliby się w swoim „Żurnale”. Tymczasem nigdzie nie ma o tym wzmianki.

– W takim razie jak wytłumaczyć sobie fakt, iż nie mamy od nich żadnej wiadomości? Kompletnie nic, jakby ich puszcza pochłonęła! – zawołała wzburzona Nina.

Zerwała się z trzcinowego fotelika i niespokojnie dreptała tam i z powrotem, założywszy ręce do tyłu. Od kilku nocy źle spała i była rozdrażniona. Na dźwięk podniesionego głosu Niny leżący przy jej fotelu Grot poczuł się w obowiązku żałośnie zawyć, kuląc pod siebie puszysty ogon. Nina odwróciła się ku niemu z pasją.

– To psisko znowu wyje! – wrzasnęła, wyprowadzona z równowagi. – Cicho bądź, bo dostaniesz w skórę!

Czekała niecierpliwie na przyjazd Emilki, łudząc się, że przywiezie ona listy lub jakąś nowinę, ale spotkał ją bolesny zawód.

– Musimy uzbroić się w cierpliwość – przemówiła chłodno Dorota, obojętnie przysłuchująca się jej słowom.

Nina wciągnęła nosem powietrze i zwróciła się w jej stronę, gotowa wszcząć kłótnię, ale się powstrzymała, posyłając tylko pani Bieckiej nieprzyjazne spojrzenie.

– Emilko, czy jesteś pewna, że Alka nie było z panem Czachowskim? – spytała.

– Rozmawiałam z rannym powstańcem z oddziału pułkownika. Pana Aleksandra i naszych chłopców tam nie widziano.

– To gdzie oni się podziewają? – Zosia rozpaczliwym gestem chwyciła się za głowę. – Jezu, Tadek po śmierci ojca powinien wrócić do domu! Żeby nie rządca polecony mi przez Ninę, nie dałabym sobie rady z prowadzeniem spraw majątkowych.

Nina przystanęła i spojrzała na nią ze współczuciem. Biedna, kochana Trusia...

– Jeżeli w ciągu tygodnia nie dostanę wiadomości od męża, biorę Maćka i razem pojedziemy śladami partii. Przecież ktoś musiał ich widzieć! Za złoto chłopci powiedzą prawdę.

Żadna z pań nie odezwała się słowem. Z dala dobiegł ostry krzyk pawia.

– Za złoto chłopci cię zamordują – skomentowała po chwili jej wypowiedź Dorota. – Też masz pomysły!

Pomiędzy drzewami zabieliły się fartuszki pokojówek niosących tace z ciastem, porcelanowe misy z czereśniami, lodowe babeczki, wino porzeczkowe oraz wodę sodową, bo dzień był od rana upalny. Walenty, nadzorujący nakrywanie do podwieczorku, ze zrozumiałym zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie dam. Niepokoił się o pana i nie było dnia, żeby o nim nie wspominał.

– Zamierzasz jechać sama pomiędzy walczące wojska? – Na wyrazistej twarzy Emilki odmalował się wyraz zdumienia i przerażenia. – Nino, ależ to szaleństwo! Pierwszego dnia wpadniesz im w łapy, bo chłopci wydadzą cię Moskałom. Zostaniesz... No, sama dobrze wiesz, co się wtedy stanie. Potem odeślą cię i Maćka do Radomia i tam cię zamęczą.

– Pojadę! – niemądrze upierała się Nina. Najchętniej rozbiłaby coś na kawałki lub rozerwała w strzępy, ale nie miała na czym się wyładować. – Kto wie, czy mój mąż nie potrzebuje pomocy? Może jest ranny? Pojadę i nikt mnie nie zatrzyma! Zetnę włosy, ubiorę się po męsku i pojadę. A mojej Mignon kozackie koniki nigdy nie dogonią.

– Wyobrazasz sobie, że Rosjanie nie rozpoznają kobiety? Chyba że trafisz na oddział niewidomych weteranów – zakpiła Dorota. – Doprawdy, Nino, dramatyzujesz. Wszystkie jesteśmy w podobnej sytuacji, ale nie histeryzujemy.

Nina zmrużyła oczy i wpatrywała się w Dorotę z narastającą furią. Już zamierzała krzyknąć, że jej Aleks to nie Kazio Biecki, który nie kocha swojej żony... Naraz przypomniał się jej chłodny pożegnalny pocałunek męża i w milczeniu spuściła głowę.

Pani Salomea, zajęta szyciem bielizny dla powstańców, taktowanie zmieniła temat, opowiadając o radości ciotki Marii z powrotu wuja Ksawerego do zdrowia. Pani Borutyńska codziennie jeździła do Sarnik, często pozostając tam na noc, była więc dobrze poinformowana. Chory mógł już poruszać rękami, podnosił się z łóżka, a nawet próbował chodzić. Jednakże mowę miał jeszcze bełkotliwą, a własne kalectwo wywoływało u niego ataki dzikiego gniewu. Stał się jeszcze bardziej wybuchowy i nawet dla żony bywał nieraz przykry. Ciotka Maria zносиła jego grymasy z anielską cierpliwością, trwając przy nim i pielęgnując męża z samarytańskim poświęceniem i miłością. Prawie nie odstępowała od łoża

chorego, czytając mu książki, grając z nim w bezika i przygotowując mu przysmaki.

– Biedna ta Marynia. Ale jeszcze bardziej żal mi Bini. Zawiadomiona o chorobie ojca, natychmiast zaczęła starania o uzyskanie paszportu na wyjazd do Królestwa. Pan Edward jeździł nawet w tej sprawie do Poznania, przedstawiając władzom świadectwa lekarskie nadesłane przez Marynię. Lecz Prusacy odmówili wydania paszportu, twierdząc, że Bini już raz w tym roku przebywała za granicą. Boże, jaka nieczułość! Żeby bronić córce odwiedzić chorego ojca?

– Bini mi o tym pisała – wtrąciła Nina. – Miałam taką nadzieję, że znowu się zobaczymy, ale nic z tego nie wyszło. Ciocia postanowiła, że wszyscy spotkają się za granicą, bo do krajów zachodnich łatwiej uzyskać paszport i wizę. Prusacy mają umowę z Rosjanami i dlatego nie chcą nikogo przepuszczać do Królestwa.

– Niestety, biedny Ksawery co najmniej przez rok nie będzie zdolny do dalszej podróży – westchnęła pani Salomea. – Mój Boże, kto z nas wie, co nas czeka za rok?

Zosia pochyliła się nad śpiącym synkiem i poprawiła mu na główce jedwabny czepeczek, bo nawet w cieniu drzew było bardzo gorąco.

– Ninko, z panią wojewodziną jest niedobrze – odezwała się półgłosem, by nie obudzić dziecka. – Powinnaś tam pojechać, bo ciągle dopytuje o ciebie. Proboszcz z sakramentami bywa u niej codziennie. Wszyscy się obawiają, że chora może zasnąć i więcej się nie obudzić. Wezwała do siebie Jadzię i przeproszała ją za Starewicza.

– Mój Boże! – Nina szczerze się przejęła. – Pojadę do niej zaraz jutro z samego rana. A jeszcze niedawno była taka energiczna i żwawa. To wizyta tego przeklętego Gucia ją zniszczyła. Jaka szkoda, że Alka nie ma, bo ona go kocha jak syna. Pewnie czeka na wiadomość od niego.

W tym momencie Grot zaszczekał na przelatującego ptaka, a śpiący chłopczyk obudził się i zaczął kaprysić. Nina wzięła go na ręce i zaczęła się z nim bawić, tuląc go, całując w różowy nosek i koniuszkiem warkocza laskocząc chłopca pod podbródkiem. Malec się zaśmiewał, oddając jej każdy pocałunek. Trzymając chłopca w objęciach, usiadła z nim na fotelu, mając słodkie złudzenie, że pieści własnego synka. Zaklaskała głośno, a na ten znak z wyniosłej sosny zbiegła Noisette, skoczyła swej pani na ramię i zaczęła zjadać ze smakiem podawane orzechy laskowe, beztrąsco rzucając

łuski na głowę swojej karmicielki. Chłopczyk nie posiadał się z radości, wyciągając do ślicznej wiewiórki tłuste łapki. Niezadowolona Noisette pisnęła gniewnie. Nina w obawie, że rozeźlona wiewiórka może ugryźć dziecko, wymierzyła jej palcem lekkiego klapsa po pyszczku. Obrażona Noisette błyskawicznie skryła się w kieszeni jej sukni i z zemsty wygryzła w niej dziurę. Zosia patrzyła z miłością na synka i chłodziła rozgrzaną twarz, wachlując się rondem słomkowego kapelusza.

– Stefan niedługo skończy roczek, zaczyna mówić, a nie zna własnego ojca – odezwała się drżącym głosem. – Czasami zadaję sobie pytanie, czy mężczyźni w ogóle zdają sobie sprawę, co to znaczy wydać na świat dziecko, troszczyć się o jego codzienne potrzeby, zamartwiać się, gdy choruje i poświęcać mu każdą chwilę. Wydaje mi się, że nie mają o tym nawet wyobrażenia. Uczyniwszy nas matkami, odeszli do walki, pozostawiając nas na pastwę losu. Żyjemy w ciągłej niepewności, ni to panny, ni wdowy. A przecież wszystkie jesteśmy młode i pragniemy miłości. Marzymy, aby ten, którego poślubiłyśmy, opiekował się nami, był przy nas na dobre i złe. Mój teść zabity, o ojcu nic nie wiem, o Tadku słuch zaginął. Ja nie potrafię dłużej znosić tej niepewności, muszę wiedzieć, co się stało z moim mężem. Oświadczam wam, że jeśli Nina zdecyduje się jechać, ja pojedę z nią! Mogą mnie zabić, wszystko mi jedno.

Zosia wybuchła rozziewającym płaczem, a chłopczyk, widząc szlochającą matkę, także się rozplakał. Panie próbowały ją uspokoić, trzeźwiąc solami i skrapiając wodą kolońską, bo biedna Trusia dostała spazmów, łkając i głośno wzywając męża. Jednakże dzień miał się zakończyć o wiele pogodniej. Mira, powracając z Borku, przybiegła do parku cała w uśmiechach i rzuciła na kolana Niny, Emilki i Zosi listy.

– Wszystkie panie mają korespondencję. Pani Doro, proszę, oto list od męża! – zawołała wesoło.

– Chyba to Zosia wyplakała nam te listy u Boga! – Emilka się zaśmiała, nerwowo rozziewając kopertę, a raczej dwa sklezione brzegi kartki. – Nino, dokąd idziesz?

Nina nawet się nie obejrzała, lecz pochwyciwszy list, pobiegła do domu i zamknąwszy się na klucz w buduarze, usiadła przy sekretarzyku, dopiero wtedy otwierając brudną, poplamioną kopertę. Na widok znajomego pisma męża oczy jej napełniły się łzami radości. Przycisnęła list do ust, całując drobne literki. List musiał wędrować przez wiele rąk, zanim trafił do

adresatki. Odruchowo rzuciła okiem na datę. Aleks pisał list w pierwszych dniach maja. Jego piękne pismo rozmazywało się, gdy patrzyła na nie przez mgłę łąz.

Najdroższa moja, ukochana żono, mój najśłodczy promyczku!

Do tej pory nie udało się nam połączyć z Czachowskim, chociaż gonimy za nim od wielu dni. Pułkownik kluczy, aby zmylić nieprzyjaciela, i nieustannie zmienia miejsce pobytu. Przybyliśmy do Piekła, lecz jego już tam nie było, a nasze władze nie zatroszczyły się o to, by ustalić nowe miejsce zbiórki. Mogę tylko przypuszczać, że pułkownik idzie forsownymi marszami w iłżeckie lasy, aby tam poszukać schronienia. Rozdzielają nas kolumny wojsk rosyjskich, które napływają z sąsiednich garnizonów, poruszając się w rozmaitych kierunkach i trzeba dobrze uważać, żeby zniecka nie wpaść na nie. Sytuacja wygląda następująco: najpierw idzie Czachowski, potem kolumna rosyjska, która go ściga, następnie my, usiłując połączyć się z pułkownikiem, za nami znowu Rosjanie, próbujący dobrać się do skóry Czachowskiemu i nam!

Idziemy teraz w stronę Opatowa, dokąd, jak sądzę, zmierza Czachowski. Ale jest to tylko hipoteza, bo nic pewnego nie wiemy. Mamy jednak pewne oznaki, że deptemy mu po piętach, gdyż w pobliżu wsi wrogich powstańcom widzieliśmy powieszonych chłopów, pokaranych przez pułkownika za zdradę. Nie jestem zwolennikiem drastycznych metod, niemniej jest to faktem, iż w niemal każdej wsi wójtowie i sołtysi zdają Rosjanom meldunki o pojawieniu się w okolicy powstańców. Czynią to nawet bez specjalnego przymusu, po prostu dla korzyści materialnych, bowiem władze carskie płacą pięć srebrnych rubli za głowę żywego lub martwego powstańca. Podejrzewam, że gdyby Rząd Narodowy płacił za głowę Rosjanina dziesięć rubli, wieśniacy zarzuciliby nas tymi trofeami. To straszliwa tragedia narodowa, że Polacy stali się dla siebie Kainami!

Nina zatkała usta dłonią, a potem głęboko zaczerpnęła powietrza.

To wyłącznie nasza wina, bo mszczą się na nas wieki chłopskiej niedoli. Jednakże surowość pułkownika jest w pełni uzasadniona, bowiem rozzuchwaleni bezkarnością chłopci śledzą każdy nasz krok, nie pozwalając nam odetchnąć. Gdy idziemy, a raczej wlecemy się umęczeni, widzimy, jak pastuchy wskazują na konia i pędzą do najbliższego posterunku z donosem.

Na szczęście jest bardzo ciepło, więc nie zbliżamy się do ludzkich siedzib, nocując pod gołym niebem w lesie.

Wczoraj starliśmy się z silnym oddziałem dragonów pod dowództwem kapitana. Uderzyliśmy na nich z zaskoczenia i po kwadransie było po wszystkim. W czasie bitwy obserwowałem naszych kosynierów i w głowie mi się nie mieści, jak dziwną i złożoną jest natura naszego chłopca. Jedni wieśniacy wydają nas wrogowi, a chłopcy służący w moim oddziale biją się z niesłychaną walecznością. Tyle w tym naszym narodzie sprzeczności i niekonsekwencji, prawda?

Po bitwie Janek operował i opatrywał wziętych do niewoli Rosjan. Wypuściłem ich wolno, po złożeniu przez nich przysięgi, że zaniechają walki. Wiem, że ich przysięga to fikcja, bo są żołnierzami i wrócą do swoich, lecz ja muszę się ich pozbyć, a zabić przecież nie mogę. Nie jestem katem, lecz polskim oficerem.

Kochanie, nie martw się o mnie. Na razie cieszę się znakomitym zdrowiem i nie jestem nawet draśnięty. Nie głodujemy. Ucieszysz się, bo Tadeusz wyrabia się na świetnego oficera, ostatnio bardzo zmęźniał, w bitwie walczył z wyjątkową zawziętością, mszcząc się za śmierć ojca. Chorąży Barycz również zasługuje na pochwałę. Wziął do niewoli dowódcę dragonów, odnosząc ranę w udo, bo Moskał strzelił do niego z rewolweru. Za to Biecki mnie denerwuje. To lichy człowiek i nie nadaje się do naszej ciężkiej służby. Obawiam się, żeby jego bezmyślność nie przysporzyła nam nowych kłopotów, bo nie potrafi obejść się bez kobiet. Zwiadowca kilkakrotnie nakrył go na flircie z wiejskimi dziewczętami. Najchętniej pozbyłbym się go z oddziału.

Mój słodki promyczku, wybac mi ten chaotyczny styl, ale piszę list od kilku dni, w czasie postojów.

Jestem Ci niewypowiedzianie wdzięczny za Tomka. Okazuje mi rozczulające przywiązanie, co mnie wzrusza i zobowiązuje do opieki nad tym samotnym dzieciakiem. Jest wybitnie inteligentny i ma fenomenalną pamięć. Potrafi być bardzo dobrym zwiadowcą. Idąc w chłopskim przebraniu do wsi, dostarcza nam cennych informacji. Podziwiam jego odwagę, to urodzony żołnierz! Jest przy tym tak szlachetny i szczery, tak bardzo mi oddany, że przyrzekłem sobie nie zmarnować jego nadzwyczajnych zdolności. Jeżeli przeżyję powstanie, oddam go do najlepszej szkoły oficerskiej we Francji lub w Anglii. W wolnych chwilach

uczę go obu tych języków, jak również rosyjskiego, a Tomek zapamiętał już mnóstwo słówek i od biedy można się z nim rozmówić. On po prostu chłonie naukę.

Dziś przybył do nas kurier, więc piszę ten list w nadziei, że prędko dotrze do Twoich ślicznych rączek. Ogromnie tęsknię za Tobą. Czy wybaczyłaś mi moje bezmyślne słowa, którymi Cię raniłem? Ukochana, ja nie walczę z pobudek patriotycznych ani dla sławy, bo od początku zdaję sobie sprawę, że tej walki nie wygramy. Mam jednak nadzieję, że ta zbrojna demonstracja poruszy sumienia w Europie, a może i w Rosji. Może wzruszy tam kogoś wielka danina krwi, którą składamy w tym powstaniu. Zawiodły nas szumne hasła, zgubiła głupota i wzajemna zawiść... Ale gdy wieczorem przyglądam się śpiącym obok mnie chłopcom, którzy tak bezgranicznie mi zaufali, oddając swoje życie w moje ręce, nie potrafię im powiedzieć: „Nasza sprawa jest przegrana, wracajcie do domów”. Te słowa nigdy nie przeszłyby mi przez usta. Oni wierzą głęboko, że ich poświęcenie przyniesie nam w efekcie zwycięstwo. Nie mam prawa odbierać im tej wiary.

Czasami śnię na jawie, że jestem w domu. Przypominam sobie wspaniałe zachody słońca nad Sieradowską, czuję zapach kwitnących róż i widzę Ciebie, jak siedzisz przy fortepianie i grasz nasze ulubione Larghetto, a Twoje smukłe paluszki lekko przebiegają po klawiaturze. Widzę mgły unoszące się nad stawem i słyszę krzyk ptaków powracających do gniazd. Może w ten sposób objawia się miłość do ojczyzny, do ziemi i naszych obyczajów, które kochamy i do których od wieków byliśmy przyzwyczajeni? W ich obronie dziś narażamy własne życie i umierając, jeszcze protestujemy.

Mój biedny promyczku, oskarżam się, że postąpiłem bardzo egoistycznie, prosząc o Twoją rękę, bo miałem świadomość, że jestem poświęcony innej sprawie. Ale ja tak bardzo Cię kochałem i łudziłem się, że jednak powstanie nie wybuchnie, a my spokojnie przejdziemy razem przez życie. Walczę więc bez wiary w zwycięstwo, lecz dumny z odwagi i poświęcenia moich żołnierzy.

Wczoraj przeżyliśmy chwilę grozy. Szukając wody, trafiliśmy do dworku jakiegoś dzierżawcy w nadziei, że napijemy się kwaśnego mleka. W takich dworkach zawsze przyjmują nas serdecznie, ale z domu nikt nie wyszedł nam na powitanie. Kiedy weszliśmy do środka, okazało się, że dom był kompletnie splądrowany przez kozaków, którzy zaskoczyli mieszkańców we

śnie. W sypialni, na połamanym łóżku, leżała śliczna młoda kobieta, zupełnie naga i bardzo poraniona. Przed śmiercią prawdopodobnie została wielokrotnie zgwałcona. Na jej piersi spoczywało ciało niemowlęcia, bestialsko przebite kozacką piką. Nie mogłem oderwać oczu od tego nieszczęsnego dziecka. Odebrało mi wprost mowę. W myślach błogosławiłem Twój niezawodny instynkt macierzyński, nakazujący Ci ukryć nasze dziecko w bezpiecznym miejscu. Wolałbym nigdy nie oglądać mojej córeczki, za którą bardzo tęsknię, lecz w zamian cieszyć się świadomością, iż przebywa z dala od tego piekła. Myśl, że grozi jej śmierć, odebrałaby mi odwagę do walki.

W sieni tego dworku leżał zabity służący, a obok martwy pies z kawałkiem wydartego munduru w wyszczerzonych zębach. Wszystkie meble były pocięte szablami, pościel popruta, naczynia porozbijane. Wody nie wzięliśmy, bo w studni leżało ciało mężczyzny, pewnie dzierżawcy dworku. Pogrzebaliśmy zabitych i poszliśmy dalej z nienawiścią zapiekłą w sercach i żądzą odwetu. Żałowałem, że przedwcześnie wypuściłem jeńców, między którymi byli i kozacy. Teraz kazałbym ich rozstrzelać pod ścianą tego dworku! Ponure twarze moich chłopców świadczyły, że myślą tak samo, jak ja.

Była dziś u mnie delegacja żołnierzy. Zażądali, żebym wziętych do niewoli kozaków, Czerkiesów, Czeczenów i innych kabardyńców na miejscu karał śmiercią. Ci ludzie z dalekiego Kaukazu okazują nam szczególną nienawiść, podobnie jak pułki Finów, którzy zwalczają powstańców w niezwykle okrutny sposób. Pewnie nie powinienem o tym pisać, lecz czynię to dla przestrogi. Ukochana moja, nie rozstawaj się z bronią, noś ją zawsze przy sobie.

Pamiętaj, że gdy się budzę lub zasypiam, pierwsza i ostatnia myśl poświęcona jest Tobie, jedyna moja, i naszemu dziecku. Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy, bo każdy dzień oddala nas od Makowa. Zwiad doniósł o zbliżaniu się w naszym kierunku piechoty rosyjskiej. Widzimy także chłopów przemykających pośród drzew, by po bitwie obrabować zabitych, a rannych dobić.

Muszę kończyć, bo kurier się niecierpliwi. Najdroższa, całuję Twoje usta, ręce i stopy. Całuję w myślach naszą córeczkę, owoc miłości, tak bardzo przeze mnie upragniony. Polecam się łaskawej pamięci wszystkich pań. Do

matki chrzestnej pisałem, więc ją tylko ode mnie ucałuj. Pozdrów wszystkich domowników z Walentym na czele.

PS Kurier powiada, że lada dzień Francja wypowie wojnę Rosji. Se non è vero, è ben trovato![02](#) W tym wypadku Rząd Narodowy musi zmienić cały modus operandi[03](#).

Do widzenia, Nino, jesteś światłem moich oczu.

*Kocham Cię.
Aleksander*

Kilkakrotnie odczytała półgłosem list męża. Gardło miała ściśnięte, lecz oczy suche. List wcale nie przyniósł jej oczekiwanej pociechy, bo pisany był w przeddzień bitwy, prawie przed miesiącem. Aleks żył, bo gdyby przytrafiło mu się coś złego, jej niezawodny instynkt dałby o tym znać. Jego słowa z nową siłą rozbudziły w niej straszną tęsknotę za dotykiem jego rąk pieścących jej spragnione miłości ciało. Za niskim, wibrującym namiętnością głosem, budzącym w niej pragnienie. Był taki szlachetny, przypisując jej uczucia, którymi bynajmniej się nie kierowała, oddając córkę. Nie tęskniła za dzieckiem i wcale nie pragnęła go zobaczyć. Obojętnie odczytywała zachwyty Bini nad dziewczynką, która szczęśliwie zniosła długą podróż do Świerszczyn i rozwijała się zdrowo. Z listów siostry emanowała gorąca miłość, której Nina wcale nie podzielała. Jej macierzyńskie uczucia zabrał do grobu zmarły synek. Czasami zupełnie zapominała, że gdzieś daleko żyje jej rodzona córka. O tym przykrym fakcie przypominał jej list Bini lub łzawe westchnienia tęskniącej za małą Jagi.

Przysłowie powiada, że nieszczęścia zawsze chodzą parami... Do gnębiącej ją troski o męża dołączyła się obawa o życie wojewodziny. Dni staruszki były policzone. Niegdyś stara dama wzbudzała w Ninie niechęć. Nie lubiła jej i trochę się bała. Lecz potem doznała od niej wiele bezinteresownej pomocy. Wojewodzina okazała jej serce, wspierając w ciężkich chwilach radą i pieniędzmi. Była starej damie wdzięczna za jej prawdziwie matczyną miłość do Aleksa i starania, aby zabezpieczyć dla nich spadek.

Po źle przespanej nocy wybrała się konno do Lipieńca, zabierając z sobą list męża. Dzień był wietrzny i pochmurny, lecz bardzo ciepły. Jadąc wyciągniętym kłusem, obserwowała ludzi pracujących w pocie czoła na polach. Sadzono jeszcze późne jarzyny, a choć truskawki, czereśnie i wiśnie przepadły, to jabłka i gruszki oraz śliwy zapowiadały się pięknie. Makowscy gospodarze dostali od niej pożyczki na zakup bydła, trzody chlewnej, drobiu i jarzyn. Wspomagając wieś, pomagała i sobie, bo wdzięczni gospodarze spontanicznie przystąpili do pracy na dworskich polach. Byli bardzo wzruszeni, że po huraganie sama dziedziczka wraz z innymi paniami przychodziła doglądać chorych, a dla ciężko rannych sprowadziła z miasteczka lekarza i kupowała medykamenty. Chłopi mieli dobrą pamięć i o tych dobrodziejstwach nie zapomnieli, pomagając ile sił dworskim parobkom.

Idąca spokojnie Mignon podskoczyła, udając, że przestraszyła się zająca, i wyrwała panią z zamyślenia, dopominając się czegoś smacznego. Nina poklepała ją po szyi i pochyliwszy się, podała klacze kostkę cukru. Przyszło jej na myśl, że nie tak wyobrażała sobie swoje przyszłe życie. Z piękności salonów stała się zapobiegliwą gospodynią zamartwiającą się, że krowy dają mniej mleka, a drób znowu choruje. Przestała nawet dbać o siebie, chodząc czasem cały dzień w jednej sukni i zaczesując wspaniałe włosy w kukielkę na karku. Jej urzekająca uroda jakby przygasła, a kąciki drobnych ust opadły w grymasie goryczy. Jak automat wstawiała rano, cały dzień się krzątała, jeżdżąc z panem Bochniakiem w pole, sadząc z ogrodnikami w warzywniku nowe odmiany jarzyn, zakładając w parku całe pola nowych sadzonek kwiatów jesiennych i doglądając gospodarstwa na folwarkach. Wieczorami kładła się do łóżka zadowolona, że minął jeszcze jeden nudny, pracowity dzień. Jaga zamartwiała się jej niedbałością o swój wygląd i gderiała:

– Fe, jak ci nie wstydz? Suknia zmięta, nieświeża, włosy byle jak uczesane. Chodź, usiądź na chwilę, uczeszę cię po ludzku. Goście mogą przyjechać.

Nina machnęła dłonią, opędzając się od niani jak od uprzykrzonej muchy. Goście! Dorota – skwaśniała na ocet siedmiu złodziei, ciotka Maria – wiecznie opowiadająca o chorobie wuja, siostry Wąsockie – smutne i przemęczone pracą w tajnym lazarecie lub zrozpaczona i stęskniona za Tadeuszem Trusia. Ciągłe te same tematy: powstanie, ostatnie wiadomości o większych potyczkach, zbiory, dragoni w okolicy... Okropność! Dla

takich gości nie warto było zakładać jedwabnej sukni i starannie upinać włosów. Dopiero wsiadając na klaczkę, w strojnej amazonce i twarzowym kapelusiku, znowu stawała się wytworną młodą damą, czarując uśmiechem i spojrzeniem lśniących oczu.

W Lipieńcu na dziedzińcu było pusto, brama wjazdowa otwarta. Zeskoczyła przed gankiem z konia i przywiązała wodze do żelaznego pierścienia. Rozglądając się, weszła do sieni. Przy drzwiach sypialni wojewodziny siedział zgarbiony stary kamerdyner. Popatrzył na nią mętnymi, na wpół ślepymi oczami.

– Jakże się miewa pani dziedziczka? – zagadnęła ściszym głosem, zdejmując kapelusz i rękawice.

– Dopiero co odjechał ksiądz dobrodziej. – Stary sługa chlipnął żałośnie.

Pomimo zręczliwego charakteru wojewodzina była kochana przez swoją służbę. Nie chcieli się pogodzić ze zbliżającą się jej śmiercią, obawiając się zmian. W wielkiej jak stodoła sypialni, wybitej ciemnymi gobelinami, duszno było od zapachu lekarstw i kadzidła. Zasłonięte okna nie wpuszczały dziennego światła. Lustra, żyrandole i portrety przysłonięto ciemnymi tkaninami, jakby w pokoju spoczywał zmarły. Nina bezszelestnie podeszła do starożytnego łoża, przepysznie rzeźbionego i wspartego na czterech kwadratowych kolumnach. Pod brokatowym baldachimem, na webowej pościeli obszytej poźółkłą koronką spoczywała wojewodzina. Nina pochyliła się, delikatnie ujęła jej pomarszczoną dłoń i złożyła na niej lekki pocałunek.

– Jestem, ciotuniu.

Staruszka podniosła sinawe powieki i spojrzała na nią zamglonym wzrokiem. Jeszcze niedawno tak pełna życia i energii, teraz była wątłym szkielecikiem obleczonym zwiotczalą skórą. Trzymała się przy życiu tylko siłą woli. Jedynie w jej gasnących oczach zogniskowała się reszta przytomności i życia.

– Nina? Cieszę się, że jesteś. Martwiłam się o ciebie, moje dziecko – wyszeptała, zaledwie poruszając spieczonymi wargami.

– Niech mi ciocia wybaczy, że nie przyjechałam zaraz po powrocie z Warszawy, ale natychmiast wpadłam w wir obowiązków, bo wszystko się waliło. Sprzedałam apartament cioci Tekli i teraz odbudowuję wieś i remontuję pałac. – Nina przysiadła na skraju łoża i opowiadała pogodnym tonem, jakim zwykle się mówi do ciężko chorych. – Dostałam list od Alka.

– Oleś pisał? – Wojewodzina uniosła głowę, a Nina poprawiła jej poduszki, układając chorą nieco wyżej. – Dzięki Ci, Matko Najświętsza! Zesłałaś mi pociechę przed zgonem. – Staruszka skierowała oczy na włoski obraz Madonny.

– Jakże się ciocia dziś czuje? – zagadnęła Nina.

Wojewodzina posłała jej dawne, drwiące spojrzenie.

– Nie udawaj, że nie widzisz. Umieram! Ale jeszcze nie zidiociałam i zdaję sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. – Jej głos zachował dawną zrędlivość. – Czytaj!

Przywołana do porządku Nina wyjęła z kieszeni list i unikając patrzenia na woskową twarz chorej i jej wydłużony nos, zaczęła głośno i wyraźnie czytać. Doszła do opisu mordu w dworku dzierżawcy i próbowała ten fragment listu ominąć, lecz wojewodzina natychmiast spostrzegła to przemilczenie. Ciągle jeszcze miała znakomity słuch i zaraz wyłowiła krótkie wahanie w głosie Niny oraz pauzę.

– Co tam Oleś napisał?

– Och, to tylko taki przykry opis napadu kozaków na dwór.

– Wojna to nie sielanka, czytaj! – rozkazała szorstko stara dama.

Nina posłusznie odczytała list do końca. Wojewodzina słuchała, przymknąwszy powieki. Oddychała chrapliwie, a falbanki na jej nocnej koszuli unosiły się wolno przy ciężkim oddechu na wyschłych piersiach.

– Więc Oleś pisał również do mnie! – przemówiła, kiedy Nina zamilkła i złożywszy list, schowała go do kieszeni. – Ale ja nie otrzymałam żadnej wiadomości. Ciekawe, kiedy oddał list kurierowi? Jaka data na liście?

– Nie ma daty, bo Alek pisał list przez kilka dni – skłamała szybko Nina, nie chcąc przyczynić chorej nowych zmartwień.

– Pokaż mi ten list! – domagała się wojewodzina, z wysiłkiem dźwigając się i wyciągając wychudłą rękę. – Pokaż!

– Proszę się nie męczyć i nie denerwować. – Nina ponownie ułożyła ją na poduszkach. – List został wysłany w pierwszych dniach maja.

– W takim razie dalej nie wiemy, co się z nim dzieje. – Staruszka westchnęła boleśnie. – Ale on żyje, Nino, tego jestem pewna. O, jak mnie boli! – jęknęła, kładąc dłoń na sercu.

– Zaraz podam cioci krople konwaliowe, złagodzą ból. Kiedy był lekarz?

– Śmierć mi pomoże, nie krople. Nie chcę lekarza – powiedziała chora i umilkła.

Nina siedziała, nie ruszając się i nie śmiejąc odezwać się pierwsza. Czekala, aż wojewodzina coś powie, przeczuwając, że to może być ich ostatnia rozmowa. Milcząc, rozglądała się po ogromnym pokoju wyłożonym ciemną boazerią i pełnym wspaniałych mebli z początku XVIII wieku i barokowego przepychu. Na ścianach wisały portrety rodzinne osób zmarłych przed wiekami, już poczerniałe ze starości. Pomimo bogactwa sypialnia była zdecydowanie ponura i Nina za skarby świata nie chciałaby tu nocować. Zauważywszy, że chora z trudnością oddycha, ośmieliła się odezwać szeptem:

– Może ciocia pozwoli otworzyć okna? Bardzo tu duszno...

Wojewodzina lekko skinęła głową. Nie wołając służby, Nina wstała i sama otworzyła szeroko dwa okna. Pokój natychmiast poweselał i napełnił się czystym powietrzem, pełnym zapachu rozkwitających róż. Chora lżej odetchnęła i otworzyła oczy, patrząc na Ninę z ogromnym współczuciem i miłością.

– Nino, usiądź przy mnie i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia – odezwała się cichym, ale wyraźnym głosem. – Ostatni raz rozmawiamy z sobą na tej ziemi. Kiedy powstanie upadnie, nastaną potworne czasy. Oleś także nie ma złudzeń, podobnie jak ja. Twój mąż poszedł do powstania, gdyż uważa, że jesteśmy coś winni ojczyźnie, którą nasi przodkowie pozwolili rozerwać na trzy kawały, a chłopą upodlili, czyniąc z niego posłuszne narzędzie zaborców. Sam udział Olesia w powstaniu to rodzaj ekspiacji za grzechy przodków. Ale nie o tym chcę dziś z tobą mówić... Zapiisałam wam cały swój majątek. Wsie w Sandomierskiem na wspaniałym czarnoziemie, kilka folwarków w Lubelskiem i Lipieniec. To także złote jabłko. Na hipotece ani grosza długi i kapitały w bankach. Wiem, że oddaję moje dobra we właściwe ręce. Ty kochasz ziemię i rozumiesz, że jest to jedyna rzecz, dla której warto żyć i umierać. Godnie mnie zastąpisz. Będiesz dobrą dziedziczką, bo chłopci makowscy cię kochają. Warto byłoby ustanowić na tych majątkach ordynację, ale nie macie jeszcze syna. Nie szkodzi. Lipieniec i majątki lubelskie pozostaw córce. Wiem, że Starewicz zechce odebrać wam spadek, więc w najgorszym razie oddaj mu kapitały w gotówce. To łakomy kąsek dla tego podłego karciarza! Ziemi mu nie oddawaj, bo ją sprzeda. – Zmęczona wojewodzina zamilkła, a potem podjęła jeszcze cichszym głosem: – Polecam ci moją służbę. Pozwól im dożyć tutaj swoich dni. Przyrzekasz?

– Przrzekam, ciociu!

Ujęła dłoń umierającej i przycisnęła do niej usta. Palce wojewodziny zgięły się lekko, oddając jej uścisk. Staruszka patrzyła na nią z czułością i litością.

– Moje biedne dziecko, nie będziesz miała lekkiego życia – wyszeptała. – Przed tobą walka aż po kres twoich dni. Jeden Bóg raczy wiedzieć, czy zdołasz pokonać trudności, które los postawi na twojej drodze. Musisz być twarda jak skała, nie wolno ci się ugiąć! Kiedy powstanie upadnie, na tej nieszczęsnej ziemi rozpęta się piekło. Proszę, weź to pudełko, jest tam trochę świecidełek i mój testament. A tu masz ode mnie dziesięć tysięcy rubli. Te klejnoty i pieniądze schowaj na czarną godzinę. Nie wydawaj ich przedtem. O, będziesz wiedziała, kiedy ta czarna godzina nadejdzie, bo serce ci to podpowie.

– Dobrze, ciociu. – Nina skinęła głową, przyjmując dar jako depozyt. Słowa umierającej napełniły jej serce zabobonną trwogą.

– Gdy umrę – ciągnęła wojewodzina – z sum zapisanych w testamencie wypłać Stasi posag zakonny. Ten pierścień z brylantem oddaj Jadwidze, niech nie chowa do mnie urazy. Skrzywdziłam ją, ale będzie mnie jeszcze błogosławić, bo z was wszystkich tylko ona jedna zazna w życiu szczęścia. – Położyła ciężką rękę na głowie Niny, która uklękła przy łożu, aby lepiej słyszeć jej cichnący głos. – Nie płacz po mnie, córeczko, niedługo zabraknie ci łez. Umierający widzą dalej... Miej zawsze świadomość, że płynie w tobie krew rycerzy spod Grunwaldu i tych spod Cecory, którzy własnymi ciałami zawalili drogę do ojczyzny całej potędze tureckiej. Przyznaję, gdy dowiedziałam się, że Oleś postanowił poślubić ciebie, byłam bardzo niezadowolona, bo wydawałaś mi się zimna i obawiałam się, że wyszłaś za Olesia dla jego tytułu i majątku. Przebac mi, dziecko, bo bardzo zgrzeszyłam pychą. Jesteś dla niego najlepszą żoną, wierną, kochającą i wspianą panią na Makowie. Chyba matka wymodliła Olesiovi taką żonę, prawdziwą towarzyszkę życia.

Nina uniosła głowę i zarumieniła się z radości i dumy. Nigdy nie spodziewała się usłyszeć z ust surowej starej damy takiej pochwały. Z wdzięcznością ucałowała jej zapadły policzek.

– Dziękuję cioci, ale nie wiem, czy Alek jest tego samego zdania – westchnęła.

– Masz odpowiedź w jego liście – stwierdziła wojewodzina. – Ja wiem, że on ma niełatwy charakter, jest skryty, mało wylewny, często apodyktyczny. Jeszcze nieraz zada ci ból. Ale nigdy nie wątp w jego miłość. Jego serce trudno zdobyć, lecz gdy raz kogoś pokocha, pozostanie tej miłości wierny do końca życia.

„Tak właśnie kochał Paulę...” – przemknęła myśl przez głowę Niny, ale natychmiast zdusiła ją w sobie.

– Gdyby, co nie daj Boże, Oleś dostał się do niewoli, sprzedaj wszystko, co masz, Maków i Lipieniec, i uciekajcie, bo tu grozi mu zguba.

– Oddam wszystko bez żalu, żeby tylko go ocalić – zapewniła ją Nina żarliwie.

– Te klejnoty, które ci dałam, są bardzo cenne. Moja babka otrzymała je od Marii Józefy, królowej polskiej i elektorowej saskiej... Mam do ciebie jeszcze prośbę, czy zechcesz ją spełnić?

– Naturalnie.

– Dziękuję. Pochowaj mnie przy Tekli w Makowie. Nie chcę leżeć obok mego męża. Miło mi pomyśleć, że kiedyś, po długim życiu, i wy spoczniecie obok nas. Błogosławię ci, moje kochane dziecko. Błogosławię Olesiowi i waszej małej córeczce. Żałuję, że jej nie zobaczę. Niech was Bóg chroni i otacza opieką. – Zakreśliła krzyż nad głową klęczącej Niny. Naraz przyciągnęła ją do siebie i ciężko dysząc, wpatrzyła się w jej oczy płonąącym niesamowicie wzrokiem. – Strzeż się słabości! – ostrzegła. – Przyjdzie na ciebie taka godzina, że staniesz przed wyborem decydującym o całym dalszym twoim życiu. Wtedy przypomnij sobie, że twój mąż był powstańcem i nigdy nie zszedł z drogi honoru. To moja ostatnia rada, pamiętaj o niej, kiedy staniesz na rozdrożu.

– Przysięgam, że nigdy nie przyniosę wstydu memu mężowi ani tobie, ciociu. Tak mi, Boże, dopomóż – powiedziała Nina z godnością, zastanawiając się, co wojewodzina chciała dać jej do zrozumienia i przed czym ją ostrzegła. Nawet nie próbowała pytać, bo wiedziała, że umierająca jej tego nie powie. – Ciociu, pojedę do Makowa, wydam zarządzenia i wrócę z ciocią Salusią, żeby cię pielęgnować, dobrze? A może wolisz przyjechać do Makowa?

– Nie trzeba, moje dziecko. Chcę zostać sama – wyszeptała wojewodzina słabym ruchem warg, posiniałych i pokrytych nalotem gorączki. – Teraz sobie podrzemię, a złe czy dobre – sama ci obwieszczę. Idź już, kochanie.

Nina spostrzegła z lękiem, że przez twarz chorej przepływają jakby blaski i cienie, będące oznaką nadchodzącej śmierci. Ucałowała zimne czoło staruszki i na palcach wysunęła się z sypialni. Ochmistrzyń, równie wiekowej jak jej pani, posłała smutny uśmiech.

– Uważajcie na jaśnie panią wojewodzinę. Jest bardzo słaba. Niech pan Marcinkiewicz pośle do miasteczka po doktora. Jakby się pani wojewodzinie pogorszyło, natychmiast proszę mnie zawiadomić.

Stała na ganku i rozejrzała się bezradnie, a potem wsparła głowę o smukłą kolumnę i rozplakała się żałośnie. Oto traciła następną bliską osobę, dobrego, życzliwego człowieka. Kobietę godną szacunku, mądrą i wielką damę. Przypomniała sobie groźną zapowiedź przyszłości, lecz wołała o tym na razie nie myśleć. Dosiadła Mignon i ruszyła, odmawiając po drodze pacierze za chorych i umierających.

Pomyślała, że należy wstąpić do Sarnik, spytać o zdrowie wuja i powiadomić ciotkę o stanie wojewodziny, ale była tak przygnębiona i zmartwiona, że w Sarnikach nawet nie zsiadła z konia, kazać tylko służącemu poprosić panią dziedziczkę. W kilku słowach powiedziała ciotce, że pani wojewodzina kończy życie.

– O Jezu, nie powiem o tym Ksawuniowi. – Ciotka przejęła się tą smutną wiadomością. – On teraz wszystko bierze sobie do serca, a każda zgryzota może go zabić. Nino, wejdź do domu. Wuj się ucieszy, bo nawet dziś pytał o ciebie. Chciał wiedzieć, czy może miałaś jakieś wiadomości od Olesia o Jasiu?

– Wczoraj dostałam list od męża. Z pierwszych dni maja... Pisał, że gotują się do bitwy... – Nina urwała, uspokajając niecierpliwą się klaczkę. – Przepraszam ciocię, ale nie wejdę. Jestem taka... – Zagryzła usta. – Biedna pani wojewodzina umiera – dokończyła łamiącym się głosem, czując, że znowu się rozkleja.

– Wola Boska, moje kochane dziecko – westchnęła ciotka. – Wracaj do domu i odpocznij, bo źle wyglądasz. Może dać ci powóz? Nie? Zaraz się ubiorę i wstąpię po księdza proboszcza. Razem pojedziemy do wojewodziny. A ty wracaj do Makowa.

Nina skinęła głową i szarpnąwszy cugle, odjechała. Zaraz za wsią ponagliła klacz i ruszyła cwałem, żeby szybką jazdą zabić żal i odpędzić ponure myśli. Nie wiadomo kiedy bardzo przywiązała się do starej damy, a

jej śmiertelna choroba była dla niej ciężkim przeżyciem. Wojewodzina odchodziła w momencie, gdy jej mądra rada i wsparcie byłyby dla Niny zbawienne. Przypomniała sobie przepowiednię umierającej, iż udziałem jej będzie walka aż do końca życia. Nie była to przyjemna perspektywa, lecz Nina przypisywała te słowa gorączce i powolnej utracie świadomości chorej.

Do Makowa powróciła w ponurym nastroju. Czując potrzebę jakiegokolwiek zajęcia, odprowadziła Mignon do stajni i sama się nią zajęła, szczotkując ją, karmiąc i pojąc. Całą resztę dnia była smutna, niespokojna i milcząca. Zmieniwszy suknię, usiadła w buduaru, wyjęła arkusz papieru i aby zająć czymś myśli, postanowiła napisać do Bini długi list. Naraz przypomniała sobie o klejnotach i pieniądzach, które niedbale włożyła do kieszeni amazonki. Poszła do garderoby i wyjęła pudełko z kieszeni. Wróciła do buduaru i przy sekretarzyku otworzyła etui. Tęczowe lśnienie wielkich brylantów niemal ją oślepiło. Były to rzeczywiście królewskie klejnoty. Cudownie oszlifowane kamienie wielkości owocu wiśni, oprawione w dukatowe złoto, przedstawiały ogromną wartość. Jak urzeczona wpatrywała się w brylanty ze skarbca Habsburgów⁰⁴, które dziwną koleją losów trafiły w jej ręce. Pobiegła do gabinetu i otworzywszy skarbiec, zamknęła w nim klejnoty i pieniądze.

Potem ponownie zasiadła do pisania listu i przez jakiś czas przelewała myśli na papier, dzieląc się z siostrą troskami i czerpiąc pociechę z samej tylko możliwości przypomnienia jej o sobie. Naraz poczuła, że nie jest w pokoju sama. Powiał na nią lodowaty chłód, a serce ścisnęło się złym przecuciem. Rozejrzała się, lecz w buduarze nie było nikogo. Mimo to była pewna, że w pobliżu jest ktoś jeszcze, obecny, choć niewidzialny. Wyraźnie czuła, że ktoś przy niej stoi. Natychmiast przypomniała sobie słowa konającej i domyśliła się, co się wydarzyło. Ta myśl zmroziła jej krew w żyłach. Zerwała się z krzesła i wybiegła jak szalona, wzywając Jagę i służbę.

– Boże miłosierny! – wykrzyknęła z płaczem. – Pani wojewodzina umarła!

Wcale nie była zaskoczona, kiedy po dwóch godzinach Walenty wręczył jej bilecik pisany ręką ciotki Marii. Zawierał tylko kilka słów: „Wojewodzina oddała ducha Bogu”. Nina odczytała je z suchymi oczami.

– Obiecała, że sama da mi znać, i dotrzymała słowa – szepnęła do siebie i poczuła głęboki ból i trwogę.

Powróciła do pokoju, usiadła przy sekretarzyku, nieobecny wzrokiem wpatrując się w okno i w wieczorne zorze płonące na niebie. Tym razem nie płakała. Nie mogła.

[01](#) fr. trwać

[02](#) wł. Jeżeli to nieprawdziwe, to przynajmniej dobrze wymyślone!

[03](#) łac. Sposób działania

[04](#) Klejnoty arcyksiężniczki Marii Józefy Habsburżanki, żony króla polskiego, Augusta III Sasa.

Dni dzielące zgon wojewodziny do pogrzebu wydały się Ninie wiekiem. Nazajutrz po śmierci staruszki otworzyła testament, w którym znajdowały się wskazówki, co ma robić przed i po pogrzebie. Stara dama zabroniła jej zawiadamiać o swojej śmierci Starewicza. Wyobrazivszy sobie, jakie obrzydliwe sceny mogłyby się rozegrać przy trumnie wojewodziny, Nina była wdzięczna ciotuni, że przy pochówku nie będzie tego okropnego człowieka. Depeszą wezwała z Radomia zaufanego notariusza prowadzącego od lat sprawy majątkowe wojewodziny. W Lipieńcu nie zamierzała niczego zmieniać. Gospodarstwa doglądał pan Marcinkiewicz, całym sercem oddany swojej pani. Wiedziała, że może całkowicie na nim polegać. Razem z ciotką Marią i proboszczem zajęła się przygotowaniami do godnego pożegnania pani wojewodziny.

Zwłoki zmarłej zostały przewiezione do Makowa, a sama ceremonia była bardzo uroczysta. Nie bacząc na niespokojne czasy, do Makowa zjechali sąsiedzi i dalsi znajomi, aby pożegnać pochodzącą ze starego książęcego rodu damę. Powstanie uniemożliwiło przybycie jej arystokratycznej rodziny z Galicji, Ukrainy i Litwy. Po mszy żałobnej trumna spoczęła w krypcie podziemnej, a goście po stypie w różanym ogrodzie rozjechali się do domów.

Przez cały pochmurny dzień panował tropikalny upał. Dopiero pod wieczór wiatr rozpędził gromadzące się chmury i na zachodzie ukazał się skrawek czystego nieba, a na nim kula słońca zapowiadająca dalszy upał. Nina wyszła z sypialni na taras, gdzie wiatr przynosił od stawu odrobinę chłodu. Zdjęła z siebie ciężką żałobną suknię, a Ulisia rozsznurowała jej gorset i podała lekki muślinowy peniuar obszyty koronkami. Rozpuściła włosy ciężące jej na głowie i odetchnęła z ulgą. Z parku płynął zapach róż, jaśminów i kwitnących goździków wraz ze szmerem liści poruszanych leciutkim powiewem wiatru. Nina drżącą ręką dotknęła spoconego czoła i starała się uspokoić mocno bijące serce. Z sypialni wyjrzała pokojówka i oznajmiła, że kąpiel gotowa. Nina z rozkoszą zanurzyła się w chłodnej, pachnącej kwiatami wodzie. Była bardzo zmęczona i zadowolona, że goście rozjechali się do domów, nie nocując w pałacu. Domownicy, pomęczeni upałem i całodzienną krzątaniną, prędko rozeszli się do swoich pokoi na spoczynek i w domu zapanowała cisza.

– Czy chcesz, żebym dziś z tobą spała? – spytała Jaga, dzieląca z nią łóżko przez trzy dni przed pogrzebem.

– Dziękuję, nianiu. – Nina, siedząc przy toalecie, wycierała ręcznikiem mokre włosy. – Słyszałam od starszych ludzi, że dusze zmarłych tylko do dnia pogrzebu odwiedzają znajome miejsca. Potem odchodzą w zaświaty, aby już nigdy nie powrócić. No, większość dusz nie wraca... – dodała półgłosem.

– Co ty pleciesz? – zdenerwowała się Jaga. – Niby kto stamtąd powrócił?

– Nie próbuj udawać, że nie wiesz, kogo mam na myśli. – Nina sięgnęła po filiżankę i napiła się wody sodowej z sokiem wiśniowym. – Wkrótce rocznica jej śmierci. Chyba jednak zamówię mszę żałobną w klasztorze w Świętej Katarzynie.

– A ja ci mówię, nie myśl o takich sprawach przed snem. – Jaga zapaliła lampkę nocną, stojącą na stoliczku przy łożu, i strzepnęła poduszki. Wprawdzie Ulisia ścieliła łoże bardzo dokładnie, lecz niania zawsze musiała coś jeszcze poprawić. – No, połóż się, dziecinko. Ja także pójdę spać, bo nogi mi bardzo spuchły z tego upału. Mógłby już spaść deszcz.

Nina wstała i kończąc splatanie warkocza, podeszła do niej, objęła ją i ucałowała na dobranoc.

– Nianiu, błagam, nie przemęczaj się. Tak się zachowujesz, jakby nie było pani ochmistrzyni, Kumosi i służby. Oszczędzaj siły, najmilsza. Może jutro poleżysz?

Jaga odmownie potrząsnęła głową i oddawszy jej pocałunek, wyszła. Grot, mający swoją poduszkę w buduarze, wziął ją w zęby i przeniósł do sypialni, kładąc się obok łóżka swojej pani. Nina dokończyła wieczorną toaletę, wcierając w ręce krem wybielający, i z rozkoszą spoczęła w miękkiej, pachnącej pościeli. Alabastrowa lampka nocna rzucała krąg delikatnego różowawego blasku. Przymknęła powieki i próbowała zasnąć, lecz wydarzenia dnia były zbyt bolesne, aby mogła o nich zapomnieć. Miała jeszcze w uszach zgrzyt żelaznej kraty w krypcie grobowej, odgradzającej raz na zawsze zmarłą od świata żywych. Przypomniała sobie, jak całkiem niedawno wojewodzina – jeszcze pełna życia i energii – uczestniczyła w pogrzebie hrabiny Tekli, a potem Pauli. Teraz spoczywała obok przyjaciółki, przeżywszy ją tylko o rok. Ninie trudno było pogodzić się z myślą, że gdy nazajutrz pojedzie do Lipieńca, wojewodziny już tam nie zastanie. Nie usłyszy jej donośnego głosu ani stukania laski, którą się podpierała. Była pewna, że stara dama nie zmarłaby tak prędko, gdyby nie przekłeta wizyta Starewicza. Ukochany wnuk zadał jej śmiertelny cios w

samo serce. Reszty dokonała troska o życie Aleksa i niewiara w zwycięstwo powstania.

Usiłowała odsunąć od siebie przykre myśli, lecz nerwy miała napięte i ciągle wytężyła słuch, pragnąc złowić jakikolwiek odgłos z zewnątrz. Przez obite jedwabiem ściany sypialni nie przedostawał się żaden szmer. Miała wrażenie, że w domu panuje jakaś osobliwa i jakby złowieszcza cisza. Ostatnie noce, prawie bezsenne, dały się jej we znaki do tego stopnia, że przy kolacji zaczęły jej opadać powieki. Tymczasem, leżąc w wygodnym łóżu, nie mogła się odprężyć i zapaść w sen. Mimo woli wzdrygnęła się i przeszedł ją dreszcz. Wsparła się na łokciu i zapaliła świecę w lichtarzu, spoglądając na tarczę zegara. Dochodziła północ. Dotknęła dłonią głowy śpiącego psa. Spojrzał na nią, zaskomlił i ponownie zasnął. Z głębi parku dobiegł ostry, przeszywający krzyk nocnego ptaka. Zdmuchnęła świeczkę i opadła na poduszki. Niespostrzeżenie zapadła w sen.

Przyśniło się jej, że przez ogród pełen białych kwiatów idzie wojewodzina. Stara dama kroczyła w czarnej aksamitnej krynolinie i koronkowym czarnym szalu, zakrywającym siwe włosy, dokładnie tak, jak była ubrana do trumny. Weszła po schodkach na taras i zaglądnęła do sypialni, a następnie zapukała kościstym palcem w szybę. Nina wyraźnie widziała jej woskowe, nieruchome rysy i przymknięte powieki, pomiędzy którymi przeświecało białko.

Momentalnie usiadła na łóżku, oblana zimnym potem i śmiertelnie przerażona, bo teraz już naprawdę usłyszała pukanie w szybę drzwi na taras. „Wielki Boże, wojewodzina przyszła!” – pomyślała, cała drżąca pod wrażeniem straszego snu. Grot się zerwał, ale nie szczekał, tylko zaskomlił. Ogarnięta przeraźliwym lękiem, wyskoczyła z łóżka i boso pobiegła do pokoju Jagi, słysząc za sobą coraz mocniejsze stukanie.

– Nianiu, obudź się, na miłość boską! – zawołała, pochylając się nad pochrapującą smacznie Jagą. Potrząsnęła nią, czując, że jest bliska obłądu. – Nianiu, wojewodzina przyszła do mnie i puka w szybę! Nianiu, ja się boję!

Jaga gwałtownie wyrwana w głębokiego snu, uniosła się i nieprzytomnie macała dokoła siebie rękami, szukając zapalek i świecy.

– Co się stało? – wybełkotała na wpół jeszcze śpiąca.

– Nianiu, śniła mi się wojewodzina. Weszła na taras i zapukała w szybę drzwi, a kiedy się obudziłam, okazało się, że ktoś rzeczywiście puka w

szybę! – mówiąc to, Nina nie potrafiła powstrzymać się od szczęknięcia zębami i kulila się, gotowa wszcząć alarm i obudzić cały dom.

Wątki ogienek oświetlił zasną twarz Jagi w przekrzywionym czepku na głowie.

– Kto puka? – dopytywała się, mrużąc oczy i usiłując zrozumieć, o czym mówi Nina.

– Wojewodzina przyszła... – powtórzyła, podskakując z rozdygotanych nerwów.

Jaga zachnęła się gniewnie i spojrzała na nią z politowaniem. Stękając, wstała z łóżka i narzuciwszy na ramiona szal, wsunęła nogi w papucie.

– Doprawdy, wstyd mi za ciebie – powiedziała z gniewem. – Uspokój się i nie opowiadaj bredni! Jeżeli okaże się, że obudziłaś mnie bez powodu, zapomnę o twoim tytule i dam ci w skórę trzepaczką. Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że duchy nie muszą pukać, ponieważ nie posiadają ciała i mogą przejść przez ścianę! Matko Święta, jakie to głupie dziewczynisko z tej mojej Niny! No, chodź, chcę zobaczyć twojego „ducha”!

– Nie, boję się – wyjąkała Nina, zupełnie roztrzęsiona strasznym i realistycznym snem. – Nigdy w życiu się nie bałaś?

– Owszem, kiedy zaczęłaś mówić! – prychnęła ironicznie Jaga. – I chodzić!

Nina cały czas trzęsła się jak osika z niewyobrażalnej trwogi i dziwnego przeczucia, że to jeszcze nie wszystko, że czeka ją coś o wiele gorszego. Jaga bezceremonialnie chwyciła ją mocno za rękę i pociągnęła za sobą.

– Mężatka, matka, a zachowujesz się jak ogłupiały wiejski kuropłoch! – gderiała, drepzcząc rażno. Nina szła za nią posłusznie, pokonując siłą woli dręczący ją lęk.

Weszły do sypialni i zaczęły pilnie nasłuchiwać.

– E, to tylko ci się przyśniło. – Jaga wzruszyła ramionami. – Tam nikogo nie ma.

– Ja wiem, że to była wojewodzina! – upierała się Nina. – Już nie spałam, jak pukała.

Naraz obie podskoczyły nerwowo, bo ktoś ponownie zapukał w szybę. Nina krzyknęła i cofnęła się w odruchu trwogi. Tym razem Grot zaszczekał, ale jakby z obowiązku, bo machnął przy tym kilka razy ogonem.

– Kto tam? – spytała niepewnie Jaga, odchylając ciężką aksamitną kotarę i wyglądając na taras.

– Niechże jaśnie pani otworzy. To ja, Tomek! – zawołał zniecierpliwiony głos i pukanie powtórzyło się bardzo energicznie, aż szyba zadrżała.

– Chryste! – przeraźliwie krzyknęła Nina, rzucając się do drzwi. Otworzyła je szeroko, tak gwałtownie, że zerwała firanę. – Pan żyje? – wyszeptała, wpatrując się w chłopca oszalałymi z przerażenia oczami.

– Żyje, ale ciężko ranny.

Nina zachwiała się na nogach, wpatrując się w Tomka.

– Gdzie zostawiłeś pana? – zapytała Jaga, nalewając do filiżanki wody sodowej i podając mu ją. – Napij się, a potem siadaj i opowiadaj, co się wydarzyło – poleciła, mocno obejmując chwiejącą się Ninę. Była równie zrozpaczona straszną wiadomością, lecz nie straciła głowy.

– Zostawiłem pana u chłopca, koło Nowej Słupi – odpowiedział ochrypłym głosem i oparł się plecami o ścianę, goniąc ostatkiem sił. – Kula przeszła na wylot przez piersi. Pan ma gorączkę i jest nieprzytomny. Szedłem do Makowa piechotą i trochę się zmęczyłem...

– Widzę. Chodź tu, synku, siadaj na kanapce, napij się i opowiadaj. Potem coś zjesz i wypoczniesz. Nina, usiądź wygodnie, bo się przewrócisz. – Pogładziła chłopca po mokrych od potu włosach.

Tomek chciwie wypił wodę i ciężko odetchnął jak stary spracowany człowiek. Grot obwąchał go i polizał po ręce, piszcząc żałośnie. Nina milczała, nie odrywając od niego nieruchomych, szeroko otwartych oczu, niemal czarnych z napięcia. Chłopiec przez chwilę odpoczywał, a następnie zaczął opowiadać, co jakiś czas przerywając i wzdychając.

Oddział forsownymi marszami gonił pułkownika Czachowskiego, starając się wykonać rozkaz rządu i połączyć z nim. Ale stary wódz kluczył jak ścigany lis, uciekając przed przeważającymi siłami wroga, po drodze odgryzając się nieprzyjacielowi, bo wszędzie partia napotykała ślady potyczek i ledwie zagrzebane trupy poległych. Ze wszystkich stron jak kruki do padła ścigały kolumny rosyjskie, chcąc zamknąć Polaków w kotle. Oddział naczelnika wymykał się im z rąk jak piskorz, lecz Rosjanie byli przed nimi, za nimi i po bokach. Niemal codziennie dochodziło do starć z patrolami kozackimi i dragonami. Tymczasem pułkownik nagle jakby zapadł się pod ziemię i słuch o nim zaginął. Wysyłani na zwiady ludzie meldowali o obecności nieprzyjaciela, lecz po Czachowskim nie było śladu. Powstańcy byli już tak pomęczeni, że na postojach walili się na

gołą ziemię, nie mając nawet siły ugotować sobie ciepłej strawy. Pożywiali się sucharami i popijali je wodą ze strumienia lub wódką.

Naczelnik zwołał naradę oficerów i oświadczył, że pogoń za pułkownikiem jest bezcelowa, ponieważ Czachowski nie zamierza się ujawniać i po jakimś czasie pokaże się tam, gdzie nikt się go nie spodziewa. Iść dalej, znaczyło narazić się na okrążenie i bitwę z potężnym, posiadającym artylerię nieprzyjacielem. Naczelnik nie zamierzał kusić losu i narażać partii na rozbitcie. Proponował powrót w Góry Świętokrzyskie i przeczekanie złej passy do czasu, aż Czachowski pojawi się gdzieś w okolicy. Oficerowie zgodzili się ze zdaniem dowódcy i oddział zawrócił, kierując się ku zbawczej puszczy i górcom. Po drodze życzliwi gajowi ostrzegali, że od gór oddziela ich duża kolumna, złożona z kozaków, piechoty i dwóch armat. Przeczekali w ukryciu cały dzień i dopiero nocą ominęli Rosjan łukiem i poszli ku widniejącym już z dala wzgórzom.

Niedaleko Szczytnika przyszedł do obozu leśniczy i zawiadomił powstańców, że na ich spotkanie ciągną kozacy, kierowani przez chłopów. Pragnęli połączyć się z pułkownikiem Gołubiewem i musieli rozbić partię, żeby otworzyć sobie do niego drogę. Jeszcze tej samej nocy wywiadowcy wysłedzili obóz wroga. Zaskoczeni we śnie kozacy prawie nie stawiali oporu, bo zaraz wsiadła im na kark straszliwa w bliskim starciu kosynierka. Jeńców nie brano. W ręce powstańców wpadło wiele żywności, konie i broń. Droga ku górcom była otwarta!

Tomek zamilkł, oblizując suche wargi i chciwie łapiąc oddech. Jaga podała mu cały dzban wody z sokiem. Spojrzał na nią z wdzięcznością i wypił wodę duszkiem. Był bardzo zmęczony, lecz widząc, z jaką uwagą kobiety go słuchają, odetchnął i opowiadał dalej.

Musieli omijać wsie, spali pod gołym niebem, lecz na to nie było rady, bo od Zawichostu, Opatowa i Sandomierza zbliżali się Rosjanie. Oddział maszerował nocami, w dzień zaszywał się głęboko w las i odpoczywał. Nareszcie znaleźli się w pobliżu Nowej Słupi, w puszczy, a przed nimi otwarła się wąska gardziel wąwozu. Był wczesny ranek, naczelnik rozkazał, by zbadać teren. Nie stwierdziwszy nic podejrzanego, zwiadowcy dali znak, że droga wolna. Oddział wolno wszedł w wąwóz: najpierw konnica, potem piechota, na końcu kosynierzy. Spokojnie przeszli połowę drogi i wtedy rozpętało się piekło! Rosjanie już dawno musieli śledzić przemykających chyłkiem powstańców i w idealnym miejscu urządzili na nich zasadzkę.

Zbocza wąwozu obsadzono strzelcami, zewsząd rozlegały się salwy karabinowe. Naczelnik zarządził odwrót, lecz wlot wąwozu był już zablokowany przez piechotę i sotnię kozaków. Tomek ponownie przerwał i naraz zachłysnął się łzami...

– Słodki Jezu, co tam się działo! Zaraz na początku kilkunastu chłopców padło trupem. Ludzie ratowali się, uciekając gdzie kto mógł, ale wszędzie trafiali pod lufy karabinów. Pan naczelnik zrozumiał, że koniec z nami, ale wyjechał do przodu i krzyczy: „Chłopcy, za mną! Wyrąbujemy sobie drogę szablami i kosami!”, i pierwszy poleciał na Moskali. Wielu poszło za nim, siekąc kosami i strzelając burkom prosto w twarze. Ale Moskale ustawili na skraju wąwozu armatę. Gdy wystrzeliła, to z ludzi i koni zrobił się jeden kłęb! Ranni tarzali się po ziemi we krwi. Ale pana naczelnika nie trafili i dalej pędził na przedzie, tnąc szablą i strzelając z rewolweru do zastępujących mu drogę burków. Kilkunastu naszych się przebiło, reszta została w wąwozie. Moskale byli już wszędzie, cały las roił się od nich. Kto jeszcze żył, szukał kryjówki. Patrząc, a pan naczelnik rozkłada ramiona i wali się z konia na ziemię! Wołam, krzyczę, żeby ratowali, ale gdzie tam, każdy już dbał tylko o własną głowę. To nie czekałem, aż burki pana dobiją, tylko puściłem konia i zaciągnąłem pana pod skałę, a tam trafiła się stara sztolnia po dawnej kopalni, więc wlałem w jamę i wciągnąłem tam pana. Siedzieliśmy w tej sztolni cały dzień, dopiero kiedy Moskale sobie poszli, to przyniosłem panu wody w manierce.

Tomek zasłonił twarz ramieniem i wybuchnął rozpaczliwym szlochem.

– Matko Najświętsza, co tam naszych zostało! Chłopaki z Makowa, wójtów syn, syn pana ekonoma z Borku, nasz lokaj Filipek, stajenny Felek Burak, nasze parobczaki i panowie ze dworów. Wszyscy leżeli pokotem. Moskale obdarli ich z przyodziewku, ino gacie im zostawili. Potem przyszli chłopci z łopatami, wykopali głęboki dół i wrzucili do niego naszych chłopców, jak tę padlinę, bez pacierza i bez księdza. O, mój Ty Jezu kochany!

Nina i Jaga, skamieniałe z okropnego przerażenia, nie mogły wydobyć z siebie głosu.

– Cały dzień przesiedzieliśmy w tej jamie. Pan naczelnik napił się wody – podjął Tomek, wycierając łzy rękawem – i trochę oprzytomniał. Podparłem go i poszliśmy. Wędrowaliśmy przez kawał nocy, nad ranem trafiając na chatę w lesie. Chłop zgodził się przyjąć pana i zaprzysiągł mi na krzyżu, że

nie wyda go Moskałom, bo mu powiedziałem, że to dobry pan, co zniósł pańszczyznę i ziemię rozdał darmo ludziom. Położyłem pana w stodole, obwiązałem mu rany szmatami i pomyślałem, że trzeba dać znać jaśnie pani, że pan ranny i sam do domu nie dojdzie. Potem poszedłem do Makowa i już... – Tomek zakaszłał i zamilkł.

Jaga pierwsza ochłoneła z wrażenia. Spojrzała na trupio bladą Ninę, na jej rozszerzone oczy patrzące przed siebie błędnym wzrokiem i pomyślała, że jeśli hrabia umrze, Nina go nie przeżyje. Ale nie pozwoliła sobie na chwilę słabości, zupełnie w tej sytuacji niewskazaną. Poderwała się i mocno nią potrząsnęła.

– Nie siedź jak ten kołek, tylko rusz się! – upomniała ostro, pragnąc wyrwać Ninę z przerażającego stanu osłupienia. – Czas upływa, a pan potrzebuje naszej pomocy. Idę budzić ludzi, a ty, chłopcze, chodź do kuchni. Musisz coś zjeść i odpocząć. Nina, ubieraj się, trzeba obudzić Maćka. Niech szykuje powóz, musicie przywieźć pana do domu.

Wybiegła z sypialni, prowadząc z sobą chłopca. W tej pełnej życia i inicjatywy kobiecie trudno się było dopatrzeć ociężałej, flegmatycznej niani. Nieszczęście wyzwoliło drzemiącą w niej energię. Ale jej słowa odbijały się tylko o uszy Niny, zupełnie do niej nie trafiając. Ogłuszona straszną nowiną, straciła właściwą sobie aktywność i siedząc na brzeżku fotela, bezmyślnie ogryzała paznokcie, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Serce jej biło powoli i ciężko, wstrząsały ją dreszcze, a w duszy czuła dziwny lęk, mocniejszy od rozpacz. „Nie, to niemożliwe, Alek wcale nie został ranny. To tylko zły sen” – myślała leniwie, wzruszając ramionami, jak o rzeczy, która nie mogła się wydarzyć. Gdzieś z głębi domu doszły do jej uszu szybkie kroki. Zadudniły schody pod zbiegającymi z piętra służącymi. Dom się obudził.

– Nie, to niemożliwe! – krzyknęła, chwytając się obiema rękami za włosy i ciągnąc je tak mocno, że ból przywrócił jej przytomność.

Zerwała się i z pośpiechem zaczęła się ubierać, rozrzucając wywleczone z garderoby suknie. Wciągnęła spodnie, decydując się wziąć męski strój, wygodniejszy w podróży. Za pas zatknęła pistolet, a potem przystanęła i zaniósła się krótkim łkaniem, bo ten ubiór przypominał jej nocną jazdę do leśnego obozu. Stłumiła płacz i odruchowo przygładziła potargane we śnie włosy. „Trzeba obudzić pana Bochniaka i wziąć ze skarbca pieniądze. Może trzeba będzie kogoś przekupić” – pomyślała, ściągając z namysłem brwi.

Krzętała się po sypialni, nie dopuszczając do siebie myśli, że Jaś i Tadeusz mogli zginąć w zasadzce. Postanowiła spytać o to Tomka. W głębi serca błogosławiła tego wspaniałego chłopaka, który narażając życie, uratował Aleksa od niechybnej śmierci.

Pobiegła na piętro, do gabinetu, otworzyła skarbonkę i wyjęła z niej kilka tysięcy rubli. Zwinęła pieniądze w rulon i wsunęła je za pazuchę. Wychodząc z pokoju, spojrzała na portret kasztelana. Wydało się jej, że patrzy on na nią ze współczuciem.

– Dziadku, Alek jest ciężko ranny, wiesz? – poskarżyła się i tak prędko przełknęła napływające do gardła łzy, że omal się nie udławiła i dostała nerwowej czkawki. – A może on już nie żyje? – zadała sobie straszne pytanie.

Wypowiedziawszy te słowa na głos, uświadomiła sobie w całej pełni dramatyczną rzeczywistość. Jak podcięta batem rzuciła się naprzód z takim pośpiechem, że pośliznąwszy się na polerowanym marmurze schodów, o mało nie runęła w dół. Boże, mąż ranny, wygląda od niej pomocy, a ona grzebie się jak mucha w mazi!

W całym domu zaczął się gorączkowy ruch. W korytarzach i pokojach służbowych błyskały światła, słychać było pełne obawy szepty. Przez park popędziła do stajni i długo dobijała się do masywnych wrót, tłukąc w nie pięściami, dopóki nie otworzył ich zaspany stajenny.

– Natychmiast obudźcie mego stangreta! – rozkazała.

Maciek przybiegł w samych płóciennych kalesonach i w koszuli, tak jak porwał się z posłania. Na widok pani poczerwieniał i pochwytywszy końską derkę, okrył się nią pośpiesznie.

– Moskale?! – zawołał, widząc jej zmienioną, trupio bladą twarz.

– Pan ciężko ranny. Musimy go przywieźć do domu. Przygotuj karetę albo lando.

– Maryjo, Józefie Świąty! – wykrztusił roztrzęsiony. – Daleko pojedziemy?

– Pan leży w chłopskiej chacie koło Nowej Słupi. Tomek mi o tym powiedział. Przyszedł do Makowa piechotą. Partia rozbita, bo wpadli w zasadzkę i wielu zginęło. Zatrzymaj tę wiadomość dla siebie. Nie chcę tu paniki.

– A pewnie. Na złą wiadomość zawsze jest czas – mruknął pod nosem. – Niechże jaśnie paniulka wraca do pałacu, zaraz tam przyjdę, ino się ogarnę.

Aha, koło Słupi kareta nie przejedzie, bo drogi tam paskudne.

Zanim doszła do domu, Maciek już ją dogonił, narzuciwszy na siebie w pośpiechu, co mu wpadło pod rękę. W kredensie siedział Tomek i jadł, a raczej pożerał smażoną kiszkę i jajecznicę na boczku. Kumosia, rzewnie pociągając nosem, zносиła ze spizarni coraz to nowe zapasy żywności i pakowała je do wiklinowego kosza. Przy Tomku stała Emilka, śmiertelnie blada, z posiniałymi ustami, i patrzyła na niego z rozpaczą, ale nie płakała. Nina podeszła do niej i przycisnęła ją do piersi. Inaczej nie potrafiła okazać jej swojego współczucia. Tomek przerwał posiłek i wstał.

– Jedziemy?

– Za chwilę. Usiądź i kończ jedzenie. Musisz mieć dużo sił – powiedziała Nina, kładąc mu rękę na ramieniu. – Powiedz nam tylko, czy do tej chaty zajedziemy kareta lub powozem?

– Nie. – Tomek spojrział na niedojedzoną kiszkę i przełknął ślinę. – Pełno tam kamieni i droga ciągle pod górę. Musimy wziąć tę bryczkę, którą jechaliśmy w zimie. Nasze wałachy uciągną bryczkę choćby na Łysą Górę. – Oblizwał się, patrząc łakomie na stygnącą jajecznicę.

– Jedz! – powtórzyła Nina. – Kumosiu, trzeba wyszukać dla Tomka jakieś ubranie pana, bo biedak chodzi w łachmanach. Musimy zabrać z sobą prowiant na kilka dni, bo nie wiadomo, kiedy wrócimy.

– Pojadę z tobą – oznajmiła Jaga.

– Wykluczone! Nie zniosłabyś takiej jazdy. Nianiu, proszę, nie sprzecziej się ze mną! – Nina podniosła głos. – Weźmiesz Stacha, Kumosię i Walentego, pojedziecie do Zameczku, przygotować dom na przyjęcie pana.

– Jak to? Chcesz przywieźć pana do Zameczku? Dlaczego nie do Makowa?

– Bo ze Słupi bliżej do Zameczku. Powiadomcie lekarza, bo możemy go pilnie potrzebować.

Do kredensu zaczęły zaglądać kobiety, wypytując Tomka o swoich bliskich.

– Dajcie chłopakowi spokojnie zjeść! – zawołała gniewnie Nina. – Tylko pan hrabia został ranny, innym nic nie grozi. Wracajcie do łóżek.

Nie mogła dopuścić, żeby wiadomość o rozbiciu partii rozniosła się po okolicy. W zaistniałej sytuacji należało zachować ścisłą tajemnicę. Tylko przybyłemu panu Bochniakowi powiedziała szeptem prawdę, prosząc o zachowanie sekretu.

– Ja pojedę po pana hrabiego. Tam potrzeba silnych mężczyzn – ofiarował się rządcą z pomocą, nie chcąc jej narażać na dalsze wstrząsy, bo już wyglądała jak zjawą z tamtego świata.

– Nie. Ja także jestem silna, panie Bochniak. Pan będzie potrzebny w Makowie, bo nie wiem, kiedy wrócę. Proszę zawiadomić proboszcza i panią Siekielską. Nikogo więcej.

– Rozumiem. Aż strach pomyśleć, co by się tu działo, gdyby dowiedziano się o pogromie partii. – Starał się kontrolować swoje zachowanie, lecz Nina i tak spostrzegła, jak bardzo jest przejęty i zdenerwowany.

Pod Emilką załamywały się nogi, więc usiadła przy stole, opierając oba łokcie o blat. Była wprost porażona strasznym nieszczęściem, ale nie płakała i panowała nad sobą. Ninie imponowały jej siła woli i odwaga. Tomek nareszcie skończył jeść, więc panie zaczęły go rozpytywać o losy najbliższych.

– Widziałem, jak pan doktor płazował szablą uciekających i wołał, żeby szli za panem naczelnikiem. Pan porucznik Siekielski zastawił im nawet drogę koniem, ale kto powstrzyma ludzi, którym śmierć zagląda w oczy? Przewalili się przez niego i więcej go nie widziałem. Zdaje się, że pan Barycz jechał za naszym panem. Może Moskale wzięli ich do niewoli? Albo udało się im umknąć do Galicji?

– Jeżeli Janusz żyje, to z pewnością da nam o sobie znać – odezwała się Emilka, otrząsając się z przygnębienia.

– Pan naczelnik zawsze przykazywał chłopcom, żeby po bitwie wracali do leśnego obozu, bo tam Moskale nie przyleżą. – Tomek ziewnął, czując, że powieki same opadają mu na oczy. Maciek pociągnął go za kołnierz.

– Nie śpij. Lepiej chodź ze mną, obejrzymy bryczkę, bo po drodze nic nie może się zepsuć.

– A nakarmcie porządnie konie – przypomniał pan Bochniak.

Maciek popatrzył na niego z politowaniem, wzruszył ramionami i ciągnąc za sobą Tomka, wyszedł z kredensu. Obudzony pan Szymon poganiał kuchcików, przygotowując żywność na kilka dni dla czterech osób. Nina wróciła do sypialni i zaczęła pakować do torby niezbędne rzeczy: cywilne ubranie dla męża, płótno na bandaż, szarpie, czyste ręczniki, a nawet całe prześcieradła, na wypadek gdyby trzeba było chorego owinąć. Wzięła dwa puchowe jaśki i podniosła głowę, usłyszawszy skrzypnięcie drzwi. Do pokoju wsunął się Walenty. Był bardzo zmieniony i drżały mu ręce.

– Pan hrabia ranny... – wyszeptał. – Paniuleczko złocista, może ja mógłbym jechać? Przecie znam się dobrze na ranach. – Patrzył na nią błagalnie.

Nina zakryła dłonią usta, tłumiąc wybuch płaczu.

– Dziękuję Walentemu, ale to niemożliwe. – Po omacku zaczęła szukać chusteczki, bo łzy ją oślepiały. – Ale proszę jechać do Zameczku, bo tam przywiozę pana. Potrzebna mi będzie czysta bielizna. Muszę go przebrać.

Kumosia i Jaga przygotowały podróżną apteczkę: arnikę, zioła przeciwgorączkowe i przeciwzapalne, dodając kilka butelek mocnego wina oraz butelkę spirytusu do odkażania ran. W sieni Nina natknęła się na Emilkę, także gotową do drogi.

– Nie budziłam mamy – powiedziała półgłosem. – Lepiej niech jeszcze nic nie wie. Tak mi przykro, że nie mogę ci towarzyszyć, ale teraz jadę do panny Lasewiczówny, zdać jej sprawę o rozbiciu partii, a potem aż do Sosnowca z rozkazami. Modlę się, żebyś bezpiecznie przewiozła pana Aleksandra do Zameczku. Niech cię Pan Bóg prowadzi i chroni od złego.

Przez chwilę tuliły się do siebie, targane jednakową rozpaczą.

– Kochanie, jestem pewna, że Jaś i Tadek ocaleli. Bądź dobrej myśli – pocieszyła ją Nina na pożegnanie, sama nie bardzo wierząc w swoje słowa.

Przed wyjazdem kazała zamknąć w pokoju Grota, bo pies zachowywał się bardzo niespokojnie i bała się, że może za nią pobiec. W ostatniej chwili Jaga rzuciła na bryczkę dwa duże pledy, o których Nina całkiem zapomniała. Wyruszyli z Makowa przed wschodem słońca. Domownicy długo stali na ganku, patrząc za odjeżdżającą bryczką, i modlili się o szczęśliwy powrót pana.

Zaraz za bramą ruszyli galopem. Mocno okuta bryczka, kryta daszkiem od deszczu, turkotała monotannie, a wypoczęte konie rwały przed siebie, aż przydrożne drzewa uciekały w tył z przerażającą szybkością. Maciek ponaglał jeszcze konie, trzaskając z bata. Na nierównościach gruntu zarzucało bryczką na boki, grożąc przewróceniem. Siedzący na koźle Tomek drzemał, kurczowo trzymając się barierki.

– Uważaj, bąku, bo zlecisz i kark skręcisz! – upominał go Maciek po bratersku.

Jednak zmęczenie było silniejsze od obawy upadku i za moment Tomek chrapał, kiwając się w przód i w tył. Nina, obawiając się, żeby nie wypadł,

kazała mu przesiąść się do wnętrza bryczki na kanapkę. Chłopak usiadł na niej i natychmiast usnął.

Nina, podrzucana w pędzie, nawet tego nie czuła, pogrążona w ponurych myślach. Podejrzewała, że Tomek nie powiedział jej całej prawdy o Aleksie. Może nawet nie orientował się, jak ciężko był on ranny. Nina знаła się trochę na ranach postrzałowych, umiała opatrywać zranienia i udzielić pierwszej pomocy. Zdawała sobie jednak sprawę, że przy postrzale w pierś musiał nastąpić wewnętrzny krwotok i ranę należało sondować. Zioła, które wiozła, mogły od biedy powstrzymać krwawienie, ale chory potrzebował pomocy dobrego chirurga. Boże, gdyby Jaś był blisko...

Czując swoją niemoc i bezradność, którą zawsze się odczuwa, kiedy choruje ukochana osoba, wzniosła oczy ku jaśniejącemu na wschodzie niebu i zaczęła się modlić. Gwiazdy bladły, lekkie obłoczki niesione wiatrem przybrały barwę różową i złotą, a ona, wpatrzona w bezmiar kosmosu i zawieszona w próżni światy, szeptała znajome od dzieciństwa słowa modlitwy, które teraz nabierały mocy zaklęcia. Z trwogą zadawała sobie pytanie, czy zastanie jeszcze męża żywego. A może przybędzie za późno i tylko po to, by przewieźć jego ciało do Makowa i złożyć je w krypcie grobowej? Na tę myśl chwytala ją straszna rozpacz i szukając pomocy, powtarzała w kółko litanie i pacierze, aż do zupełnego otępienia.

Ze zmęczenia kręciło się jej w głowie, przygniatał ją ciężar smutku, w końcu nastąpiło zupełne zobojętnienie i jakby paraliż woli. Wydawało się jej, że mogliby ją pociąć na kawałki, a ona tego nawet nie poczuje. Nie zwracała uwagi na podskoki bryczki, zataczającej się w szalonym pędzie. Nie czuła, że ma posiniaczone ciało, a na podbródek spływa cienka strużka krwi z przegryzionej wargi. Przyszło jej na myśl, że sen o wojewodzinie był ostrzeżeniem i zwiastunem nieszczęścia. Matka chrzestna Aleksa przyszła ją powiadomić o jego rozpaczliwej sytuacji. Partia znowu była rozbita, ludzie poginęli i na nic nie zdała się jej podróż do Krakowa, okupiona śmiercią synka. Tyle trudu i pieniędzy poszło na marne...

Do leśnej chaty dotarli po południu. Byliby o wiele prędzej, lecz konie zaledwie mogły uciągnąć pod górę ciężką bryczkę, a po drodze musieli starannie omijać bardziej zaludnione tereny i drogi prowadzące do wsi. Nie posiadali żadnych przepustek, nie wzięli z sobą dokumentów i w razie

zatrzymania przez patrol zostaliby z pewnością aresztowani. Na szczęście chata znajdowała się dosyć daleko od najbliższej wsi. Stała pośród sadu, nieco przypominając Ninie leśniczówkę, gdzie spędziła z mężem kilka cudownych dni po ślubie.

Zajechali na podwórze i Nina pierwsza zeskoczyła z bryczki, o mało nie runąwszy na ziemię jak długa z powodu przeszywającego bólu kręgosłupa, odbitego na twardym siedzeniu. Pojękując z cicha, pokuśtykała za Tomkiem do stodoły i rozglądnęła się, szukając wzrokiem męża, ale nigdzie nie mogła go dojrzeć i włosy zjeżyły się jej na głowie, a serce podeszło do gardła. Pomyślała, że zaraz padnie trupem. Widocznie przybyli za późno!

– On jest w izbie. – Usłyszała za sobą szorstki, nieprzyjemny głos.

Odwróciła się, unosząc ręce obronnym gestem. We wrotach stał niemłody chłop i patrzył na nią niemal wrogim wzrokiem.

– Przyjechaliście po tego rannego Polaka? Zabierajta go zara, bo po wsi kręcą się kozunie. Znajdą go u mnie, to jego powieszą na belce w stodole, a mnie razem z nim. Cały dobytek pójdzie z dymem.

– Nie bójcie się, zaraz go zabierzemy. Jak on się czuje?! – zawołała Nina, rzucając się ku niemu.

Ale chłop nie odpowiedział, ruchem ręki nakazując jej iść za sobą. Przeszli przez małe podwórko i znaleźli się w niskiej, brudnej izbie, bardzo dusznej. W powietrzu unosiły się roje much. Na skleconym byle jak posłaniu leżał Aleks. Nina przypadła do niego z okrzykiem radości, osuwając się na kolana. Z niedowierzaniem i zgrozą wpatrywała się w jego zmienioną twarz, zapadłe policzki z kilkudniowym zarostem. Musiał mieć wysoką temperaturę, bo drżał pod cienką płachtą, którą był nakryty. Na jego policzki wystąpiły wypieki, a wargi pokrywał biały nalot. Nie otwierał oczu, chrypliwie chwytał oddech w poranione płuca. Nachyliła się nad nim, kładąc dłoń na jego rozpalone czoło.

– Aleczku, ukochany mój... – wyszeptała mu do ucha. – Jestem przy tobie. Spójrz na mnie, najdroższy.

Nie reagował, ciężko dysząc – był nieprzytomny. Z rozpaczą zwróciła oczy na stojącego w progu chłopca.

– Mój mąż nie odzyskał przytomności? Cały czas tak leży? – spytała, wyciągając z torby szarpie, płótno i spirytus.

– Ano leży. Wziłem go do izby, bo wrzeszczał i mógł nam kozuniów na kark sprowadzić – odburknął opryskliwie chłop. – Zabierajta go zara i

wynośta się z mojej chałupy. Nie głupim wisieć bez jednego zdychającego Polaka.

– Wy również jesteście Polakiem – powiedziała łagodnie i pokręciła głową. – Nie lękajcie się, prędko odjedziemy i nikt się nie dowie, że tu byliśmy. Zapłacę wam za przechowanie męża. – Próbowwała zjednać go sobie, nie będąc pewną, czy się nie rozmyśli i nie sprowadzi kozaków.

– Hale, jeszcze mi głowa miła! – warknął z nieukrywaną wrogością. – Nie chcę od was żadnych piniędzy, ino wynoście się z mojej chałupy na złamanie karku! – Posłał jej groźne spojrzenie i splunął na klepisko.

Do izby weszła starsza kobieta w chustce nasuniętej na oczy. Rozpałała ogień pod piecem, udając, że w izbie nikogo nie widzi. Była równie nieprzyjaźnie usposobiona jak stary chłop. Wyładowywała złość, szurając garnkami po płycie pieca i mrużąc coś pod nosem.

– Pozwólcie mi tylko opatrzeć męża. Obiecuję, że nie będziecie mieli przez nas kłopotów. Czy pozwolicie wziąć trochę wody ze studni? – prosiła pokornie, gotowa w razie odmowy na kolanach błagać o kroplę wody. – Chciałam mu tylko rany obmyć.

– A weźcie se, studni nie ubędzie. Moja opatrzyła waszego, jak ta umiała, ale widzi mi się, że i tak pomrze, bo dychać nie może.

Maciek przyniósł wiadro zimnej wody, a Nina zamoczyła płótno i zaczęła delikatnie przemywać twarz męża. Ubłagała starą o odrobinę wrzątku, którym nasączyła zakrwawione i przyschnięte do rany szmaty. Alek jęknął, poruszył się, ale oczu nie otworzył. Przy pomocy obu chłopców podniosła męża i zręcznie przewiązała rany czystym płótnem, obiecując sobie obejrzeć go dokładnie na postoju, gdzieś z dala od ludzkich siedzib.

„Jezu, jak ja go w takim stanie dowiozę do Zameczku?” – myślała, patrząc z przerażeniem na jego trupio bladą twarz i zapadłe skronie. Rana była bardzo ciężka, lecz nie wymagała wyjęcia kuli, bo pocisk przeszedł na wylot przez prawą pierś. Okolice rany były mocno zaczerwienione i opuchłe, a wlot na piersiach i wylot na plecach zatkane były skrzepami krwi i ropy. „Boże, przecież on umrze, jak tylko go ruszimy” – myślała z bólem w sercu, ale nawet nie próbowała prosić gospodarza, żeby pozwolił im pozostać.

Prowizorycznie opatrzyła rany i napoiła rannego zaparzonymi ziołami, zwalczającymi gorączkę. Przy pomocy chłopców przebrała go w czystą bieliznę i cywilne ubranie, powstańczy mundur wrzucając do pieca. Na

koniec podsunęli pod niego pled i ostrożnie przenieśli rannego na bryczkę. Konie były już nakarmione i napojone, przez chwilę odpoczęły po szalonej jeździe. Ale przed dalszą podróżą należał się im dłuższy wypoczynek, inaczej mogły ustać w powrotnej drodze. Nina nieśmiało podeszła do chłopca.

– Niech wam Pan Bóg pobłogosławi za mego męża – powiedziała z bladym uśmiechem. – Weźcie pieniądze, może przyniosą wam szczęście. – Podała mu pięćset rubli.

Na widok takiej masy pieniędzy babie oczy wylazły na wierzch i z otwartymi ustami wpatrywała się chciwie w banknoty. Ale chłop odtrącił z gniewem rękę Niny.

– Nie trza mi waszych jaśniepańskich rubli! Wynocha stąd, pókim dobry! – wrzasnął z wściekłością.

– Antek, zgłupiałeś? – Baba pociągnęła go za rękaw. – Postawimy se nowy dom, kupimy kunia, a dziewusze damy wiano, kiej dziedzicze! – wyliczała w skupieniu, nie spuszczając łakomego wzroku z pieniędzy.

– Zawrzyj gębę, ty durna! – Chłop szorstko odepchnął żonę. – Jak się wieś dowie, że mamy ruble, to co im powiesz? Doniosom ruskim, a oni chałupę nam spalą, a mnie powieszą na wrotach stodoły. Won! – ryknął na Ninę. – Bo was psami wyszczuję! Jaśnie panom zachciało się wojaczki, a naród ino ma zgryzotę. Wynocha, bo pójdę po kozuniów i uczciwie zarobię pięć srebrnych rubli!

Maciek nieznacznie sięgnął pod kurtkę, gdzie ukrył rewolwer, ale Nina oczami dała mu znak, żeby nie strzelał. Bez słowa wsiadła na bryczkę i wzięła głowę męża na kolana. Ruszyli wolno, bo obaj chłopcy ze srogimi minami oglądali się jeszcze za siebie.

– Bydło, nie ludzie! – syknął Maciek przez zaciśnięte zęby, kiedy już zagłębili się w jodłowym borze. – Co za naród! Chciał sukinsyn wydać pana kozakom i „uczciwie” zarobić pięć rubli. O, ja sobie zapamiętam tego drania i wrócę tu kiedyś, żeby mu nocką chałupę spalić. Niech diabli mają z nich pociechę, jak się razem upieką. Psia jego mać!

– Nie warto, Maciuś. – Nina pochyliła się nad mężem i przytuliła jego głowę do piersi. – Nie był taki zły. Nie wydał pana, mimo że groziła mu śmierć za ukrywanie rannego powstańca. To nie są źli ludzie, ale zwyczajnie boją się o swoje życie i dobytek. Nie rozumieją sprawy, za którą inni oddają życie. Nikt ich nie nauczył kochać ojczyzny.

Przerwała, bo Tomek kiwnął się na koźle i byłby spadł pod koła, gdyby Maciek nie pochwycił go, w ostatniej chwili ratując przed przejechaniem. Nina rozejrzała się po okolicy. Byli w gęstym lesie, a droga wiała się pomiędzy skałkami, opadając ze stromego wzgórza.

– Maciuś, nie poganiaj koni! – wykrzyknęła, zauważywszy z niepokojem, że przy każdym podskoku bryczki Aleks krzywił się z bólu. – Musimy jechać wolno, bo pan bardzo cierpi.

Maciek ściągnął lejce, obserwując idące powoli konie. Parskały i przystawały, żeby nabrać powietrza. Widać było, że są już bardzo zmęczone długą, uciążliwą drogą.

– Trzeba się gdzieś zatrzymać, żeby koniska odpoczęły, bo ledwie już nogi wloką – zauważył z troską. – Myślałem, że gospodarz pozwoli się nam choć pożywić i da kwaśnego mleka. A on, psi syn, wygnał nas z chałupy jak jakichś dziadoków.

– Tu, niedaleko, jest w lesie polanka. Ja zaprowadzę. – Tomek oprzytomniał i zeskoczywszy z bryczki, poszedł wąską ścieżką w głąb lasu.

Znaleźli się na niewielkiej polanie ukrytej w gęstwinie krzewów i drzew. Nigdy niestrzyżona trawa była miękka jak perski dywan. Ostrożnie znieśli rannego, układając go na rozłożonym na ziemi pledzie. Nina podsunęła mu pod głowę puchowy jasiek. Chłopcy prędko wykopali głęboki dołek i obłożywszy go kamieniami, rozpalili ognisko. Na żelaznym trójnogu zawiesili kociołek z wodą, w tym czasie Nina przygotowała posiłek, smarując grube kromki pszennego chleba masłem i przekładając je wędliną. Kiedy woda zawrzała, zaparzyła esencję i rozlała do kubków gorącą herbatę, dolewając trochę wina. Jedli chleb, pieczeń na zimno i smażone w domu kurczęta, popijając niemal wrzącą herbatą. Na widok plasterów bladuróżowej szynki, pachnącej jałowcem i wędzarnią, Nina poczuła straszny głód, lecz nie mogła przełknąć ani kęsa. Piła tylko chciwie mocną herbatę.

Aleks leżał bez ruchu, oddychając z trudem. Tym razem mogła mu zrobić dokładniejszy opatrunek. Rany przemyła ciepłą wodą, a ich okolice zdezynfekowała spirytusem. Na koniec do obu ran przyłożyła tampony nasączone silnym wywarem przeciwzapalnych ziół. Przewiązała jego piersi bandażami z białego płótna, podejrzewając, że może mieć złamane żebro. Ponownie zagotowała wodę i zarzuciła ją ziołami, które i jej uratowały życie po upadku z konia i wewnętrznym krwotoku. Był tam krwawnik,

arcydzięgiel, dziewanna, tymianek, szałwia, żywokost i inne tajemnicze rośliny, znane tylko Kumosi. Dosypała jeszcze piołunu przeciw gorączce. Podała napar mężowi, uważając, by się nie zadławił. Pił łapczywie, widocznie miał wielkie pragnienie, oczu jednak nie otworzył i był nieprzytomny. Troskliwie otuliła go pledami i przylgnęła do jego czoła ustami w długim pocałunku. Wpatrując się w jego szczelnie zamknięte powieki okolone długimi rzęsami, całą swoją istotą błagała Boga o cud. Żebrała o łaskę i nie dopuszczała do siebie myśli, że mąż może umrzeć. Dopóki ona nad nim czuwa, nic złego nie może mu się przydarzyć!

Zastanawiała się, czy nie dać mu do ust odrobiny wina, ale po namyśle uznała, że alkohol mógłby podnieść jeszcze temperaturę. Do czasu przybycia do Zameczku postanowiła podawać mu tylko zioła i herbatę, bo stałych pokarmów nie przyjmował. Odpoczywali w zupełnej ciszy. Najedzeni chłopcy wyciągnęli się na trawie i twardo zasnęli. Konie, wolno puszczzone, szczypały trawę, parszkając i oganiając się ogonami od much albo tarzając się z rozkoszą po gęstej murawie. Tylko ona jedna czuwała, trzymając głowę męża na kolanach. Pieszczotliwie gładziła jego zlepione potem włosy, całowała wilgotne czoło i szorstki od zarostu policzek, co jakiś czas przemywając mu twarz chłodną wodą i kładąc na głowę zimne okłady. Jego chrapliwy, przerywany oddech i głuche jęki przejmowały ją okropnym lękiem. Czasami bełkotał coś, ale nic nie mogła zrozumieć. Raz wymówił jej imię. Ucieszyła się, sądząc, że oprzytomniał, ale kiedy się odezwała, nie odpowiedział. Był w malignie. Znowu zaczęła się modlić, ofiarowując Bogu własne życie w zamian za życie męża.

Godziny dłużyły się nieznośnie. Pragnęła już jechać, byle prędzej znaleźć się w Zameczku, ale wiedziała, że konie muszą odpocząć przed długą i męczącą drogą. Nie miała już siły, żeby się modlić z jednakową żarliwością, więc kołysząc męża w ramionach, jak matka usypiająca dziecko, półgłosem nuciła mu kołysankę, którą niegdyś niania ją usypiała, kiedy była chora i bardzo cierpiała.

Wyruszyli w dalszą drogę, kiedy słońce zaszło i ziemię okrył mrok.

„Jezu, jakim cudem on jeszcze żyje?” – zadawali sobie to pytanie, kiedy bryczka nie wiadomo który raz zatrzymywała się na pochyłości wzgórza, a oni znosili rannego na rękach, żeby nie narażać go na wstrząsy, a potem

ostrożnie układali na siedzeniu, zastanawiając się, przy którym zjeździe on skona.

Nina doskonale zdawała sobie sprawę, że ranny w pierś musi bezwzględnie leżeć nieruchomo w ciszy i spokoju. Tymczasem jechali już drugi dzień, a bryczka podskakiwała na kamienistej drodze, podrzucając Alekssem, choć Nina podtrzymywała go i razem z Tomkiem broniła przed wstrząsami. Na domiar złego pogoda się zepsuła i zaczął kroić drobny deszcz, rozmywając drogi, i tak trudne do przebycia.

Odległość do Zameczku, którą w normalnych warunkach pokonaliby w kilka godzin, teraz wydłużyła się nieznacznie, bo nadkładali drogi, omijając wsie. Każdy napotkany chłop mógł być na usługach Moskali i naprowadzić na nich patrol. Woleli jechać nocą, co bardzo utrudniało im podróż, ale było bezpieczniejsze. Nina przysięgła sobie uroczyście, że w razie natknięcia się na patrol, nie odda im męża tylko po to, by powiesili go na najbliższym drzewie czy przebili bagnetem. Nie rozstawała się z dwoma nabojami: dla Aleksa i dla siebie. Obaj chłopcy także zdecydowani byli raczej zginąć od kuli, niż wisieć. Nina nie wątpiła, że bronić ich będą do ostatniego naboju i nigdy nie pozostawią samych. Obaj uzbrojeni byli w rewolwery i sztylety, mieli sporo amunicji i potrafili broni skutecznie użyć.

Jechali bardzo ostrożnie, wysyłając naprzód Tomka, żeby sprawdził drogę. Raz przeżyli chwile grozy, natknąwszy się niespodzianie na patrol dragonów. Na szczęście żołnierze zostali zauważeni, gdy byli jeszcze w znacznej odległości. Maciek prędko skręcił w las i przez kilka godzin siedzieli cicho jak myszy pod miotłą, czekając, aż patrol wyniesie się z okolicy.

Drugiego dnia podróży zabrakło im wody. Pokrzywianka, niewielka rzeczka, była już za nimi, a druga – kawał drogi przed nimi. Nina była bardzo zmartwiona, bo Aleks musiał dużo pić, a jego rany wymagały ciągłego przemywania. Wysłany na zwiady Tomek doniósł, że niedaleko jest dwór szlachecki, a Moskali w pobliżu nie widać. Nie było innej rady i zdecydowali się tam zajechać. Na szczęście wieś znajdowała się daleko od dworu, zakryta drzewami. Nieśmiało skręcili w grabową aleję i cicho zatrzymali się przed obszernym gankiem białego dworku, spowitym bluszczem. Na ich powitanie z budynku wybiegły psy, z zajadłością szczekając na obcych. Za nimi wyszedł tęgi, wysoki mężczyzna w domowej bonzurce, trzymając w zębach porcelanową fajkę. Uważnym

spojrzeniem obrzucił zabłoconą po same osie bryczkę i ściągnął brwi z widoczną niechęcią.

– A czego to? – odezwał się szorstko.

Nina zeskoczyła z bryczki i weszła na ganek.

– Bardzo przepraszamy za najście, ale jesteśmy w podróży i zabrakło nam wody i chleba. Oczywiście za wszystko zapłacę.

Mężczyzna przypatrywał się jej, z dezaprobatą mierząc wzrokiem jej smukłą figurę w obcisłym męskim ubiorze. Rzucił okiem na siedzących na koźle chłopców i leżącego bez ruchu rannego.

– Wieziecie zabitego?

– Nie, mąż jest bardzo chory – odpowiedziała spokojnie, nie mając wątpliwości, że szlachcic bez trudu zorientował się w sytuacji. – Czy zechce pan sprzedać mi dwa bochenki chleba i trochę wody? A może dostaniemy tu mleko? – spytała z nadzieją, dyskretnie się rozglądając.

Dwór był obszerny, bielony i wyglądał bardzo malowniczo na tle zieleni drzew. Pod oknami rosły kolorowe malwy i czerwone pelargonie. W ogrodzie widocznie bawiły się dzieci, bo słychać było ich śmiechy i wesołe okrzyki. Tutaj wszystko tchnęło spokojem i dostatkiem.

– On jest ranny, prawda? – mężczyzna zadał to pytanie, nie spuszczać z niej oka.

– Mąż jest chory – powtórzyła. – Czy...

– Akurat! – prychnął szyderczo. – Chory! Dostał moskiewską kulkę, ot co! Buntownik, mąciciel porządku. Awanturnik! Nie mam dla was chleba ani wody. Wynoście się stąd i żebym was więcej nie widział!

Nina wpatrywała się w niego osłupiałym wzrokiem i z najwyższym zdumieniem. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Najuboższy szlachcic obraziłby się śmiertelnie, słysząc o zapłacie za chleb i wodę. W każdej chłopskiej chacie stał na stole gliniany dzban pełen wody i leżał chleb. Nawet wrogowi nikt by ich nie odmówił, bo w Polsce obowiązywało odwieczne prawo gościnności. Wydawało się Ninie, że musiała się przesłyszeć.

– Ale ja nie chcę nic za darmo. Zapłacę za chleb i wodę – powiedziała, drżąc. – Pan jest przecież Polakiem.

– Powiedziałem, idźcie precz! Nie będę tego dwa razy powtarzał! – wykrzyknął, mierząc ją pogardliwym spojrzeniem. – A może wolicie poczekać, aż wezwę moich parobków i chłopów ze wsi? Jak to się ubrała!

Widział kto kiedyś, żeby porządna kobieta w spodniach chodziła? Zachciało się twojemu mężowi buntu, to teraz radźcie sobie sami. Bezwstydnica! Świat się kończy! Precz stąd!

W jednej chwili serce jej zalała mordercza wściekłość, od której aż poczerwieniało jej w oczach. Skoczyła ku niemu jak wcielona furia.

– Ty kanalio, ty nędzny tchórze! Ty spasiony bydlaku! – wyrzucała z siebie przekleństwa, czując jednocześnie okropny żal. – Niech cię diabli wezmą! Ojczyzna obdarzyła cię wszelkimi przywilejami, jesz polski chleb, jesteś dziedzicem, a rannemu polskiemu żołnierzowi żałujesz, szubrawcu, kromki chleba i wody?

Czuła nieprzepartą chęć, żeby zabić tego gada, unicestwić go raz na zawsze. Nawet do zabitego niegdyś kozaka nie czuła tak strasznej nienawiści, jak do tego opasłego nędznika. Szlachcic nadał się, a jego sniada twarz napłynęła krwią jak grzebień rozwścieczonego indora.

– Napad na mojej ziemi?! – wrzasnął, trzęsąc się ze złości. – Przez takich jak twój mąż cały kraj idzie w ruinę. Ja ci pokażę, smarkulo! Jędrak, chodź tutaj i przynieś moją dubeltówkę! – zawołał, zwróciwszy się w stronę sieni.

Ale nie zdążył wejść do domu. Maciek zręcznie jak kot zeskoczył z bryczki i podbiegł do niego, przykładając mu lufę rewolweru do skroni. Zgrzytnął odwodzony kurek.

– Piśnij jeszcze słówko, ty świński ryju, a rozwalę ci łeb! – zagroził cichym, strasznym głosem. – Psy będą zlizywać twój mózg ze ściany. Krzyknij, a nie żyjesz. Tomek, leć i nabierz wody.

Mężczyzna stał bez ruchu na drżących nogach i wybałuszywszy oczy, wpatrywał się z przerażeniem w rozjuszonego chłopaka.

– Czekaj, ty pański wieprzu! Ja tu jeszcze wrócę, ale nie sam! Wtedy policzymy się z tobą i nauczymy cię grzeczności. Będziesz wisiał na tym ganku, a twoje bachory i baba mogą iść na skargę do Moskali! Będziesz wisiał, sam cię powieszę, za mojego pana i panią! – syczał Maciek nienawistnie i tylko obecność Niny powstrzymywała go od zamordowania szlachcica. Widziała, jak drgał mu palec na cynglu rewolweru.

Tomek porwał wiadro i popędził do studni. Zaczerpnął wody żurawiem i rozlewając ją po drodze, wrócił, by napić spragnione konie. Maciek ani na moment nie odejmował lufy od głowy szlachcica. Dopiero kiedy konie przestały pić, a Tomek napełnił wodą blaszane bańki, pchnął mężczyznę lufą w brzuch i ostrzegł:

– A spróbuj donieść, to prędko tu wrócimy i posmakujesz powroza, ty skurwysynu!

Szlachcic był śmiertelnie wystraszony. Buńczuczna zuchwałość opuściła go zupełnie. Lękał się, że nieznajomi mogą nasłać na niego policję narodową, a ta nie patyczkowała się ze zdrajcami.

– Ja najmocniej przepraszam – zaczął się jąkać, zerkając nerwowo na rewolwer Maćka wycelowany w jego brzuch. – Naturalnie, zaraz dam pani chleba i mleka. Czasy takie niespokojne i człowiek boi się teraz każdego obcego. Proszę mi wybaczyć moje grubiańskie zachowanie.

Maciek drugą ręką wyjął sztylet i zatoczył nim krąg na szyi szlachcica, dając mu do zrozumienia, co go jeszcze może spotkać. Mężczyzna był bliski zemdenia ze strachu. Ninę, patrzącą na jego trzęsące się obwisłe policzki i drżące wargi, ogarnął nieprzewyciężony wstręt. Niczego już nie chciała przyjąć od tego człowieka. Wsiadła do bryczki i delikatnie ułożyła głowę męża na swoich kolanach.

– Jedźmy, byle dalej od tego nędznika – rzuciła z pogardą. – Niech się udławi swoim chlebem!

Bryczka zaturkotała na podjeździe i biały sielankowy dwór zniknął za drzewami.

– Trzeba donieść na niego do panny Lasewiczówny – odezwał się Tomek. – On nazwał mojego pana naczelnika awanturnikiem, przezywał panią hrabinę i odmówił nam chleba i wody. Powinien za to zdychać w mękach!

Nina aż się wzdrygnęła, kiedy odwrócił ku niej twarz, skurczoną grymasem zimnej, nieubłaganej nienawiści.

Do Zameczku dojechali dopiero drugiego dnia po północy. W oknach dworku paliły się światła, a z sieni wypadły dwa wielkie brytany, witając panią radosnym skomleniem i machaniem ogonami. Na ganku stanęła ciemna postać i znajomy kochany głos spytał z niepokojem:

– Pan żyje?

Wolno, jak staruszka przygnieciona ciężarem lat, Nina zlązła z bryczki i westchnąwszy z głębi serca, wtuliła się w ramiona Jagi.

– Żyje, nianiu – jęknęła. – Dobrze, że jesteś, trzeba natychmiast wezwać lekarza.

– Wnoście pana do domu. Doktor czeka od wieczora. – Jaga lekko i szybko zbiegła ze schodków i pomogła w przenoszeniu rannego.

W sieni stała zapłakana Grabiszyna i podtrzymała Aleksowi głowę.

– Olesiu, syneczku... – szepnęła przez łzy i pochyliwszy się, ucałowała go w rozpalony policzek.

Rannego wniesiono ostrożnie do pokoju, gdzie czekał lekarz z miasteczka. Roztrzęsiony Walenty pomógł rozebrać pana i ułożyć na łóżku. Lecząca z sił Nina potknęła się na progu sypialni, urządzonej niegdyś dla Jasia i Emilki. Wtedy nie przypuszczała, że przywiezie tu kiedyś umierającego męża.

– Byłam pewna, że dziś przyjedziecie i wezwałam pana doktora – wyjaśniła Jaga, podtrzymując słaniającą się Ninę.

Doktor był znajomy i pracował w tajnym szpitalu powstańczym w Bodzentynie. Często wzywany był do wuja Ksawerego. Skinąwszy Ninie głową, podszedł do Aleksa i dokładnie go zbadał. Skupiony i poważny, osłuchiwał piersi rannego, zbadał tętno i oglądnał obie rany.

– Potrzeba mi wrzącej wody oraz czystego płótna. Przydałyby się szarpie – powiedział, podnosząc się znad łóżka.

– Zaraz wszystko będzie.

Jaga pośpieszyła do apteczki, a Grabiszyna do kuchni. Wróciła po chwili z czajnikiem, a za nią dziewczyna niosła miednicę i ręczniki.

– Proszę, niech pani hrabina stąd wyjdzie – powiedział lekarz, zauważywszy, że Nina ciężko wsparła się o poręcz łóżka. – Za chwilę panią zawołam.

– Zostanę – powiedziała to takim tonem, że więcej nie nalegał.

Ruchem ręki nakazał wszystkim opuścić pokój, pozostał tylko Walenty do pomocy. Nina podeszła do lekarza i podała mu kawał białego płótna.

– Pomogę panu.
– Pani zemdleje, pomoże mi kamerdyner.
– Nie, ja panu pomogę. Czy zamierza pan sondować rany?
– To byłoby wskazane zaraz po postrzale. Teraz już za późno. Oczyszczę tylko obie rany, żeby ropa mogła swobodnie spływać. Pomóżcie mi przewrócić chorego na bok.

Walenty przytrzymał Aleksa, aby się nie poruszył w czasie zabiegu. Nina podawała lekarzowi wskazane narzędzia. Pracowała z kamienną twarzą, białą jak marmur. Nawet nie drgnęła i nie przymknęła oczu, kiedy lekarz oczyszczał rany, wydobywając z nich krwawe strzępy ciała. Okazało się, że kula rzeczywiście złamała jedno żebro. Z otwartych ran zaczęła spływać krew pomieszana z ropą. Lekarz przyłożył tampony i lekko obandażował rannego, uważając, żeby nie uciskać ran. Skończywszy zabieg, napisał recepty i wytłumaczył Ninie, jak dozować leki i kiedy zmieniać opatrunki. W tym czasie Walenty dokładnie umył pana i ucałował jego bezwładną rękę.

Lekarz wziął swoją walizczkę i zabierał się do wyjścia. Nina zastąpiła mu drogę.

– On będzie żył, prawda? – spytała szeptem, bo trwoga ścisnęła ją za gardło.

– Tego, niestety, nie jestem w stanie przewidzieć – powiedział otwarcie.

Stał ze spuszczoną głową, a kiedy podniósł oczy, Nina wyczytała w nich smutek i bezradność.

– Nie zamierzam pani okłamywać ani ludzi nadzieją. Pan hrabia ma zdrowe, mocne serce, lecz rany są bardzo ciężkie. Nastąpił wewnętrzny wylew, stracił dużo krwi i ma wysoką temperaturę. Jego stan jest krytyczny, ale nigdy nie należy tracić nadziei. Szkoda, że nie ma tu pana doktora Borutyńskiego, on jest chirurgiem, ja, niestety, nie.

– Panie doktorze! – zawołała, kiedy stał już w drzwiach.

Obejrzał się, zdumiony tym rozpaczliwym okrzykiem.

– Słucham panią hrabinę.

– Pan go... – zakrzuszyła się i dokończyła szeptem – nie wyda, prawda?

Lekarz wzruszył ramionami i uśmiechnął się kwaśno.

– Właściwie powinienem się obrazić. Ja również jestem powstańcem, proszę pani.

Wyszedł, dając jeszcze po drodze rady, jak i czym należy karmić rannego. Obiecał zajrzeć następnego dnia.

Nina uklękła przy łóżku. Kręciło się jej w głowie i czuła się dziwnie słabo. Od dwóch dni prawie nic nie jadła i żołądek boleśnie kurczył się z głodu. Miała nudności. Dotknęła dłonią czoła męża, było rozpalone. Przemyła mu twarz chłodną wodą i ostrożnie dała mu do picia wodę z sokiem malinowym. Walenty wpatrywał się w nią z ogromnym współczuciem i zrozumieniem.

– Niechże się moja złocista paniuleczka nie zamartwia. Pan wyzdrowieje.
– Starał się ją pocieszyć z tak płaczącą miną, że mimo woli posłała mu cień uśmiechu.

Mocne ramię Jagi podniosło ją z klęczek.

– Pan Bóg zesłał na ciebie ciężki krzyż, moje ukochane dziecko, ale ześle i pociechę, zobaczysz. Chodź, musisz coś zjeść i odpocząć. Czeka nas długa walka o życie pana. Połóż się zaraz w alkierzyku, a ja i Grabiszyna będziemy czuwać przy panu. Nie jesteś sama w nieszczęściu.

– Zostanę przy Alku – upierała się Nina, ale Jaga surowo zmarszczyła brwi.

– Nie dyskutuj ze mną! – ucięła i stanowczo, niemal siłą wprowadziła ją do maleńkiego alkierzyka, przylegającego do sypialni.

Stały tam tylko kozetka, okrągły stoliczek, krzesło i niewielka szafka. Przez szeroko otwarte okno płynął z ogrodu i pobliskiego lasu orzeźwiający chłód.

– Daj, pomogę ci się rozebrać. Dobrze, że nie jechałaś w gorsecie. A teraz włóż nocną koszulę, a ja przyniosę ci ciepłej zupy – przemawiała Jaga mocnym, pełnym otuchy głosem i rozebrawszy ją, wyszła do kuchni.

Kiedy wróciła, niosąc na tacy talerz mocnego rosółu i kanapkę, Nina spała głęboko, klęcząc na podłodze, z głową opartą na kozetce, zaskoczona przez sen w czasie modlitwy. Jaga ostrożnie ułożyła ją na pościeli i troskliwie przykryła kołdrą. Nina westchnęła ciężko i skuliła się, zwijając w kłębek. Wychodząc na palcach, Jaga raz jeszcze przystanęła i wzdrygnęła się, usłyszawszy, że jej ukochana dziewczynka płacze przez sen.

Przez kilka następnych dni życie Aleksa wahało się na granicy śmierci. Nie odzyskał przytomności, a przepisywane lekarstwa nie skutkowały.

Doktor nie ukrywał obawy o jego życie. Nina ratowała męża z rozpaczliwym uporem, obserwując z przerażeniem, jak z każdą chwilą maleje szansa na wyzdrowienie. Nie odstępowała prawie od jego łóżka, nie interesując się niczym, co nie miało z nim związku. Wychudzona i słaniająca się na nogach, sama sprawiała wrażenie osoby ciężko chorej. W jej wyrazistych oczach zastygł wyraz okropnego lęku. Na jej prośbę ksiądz proboszcz codziennie odprawiał nabożeństwo w intencji powrotu hrabiego do zdrowia, ale on dalej był nieprzytomny, a wysoka gorączka pożerała resztkę jego sił.

Tymczasem pogoda uczyniła się letnia, przecudna. Pod oknami kwitły nikocjany, róże i maciejka, napełniając pokoje przenikliwym, budzącym tęsknotę zapachem. W sadzie dojrzewały owoce i śpiewały ptaki. W sypialni okno było otwarte, lecz zasłonięte kotarą, aby światło nie raziło oczu chorego. Od pól i lasu płynęło czyste, świeże powietrze i woń skoszonej trawy oraz ziół. Nina nie zwracała jednak uwagi na uroki natury, cały czas miotając się pomiędzy złudną nadzieją a dziką rozpaczą. Czepiała się najdrobniejszej iskielki pociechy, jak człowiek lecący w przepaść chwytając się rosnących na zboczu źdźbeł trawy. Jej delikatna twarzyczka nie miała w sobie ani kropli krwi, oczy były zaczerwienione z niewyspania, a usta przeraźliwie blade.

Nie musiała sama zmagać się z nieszczęściem, bo z Makowa przyjechała Kumosia, przywożąc swoje słynne ziołowe nalewki. Staruszka była pełna optymizmu i pocieszała Ninę, twierdząc stanowczo, że pan nie umrze. Ciotka Maria, dowiedziawszy się o ciężkiej ranie kuzyna, zaraz następnego dnia przyjechała do Zameczku. Weszła do sypialni i widząc Aleksa spoczywającego nieruchomo, z rozchyłonymi ustami, całego w bandażach, posłuchała jego chrapliwego oddechu. Jakiś czas stała nad nim, potem ucałowała go i tłumiąc westchnienie, wyszła.

– Nie martw się, moje drogie dziecko – powiedziała ze sztucznym uśmiechem. – Zobaczysz, że za kilka dni Olesiowi się polepszy.

Prędko się odwróciła i zapłakała, kryjąc twarz w dłoniach. Po odjeździe ciotki Nina zapowiedziała, że nikogo więcej nie przyjmie.

– Nie życzę sobie zdawkowej pociechy! – warknęła zawzięcie. – Nie znoszę litości.

Ponieważ zbliżała się rocznica śmierci Pauli i Rafała, zamówiła u proboszcza i w klasztorze w Świętej Katarzynie nabożeństwa żałobne.

Proboszcz stanowczo odmówił przyjęcia pieniędzy, więc poprosiła, by rozdał je ubogim.

Pewnego dnia siedziała przy łóżku męża, obierając ziemniaki na okłady ściągające gorączkę. Myła je, kroїła w plastry i przykładła przez białe płótno na czoło i piersi Aleksa. Surowe ziemniaki ściągają nieco temperaturę, lecz musiały być często zmieniane. Wykonując mechanicznym ruchem monotonne zajęcie, rozmyślała o zbliżającej się rocznicy tragicznej śmierci Lasewicza, zastanawiając się, czy kiedykolwiek wyjdzie na jaw, kto był sprawcą tajemniczego zabójstwa Pauli i Żabca. Ostatnio Paula znowu zaczęła nawiedzać ją we śnie. Obudziwszy się, pędziła wtedy jak szalona do sypialni, aby sprawdzić, czy Aleks jeszcze żyje.

Mąż głośniejszym zachrapała, a ona szybko nachyliła się nad nim, wsłuchując w jego ciężki krótki oddech. Poprawiła mu poduszkę, zmieniła okład na czole i pogłaskała po włosach.

Do sypialni cicho weszła Jaga, niosąc filiżankę mocnego bulionu. Był to sam ekstrakt mięsa i jarzyn, gdyż na dwie, trzy filiżanki bulionu gotowano całą kurę lub kilogram cielęciny. Wszystko dokładnie przecierano, ponieważ Aleks nie mógł przełknąć pokarmów stałych. Zupę czy bulion zaprawiano dodatkowo masłem, żółtkami albo kremową śmietaną, żeby podtrzymać jego gasnące siły.

Jaga popatrzyła na siedzącą przy łóżku Ninę i potrząsnęła głową.

– Tak nie można, moje dziecko – upomniała ją ściszym głosem. – Całą noc nie spałaś. Musisz odpocząć. Nakarmię pana, a potem przyjedzie pani Salomea i posiedzi przy chorym. Biedna ona, nieszczęśliwa. Strasznie się zamartwia o panicza Jasia, ale nie załamuje się i wierzy, że on wróci. Pani Emilia zabija się w tych ciągłych rozjazdach. Ty także się zabijasz!

– Dziwisz się, nianiu? On jest całym moim życiem. Leży taki bezbronny, a ja nawet w nocy boję się zamknąć oczy, bo zaraz śni mi się Paula.

– Nie rozumiem... – Jaga wysoko uniosła brwi. – Co ma piernik do wiatraka? Zmów za nią pacierz i nie myśl o niej więcej.

– Ja się boję, nianiu, żeby nie zabrała mi męża, tak jak wzięła mi syna... Kiedyś powiedziała, że zabierze mi to, co dla mnie najdroższe.

Jaga zerknęła na wiszący nad łóżkiem krucyfiks i sapnęła gniewnie.

– Jesteś niemożliwie przesądna! – powiedziała z naganą. – Połóż się choć na kilka godzin przed północą. Duchy wcześniej się nie zjawiają – podsunęła jej usłudźniętą myśl, uśmiechając się pod nosem.

Nina obrzuciła ją podejrzliwym wzrokiem, ale widząc poważną minę Jagi, uznała, iż jest to mądra rada. Pomogła niani unieść Aleksa i sama zaczęła go karmić łyżeczką. Przeliykał bulion, nie otwierając oczu i nie odzyskując przytomności. Jaga z litością i strachem patrzyła na jego trupią twarz o zapadłych policzkach i zaostrozonym nosie. Cerę miał woskową, a gęsty niegolony zarost dodawał mu wieku i bardzo postarzał. Z pięknego, silnego mężczyzny pozostał dyszący resztką sił szkielet. „Maryjo Święta, przecież on nie dożyje nawet do niedzieli” – pomyślała Jaga i poczuła dreszcz na myśl o rozpaczy Niny. „Jezu, ulituj się nad tym nieszczęśliwym dzieckiem i oszczędź jej bólu” – modliła się, wznosząc oczy na krzyż. Rozumiała strach Niny, bo jej także Aleks wydawał się tak słaby, że w każdej chwili można było spodziewać się najgorszego. Nieznacznie otarła łzę. Nina nie znosiła, żeby rozczulano się nad nią lub nad Alekssem.

– W jakiej sprawie przyjechał dziś pan Bochniak, kotku? – spytała, przypomniawszy sobie poranną wizytę rządcy.

– Powiadomił mnie, że przybył notariusz pani wojewodziny i pragnie zakończyć sprawy spadkowe. Podobno ktoś doniósł Starewiczowi o śmierci babki, a ten planuje się wybrać do Lipieńca.

– Więc co zamierzasz zrobić? – Jaga usiadła i zaczęła obierać ziemniaki na okłady.

– A co mnie obchodzi Starewicz i spadek?! – wybuchła gwałtownie, podnosząc ręce i zatapiając palce we włosach. – Alek jest coraz słabszy, a na drugim świecie majątek nie będzie mi potrzebny.

– Bój się Boga! – zawołała przerażona Jaga i pochwyciła ją za rękę. – Co ty chcesz zrobić?

– Nic, ale kiedy on odejdzie, ja pójdę za nim. To samo przyjdzie – wyszeptała Nina, klękając i obejmując stopy męża, przykryte prześcieradłem z powodu silnych upałów.

– A ja? – chlipnęła żałośnie Jaga. – O mnie nie pomyślałaś? Przecież ja mam tylko ciebie.

Nina spojrzała na nią przez łzy. Jaga otoczyła ją ramionami i przycisnęła do piersi. Wysunąwszy się z jej objęć, Nina dotknęła dłonią czoła męża.

– Nadal ma wysoką temperaturę – westchnęła. – Nianiu, niech Walenty zmieni panu bieliznę, a ja się trochę przedrzemię. Zbudźcie mnie koło północy.

Nie zdejmując sukni, położyła się na kozetce. Jej myśli i odczucia były jakby złożone tylko z doznań zewnętrznych. Wydawało się jej, że za chwilę się przebudzi i wszystkie przykre zdarzenia okażą się tylko senną złudą. Zaraz jednak uświadamiała sobie, że to nie sen, lecz rzeczywistość, i rozpacz zrywała się w jej duszy jak wichur. Odczuwała dziką chęć, by wyć z bólu, który nią targał, i walić głową o ścianę. Po pewnym czasie jednak zmęczenie przemogło rozpacz i zaczęła drzemać, co jakiś czas otwierając oczy i nerwowo się rozglądając. Uspokajała się, słysząc z sypialni szepty modlitw niani i pani Salomei, półgłosem odmawiających różaniec. Krzepiąco wpływał na nią widok purpurowej wiecznej lampki, płonącej przed starożytną figurą Chrystusa w cierniowej koronie, wyrzeźbioną w lipowym drewnie. Purpurowy blask rozjaśniał mrok sypialni i widoczny był w alkierzyku.

Stwierdziwszy, że nic złego się nie dzieje, przymknęła oczy i ponownie zasnęła. Obudziła się momentalnie, gdy dotknęła ją czyjaś ręka. Usiadła wyprostowana i zupełnie przytomna.

– Nino! – Usłyszała głos pani Salomei i na jedną krótką chwilę stanęło jej serce.

– Alek? – szepnęła zdławionym głosem i nabrała w płuca powietrza jak przed skokiem do wody.

– Nie wiem, dziecko, co się z nim dzieje. Chodź, zobacz sama.

Nina jednym skokiem zerwała się z kozetki i wpadła do sypialni. W pokoju paliła się tylko świeczka. W półmroku wszystko wydawało się jakieś nierzeczywiste i widmowe. Pochyliła się nad łóżkiem i dotknęła czoła męża. Miał przymknięte oczy, lecz wydało się jej, że nieco lżej oddycha, bo nie słyszała już tego okropnego charkotu płynącego z jego płuc.

– Zdaje mi się, że gorączka nieco spadła – zauważyła Jaga, stając w nogach łóżka.

Trzy kobiety w milczeniu obserwowały chorego. Nina ze zdumieniem stwierdziła, że czoło męża jest prawie chłodne. Pod dotknięciem jej dłoni Aleks się poruszył, a jego długie rzęsy drgnęły, unosząc się lekko.

– Nina... – Wargi chorego poruszyły się prawie niedostrzegalnie, ale ona usłyszała i padła przy nim na kolana, nie wiedząc, czy nie woła jej w malignie.

– Aleczku, życie moje... – Ujęła jego dłoń i przycisnęła do niej usta.

– Nina? – Tym razem w jego szepcie wyraźnie zabrzmiało zdumienie i jakby niedowierzenie. Ciężkie powieki uniosły się i ukochane bursztynowe źrenice spojrzały wprost na nią. – Gdzie ja jestem?

Zdawało się jej, że oszaleje z radości.

– Nianiu, ciociu Salusiu, on mówi! Jest przytomny! – zawołała i w uniesieniu pokrywała jego twarz i ręce namiętymi pocałunkami. – Aleczku, co za szczęście! O, mój jedyny, wyzdrowiejesz. Walenty, Grabiszyno, Kumosiu, pan odzyskał przytomność! O Matko Najświętsza, dzięki Ci za tę łaskę. Aleczku, jesteś ranny. Tomek dał mi znać o tym i przywieźliśmy cię do Zameczku. Długo byłeś nieprzytomny, ale teraz już wszystko będzie dobrze. Żyjesz! – mówiła chaotycznie, śmiejąc się i wzdychając na przemian.

Jego palce leciutko uściśniły jej rękę. Do sypialni wpadli domownicy, przebudzeni jej krzykami. Zrozumiawszy, co się stało, przyłączyli się do ogólnej radości, ciesząc się wraz z młodą panią.

– Wkrótce moje imieniny – ciągnęła z uniesieniem. – Jezu, to najpiękniejszy prezent, jaki w życiu otrzymałam... – Urwała, bo porwał ją ogromny płacz, więc tylko oparła głowę o ramię męża i cała nagromadzona rozpacz i ból spłynęły strumieniem łez. Serce miała przepełnione wdzięcznością do Boga za tę niezwykłą łaskę.

– Prom... nie płaaa... – wyszeptał urywanie Aleks, usiłując podnieść rękę i położyć ją na głowie żony. Ale był na to jeszcze za słaby i nie zdołał wykonać żadnego ruchu.

– Nina, uspokój się w tej chwili, bo zdenerwujesz pana i jeszcze mu się pogorszy – ostrzegła Jaga. – O, spójrz, znowu zamknął oczy!

Nina natychmiast ucichła i spojrzała na męża z obawą. Oczy miał zamknięte, ale oddychał dosyć równo i cicho. Spał! Najwyraźniej spał mocnym snem.



Rozdział 2

Wezwany lekarz co prawda stwierdził widoczną poprawę zdrowia Aleksa, lecz niczego jeszcze nie gwarantował.

– Na miejscu pani hrabiny cieszyłbym się bardzo umiarkowanie – oświadczył chłodno szalejącej z radości Ninie.

Ona jednak wcale nie przejęła się tą sceptyczną uwagą lekarza. Gorączka spadła i Aleks odzyskał przytomność. Widocznie najgorsze minęło. Powtarzała to każdemu, nie mając najmniejszych wątpliwości, że odtąd dla męża nastanie okres rekonwalescencji. Ale Jaga, doświadczonym okiem obserwując chorego, wcale nie była taka pewna, że pan wyzdrowieje. Jego organizm był krańcowo wyczerpany i bardzo słaby. Wolała jednak nie dzielić się swoimi spostrzeżeniami z Niną, aby jej nie ranić i nie odbierać nadziei.

Aleks był ogromnie osłabiony. Nie mógł się poruszać ani wyraźnie mówić. Ale jego oczy nieustannie podążały za żoną, śledząc każdy jej ruch z miłosną ekscytacją. Doktor powiedział mu, że ta delikatna dziewczyna zrobiła dla niego więcej niż wszyscy inni razem wzięci. Siedząc przy jego łóżku, Nina opowiadała szczegółowo o zagładzie partii, nie szczędząc pochwał Tomkowi i Maćkowi i podkreślając, że obaj gotowi byli zginąć w jego obronie. Wspominała, jak ofiarnie dźwigali go na rękach przez większość drogi do Zameczku.

Okazało się, że Aleks wcale nie wiedział o straszliwym huraganie, który spustoszył Maków. Wyznała, że musiała sprzedać warszawskie mieszkanie i pochwaliła się, że dostała za nie aż dwadzieścia pięć tysięcy rubli! Skrzywił się i spojrzał na nią dziwnym, jakby zdumionym wzrokiem, lecz nie zareagował. Dopiero po kilku godzinach chrapliwym szeptem kazał jej dać każdemu z chłopców po tysiąc rubli. Opowiadając mu o kłopotach i zmartwieniach, ani jednym słowem nie wspomniała o rozpaczliwej walce, którą toczyła o jego życie i o utrzymanie majątku. Ale on domyślił się tego, widząc jej wynędzniałą twarz, nienaturalnie wielkie i podkrążone oczy i bezkrwiste usta. Wiedział, przez jakie piekło przechodziła, walcząc o każdy

dzień i każdą godzinę jego życia, wydzierając go śmierci. Kiedy otwierał oczy, zawsze widział ją przy sobie, czuwającą nad jego snem.

Po kilku dniach obudził się nieco silniejszy, a Nina z radością stwierdziła, że temperatura stanowczo spadła, bo czoło i dłonie miał chłodne.

– Co z oddziałem? – wychrypiał niewyraźnie i Nina raczej się domyśliła, niż zrozumiała, co miał na myśli.

Ściągnęła brwi i spochmurniała, energicznie strzepując poduszki i podsuwając mu pod głowę ulubiony jasiek. Powstanie już jej nie interesowało i nie chciała więcej myśleć o pogromie partii, przez co mąż o mało nie postradał życia.

– Partia już nie istnieje – oświadczyła niemal ostrym tonem. – Nie powinienes więcej o tym dumać. Dla ciebie powstanie skończone.

Oblizwał spieczone wargi i spojrzał na nią z urazą.

– Dowiedz się...

Podawała mu chłodny kompot i oświadczyła z całą stanowczością, na jaką tylko umiała się zdobyć:

– Alek, wybij sobie wojaczkę z głowy! Do powstania nie wrócisz. Gdy tylko nabierzesz sił, natychmiast wywozę cię do Szwajcarii. Kiedy zupełnie wrócisz do zdrowia, możemy pojechać do Paryża. Sprowadzę tam Binię z dziećmi i poznasz nareszcie swoją córkę. Pragnę żyć jak normalni ludzie, mieć męża i rodzinę.

Aleks ujął ją za rękę i ścisnął jej palce, patrząc na nią przeciągle.

– Dowiedz się! – powtórzył z naciskiem.

Nieszczęśliwa i wściekła, stała z ponurą miną przy jego łóżku.

– Dlaczego ja muszę kochać takiego piekielnie upartego osła! – wykrzyknęła ze złością.

Po jego wargach przemknął lekki uśmiech. Przymknął powieki i zaraz zasnął. Nina z pasją zwinęła pasy upranych płóciennych bandaży i poszła do kuchni, by pozalić się niani.

– Wyobraź sobie, że Alkowi znowu marzy się wojenka! – zawołała, ciskając do stojącego na płycie kuchennej baniaka brudne bandażę, aby się wygotowały. – Żeby nie poświęcenie Tomka, już by go na świecie nie było! Nikt więcej nie zatroszczył się o niego w tym przeklętym wąwozie. A on nadal o nich myśli! Niech piekło pochłonie to całe powstanie! Dostyc nas ta awantura kosztowała zdrowia i pieniędzy. Chcę go wywieźć za granicę i

ocalić majątek przed konfiskatą. Nianiu, no powiedz, czy ja nie mam racji, oburzając się na niego?

Jaga skinęła głową, ale miała taką minę, jakby zamierzała powiedzieć: „Nie znasz własnego męża?”. Grabiszyna, skubiąca tłustą kurę na rosół, odezwała się w obronie swojego ukochanego mlecznego syna:

– Oleś zawsze był taki uparty i nieusłuchany. Od maleńkości. Jak sobie coś wbił do łepetyny, nie było rady. Ale ma dobre serce. Dawniej jaśnie państwo często przyjeżdżali do Zameczku na grzyby, bo jaśnie pani hrabina, matka Olesia, bardzo lubiła ten dom. Kiedyś stał tu wielki dwór, zbudowany jeszcze za dawnych polskich królów. Wyglądał jak zamek, dlatego ten folwark tak się nazywa. – Urwała i strzepnęła piórko, które przykleiło się jej do warg.

Nina słuchała jej z zainteresowaniem, zawsze spragniona opowieści z życia męża.

– Tamten dwór stał wieki, dopiero gdy nasz Oleś wyjechał do szkół w Rosji, to spłonął od pioruna. Ino ten dworek się ostał, co w nim pisarz prowontowy mieszkał. Za życia starszych jaśnie państwa w Zameczku zawsze pełno gości bywało. Różni państwo przyjeżdżali, często z dziećmi. Oleś musiał bawić się z nimi w ogrodzie. Ale jak mu coś wadziło, to sprzął dzieciaka i nie przeprosił, choć jaśnie pani za karę nie pozwoliła mu dać deseru. – Grabiszyna przerwała robotę i uśmiechnęła się chytrze. – Ale ja zawsze pod fartuchem przyniosłam mu orzechów, ciastek i cukierków. Potem Oleś zwykle żałował, że się pozłościł, ale przeprosić nie chciał. Jak powiedział, tak miało być. Taki charakterny!

– Słuchaj uważnie, Nino, dowiesz się czegoś więcej o twoim mężu – podkreśliła Jaga.

– Nie wiedziałam, że mój mąż tutaj się wychowywał – zdziwiła się Nina.

– Tu bawiło się dziecko, dopóki go do Rosji nie wywieźli. O, z tego jaworu zleciał, bo chciał zajrzeć do bocianiego gniazda. Tak się pochorował, że ledwośmy go odratowali. Teraz też jest słaby, ale prędko się wzmocni po dobrym jedzeniu. Ugotuję mu rosołku z kury, z ryżem. A na podwieczorek dostanie poziomki z bitą śmietaną.

– Ale doktor ostrzegał, żeby go karmić tylko płynami, bo się może zadławić – przypomniała Nina.

– O tak, słuchaj doktorów i zagłódź męża, to prędko wdową zostaniesz! – prychnęła Jaga. – Pan musi jadać często i bardzo pożywnie, bo z ran jeszcze

ropa płynie, a on nie ma sił, żeby zwalczyć zapalenie. I mówię ci, nie sprzeczasz się z panem, tylko poślij Tomka na Łysą Polanę. Może tam rzeczywiście ktoś wrócił i potrzebuje pomocy. Nie miej złudzeń, że pan hrabia o tym zapomni.

Nina sapnęła ze złości, lecz musiała się zgodzić, bo niania miała rację. Należało sprawdzić, czy do leśnego obozu nie trafili uciekinierzy, którzy wynieśli głowy z zasadzki. Może któryś z nich wiedział, co się stało z Jasiem i Tadeuszem. Nie mogła znieść myśli o samotnej rozpaczliwej Zosi i desperackich staraniach Emilki, próbującej dowiedzieć się czegoś o losie męża. Jedną panią Salomeę nie traciła nadziei, wierząc nieugięte, że syn żyje i wróci, ale i ona, mając chwile zwątpienia, bywała często zapłakana. Nie chcąc denerwować męża, Nina wyprawiła Tomka do leśnego obozu, lecz nie zastał tam nikogo.

Nina tęskniła za Makowem. Wiele spraw wymagało jej obecności w pałacu. Całe gospodarstwo znalazło się w rękach pani ochmistrzyni i służby. Na szczęście pani Ruchwalska była osobą kompetentną, a służba oddana swojej pani i pracowita. Należało również prędko zakończyć sprawy spadkowe po wojewodzinie. Wolała, żeby notariusz nie siedział w Makowie i nie widział za dużo. O rozbiciu partii wiedzieli tylko wtajemniczeni. Olszak, ekonom z Borcka, dowiedziawszy się o śmierci jedyne go syna, pojechał z żoną do wąwozu, by odszukać ciało i pochować go po chrześcijańsku. Ale chłopcy już zakopali poległych powstańców i zakryli to miejsce darnią. Nikt się nigdy nie dowiedział, gdzie zostali pogrzebani.

Raz przyszedł do Zameczku sam wójt z Makowa, niespokojny o swego młodszego syna. Ucałowawszy rękę młodej pani, tak długo kręcił i wzdychał, aż zniecierpliwiona Nina powiedziała:

– Ja wiem, panie wójt, że chcecie się czegoś dowiedzieć o swoim synu. Ale partia poszła w łązkie lasy. Nie martwcie się niepotrzebnie.

Wójt raz jeszcze pocałował ją w rękę i spytał pokornie:

– A od jaśnie pana wiadomości nie było?

Nina zastanowiła się nad odpowiedzią. Możliwe, że ktoś z pałacowej służby wygadał się, iż dziedzic został ranny, i ta wiadomość dotarła na wieś.

– Pan hrabia był lekko ranny, ale już wszystko dobrze. Dożyliśmy takich czasów, że lepiej za dużo nie wiedzieć – odpowiedziała dyplomatycznie.

– Oj, święta prawda – odparł z westchnieniem. – Niech ta Pan Jezus da jaśnie panu zdrowie. My, gospodarze z Makowa, zawdy będziem wierni swoim państwu. Niech jaśnie pana i naszych chłopaków Matka Najświętsza chroni od złego.

Pogadali jeszcze o przyszłych plonach, a Nina obiecała, że w razie nieurodzaju jesienią pośpieszy wsi z pomocą. Wójt, wyraźnie pocieszony, odszedł w lepszym humorze. Patrzyła za nim zarumieniona z przykrości, żałując, że nie może powiedzieć mu prawdy. Bała się, iż gospodarze, dowiedziawszy się o tragicznej śmierci swoich bliskich, mogą odwrócić się od powstania, a wówczas staliby się naprawdę niebezpieczni.

Jeszcze tego samego dnia przyjechała do Zameczku Zosia, dowiedzieć się o zdrowie hrabiego i spytać, czy nie było jakichś wiadomości. Siedziała na ganku smutna i pełna obaw, że Tadeusz poległ. Złożywszy drobne rączki na czarnej krynolinie, patrzyła na Ninę niespokojnie.

– Wiesz, Ninetko, jak tylko dostałam wiadomość o bitwie, zaraz pojechałyśmy z Dorotą i panią Borzęcką do tego wąwozu, szukać zwłok. Ale nic tam już nie było, bo chłopci zakopali ciała poległych. Chciałyśmy w tym miejscu choć jakiś krzyżyk postawić, ale bałyśmy się pytać chłopów, gdzie jest grób, bo mogli donieść Moskałom. Andrzej Barycz, wiesz, młodszy brat naszego Wacia, mówił, że wielu naszych mogło przedostać się do Galicji. Ale odniosłam wrażenie, że nie wpadłby w rozpacz, gdyby Wacio poległ, bo wtedy miałby całą wieś dla siebie. Chciałabym pojechać do Krakowa, lecz nie mam z kim zostawić Stefanka. Zresztą po co? Pewnie Tadzio leży w tym nieznanym grobie... – Usta jej zadrżały, a w niebieskich oczach pojawiły się wielkie łzy i spłynęły cicho po bladych policzkach.

Rozczulona Nina przytuliła ją do siebie, a Zosia przywarła do niej jak przerażone dziecko, zatykając sobie usta, żeby nikt nie słyszał jej płaczu.

– Trusieńko, ja głęboko wierzę, że Tadek, Jaś, Wacio i inni nasi znajomi żyją. Tomek mówił mi, że porwali ich spanikowani żołnierze. Mając Moskali za plecami, z pewnością wszyscy starali się dotrzeć do granicy. Biedna Emilka wyschła na szczapkę ze zmartwienia, lecz nie dopuszcza do siebie myśli o najgorszym. Boże, jaka to twarda kobieta! Zazdroszczę jej tego hartu ducha, bo ja się zaraz załamuję, chyba mam słaby charakter.

– Nic podobnego! – zaprzeczyła Zosia stanowczo. – Proboszcz opowiadał mi o waszej podróży z rannym panem hrabią. Niewiele kobiet zdobyłoby się na taką determinację. A twoja wyprawa do Krakowa i bitwa z

kozakami? Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką znam. Tadek też to mówił. Powiedz mi, jak się dziś czuje pan hrabia.

– Doktor nie pozwala mi się cieszyć z poprawy, bo uważa, że przesilenie jeszcze nie nastąpiło. Ale ja wiem, że Alek wyzdrowieje. On po prostu musi żyć! – zawołała z zawziętością, zaciskając dłonie w pięści.

– Ja także wierzę, że wyzdrowieje. – Zosia usiadła wygodniej w foteliku i wzięła z porcelanowego talerza dwie czereśnie. – Wczoraj na mszy widziałam pannę Lasewiczównę. Zamawiała nabożeństwo w rocznicę śmierci Władzia. Popatrz, to już rok... Masz pozdrowienia od niej i od Wąsockich.

– Dziękuję. – Nina zastanowiła się i nagle trzepnęła się w czoło. – Na śmierć zapomniałam! Jak zobaczysz Wąsockich, powiedz im, że pani wojewodzina przeznaczyła sporą sumę na posag zakonny dla Stasi. Może już zacząć nowicjat. Dla Jadwigi mam od niej pierścion z brylantem i błogosławieństwo. Tobie ofiarowała broszę i kolczyki, ale wszystko to jest w Makowie. Oddam ci przy sposobności, bo brosza jest cenna, w kształcie gwiazdy, wysadzana perłami i szmaragdami.

– Niech Bóg zapłaci pani wojewodzynie za pamięć o mnie.

– Posłuchaj, kochanie... – Nina przesiadła się bliżej przyjaciółki. – Jeżeli chcesz jechać do Krakowa, zostaw Stefanka w Makowie. Panie będą go rozpieszczą. A może brakuje ci pieniędzy, to mi powiedz. Dam, ile zechcesz.

– Jesteś dla mnie dobra, Ninetko, jak najlepsza siostra. Jeszcze się zastanowię. Słyszałaś o tym, że Starewicz się żeni? Wybiera się do Lipieńca, bo potrzebuje pieniędzy na ślub.

Oczy Niny błysnęły złowrogo, a jej głos stał się lodowaty.

– Niech spróbuje! Ewentualnie mogłabym uwzględnić jego roszczenia, gdyby zachował się jak człowiek kulturalny. Ale on mi groził! Testamentu nie obali, bo wszystko jest napisane zgodnie z prawem. Każdy proces przegra.

– Nie, kochanie... – Zosia apatycznie potrząsnęła głową. – On każdy proces wygra, ponieważ to nie ty, ale pan hrabia jest głównym spadkobiercą. Pani wojewodzina popełniła błąd, bo powinna przepisać majątki na waszą córeczkę, wtedy testament byłby nie do obalenia, a ty mogłabyś w zastępstwie córki rządzić majątkami. Zapomniałaś, w jakich czasach żyjemy?

Nina śmiertelnie pobladła i o mało nie spadła z krzesła.

– Jezu Chryste! Jak mogłam tego nie zauważyć! Ty masz rację, Trusieńko, a ja znowu nie będę mogła wydostać z banku ani kopiejki, bo zażądają obecności sukcesora! Psiakrew! – zaklęła z wściekłością, wcale nie po hrabiowsku.

Nawet w przypadku śmierci męża nie mogłaby wystąpić z roszczeniami, bo wtedy Starewicz ujawni, że główny spadkobierca był buntownikiem i poległ w powstaniu lub zmarł na skutek odniesionych ran. Wdowie po poległym buntowniku należała się surowa kara, nie spadek. Jednak Nina uświadomiła sobie, że dopóki Starewicz nie wytoczy jej procesu lub nie sprowadzi wojska dla ochrony majątków, ona przez jakiś czas będzie mogła nimi zarządzać i ściągnie z nich, co tylko się da do Makowa.

Mówiąc o Starewiczu, Zosia wywołała wilka z lasu... Nazajutrz przyjechał posłaniec z Lipieńca z listem od rządcy, pana Marcinkiewicza. Okazało się, że do dworu zjechał Starewicz i rządzi się w nim jak we własnym domu. Nina ze złości zgrzytnęła zębami. Starewicz oficjalnie wypowiedział jej wojnę. Zdenerwowana poszła do sypialni, by powiadomić o sprawie męża.

– Alku, wyjeżdżam do Lipieńca – oświadczyła od progu. – Postaram się wrócić jak najwcześniej.

Oczami dał jej znak, by wyjaśniła, o co chodzi. Głosem drżącym z oburzenia, opowiedziała o wizycie Starewicza w Lipieńcu i jego okrutnym i ordynarnym zachowaniu wobec staruszki. Wspomniała o jego groźbach pod adresem Aleksa i odczytała list pana Marcinkiewicza. Aleks słuchał bardzo uważnie, z mocno ściągniętymi brwiami. Kochał matkę chrzestną i bolał nad ciosem, którego doznała ze strony wnuka, co prawdopodobnie skróciło jej życie. Kiedy Nina skończyła czytać, odezwał się chrapliwie, co chwilę przerywając, by zaczerpnąć powietrza:

– Groził ci... a ja... jak ten Łazarz! Nie pozwól mu... – Zadyszał się i dał jej do zrozumienia, że nie może mówić.

Lecz Nina wiedziała, że mąż prosił, żeby nie dopuściła do zagarnięcia przez Starewicza spadku po wojewodzinie.

– Zrobię, Aleczku, co będę mogła – obiecała. – Postaram się, by nawet źdźbła słomy nie wywiózł z Lipieńca. Tylko widzisz, on ma znakomite

koneksje z rosyjskimi władzami. Nie potrzebuje się ze mną procesować, wystarczy, że do Lipieńca przyśle wojsko.

Aleks skinął głową i zamyślił się. Potem z wysiłkiem podniósł dłoń, wskazując palcem nożyk do obierania owoców. Obserwowała z napięciem każdy jego ruch, starając się odgadnąć, co miał na myśli. Zakłopotana wzniosła oczy i zadumana, wysiliła wyobraźnię. Naraz roześmiała się i ucałowała męża.

– Już wiem! – wykrzyknęła ze śmiechem. – Chcesz, abym postraszyła go sztyletnikami?

Mrugnął na znak, że odgadła, i posłał jej czuły uśmiech.

– Jak mi Bóg miły, zrobię tak! – powiedziała z mściwym błyskiem w oczach. – Odrywa mnie od ciebie i za to jeszcze bardziej go nienawidzę. Ale czy ja mogę jechać spokojnie? Jesteś tego pewien, kochany?

Znowu mrugnął, dając jej do zrozumienia, że nie musi się niczego obawiać, i przymknął powieki, pragnąc podrzemać. Zaledwie za Niną zamknęły się drzwi, zaczął zasypiać. W powietrzu unosił się delikatny zapach lilii. W półśnie próbował określić źródło tej woni, potem przypomniał sobie, że tak pachną włosy jego żony. Zasnął z jej obrazem pod powiekami.

Nina kazała zaprząć pięknego kłusaka do małej bryczki na dwóch wysokich kołach i pojechała do Lipieńca. Po drodze postanowiła, że każe sprowadzić do Zameczku Mignon. Brakowało jej codziennych odwiedzin w stajni i tęskniła za swoją klaczką. Pędziła jak do pożaru i wpadła na dziedziniec Lipieńca z gwałtownością huraganu. Rzuciwszy stajennemu lejce, śpiesznym krokiem weszła do dworu. Stary kamerdyner czekał już na nią i wskazał jej gabinet wojewodziny. Wkroczyła do pokoju z groźną miną i ogniem w oczach. Starewicz siedział przy biurku z różanego drewna i spokojnie przeglądał dokumenty wyjęte z szufladki. Na ten widok Nina zacięła usta, ponieważ przeklinając swoje niedopatrzenie. Po śmierci wojewodziny powinna natychmiast zabezpieczyć dokumenty i najcenniejsze przedmioty, lecz śmiertelna choroba męża uczyniła ją obojętną na wszystko inne. To zaniedbanie mściło się teraz widocznie. Starewicz podniósł głowę i wstał leniwie, składając jej ukłon, który miał być wyrazem uprzejmości, a był szyderstwem.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że precudnej urody pani hrabina sama raczyła się pofatygować do Lipieńca? – odezwał się, błyskając zębami

w szerokim uśmiechu.

– Proszę natychmiast wynosić się z mego domu – powiedziała stanowczo, mierząc go nieustępliwym wzrokiem.

– Patrzy pani na mnie tak srogo, że mogę paść trupem z przerażenia – zauważył drwiąco, niedbałym ruchem wskazując jej krzesło. – Pozwoli pani, że sprostuję jej słowa. To ja jestem w swoim domu, do którego wtargnęła pani bez zaproszenia. Pani wojewodzina była moją babką!

Wzgardziła jego zaproszeniem i nie siadła, lecz stała wyprostowana, z dłońmi wspartymi na rzeźbionej poręczy krzesła.

– Nie zawsze pan o tym pamiętał! – odparła ostro. – Świętej pamięci pani wojewodzina uprzedziła pana, iż nie zostanie pan uwzględniony w jej testamencie. Pan notariusz osobiście powiadomił pana o tym fakcie. Testament został sporządzony w obecności lekarza, notariusza i czterech wiarygodnych świadków, w tym księdza. Na razie ja zarządzam majątkiem i proszę, żeby był pan łaskaw opuścić ten dom bez awantur.

Starewicz przypatrywał się jej, przechyliwszy na bok głowę. Z kieszonki surduta wyjął cygaro, zapalił je i zaciągnął się, niegrzecznie wydmuchując dym w jej stronę. Strzepnął popiół na wspianiały wschodni dywan leżący na posadzce i będący prawdziwym arcydziełem rękodzielnictwa.

– Pani Nino... – rzekł bez widocznego gniewu. – Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, a zarazem najnieznośniejszą jędzą, pozbawioną nawet szczypty rozsądku. Dla łaskawego spojrzenia ślicznych oczu pani gotów byłbym oddać Lipieniec, a dla pocałunku wyrzec się nawet kapitałów w banku, ale szanownemu panu hrabiemu nie oddam nawet kaczego kupra, jasne? *À propos*, co porabia pani szanowny małżonek?

Prychnęła pogardliwie, nie racząc odpowiedzieć.

– Mam rozumieć, że drapnął od pani? Co za głupiec! Na pani miejscu wystąpiłbym o rozwód. Każdy sędzia udzieliłby go pani bez namysłu. Uciekać od takiej kobiety? Ma pani mnóstwo wielbicieli. Kto wie, może i ja zdecydowałbym się ponowić oświadczyzny? Majątek pozostałby przy pani.

– Nie miał pan dosyć jednej rekuzy⁰⁵? – spytała złośliwie i zaraz tego pożałowała, bo w jego oczach zalśnił gniew.

– Zaręczam, że tym razem rozważyłaby pani poważnie moją propozycję – rzekł z nieukrywaną groźbą. – No więc dowiem się, gdzie przebywa pan hrabia?

– A co to pana obchodzi? Jest z dala od kraju, dlatego to ja jestem zmuszona rozmawiać z panem – oświadczyła wyniośle.

– Jakie to przykre – mruknął niedowierzająco. – Sądzę jednak, iż pobyt za granicą byłby w jego sytuacji najrozsądniejszym wyjściem.

– Nie obchodzą mnie pańskie dywagacje na ten temat – powiedziała dumnie, czując dreszcz sunący jej po plecach.

– A powinny! – Pochylił się ku niej z kpiącym uśmiechem. – Proszę sobie wyobrazić, jak wdzięczni byliby moi przyjaciele, gdybym zaczął dzielić się z nimi moimi domysłami. Z pewnością poczuwaliby się do rewanzu. Przysługa za przysługę.

Zbladła, ale nie okazała strachu, który nią owładnął.

– Odmawia pan wyjścia z mego domu?

– Naturalnie, że nie zamierzam wychodzić z MEGO domu! *Sapristi!*⁰⁶ Co za uparta kobieta! – Wstał i gwizdząc wesołą arię z operetki Offenbacha, otworzył mahoniową szafkę, wyjął z niej butelkę wina i napełnił kieliszek. – Może i pani raczy skosztować? Wyborny trunek, w piwnicach jest tego jeszcze kilkadziesiąt butelek. Przyda się na moje wesele. Cóż, gardzi pani? Trudno, w takim razie wznoszę toast za zdrowie pani i szanownego pana hrabiego. Mógł być szczęśliwym człowiekiem, ale okazał się głupcem. Zostawić taką żonę dla bezmyślnej ruchawki?

– Nie wiem, co pan ma na myśli. Mój mąż jest chory, a pańskie insynuacje są haniebne!

– W gniewie jest pani jeszcze piękniejsza. – Podszedł i próbował ją objąć.

Purpurowa z oburzenia, odepchnęła go z całej siły.

– Precz z łapami, łajdaku! Niech się pan nie waży wyrażać bez szacunku o moim mężu! – Z pasją targnęła taśmę dzwonnka.

Do gabinetu wszedł Feliks, stary majordomus wojewodziny.

– Czy Feliksowi wiadomo, że zgodnie z wolą świętej pamięci pani wojewodziny Lipieniec i inne majątki są teraz własnością pana hrabiego Klonowieckiego? – spytała starego służącego.

– Jaśnie pani powiadomiła nas o tym przed śmiercią – potwierdził, przycupując się Starewiczowi z jawną wrogością.

– W takim razie raz na zawsze proszę nigdy więcej nie wpuszczać tutaj tego pana! – poleciała, wskazując Starewicza palcem. – Niech tu przyjdzie pan Marcinkiewicz.

Starewicz zmienił się na twarzy, lecz bez widocznych oznak gniewu usiadł na poręczy fotela i kołysał nogą w takt gwizdanej przez zęby piosenki. Jego beczelne zachowanie spotęgowało w Ninie gniew i nienawiść.

– Wyobrażam sobie, że liczy pan na wsparcie wypróbowanych przyjaciół w mundurach?

– Być może.

– Na pana miejscu byłabym ostrożniejsza. – Lekko wzruszyła ramionami.

– Niedawno tutaj, w pobliżu, mieszkał pewien człowiek, który również lubił zwierzać się swoim przyjaciołom w Radomiu i Kielcach. Skarżył się do nich na swoich sąsiadów, którzy nie mieli szczęścia mu się podobać. – Nina przerwała, westchnęła i posłała Starewiczowi melancholijne spojrzenie. – Biedak, niedawno przydarzył się mu paskudny wypadek... – Ponownie przerwała i strzepnęła niedbale z amazonki drobinę kurzu.

Starewicz przypatrywał się jej z obudzoną nagle podejrzliwością, gasząc cygaro o blat różanego biureczka.

– Ale pan zapewne o tym słyszał? – rzuciła z niewinną miną.

– Nie...

– O, to bardzo głośna historia. Proszę sobie wyobrazić, ten człowiek do tego stopnia był roztargniony, że niechcący włożył głowę w pętlę powroza i zakończył życie. Nawet nie zdążył pożegnać się z druhami żandarmami. Szkoda, był bardzo towarzyskim człowiekiem i lubił pieniądze. Ludzie twierdzą, że to duchy zabitych przez niego ofiar pomogły mu zaciągnąć sznur. Ale pan zapewne wcale w duchy nie wierzy? Ja także nie, bo wówczas nawiedziłoby pana, dla przestrogi, widmo wojewodziny!

Starewicz odetchnął ciężko, jakby nagle zabrakło mu tchu.

– Pani mi grozi? Ten mężczyzna został zamordowany, prawda?

– Nie. Ja tylko zauważyłam, że czasem nawet dobrzy przyjaciele nie mogą zapobiec nieszczęśliwemu wypadkowi.

– Nie boję się skrytobójców! – oświadczył buńczucznie.

Kłamał, bo był przerażony i Nina to odgadła, widząc jego rozbiegane oczy. Miał poważne powody, żeby obawiać się policji narodowej. Tym bardziej że zamierzał zagarnąć majątek zapisany powstańcowi. Obawiał się, że sztyletnicy mogą dosięgnąć go wszędzie, ale pocieszał się, że może Nina nie odważy się zawiadomić policji narodowej, obawiając się zemsty.

Wejście pana Marcinkiewicza przerwało ich kłótnię.

– Czy ten pan... – Nina ruchem głowy wskazała Starewicza. – ...wywiózł coś z dworu?

– Na razie nie, ale widziałem, że od strony parku stoją trzy duże wozy – zameldował rządcą, obrzucając wnuka zmarłej pani surowym spojrzeniem.

– Dobrze. Proszę wziąć sobie do pomocy najsilniejszych parobków i spuścić brytany z łańcuchów. Woźniców przegonić i nikogo więcej do Lipieńca nie wpuszczać bez mego zezwolenia. Zaraz przybędą tu moi ludzie z Makowa z panem notariuszem i nareszcie zakończymy wszystkie sprawy spadkowe. Panie Starewicz... – zwróciła się wyniosłym tonem, do stojącego bez ruchu mężczyzny. – Może pan się oddalić, zanim moi ludzie wejdą do dworu. Potem zostanie pan wyrzucony.

– To jest mój dom! – wybuchnął.

– Już nic tu nie należy do pana. Gdyby był pan człowiekiem honoru, bez targów oddałabym panu połowę majątku. Ale pan swoim niegodziwym zachowaniem przyśpieszył zgon swojej babki. Sam pan pozbawił się spadku. Proszę opuścić Lipieniec!

Posłał jej spojrzenie bazyliuszka i skradającym się krokiem podszedł do Marcinkiewicza, wygrażając mu palcem przed nosem.

– To ty, stary łotrze, doniosłeś jej, że tu jestem! Pożałujesz, że zadarłeś ze mną! Obiecuję ci to, draniu!

– Spełniłem moją powinność.

– Pani przekupiła tego bydlaka! – wrzasnął Starewicz, uświadomiwszy sobie, że musi ulec, przynajmniej chwilowo.

– Nie ośmielaj się mówić do mnie tym tonem, smarkaczu! – zawołał rządcą, wzburzony obelgami. – Jestem uczciwym człowiekiem, a moja biedna pani często wylewała przez pana łzy. Płaciła pańskie długi karciane i błagała, żeby się pan ustatkował. Ale pan nie zasługiwał na jej miłość. Jeżeli raz jeszcze usłyszę słowo, które mi się nie spodoba, każę panu na dziedzińcu wyłoić skórę batami! Słowo szlachcica!

– Nie ujdzie ci to płazem, pamiętaj! – wycodził Starewicz przez zaciśnięte zęby i obrzuciwszy rządcę oraz Ninę jadowitym spojrzeniem, wziął leżący na fotelu cylinder i ruszył ku drzwiom. Ale na progu jeszcze się obejrzał. – *Au revoir*, Nino. Proszę ode mnie pozdrowić pana hrabiego.

Podbiegła do okna i spoza firanki obserwowała, jak wsiadł do powozu i odjechał. Pan Marcinkiewicz również był zdenerwowany.

– Ten zdrajca z pewnością będzie chciał się zemścić – powiedział z ponurą miną.

– Na zdrajców są sposoby, panie Marcinkiewicz – zauważyła spokojnie, lecz w głębi serca była pełna obaw, a przyszłość malowała się w czarnych barwach.

Starewicz z pewnością nie będzie czekał w domu, aż zjawi się policja narodowa i go powiesi, tylko czmychnie co prędzej do któregoś z garnizonów rosyjskich i tam przeczeka powstanie. A gdy walka zakończy się klęską, bez skrupułów odbierze jej majątki... Westchnęła, prosząc Boga, żeby przynajmniej Starewicz przestał interesować się Alekssem, ale przypomniawszy sobie jego ostatnie słowa, będące groźbą, miała złe przeczucia.

Notariusz minął w bramie powóz Starewicza i zdumiał się jego wściekłą miną. Załatwienie wszelkich formalności prawnych zajęło Ninie czas do późnych godzin popołudniowych. Dowiedziała się, że notariusz wypłacił już z kapitałów złożonych u niego na ten cel legaty zapisane przez zmarłą Stasi Wąsockiej i służbie. Niestety, pieniędzy leżących w bankach nie można było ruszyć bez obecności głównego sukcesora. Nina nie mogła strawić tej porażki, wyobrażając sobie, że władze carskie zgarną setki tysięcy rubli prawem kaduka, bo Aleks, jako uczestnik powstania, nie może wystąpić w roli spadkobiercy.

Po wyjeździe notariusza Nina, nauczona świeżym doświadczeniem, poleciła panu Marcinkiewiczowi przewieźć do Makowa dokumenty i najcenniejsze przedmioty, a sam dwór zamknąć na cztery spusty i nikogo tam nie wpuszczać.

Powracała do Zameczku niespokojna o męża. Na szczęście nie czuł się gorzej. Lekka gorączka, którą miał poprzedniego wieczora, już się nie pojawiła. Spał niemal przez całe popołudnie, a kiedy się obudził, dawał wszystkim do zrozumienia, że niepokoi się o nią, i ciągle wpatrywał się w zegar, śledząc wzrokiem poruszające się wskazówki.

– Czy był lekarz? – zapytała Nina, przebierając się w alkierzyku w lekką domową suknię. – Co mówił? – Zmarszczyła brwi, pamiętając o tym, że doktor nadal obawiał się kryzysu.

– Był – odpowiedziała Jaga. – Ale ty, moje dziecko, nie przejmuj się jego ostrzeżeniami, bo panu naprawdę jest lepiej.

Pomimo optymistycznych zapewnień niani Nina czuwała przy mężu aż do północy. Potem zmieniła ją pani Salomea. Noc była duszna i gorąca, w małym alkierzyku brakowało powietrza, chociaż okno było otwarte na całą szerokość. Jakiś czas Nina przechadzała się pod drzewami w sadzie, obserwując ciemny i cichy dworek. W domu wszyscy już spali, tylko w sypialni migotała purpurowa wieczna lampka pod figurą Chrystusa. Przybiegły do niej psy pilnujące domu i łąsiły się, liząc ją po rękach. Pogładziła je i potarosiła za uszy. Zamieniła kilka słów z nocnym stróżem, wróciła do domu i sprawdzwszy, że Aleks śpi, rozebrała się i położyła na kozetce. Nie mogła zapomnieć o awanturze ze Starewiczem i martwiła się o Mirę, która już dawno powinna była pojawić się w Makowie z kurierskiej podróży.

Z pierwszego mocnego snu obudził ją ruch w pokoju i światło.

– Nino, wstań, z panem Aleksandrem dzieje się coś niedobrego! – Usłyszała głos pani Salomei.

– Jezu!

Porwała się z posłania i popędziła na oślepie, uderzając się głową we framugę drzwi. Na moment ją zamroczyło, lecz ból sprawił, że oprzytomniała. Jednym skokiem znalazła się przy łóżku. Pochwyciła świecę, oświetlając męża. Leżał na wznak i głośno charczał. Twarz miał nabrzmiąłą, szeroko otwarte usta, a wysadzone na wierzch oczy nalane były krwią. Spazmatycznie próbował zaczerpnąć powietrza, ale coś mu przeszkadzało. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu ktoś zaciska na gardle pętlę. Dusił się, walcząc o łyk powietrza. Nina wpatrywała się w niego, mając w sercu lód, a w mózgu ogień.

– Aleczku! – krzyknęła przeraźliwie. – Kochany, walcz, nie poddawaj się! Jezu Chryste, Maryjo, Matko Miłosierdzia, zlitujcie się nad nim! Łaski, Maryjo, łaski! – Obłądne przerażenie odbierało jej przytomność. Aleks umierał! – Nianiu, ciociu, co ja mam robić? – zwróciła się do stojących bezradnie kobiet, porażonych strachem. – Jezu, nie odbieraj mi go, błagam! Aleczku...

– Może panu wody podać? – szepnęła Jaga, po raz pierwszy tracąc głowę.

– Wody? Przecież on się dusi! – zawyła Nina.

Jej okropny krzyk postawił wszystkich domowników na nogi. Przybiegli do sypialni tak, jak porwali się z łóżek, a zobaczywszy, co się dzieje, zaczęli głośno odmawiać litanie za konających.

Twarz Aleksa przybrała brunatną barwę od nabiegłej krwi. Rzęził i szarpał na piersiach koszulę, rozpaczliwie walcząc o łyk powietrza. Jego nogi sztywno wyciągnięte, ciężkie już były jak u trupa. Oszałała z rozpaczy Nina odchodziła od zmysłów. Nie wiedziała, co ma robić i jak go ratować. Jej szeroko rozwarte oczy miały obłądny wyraz, były nieprzytomne. Naraz postawiła świeczkę na stoliku i pochwyciwszy konającego za ramiona, z nadludzką siłą uniosła go i posadziła na łóżku.

– Alek, wypluj to! Natychmiast to wypluj! – wrzasnęła dziko, potrząsając nim i bezlitośnie waląc go w plecy i w splot słoneczny.

Zacharczał jeszcze głośniejsze i nagle buchnął mu z ust strumień czarnej krwi wraz z wielkim skrzepem. Zakrztusił się, rozkaszał, łapczywie chwytając powietrze w obolałe płuca.

– Lodu, prędko! – zawołała rozpromieniona pani Salomea. – Musimy zatamować krwotok.

Walenty wypadł z pokoju tak szybko, jakby ubyło mu dwadzieścia lat. Jaga pomogła podtrzymać kaszlącego bez przerwy Aleksa, nie kładąc go w obawie, że może się zakrztusić własną krwią. Nina trzymała męża w ramionach, obserwując z radością, jak jego twarz z każdą chwilą przybiera normalniejszy wygląd. Jeszcze ciągle spazmatycznie chwytął powietrze, lecz oddech z wolna się uspokajał. Pani Salomea przeżegnała się i pieśczołtliwie położyła dłoń na głowie Niny.

– Twoja miłość i przytomność umysłu uratowała życie panu hrabiemu, bo ten wielki skrzep by go zadusił. Ale teraz już będzie dobrze. Popatrz tylko, jaka czarna krew spłynęła razem ze skrzepami. To wszystko miał na płucach. Ale nie kładź go jeszcze, bo ta zła krew musi spłynąć z płuc. To był cud wykwitły z twojej miłości.

Jednak Nina nawet jej nie słyszała i nie zwracała na nic uwagi, ciągle jeszcze drżąc na całym ciele i kurczowo obejmując męża.

Walenty przyniósł lód, a Jaga przyłożyła zimny okład na piersi chorego. Po jakimś czasie krew przestała płynąć i ustał kaszel. Aleks oddychał coraz swobodniej i głębiej, krzywiąc się jeszcze z bólu.

– Lepiej ci, kochany, już nie masz duszności? – pytała trwożnym szeptem, tuląc go do siebie i całując jego wilgotne od zimnego potu czoło.

Przymknął powieki na znak, że jest mu lepiej. Jego przekrwione oczy i cera odzyskały normalny wygląd. Stracił tę okropną sinobrunatną barwę duszącego się człowieka. Jaga podłożyła mu pod plecy stos poduszek, tak że niemal siedział na pościeli.

– Pan powinien leżeć bardzo wysoko, żeby zła krew znowu nie osadzała się na płucach – powiedziała. – Ninko, potrzyмай tę miednicę, a my przeberzemy pana w czystą bieliznę.

– Nie, ja przebiorę jaśnie pana hrabiego – sprzeciwił się Walenty, jeszcze bardzo blady, ale już gotowy do pomocy. – Niech dziewczyna przyniesie czystą koszulę i zmieni pościel, bo zakrwawiona, a Grabiszyna zrobi panu mocnej, gorącej herbaty.

Nina wzięła miednicę pełną krwi i stanęła przy łóżku. Miała silne zawroty głowy i dziwne wrażenie, że podłoga chwieje się pod jej nogami, jakby płynęła statkiem. Zatoczyła się...

– Nina, uważaj! – ostrzegawczo krzyknęła Jaga, ale było już za późno.

Wypuściła z rąk miednicę i zemdląła, miękko osunąwszy się na podłogę.

Był już ranek, gdy uniosła ciężkie powieki. Czuła się bardzo słaba i skołatana, ale jej pierwsza myśl pobiegła do męża. Właśnie zamierzała wstać i zobaczyć, jak się czuje, gdy w uchylonych drzwiach alkierzyka ukazało się rumiane i uśmiechnięte oblicze Jagi. Zauważywszy, że Nina nie śpi, podeszła do kanapki.

– Moje słodkie kociątko... – odezwała się czule. – Coś ty nam w nocy zmartwienia narobiła. Pan już od świtu dopytuje się o ciebie, ale nie pozwolił cię budzić. Po tyłu troskach należy ci się pociecha. Wyobraź sobie, że pan kazał usmażyć sobie jajecznicę na boczku i wojuje o gorące kiełbaski. Ma szalony apetyt! Czekaj, kotku, przecież musisz się ubrać!

Ale Nina jej nie słuchała, tylko bosą i w samej nocnej koszuli pobiegła do sypialni. Aleks siedział na łóżku, z białą serwetą zawiązaną pod brodą. Właśnie skończył śniadanie i widząc żonę, wyciągnął rękę. Przypadła do niej ustami i miała ochotę krzyczeć, śmiać się i płakać z niewyobrażalnego szczęścia, patrząc na jego błyszczące bursztynowe oczy i lekko zaróżowione policzki.

– Witaj, promyczku – powiedział cichym, lecz już zupełnie czystym i wyraźnym głosem.

– Aleczku, możesz mówić? – ucieszyła się. – Chwała Bogu! Jak się dziś czujesz?

– Jeszcze trochę boli mnie w płucach przy głębokim oddechu, ale to drobiazg. Uratowałaś mi życie, mój ty przyjacielu najdroższy. Nie wiem, jak mam ci dziękować. Pocałuj mnie!

Upadła przy łóżku na kolana, obsypując męża pieścizotami i moczając łzami. Przytrzymał ją i obejrzał zatroskanym wzrokiem.

– Jesteś taka mizerna... Jaga narzeka, że nic nie jesz. Od dziś będziesz jadła razem ze mną. Dopilnuję, żebyś się nie głodziła.

– Zrobię wszystko, co mi każesz.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił, posyłając jej uśmiech. – Jak sobie poradziłaś ze Starewiczem?

Wysłuchiwał uważnie jej opowiadania, a kiedy umilkła, sposepniał.

– Nie chciałem go krzywdzić przez pamięć o matce chrzestnej, ale ze względu na nasze bezpieczeństwo sędzę, że należy powiadomić policję narodową. Napisz liścik do panny Lasewiczówny, a już ona zawiadomi, kogo należy. Czy wiesz, że ja wiedziałem, że matka chrzestna nie żyje? Przyśniła mi się w noc poprzedzającą bitwę. Przyszła się ze mną pożegnać, a może ostrzec. Nigdy nie wierzyłem w zabobony, ale ten sen był tak bardzo realny, że domyśliłem się, iż musiała umrzeć. Prawda, że to zastanawiające?

Nina była nie mniej zdumiona tym dziwnym wydarzeniem.

– Ja także śniłam o niej, że jest na tarasie w tym momencie, gdy Tomek zapukał i zawiadomił mnie, że jesteś ciężko ranny. Obudziłam się pod wrażeniem, że zaszło coś okropnego. Bardzo mi brakuje twojej matki chrzestnej, bo to była mądra kobieta i wielka dama. Kochała cię jak rodzona matka. Już umierała, a jeszcze martwiła się, że nie ma od ciebie wiadomości.

Nie miał siły, żeby pogłaskać żonę po głowie, więc tylko pogładził jej dłoń.

– Matka chrzestna była dla nas bardzo hojna. Te majątki to wielka fortuna. Już nie musisz się martwić stratami po huraganie. Jesienią ściągniesz z sandomierskich folwarków wszystko, czego będziesz potrzebowała.

Usiadła na jego łóżku i westchnęła.

– Obawiam się, Aleczku, że pani wojewodzina popełniła ogromny błąd, zapisując majątek tobie. Powinna swoją spadkobierczynią uczynić naszą córkę, ustanawiając mnie dysponentką spadku. W obecnej sytuacji nie mam dostępu do zapisanych kapitałów w banku, podobnie jak do naszych. Ty przecież nie możesz wystąpić jako główny spadkobierca, bo przebywasz za granicą. O ile carskie władze jeszcze w to wierzą.

– O, do licha! – syknął przejęty. – To rzeczywiście dylemat. W takim razie korzystaj ze zbiorów w majątkach i wspomóż naszych gospodarzy. – Zamyślił się, a w jego oczach pojawił się cień troski i wielkie zmęczenie.

Nina spostrzegła to i złękła się.

– Alku, czy gorzej się czujesz? Może za długo rozmawiamy, odpocznij.

– Nino, czy ktoś już był na Łysej Polanie? Dowiadywałaś się, czy pojawili się tam moi chłopcy?

– Tak – burknęła ze złością, bez śladu poprzedniej radości. – Był Tomek, ale obóz jest pusty.

– Z pewnością ktoś się tam pojawi. Niemożliwe, żeby wszyscy polegli. Trzeba się dowiadywać. Janek i Tadeusz się nie odnaleźli?

– Nie. – Pochyliła się nad nim, niemal dotykając czołem jego czoła. – Alek, błagam, nie wracaj do powstania – szepnęła trzęsącym się głosem. – Dałeś ojczyźnie daninę swojej krwi, nie żałowałeś ani zdrowia, ani pieniędzy. Nikt nie może ci zarzucić, że jesteś obojętny dla sprawy i stałeś na uboczu, gdy inni walczyli. Ale ja mam tylko ciebie i przysięgam ci, że nie mam już siły dźwigać tych ciosów, które na mnie spadają. Nie wracaj do powstania, bo ja nie chcę grzebać twoich zwłok. Oszczędź mi tej męki! Myślisz może, że urządzam scenę jak z kiepskiego romansidła? Nie, to nie jest narzekanie znudzonej damy, tylko prawdziwy koszmar, który przeżywam od dnia wybuchu powstania!

Wzruszył się jej błaganiem i rozpaczą brzmącą w jej głosie. Delikatnie gładził jej pochyloną głowę; każdy jego gest wyrażał miłość.

– To także jest i mój dramat, kochanie. Nie sądź, że tylko ty cierpisz. Przecież ja najmocniej pragnę żyć dla ciebie i naszego dziecka. Nie zadręczaj się tymi myślami, mój ukochany promyczku. Zanim wyzdrowieję, upłynie wiele czasu i dużo może się jeszcze wydarzyć.

Chciał ją pocałować, ale nie miał siły się podnieść, więc tylko końcami palców pieszczotliwie dotykał jej rozplecionych we śnie warkoczy.

Po tej rozmowie Nina długo nie mogła się otrząsnąć ze smutku. Widmo krwawych zmagani znowu zajrzało w okna dworku i cała jej radość zgasła.

Co kilka dni Tomek jeździł na Łysą Polanę i powracał rozczarowany, meldując dowódcy, że nikogo tam nie zastał. Nie miał dużo wolnego czasu, bo na prośbę męża Nina uczyła go francuskiego i angielskiego, zdumiona łatwością, z jaką przyswajał sobie obce słówka. Każdą przeczytaną książkę głośno komentował, zadając jej tak trudne pytania, że często nie potrafiła na nie odpowiedzieć i musiała się odwoływać do pomocy męża. Bardzo lubiła i ceniła tego inteligentnego chłopca, serdecznie wdzięczna za wszystko, co dla nich uczynił. Jednak niekiedy w głębi serca była zazdrosna o uczuciowy związek łączący go z Alekssem. Zaczynała podejrzewać, że mąż, pragnąc syna, ma wobec Tomka plany, o których wołała na razie nie myśleć, żeby się przedwcześnie nie denerwować.

Kiedy Aleks drzemał, siadywała na ganeczku obrośniętym powojami i bluszczem. Łuskając zielony groszek lub drylując czereśnie, słuchała opowieści Grabiszyny o dzieciństwie męża.

– Oj, co ja się świata nazwiedzałam, napatrzyłam się ludzi i kraje! Jaśnie pani hrabina nie chciała rozstawać się z synkiem, a gdzie mały Oleś, tam i ja! Jaśnie pani słabowała i jeździła do różnych kurortów, żeby się podleczyć. Byłam w niemieckich i francuskich kurortach razem z jaśnie panią i paniczem. Jak Oleś podrósł i oddali go do ruskiej szkoły, to służyłam u jaśnie pani jako garderobiana. Po śmierci pani jaśnie pan hrabia nie chciał mnie trzymać, ale Oleś zawsze o mnie pamiętał i uprosił stryja, żebym mogła do końca życia mieszkać w Zameczku. Teraz dobrze mi tutaj jak w raju i nie umrę, dopóki na własne oczy nie zobaczę małej jaśnie panienczki.

Nina uśmiechnęła się kwaśno. Wcale nie miała ochoty oglądać córki, przynajmniej do czasu, aż naprawdę wyładnieje. Jakoś nie potrafiła uwierzyć w zapewnienia Bini, że dziecko wygląda uroczo i jest słodką kruszynką.

Wkrótce okazało się, że Aleks miał rację, twierdząc, iż wojsko nie zdołało rozbić całej partii... Pewnego wieczoru ktoś cicho zapukał do drzwi dworku, straszając mieszkańców. Ale podwórzowe psy nie podniosły alarmu, więc musiał to być ktoś, kogo dobrze znały. Grabiszyna poszła otworzyć.

Za nią podreptała Nina, ciekawa, kto przyszedł o tej porze. Na widok gościa szeroko otworzyła ramiona i z przeraźliwym piskiem rzuciła się mu na szyję. Na progu stał Jaś, obdarty, zabiedzony, ale jak zwykle pogodny i uśmiechnięty.

– Jasieńku, braciszku najmilszy! Żyjesz! Nigdy nie wierzyłam, że poległeś. Boże, ciotunia i Emilka oszaleją z radości. A ciocia akurat pojechała do Makowa, bo zabrakło nam płótna na nowe bandaże – terkotała, wciągając go do sieni i oglądając ze wszystkich stron. – Jasiu, wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Ale Bogu dzięki, że żyjesz. No, takiego obdartusa już dawno nie widziałam. Stałeś się konkurencją dla dziadów spod kościoła. – Śmiała się, wypuszczając go z objęć.

Jaś, wynędzniały i nieogolony, w zniszczonej odzieży, rzeczywiście wyglądał na żebraka, lecz butna mina i wyniosła postawa nie pasowały do okrywających go łachmanów.

– Wojna nie tuczy, kotku – powiedział, całując ją. – Ale najpierw powiedz mi, jak się czuje nasz wódz.

– Przecież widzisz, że się śmieję. Wczoraj nastąpiło przesilenie. Chodź, niechże się tobą nacieszy, bo nie miał spokoju o ciebie i Tadzia. – Chwyciła go za rękę i pociągnęła do sypialni.

– Dzięki Bogu! Kamień spadł mi z serca. – Jaś momentalnie poweselał. – Cały czas miałem go w oczach, jak leci z konia.

Aleks leżał spięty, z niepokojem przysłuchując się rozmowie dobiegającej z sieni. Na wszelki wypadek trzymał w schowanej pod kołdrą dłoni gotowy do strzału rewolwer. Tomek, cały zjeżony, stał przy jego łóżku, gotowy bronić pana do ostatniego tchu. Na widok wkraczającego do pokoju Jasia obaj wybuchli zgodnym śmiechem i witali się, pokrywając żartami wzruszenie.

Jaś natychmiast zainteresował się przebiegiem choroby i wysłuchawszy relacji Niny, umył dłonie i przystąpił do badania.

– Zaraz zobaczymy, jak to wygląda – mruczał pod nosem, ze skupioną miną pochylając się nad Alekssem. Z kieszeni podartej kurtki wyjął drewniany stetoskop i osłuchiwał dokładnie płuca chorego. – Ten krwotok to był prawdziwy cud – powiedział, podnosząc się znad łóżka. – Płuca są prawie czyste, a reszta to już kwestia czasu. No, wodzu, udało ci się wykiwać kostuchę. Ale machnąłeś kozła! Wielki Boże! Zresztą wszystkim

nam wtedy niewiele brakowało do śmierci. Ilu to naszych chłopców pozostało na wieki w tym wąwozie... – Ze smutkiem pokiwał głową.

– Misiu, czy Tadek żyje? Kto ci powiedział, że jesteśmy w Zameczku? – dopytywała się Nina.

– Tadek żyje i jest w Krakowie. Nie byłem w Makowie, tylko u proboszcza, i on mi powiedział, gdzie mam was szukać. Tadek za parę dni przejdzie granicę z oddziałem generała Jordana⁰⁷. Z naszych ocalał jeszcze Wacek Barycz. Pyszny chłop! Tam, gdzie on walczy, nawet dla mnie nic już nie ma do roboty, bo tylko truposze leżą. Kazikowi Bieckiemu także nic się nie stało. – Jaś urwał i trochę zakłopotany, podrapał się po niegolonym policzku. – Ten chłopak jest niepoprawny i na miejscu Doroty nie cieszyłbym się za bardzo z tego faktu. Dla niego wojaczka skończona, bo w Galicji przygruchał sobie zamożną wdówkę i teraz siedzi spokojnie w dworku pod Tarnowem i udaje bohatera, wcale nie kwapiąc się powrócić do stęsknionej małżonki. Ech, taki był z niego żołnierz, jak z koziej dupy trąba! Przepraszam, Nino – zreflektował się, po fakcie, mocno zawstydzony.

– Bardzo mi przykro. – Nina po raz pierwszy w życiu szczerze współczuła Dorocie.

– A Soszkiewicz żyje? – spytał Aleks, cały zajęty myślą o swoich żołnierzach.

– Lekko ranny, ale już mu lepiej. On i jeszcze kilkunastu chłopców ocalało z pogromu. Być może jest ich więcej, ale ja nic o nich nie wiem. Wszyscy zamierzają powrócić z oddziałem Jordana. Aha, braciszek Benon kazał się wam kłaniać. Ten chłopak ma niesamowite szczęście. Udawał nieboszczyka, a kiedy Moskale sobie poszli, wygrzebał się spod stosu poległych i doszedł do Krakowa. No, moi kochani, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Teraz muszę się wykapać, bo cuchnę jak stary cap. Potem poproszę o wyżerkę, byle było dużo i tłusto!

Wykapał się w rzeczce, przebrał w odzież hrabiego i łapczywie pochłonał przygotowany posiłek. Załatwiwszy się z tym, usiadł przy łóżku Aleksa i zaczął opowiadać o nowinach, o których na prowincji nie słyszano.

Od pamiętnej nocy styczniowej upłynęło niemal pół roku. Sześć długich i krwawych miesięcy, okupionych ogromnymi stratami w poległych i wziętych do niewoli, straconych w egzekucjach i wywiezionych na Sybir. Ale powstanie trwało, ogarniając coraz większe obszary kraju oraz Litwę i

Ukrainę. W szpitalach, tajnych lazaretach i w domach prywatnych leżały tysiące rannych powstańców. Wielu inwalidów pozostało bez środków do życia, utraciwszy w powstaniu zdrowie i dorobek. Po upadku Mierosławskiego i Langiewicza władza przechodziła z rąk do rąk, przechwytywana przez coraz to inne orientacje polityczne. W Zielone Świątki obalono rząd koalicyjny oraz przeprowadzono zamach stanu, po którym okazało się, że nie ma komu przejąć władzy! Dopiero Karol Majewski, świeżo wypuszczony z Cytadeli, zaczął od nowa organizować władze powstańcze.

Nagle do pustej kasy Rządu Narodowego wpłynęło pół miliona rubli w banknotach i ponad trzy miliony w listach zastawnych. Tę kolosalną ilość pieniędzy spiskowcy zdobyli w Kasie Głównej Komisji Skarbu. Akcja była znakomicie przygotowana, a policja i żandarmeria na próżno poszukiwały sprawców zuchwałej kradzieży. Cytadela i miejskie więzienia w Warszawie już nie mieściły aresztowanych. Władze carskie opróżniły nawet magazyny zbożowe, zamieniając je na areszty. Pawiak, Arsenał i Forty były przepełnione. Codziennie przywożono powstańców ujętych na polu bitwy lub aresztowanych za udział w konspiracji.

– A co się dzieje z pułkownikiem Czachowskim? – zagadnął Aleks, wysłuchawszy tych mało pocieszających nowin.

– Czachowski? O, to chytry lis! Wodzi Moskali za nos po całej guberni. Nie, wodzu, my nie mieliśmy szans, żeby go dogonić.

Na myśl o rozbitej partii Aleks poczuł rodzącą się wściekłość.

– Rząd Narodowy ponosi pełną odpowiedzialność za klęskę mego oddziału i śmierć tylu wspaniałych chłopców! – wybuchnął. – Gdyby nie bałagan na górze, nie musielibyśmy się uganiać po lasach za pułkownikiem. Należało ustalić kilka miejsc spotkań. Och, ta ciągła walka o władzę w łonie rządu! Szkodzi nam więcej niż brak broni i matactwa naszych rzekomych sprzymierzeńców.

– Słusznie mówisz – przyznał Jaś. – Ale nie tylko na górze są wzajemne animozje. Słyszałem, że pułkownik Czachowski kilkakrotnie proponował pułkownikowi Kononowiczowi połączenie oddziałów działających w pobliżu. Kononowicz odmówił i tym samym wydał na siebie wyrok.

– Kononowicz rozbity? – Aleks poruszył się niespokojnie.

– Niestety tak. – Jaś ziewnął rozdzierająco i wstał. – Jak się kropnę spać, to będę kimał co najmniej przez dwie doby. Dobranoc, najmilsy.

Nina poleciła przygotować mu posłanie w stodole, na świeżo wysuszonym i pachnącym sianie. Sama go tam odprowadziła, świecąc po drodze małą olejną lampką.

– Powiadam ci, kotku, że już kości nie czuję – poskarżył się Jaś, macając się po bokach. – Tyle dni piechotą! Spałem byle gdzie i jadłem byle co. Stary już jestem, nie mam sił na takie wędrówki. – Dwudziestopięcioletni staruszek potknął się w ciemnościach i zaklął: – Psia mać!

– Pięknie. W takim razie nie potrzeba ci żony, tylko laski – zakpiła, podtrzymując go za łokieć. – Coś ci powiem, stary ramolu.... – Nina nigdy nie lubiła bawić się w dyplomację. – Zaraz dam znać do Makowa, że jesteś zdrowy i cały. Jeśli Emilka jest w domu, to zatrzymam ciocię w Zameczku, a wy urzędujcie sobie w pałacu. Tam nikt nie będzie wam przeszkadzał. Niechże i ta biedna dziewczyna ma jakąś pociechę z męża. A przy okazji spytaj żonę, jaką niespodziankę ci szykuje.

Jaś, wlokący się dotąd z senną miną, naraz się ożywił i pochwyciwszy Ninę w ramiona, ucałował ją po bratersku.

– Cóż ty sobie wyobrażasz, mądralo, że mnie potrzeba do tego namawiać? No, idź już sobie, bo zaraz się przewrócę. Dobranoc.

Upadł w ubraniu na miękkie posłanie i natychmiast zasnął. Obudził się dopiero następnego dnia po południu, a raczej został obudzony przez matkę i Emilkę, która w nocy przyjechała do Borku i przez ciekawość wstąpiła do Makowa spytać, czy nie ma wiadomości o mężu. Obie panie natychmiast przyjechały do Zameczku i z niecierpliwością oczekiwały na przebudzenie syna i męża. Emilka była wprost nieprzytomna z radości. Śmiała się i płakała na przemian, całując Jasia i ściskając teściową oraz Ninę. Matka i żona wydzierały sobie Jasia z objęć, użalając się nad nim i znosząc mu coraz to nowe przysmaki. Z Brzezińca przyjechała Zosia i jak rzep przyczepiła się do Jasia, dopytując o męża. Ona również miała powód do radości. Dawno w Zameczku nie było tak wesoło i gwarno.

Siedzieli właśnie przy podwieczorku, gdy rozległ się turkot powozu. Wsiadła z niego Dorota Biecka, ożywiona i zarumieniona z emocji.

– O, jak to dobrze, że wróciłeś! – zawołała uradowana widokiem Jasia siedzącego pomiędzy matką i żoną. – Sophie była taka dobra i powiadomiła mnie, że przebywasz w Zameczku. Wiesz coś o Kazimierzu? Żyje, nie odniósł rany?

Jaś nie umiał kłamać. Na jego wyrazistej twarzy malowało się wyraźnie każde wrażenie. Pod badawczym spojrzeniem Doroty zmieszał się, poczerwieniał i miał taką nieszczęśliwą minę, że Biecka pobladła.

– On... nie żyje? – Załamała rękę.

Jaś się poderwał i posadził ją na krzesło, przeklinając w duchu amory Bieckiego.

– Przysięgam na honor, że Kazio żyje i jest zdrowy jak rybka, nic mu nie dolega – zapewnił ją, spuszczaając oczy.

Wzrok Doroty zlodowaciał. Odwróciła głowę, udając, że poprawia fałdy sukni.

– Więc o co chodzi? Możesz się mną nie krępować. Mów, co wiesz!

– Pozostał w Galicji... – wymamrotał, mając ochotę zapaść się pod ziemię.

– Rozumiem. Zapewne nie jest sam. Ma tam kogoś?

– Podobno... Dorota, błagam, nie przejmuj się, to mu przejdzie. Znudzi się i zatęskni za żoną i domem. Psiakrew! – Jaś nagle stracił cierpliwość i nie panując nad sobą, wrzasnął: – Jak tylko się tu pokaże, osobiście dam w zęby temu draniowi!

Twarz Doroty nie wyrażała żadnych uczuć, była jak z kamienia.

– Nie będziesz miał do tego okazji, bo on już tu nie wróci – oznajmiła chłodno. – Słusznie mnie przed nim ostrzegano. Nie posłuchałam dobrych rad i sama jestem sobie winna. Proszę cię, opowiedz mi szczerze, co o nim wiesz.

Jaś, owładnięty współczuciem, najdelikatniej jak tylko potrafił powiadomił ją o prowadzeniu się Bieckiego. Dorota wysłuchiwała tego zupełnie spokojnie.

– *Très bien*⁰⁸ – wycedziła przez zęby. – Tym razem mój mążonek dał mi dobrą podstawę do rozwodu.

Posiedziała jeszcze przez chwilę dla formy, rozmawiając na obojętne tematy. Potem pożegnała się skinieniem głowy i nawet nie spytawszy o zdrowie Aleksa, odjechała do domu. Nina, poszeptawszy z panią Salomeą, wyprawiła stęsknionych małżonków do Makowa. Nie dane im jednak było długo przebywać sam na sam, bo na drugi dzień pojawił się w dworku braciszek Benon, zawiadamiając Aleksa, że w leśnym obozie zebrało się już kilkunastu powstańców przybłąkanych z Galicji i z lasów. Byli głodni, zmęczeni i chorzy po długiej tułaczce, tropieni przez patrole jak dzikie

zwierzęta. Trzeba było przygotować dla nich na gwałt odzież, postarać się o żywność i lekarstwa, bo wielu było rannych. Jaś musiał z żalem przerwać słodkie *tête-à-tête* i jechać do obozu. Zwijał się jak w ukropie, krążąc pomiędzy Leśną Polaną a Makowem, dokąd zawsze starał się wracać na noc.

Nina straciła dobry humor i z ponurą miną kazała Kumosi wznowić w szwalni pałacowej szycie odzieży i skubanie szarpi. Nie mogła odżałować, że w tym gorącym okresie zabrakło obecności pani wojewodziny. Stara dama miała u ludzi ogromny autorytet i była znakomitą organizatorką. Na szczęście wiekowa ochmistrzyni z Lipieńca także wiedziała, co ma robić i bez zwłoki zasiadła z dziewczętami do pracy. Podobnie jak w zimie wieczorami długo świeciły się światła w izbach czeladnych, a za szczelnie zasłoniętymi oknami stare i młode kobiety pochylały się nad stołami, krojąc, fastrygując i szyjąc szare powstańcze mundury, bieliznę i konfederatki. Z Makowa, Brzezińca i Lipieńca nocami wyruszały wozy pełne żywności, odzieży i lekarstw.

Radość przepelniająca serce Niny zgasła. Już nie miała złudzeń, że mąż zrezygnuje z walki i zgodzi się wyjechać za granicę. Wezwawszy do siebie ocalałych z pogromu podoficerów, Aleks rozkazał im odbywać musztry z żołnierzami i przywrócić rozluźnioną dyscyplinę.

[05](#) daw. odrzucenie przez kobietę propozycji małżeństwa

[06](#) fr. Do diabła! Do licha!

[07](#) Zygmunt Jordan (1824–1866) – adiutant generała Józefa Bema w powstaniu węgierskim. Po wybuchu powstania w 1863 roku przybył do kraju ze Szwecji i mianowany został przez Rząd Narodowy generałem, naczelnikiem wojennym województwa krakowskiego. Dowodził wyprawą, rozbitą w dwóch jednoczesnych starciach, pod Komorowem i Ratajami. Zmarł na emigracji w Paryżu.

[08](#) fr. bardzo dobrze

Pewnego dnia wpadł do dworku pan Bochniak, zgrzany, spocony, nie szczędząc zaprzęgu.

– Miałem sprawdzoną wiadomość, że pod Bobrzą była bitwa! Pułkownik Czachowski starł się z silnym oddziałem Moskali – raportował rządca, nie ochłonałszy nawet ze zmęczenia. – Wiem, panie hrabio, że partia pułkownika podąża w kierunku Makowa. Niewykluczone, że pan pułkownik zajrzy do nas, żeby uzupełnić zapasy żywności.

– A moi chłopcy znowu bez broni! – gorączkował się Aleks, unosząc się na posłaniu.

– Jadę do Makowa – oświadczyła Nina.

– Po co? Nie pozwalam! – zirytował się hrabia.

– Jadę! Jestem niemal pewna, że pan pułkownik przybędzie do pałacu. Przygotuję im zapasy żywności, żeby wieś zostawili w spokoju.

– Dopilnuje tego pani ochmistrzyni, to zaradna kobieta. W okolicy mogą pojawić się kozacy! – próbował ją przekonać Aleks.

– Nie martw się o mnie, kochany. Chcę tu przyprzewieźć moją Mignon, bo mi jej brakuje. Przyjadę jutro z samego rana. – Ucałowała męża, polecając go domownikom i prosząc Walentego, aby opiekował się chorym.

Pan Bochniak zabrał ją do Makowa swoją bryczką. Widok pałacu i ogrodów tonących w kwiatkach napełnił serce Niny cichą radością. Nie rozumiała, jak mogła tak długo egzystować z dala od domu.

Pani Ruchwalska z właściwą sobie energią natychmiast przystąpiła do pracy. Kobiety piekły chleby, szykowały kaszę, słoninę, kiełbasy i wódkę, przygotowując poczęstunek dla strudzonych powstańców. Tuż po zmroku dziedziniec napełnił się ludźmi i końmi. Partia pułkownika Czachowskiego liczyła około trzystu żołnierzy. Inni polegli bądź pogubili się podczas odwrotu. Nina bardzo polubiła Czachowskiego wówczas, gdy trafił z Langiewiczem do Makowa. Stary wiarus miał odwagę przeciwstawić się generałowi, wyrażając się pochlebnie o militarnych talentach Aleksa. Prosta, namiętna i bezinteresowna miłość do nieszczęśliwej ojczyzny, żywiona przez pułkownika, budziła jej podziw i szacunek.

Cichy, tonący w mroku pałac naraz rozbrzmiał światłami. Korytarze rozbrzmiewały mocnymi męskimi krokami i brzękiem ostróg. Powstańcy byli straszliwie wyczerpani. Pili wodę prosto z fontanny i zaraz pokładli się na trawnikach, nie czekając nawet na gorący posiłek. Do pałacu wszedł tylko pułkownik z kilkoma oficerami. Nina powitała ich z prawdziwie

polską gościnnością, zapraszając do stołu i użalając się nad ich nędzą. Wyglądali jak banda potępieńców – brudni, zawszeni, zarośnięci i poznaczeni krwawymi bliznami. Sam Czachowski, wysmagany wiatrem, opalony, przypominał Cygana. Poruszał się z trudem, gdyż dokuczały mu wrzody, tworzące się na skutek złego pożywienia i utrudzenia całego organizmu.

– Idziemy naprzód, a nieprzyjaciół za nami! – oznajmił z szubienicznym humorem, składając na jej dłoni pocałunek.

Potem przedstawił swoich oficerów. Jednym z nich był major Figietty, znany z udanego ataku na Jedlnię w noc wybuchu powstania. Nina pamiętała go z wizyty Langiewicza w Makowie. Dowodził kawalerią Czachowskiego, w której służyli także Karol i Adolf – synowie pułkownika. Witając się, Nina każdemu powiedziała jakieś miłe słowo, zachęcając do rozgoszczenia się w domu. Dwaj lokaje wynieśli na dziedziniec duży kocioł gorącej kaszy z mięsem, a drugi z grochówką na wędzonce i stopy kanapek z wędliną. Takiej uczyty zabiedzeni powstańcy dawno nie mieli. Jedli łąpczywie w zupełnej ciszy. Pułkownik z oficerami najpierw wykąпали się w stawie, następnie zmienili ubrania i brudną, zawszoną bieliznę. Po obfitej kolacji pułkownik poprosił o kawę i przeszli do malinowego salonu.

– Kazałam przygotować panom pokoje – powiedziała Nina. – Żołnierze prześpią się w stodole na sianie. Na szczęście jest bardzo ciepło.

Pułkownik z rozkoszą delektował się wonną kawą, ale posłyszawszy, co powiedziała hrabina, spojrzął na nią zdumiony.

– Córeńko, kozacy siedzą nam na karku. Jakby nas tutaj dopadli, ten piękny pałac obróciliby w ruinę. Niedługo stąd pójdziemy.

Nina w głębi serca się ucieszyła, że nie zamierzają nocować. Jednak zaraz zawstydziła się swego egoizmu i ogarnął ją okropny żal na myśl o losie, który czeka tę garstkę straceńców. Ci wspaniali ludzie nie zastanawiali się, czy ich walka miała jakiegokolwiek szansę na zwycięstwo. Swoim poświęceniem, krwią i życiem manifestowali, że „jeszcze nie umarła, póki my żyjemy”. Potwornie pomęczeni, ranni, ścigani przez wojska i chłopów, nie okazywali zwątpienia. Imponowali jej swą wielką ofiarą i patriotyzmem.

Czachowski zwiesił głowę na piersi; na jego ciemnej, pooranej zmarszczkami twarzy odmalował się smutek.

– Brakuje nam amunicji, a moi chłopcy przebyli siedemdziesiąt kilometrów, będąc w ciągłym kontakcie z wrogiem. Nie mam wyjścia i będę zmuszony na jakiś czas rozpuścić oddział. – Z piersi pułkownika wyrwało się ciężkie westchnienie. – Nie chcę, żeby marnie poginęli, bo jeszcze się Polsce przydadzą.

– Tak, to bardzo rozsądnie – potwierdziła Nina, marząc, aby i mąż postąpił podobnie.

– A co się dzieje z panem naczelnikiem? – spytał Czachowski po chwili milczenia.

Zaczęła opowiadać o rozkazach przywiezionych przez panią Prendowską i bezskutecznych próbach Aleksa, chcącego połączyć się z pułkownikiem. Wspomniała o walkach, które partia musiała staczać po drodze, o zasadzce w wąwozie i pogromie oddziału. Pułkownik i jego oficerowie słuchali z żywym zainteresowaniem.

– Przydałby się nam taki zdolny oficer – rzekł Czachowski. – Bogu dzięki, że pan naczelnik wraca do zdrowia. Proszę go ode mnie uściskać. Mam nadzieję, że wróci do powstania, gdy wyzdrowieje.

– Tak... – Głos Niny zabrzmiał głucho. – Organizują się od nowa.

Znowu zapadło milczenie.

– Czy mógłbym dostać trochę czystego płótna? – odezwał się młody Adolf Czachowski. – Mam do krwi obtarte nogi, a onuce są bardzo brudne.

– Oczywiście. – Nina zadzwoniła i wydała polecenie pani ochmistrzyni. – Dam panu dobrą maść i proszę, żeby wszyscy panowie opatrzyli swoje skaleczenia przed dalszą drogą, bo może się wywiązać jakieś zapalenie.

Do salonu weszły pani ochmistrzyni i Kumosia, a za nimi kilka pokojówek niosących płótno, bandażę i maści ziołowe na różne dolegliwości. Oficerowie chętnie zgodzili się na opatrunki, tylko pułkownik machnął ręką i wyszedł z Niną na taras. Czerwcową noc była prześliczna, pełna zapachów, zieleni i kwiatów. Leciutki wietrzyk znad stawu przyniósł nieco chłodu. Niebo było wysokie, a drzewa w parku srebrzyły się w świetle pełni księżyca, którego jasna tarcza wisiała wysoko nad Makowem. Czachowski stał wsparty dłonią o kamienną balustradę i wpatrywał się w ciemną otchłań nieba usianą drżącymi gwiazdami. Nina nie śmiała przerwać mu chwili zadumy. Zauważył, że posmutniała i popatrzył na nią z ojcowską czułością.

– Taki to już los kobiet polskich, córeńko – rzekł niemal szeptem. – Muszą oddać ojczyźnie to, co najdroższe. Ja mam siedmioro dzieci. Dwóch synów walczy w powstaniu. Pięć moich córek przeżywa te same lęki, co ty, dziecko. – Spojrzał na nią ze zrozumieniem i pokiwał głową. – Wiedzą, że ojciec już do domu nie wróci.

– Ale przecież kiedyś powstanie się zakończy – zauważyła nieśmiało.

– Moje dziewczęta wiedzą, że ojciec poszedł walczyć do końca, do śmierci – odparł szorstko. – Z powstania w trzydziestym pierwszym roku wyszedłem bez szwanku. Założyłem rodzinę, a po śmierci mojej kochanej żony Eufemii sam wychowywałem dzieci. Nie muszę się ich wstydić, są dobrymi Polakami. Dorośli i nie potrzebują już opiekuna. Mogę spokojnie umrzeć. Jak tylu innych, zakopią mnie gdzieś, może w bezimiennym grobie, a po latach zapewne nikt już nie wspomni, że jak wielu godniejszych ode mnie oddałem życie za wolność ojczyzny.

Pod wpływem nagłego wzruszenia Nina pochyliła się i ucałowała jego twardą żołnierską rękę, jakby to była dłoń ojca.

– Nie, nie, proszę nie wspominać nawet o śmierci! A gdyby, co nie daj Panie Jezu, tak się stało, to pamięć o panu i pańskich bohaterskich żołnierzach przetrwa pokolenia. Wierzę, że wolna Polska czcić was będzie jako swoich najgodniejszych synów.

Stary powstaniec był ogromnie przejęty.

– Bóg ci zapłaci, córeńko, za dobre słowo – powiedział zmienionym głosem, składając na jej czole pocałunek. – Miło pomyśleć, że kiedyś ktoś o nas wspomni.

Nina nagle przypomniała sobie, że Czachowscy spokrewnieni są z Krzyżanowskimi, a pułkownik przez matkę był krewnym jej ukochanego kompozytora.

– Bóg okazał się szczególnie łaskawy dla obu siostr Krzyżanowskich – oświadczyła z uśmiechem. – Obie dały Polsce synów, których pamięć żyć będzie wiecznie w narodzie.

– Myślisz o Fryderyku? – Pułkownik z mimowolną dumą podniósł głowę. – Chopin to geniusz! Gdzie mnie, prostemu żołnierzowi, do takiej znakomitości.

– Nie zgadzam się z panem. Fryderyk Chopin już jest nieśmiertelny, a pan dopiero nim będzie – powiedziała to jakby w proroczym natchnieniu.

Czachowski podkreślił długi wąs. Słowa Niny, zupełnie szczerze i płynące wprost z serca, sprawiły mu przyjemność. Stary wiarus znał się na ludziach i wiedział, że nie próbowała mu schlebiać.

– No, jeśli już mowa o Krzyżanowskich, to z pewnością sławę zyska mój kuzyn, Włodzimierz Bonawentura Krzyżanowski. Dosłużył się rangi generała w armii Stanów Zjednoczonych i podobno sam pan Lincoln wielce go ceni.

Nina grzecznym uśmiechem skwitowała jego słowa. Nie znosiła amerykańskiego prezydenta za jego brutalne ataki na powstańców i przyjazne stosunki z carem. Stronników Lincolna uważała za nędznych najemnych żołdaków, wysługujących się Jankesom za kilka dolarów. Wolała jednak nie komentować uwagi pułkownika, żeby nie zrobić mu przykrości.

Wrócili do salonu, a major Figietty poprosił, by Nina coś zagrała. Usiadła do fortepianu i nie zaglądając do nut, zagrała z pamięci kilka wspaniałych polonezów i etiud Chopina. Oficerowie oklaskiwali ją z zapałem, błagając, aby coś im zaśpiewała. Nie dała się prosić i dźwięcznym, czystym głosem zanuciła pieśń zrodzoną z walki:

*Naprzód, drużyno strzelecka.
Sztandar do góry swój wzniesź.
Żadna nas siła zdradziecka,
Zniszczyć nie zdoła ni zgnieść.
Czy umrzeć nam przyjdzie na polu,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnieć.
Z trudu naszego i znoju,
Polska powstanie, by żyć.*

Żegnała powstańców, stojąc na ganku pod kolumnadą. Żołnierze zebrali się cicho i sprawnie, konie, nakarmione do syta i dobrze napojone, parskwały rażno. Powstańcy poklepywali je czule po szyjach, mówiąc: „Zdrów, zdrów”. Noc była letnia, bardzo ciepła, a blask księżycy padał na głowy odchodzących i lśnił na ostrzach bagnietów i lufach strzelb. Pułkownikowi i jego oficerom Nina podarowała znakomite wierzchowce ze stadniny z Lipieńca.

– Niech ci Pan Jezus błogosławi, córeczko – rzekł Czachowski, zdejmując z głowy konfederatkę i kłaniając się z siodła. – To jeszcze nie koniec, wkrótce o nas usłyszycie! – Spiał ostrogami ogiera i ruszył przodem. – Bywajcie!

– Niech Bóg prowadzi! – wołały stojące na ganku kobiety, żegnając ich znakiem krzyża.

Nina głęboko zaczerpnęła powietrza pachnącego rozkwitłymi różami i maciejką, sianą dokoła domu dla ślicznego zapachu. Wspomniała dzień, kiedy przybyła do Makowa o tej samej porze roku, bezdomna, uboga sierota niepewna swego losu. Nawet w snach nie marzyła, że pewnego dnia stanie się panią tego cudownego domu, i z całej duszy pragnęła stać się godną tego zaszczytu.

Zaledwie powstańcy odjechali, gdy przed pałac zatoczyła się bryczka, wioząca z Borku Emilkę. Na widok stojącej na ganku Niny młoda pani Borutyńska szeroko otworzyła oczy.

– Nino, zdarzyło się coś złego?! – wykrzyknęła z lękiem.

– Nie, przyjmowałam pana pułkownika Czachowskiego i zaraz wracam do Zameczku, tylko muszę wziąć kilka letnich sukienek i osiodłać moją Mignon. Chodźmy do domu, a ty, moja Emilciu, połóż się zaraz spać.

Weszły do buduaru. Nina z niesłabnącym nigdy zachwytem rozejrzała się po uroczym pokoju.

– Tak tęsknię za domem, ale Alka nie można jeszcze przewieźć do Makowa, jest za słaby. Tymczasem Zameczek nie jest całkiem bezpieczny.

Emilka usiadła i wyciągnęła przed siebie obolałe nogi.

– Janusz mi mówił, że taka rana zwykle kończy się śmiercią – rzekła, przypatrując się stojącej przy oknie Ninie. – Prawdziwy cud, że pan Aleksander przeżył, ale musi bardzo na siebie uważać.

– Może ty mu to powiesz, Emilko! – zawołała Nina ze złością. – On już próbuje wstawać z łóżka i wybiera się do lasu. Jest uparty jak całe stado osłów! Dodatkowo martwię się jeszcze o Mirunię, powinna już dawno być w domu. Aha, powiedziałaś Jasiowi?

– O czym? – Emilka wzięła ze stoliczka książkę i nawet do niej nie zaglądając, machinalnie przerzucała kartki.

– Emilko! – upomniała ją surowo Nina. – Tak nie wolno!

– Nie mówiłam nikomu.

– Jezu kochany, dlaczego? Przecież ciocia tak czeka na tę nowinę. A Jaś...?

– Jak powiem, to Janusz i mama zabronią mi pracować.

– Będą mieli rację. A może ty nie chcesz tego dziecka? – Nina podeszła i zajrzała jej w oczy.

– Och, chcę! Już teraz ogromnie je kocham. – Młoda kobieta odruchowo położyła dłoń na płaskim jeszcze brzuchu. – Ale widzisz, złożyłam przysięgę i dopóki mogę, chcę pracować.

– Posłuchaj, złotko, mówię poważnie... Jeżeli do jutra nie powiadomisz Jasia i cioci o swoim stanie, to ja osobiście ich zawiadomię. *Parol!* Dziewczyno, nie kuś losu i nie ryzykuj! Przecież bryczka może się przewrócić, mogą was zatrzymać Moskale pod byle jakim pozorem... Nawet boję się myśleć, co może ci grozić. W tej sytuacji przysięga cię nie obowiązuje, jesteś przyszlą matką. Rząd znajdzie sobie innego kuriera. Powstanie się przez to nie zawali.

– Dobrze, jutro im powiem. – Emilka wstała i w przyływie uczuć ucałowała Ninę. – Jesteś dla mnie taka dobra, jak najlepsza siostra. Moich rodzonych sióstr nie kocham tak bardzo, jak ciebie.

– Ja także uważam cię za siostrę. Jaś był dla mnie najlepszym bratem i często brał za mnie lanie od wuja Ksawerego. Będę mu za to wdzięczna do grobowej deski. Szkoda, że muszę już jechać. Ucałuj ode mnie misia.

W sypialni prędko przebrała się w amazonkę, zerkając z żalem na swoje wygodne łożo. Kozetka w alkierzyku była twarda i niewygodna. Ulisia, pomagająca jej w przebieraniu, zwierzała się, że chłopiec, z którym była zaręczona, i brat wrócili z Galicji do leśnego obozu, a razem z nimi przyszedł syn wójta. To była dobra wiadomość! Nina się ucieszyła, ponieważ stary gospodarz zawsze okazywał dziedzicom szczerą przyjaźń i wpływał na nastroje we wsi.

– Z nikim o tym nie rozmawiaj – na wszelki wypadek przestrzegła pokojówkę. – Gdy powstanie się zakończy, wyprawię ci takie wesele, że cała wieś przez dobę będzie leżeć w karczmie pokotem!

– O, ja potrafię trzymać język za zębami. – Ulisia przypadła do jej ręki. – A może jaśnie pani zabierze z sobą Grota? Psisko nie chce jeść, tylko wyje i widać strasznie tęskni.

– Och, w tym nieszczęściu zupełnie o nim zapomnieliśmy! – zawołała pełna skruchy. – Gdzie on jest?

– Paweł trzyma go w służbowym pokoju i trochę się go boi, bo pies jest zły. Nie chciał być w psiarni i nawet ugryzł Pawła w rękę.

– Biedaczysko. Ulisiu, przyprowadź Grotą. Zabiorę go do Zameczku, pan hrabia się ucieszy.

Po chwili seter wyrwał się z rąk pokojówki i wpadł do pokoju, zachowując się tak, jakby mu zabrakło piątej klepki. Rzucił się na Ninę, piszcząc, skomląc i szczekając z oszalałej radości, usiłując ją polizać po twarzy. Uściskała go i wytarosiła pieśczośliwie, oganiając się od niego ze śmiechem.

– Chodź, piesku, pojedziemy do pana.

W stajni Mignon powitała ją cichym, radosnym rzeniem. Nina zarzuciła ramiona na jej szyję i poczęstowała ulubienicę marchewką i kostką cukru, siodłając klacz bez pomocy stajennego. Wyjechała z parku przez boczną furtę i popędziła do Zameczku, skracając sobie drogę. Przebyła wpływ płytką rzeczkę Świślinę, która wyrządziła tyle szkód w czasie huraganu. Tegoroczne lato zapowiadało się suche i Nina już zaczęła się martwić, że słońce może wypalić posadzone z takim trudem warzywa, zwłaszcza ziemniaki.

Do dworku przybyła przed świtem. Aleks nie spał i czekał na nią z narastającym niepokojem. Nawet nie zdążył otworzyć ust, bo Grot wskoczył na łóżko i lizał go, radosnym szczekaniem stawiając cały dom na nogi.

Wieczorem do Zameczku przygalopował Jaś. Miał taką wniebowziętą minę, że Nina natychmiast się domyśliła, iż Emilka dotrzymała słowa. Z wybuchem radości chwycił ją pod pachy, uniósł i okręcał się w takt gwizdanego walczyka. Postawiwszy ją na nogi, uściskał Aleksa.

– Oświadczam państwu, że niedługo zostanę ojcem! – oznajmił to z taką zarozumiałością, jakby wydarzyło się to po raz pierwszy na kuli ziemskiej.

– Będę tatusiem, ojczulkiem, papciem! Obojętnie, co się urodzi, chłopiec czy dziewczynka, byleby było.

– Gratulujemy! – Aleks się ucieszył. – Ninko, czy w tym domu jest jakieś wino? Trzeba oblać taką radosną nowinę i wznieść toast za przyszłego ojca rodziny.

Jaś się nadał i z ważną miną poszedł zawiadomić matkę o szczęśliwej odmianie losu. Pani Salomea powitała łzami radości zapowiedź syna, iż wkrótce zostanie babcią. Domownicy składali przysłuszanemu ojcu życzenia, a

Nina śmiała się w kułak, słuchając tyrady Jasia, wychwalającego zalety i urodę swojej żony.

– Przestań się puszyć, ostatecznie nie ty pierwszy dokonałeś takiego wyczynu. Powiedz lepiej swojej ubóstwianej żoneczce, żeby uważała na siebie i przestała zabawiać się w kuriera.

Westchnął rozdzierająco.

– Pod względem uporu moja Emilcia, niestety, bardzo przypomina ciebie... Wolałbym chyba stoczyć kolejną bitwę z Moskalami niż próbować ją zatrzymać w domu.

– Chyba nie chcesz nam powiedzieć, że taki zuch jak ty nie może sobie poradzić z żoną? – zakpiła Nina.

Jaś zrobił naburmuszoną minę.

– Odczep się, kiciu – burknął i zmieniawszy temat, zdał Aleksowi raport o stanie obozu. Niemal codziennie ktoś powracał, przeważnie ranny i wygłodniały.

Hrabia z głębokim westchnieniem opadł na poduszki.

– Moi chłopcy znowu są bezbronni – wyszeptał.

Jaś przekrzywił głowę i zmrużył jedno oko, wpatrując się wymownie w Ninę.

– Masz okazję, żeby go uszczęśliwić – rzucił jej do ucha. – Wrócił braciszek Benon, a on zna w Krakowie pana Piotrowskiego.

Zbladła i zacisnęła zęby, piorunując go morderczym wzrokiem.

– Powiedz braciszкови, żeby jutro przyjechał do Zameczku! – syknęła, a potem zerwała się i pobiegła do alkierzyka, zatraskując za sobą drzwi.

Następnego dnia zakonnik wyjechał do Krakowa, mając pod habitem mocno wypchany portfel. Nina z bólem serca wręczyła mu te pieniądze, dla świętego spokoju. Nie potrafiła znieść jakby wyczekującego spojrzenia męża i świadomości, że on cierpi w poczuciu bezsiły. Dziwna rzecz: pan Bochniak, pieklący się o lada grosz, w galopującym tempie przywiózł pieniądze z Makowa, chwając ją, że przeznaczyła je na tak ważny cel. „Obawiam się, że żadna kobieta nie odgadnie, jakimi ścieżkami podążają myśli mężczyzny i czym się oni kierują” – dumiała, żałując każdego rubla, zdobytego z takim trudem.

Pewnego dnia rekonwalescentowi złożył wizytę proboszcz i od niego dowiedzieli się o rozwiązaniu oddziału Czachowskiego. Pułkownik uznał, że dalsza walka w obecnej sytuacji jest beznadziejna i rozkazał swoim żołnierzom ukryć broń, przyczać się i czekać hasła. Sam z kilkoma oficerami przedostał się do Galicji. Był to bardzo zręczny manewr, bo Rosjanie już za bardzo następowali mu na pięty.

– Ej, stary przechera nie usiedzi spokojnie, dopóki choć jeden żołdat stąpa po naszej ziemi – ze śmiechem stwierdził proboszcz.

– Ja też jestem pewna, że pan pułkownik nigdy nie skapituluje – potwierdziła Nina. – Sam mi powiedział, że do domu już nie wróci, bo poszedł do powstania, aby walczyć do śmierci.

– Tak ci powiedział? – Aleks uniósł się na łokciu i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. – O, ja też byłem o tym przekonany – szepnął.

Od proboszcza dowiedzieli się także o tragicznym losie Leona Frankowskiego. Nina już w maju słyszała, że pan Leon poległ, lecz na razie nikt nie znał szczegółów jego śmierci. Czterej bracia Frankowscy należeli do konspiracji od samego początku. Leon był najmłodszy i najbardziej bezkompromisowy. Relegowany z gimnazjum za kocią muzykę urządzoną pod oknami margrabiego Wielopolskiego, oddał się całkowicie agitacji patriotycznej wśród młodzieży szkolnej i robotniczej. Komitet Centralny Narodowy w znacznej części pod jego wpływem podjął decyzję o wybuchu powstania. Frankowski stanął na czele studentów Politechniki Puławskiej. Prawie bez wystrzału zdobyli Kazimierz. Do mieszkańców miasta, witających z entuzjazmem wkraczających powstańców, pan Leon wypowiedział słowa, które wkrótce obiegały kraj i całą Europę: „Kijami zdobędziemy karabiny, karabinami armaty, a z nimi Modlin i Warszawę!”.

Zuchwałym atakiem zdobył konwój poczty carskiej. W ręce powstańców wpadły czterdzieści dwa tysiące rubli. Niedługo potem doszło do bitwy w Słubicy. Nieprzyjaciel posiadał baterię armat i kawalerię. Frankowski, biegnąc na czele kosynierów, uderzył z furją na rosyjską piechotę. Brawurowy atak załamał się jednak w ogniu salw karabinowych i strzałów armatnich. Ciężko rannego Leona Rosjanie zabrali do szpitala więziennego. Władze carskie miały nadzieję, że ratując własną głowę, zacznie mówić. Był przecież bardzo ważną osobistością – najmłodszym wiekiem wojewodą lubelskim, wtajemniczonym we wszelkie sekrety Rządu Narodowego. Ale on milczał. Nawet wtedy, gdy wzięli go na tortury. Znosił cierpienie z

godnością i odwagą. Swoją postawą zaimponował Rosjanom i generał Chrulew, ujęty jego młodzieńczym wdziękiem, wstawił się za nim do księcia namiestnika, próbując uratować mu życie.

Nieszczęsna pani Frankowska jak lwica walczyła o życie syna. Rosjanie nie wahali się proponować jej, żeby namówiła Leona do zeznań. W tym celu umożliwiono jej widzenie się z synem. Doszło do tego na Zamku Lubelskim, gdzie przywieziono więźnia ze szpitala w Sandomierzu. Pani Frankowska była dobrą Polką. Wpatrując się przez łyzy w zmaltretowanego syna, powiedziała: „Ty uczynisz, jak was uczyłam. Jak nakazuje honor i miłość ojczyzny”. Młodziutki więzień pochylił głowę i ucałował kratę dzielącą go od matki.

Sprawa nieletniego wojewody stała się głośna. Pani Frankowska napisała prośbę do księcia namiestnika, błagając go o darowanie synowi życia. Przez kilka dni czatowała w parku Łazienkowskim, chcąc spotkać tam wielką księżnę Aleksandrę, mającą zwykle decydujący wpływ na męża. Zrozpaczona matka rzuciła się jej do nóg, żebrząc o łaskę i wstawiennictwo. Lecz gburowata Niemka nie raczyła jej nawet wysłuchać. W bezlitosny i prostacki sposób rozkazała wyrzucić panią Frankowską z parku.

20 maja sąd wojenny skazał Leona Frankowskiego na karę śmierci przez powieszenie. Więzień przez dwadzieścia sześć dni oczekiwał na ułaskawienie lub zatwierdzenie wyroku przez wielkiego księcia Konstantego. Łudził się, że może wyrok śmierci zostanie zamieniony na katorgę. Był jeszcze taki młody, zakochany pierwszą miłością w pannie Heurich i tak bardzo pragnął żyć... Wielki książę wyrok zatwierdził! 16 czerwca Leon wstąpił na szafot. Jednakże śmierć na szubienicy wydała mu się hańbiącą – był przecież żołnierzem. Zwrócił się więc do oficerów, prosząc o zgodę na rozstrzelanie. Czekał na tę decyzję, stojąc na szafocie... Prośba została odrzucona. Katowi drżały ręce, kiedy po raz drugi zakładał skazańcowi pętlę na szyję.

Kobiety polskie najserdeczniej solidaryzowały się z matką młodego powstańca. Przypomniano sobie, że nawet zamachowcy nie odważyli się strzelać do wielkiego księcia idącego przy boku ciężarnej żony. Pocieszano się tą myślą i łudzono nadzieją na ułaskawienie. Ale władcy nie znają pojęcia wdzięczności i Leon Frankowski został stracony.

Opowiadającemu o tym proboszczowi tak trzęsły się ręce, że rozsypał tabakę. Pani Salomea wzdychała i szeptem odmówiła modlitwę za zmarłych. Aleks spokojnie wysłuchał smutnej relacji, nie okazując wzruszenia. Ale Nina nie wytrzymała, uciekła do alkierzyka i tam spłakała się, zatykając usta poduszką, żeby nikt nie słyszał jej szlochu. Ciągle miała w pamięci wysoką postać pana Leona, idącego swobodnym krokiem przez aleje Ogrodu Saskiego. Jego bujną czuprynę wicherzył powiew wiatru. Tak widziała go po raz ostatni i zapamiętała na zawsze.

Nie był to jednak koniec smutnych nowin... Proboszcz dowiedział się, że na początku maja w Płocku rozstrzelano wojewodę mazowieckiego, pułkownika Zygmunta Padlewskiego, typowanego niegdyś na naczelnego wodza powstania. Nie pomogło wstawiennictwo wpływowych osób, w tym ciotki skazańca, pani hrabiny Potockiej, i wyrok został wykonany. Dziwnym trafem w chwili śmierci Zygmunta na dalekiej Ukrainie rozbita została partia, którą dowodził jego ojciec. Ciężko ranny starszy pan, przewieziony do Kijowa, został tam stracony, a wielki majątek skonfiskowany.

Do Zameczku często przyjeżdżała ciotka Maria i zabawiała kuzyna rozmową. Nina przysłuchiwała się im z pewną zazdrością, kiedy razem wspominali jakieś przedziwne historie z lat dzieciństwa. Obserwowała zdumiona, jak oboje przeistaczają się nagle i na miejscu surowej ciotki i chorego męża widziała figlarną panienkę i swawolnego chłopca, skorego do psot. Ale kiedy wujowi Ksaweremu znowu się pogorszyło, ciotka przestała zaglądać do dworku i tylko przysyłała bileciki, pytając o zdrowie Aleksa.

Nina nie lubiła wuja Ksawerego, lecz czuła się zobowiązana czasem odwiedzać chorego. Paraliż wprawdzie ustąpił, ale przy każdej zmianie pogody wuj odczuwał niedowład ręki i nogi. Zmuszony był wtedy leżeć. Ta bezczynność w okresie najgorętszych prac polowych doprowadzała go do białej gorączki. Klął, wściekał się, a nawet warczał na żonę. O gospodarstwo mógł być spokojny, bo Nina poprosiła pana Marcinkiewicza, by doglądał prac w Sarnikach. Zresztą ekonom i karbowy, wychowani przez wuja, umieli sobie radzić bez niego. Nina wiele razy przyjeżdżała i osobiście nadzorowała jakąś szczególnie pilną robotę. Jednak dla czynnej natury wuja Ksawerego choroba była prawdziwym krzyżem pańskim.

Pewnego dnia Nina przyjechała do Sarnik i z trudem wysiedziała obowiązkową godzinę, wysłuchując na przemian żalów ciotki, uskarżającej się na okrucieństwo Prusaków uparcie odmawiających Bini zezwolenia na wyjazd do rodziny, i na odmianę – wrzasków lub przekleństw wuja Ksawerego. Przypomniały się jej czasy, kiedy sama bywała ofiarą jego ataków wściekłości. Co prawda obecnie wuj okazywał jej szacunek i serdeczność, lecz pamięć o tamtych czasach pozostała w jej wspomnieniach wiecznie żywa i przykra. Znudzona i rozdrażniona zaczęła się żegnać, mimo iż ciotka Maria chciała ją zatrzymać na obiedzie. Odmówiła, tłumacząc się chorobą męża.

Wracała wolno topolową aleją, nie mogąc odzłować, że Binia nie przyjedzie w tym roku do Sarnik. Po drodze wstąpiła na plebanie i od księdza dowiedziała się, że braciszek Benon już zakupił broń i niedługo przybędzie z transportem do leśnego obozu. To była naprawdę pomyślna wiadomość, bo Aleks martwił się o niego i niecierpliwił. Zadowolona wsiadła na Mignon, ogryzającą z nudów żywopłot, i jechała stępą wzdłuż cmentarza, mijając po drodze starego dziada. Siedział pod murem, mając słomiany kapelusz nasunięty mocno na oczy. Spojrzała na niego przelotnie i odniosła wrażenie, że już go kiedyś widziała, ale na razie nie mogła sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach to się wydarzyło.

Potrząsnęła głową i cmoknęła ostrzegawczo na klaczkę, mającą ochotę sobie pobrykać. Jechała polną drogą pomiędzy łąkami dojrzewających zbóż. Nad zielonymi miedzami unosiły się roje pszczół pracowicie zbierających nektar z polnych kwiatów i ziół. Nie było wiatru i z bezchmurnego nieba prażyło jaskrawe słońce. Nina spociała się w wełnianej amazonce i zdjęła kapelusz, chłodząc nim wilgotną twarz. Odsunęła od siebie wszystkie przykre myśli, rozkoszując się samotnością i obcowaniem z naturą. Spod kopyt klaczy uciekały przepiórki, kuropatwy i bażanty, czasami śmignął zając.

Nareszcie mogła być spokojna o zdrowie męża. Aleks stanowczo czuł się lepiej, rany goiły się szybko, a krwotoki ustały. Miał znakomity apetyt i wyglądał o wiele korzystniej. Próbował nawet podnosić się z łóżka, ale był jeszcze za słaby, aby utrzymać się na nogach. Obserwowała z niepokojem jego uparte starania usamodzielnienia się, przeczuwając, że rychło znowu go straci. Próbowwała jeszcze łagodnie przekonywać go, aby wyraził zgodę na kurację we Włoszech, obiecując, że po całkowitym wyzdrowieniu

powrócą do kraju. Ale on kręcił przecząco głową albo zacinał się w gniewnym milczeniu, udając głuchego. Błagała go o wybaczenie, całując po rękach i przysięgając, że więcej nie powróci do tego tematu. Potem zaczynała rozmowę o jakichś błahych sprawach, żeby tylko go udobruchać.

Starła się cieszyć każdym dniem, obawiając się wybiegać myślą w przyszłość. Bezgranicznie wdzięczna Bogu za ocalenie męża, wymyślała choremu jakieś drobne przyjemności. Sama przygotowywała potrawy, na które miał ochotę, albo zapraszała z Brzezińca Zosię z synkiem, którego Aleks bardzo lubił i bawił się z chłopczykiem godzinami. Zdarzało się, że Mira i Emilka jednocześnie wracały z kurierskich podróży i zajmowały go opowiadaniem o swoich przygodach lub snuły marzenia o czasach, gdy kraj odzyska wolność.

Te letnie wieczory przy świetle lampy naftowej Nina zapamiętała do końca życia. Przez szeroko otwarte okna płynął do pokoju zapach ziół, żywicy i igieł sosnowych z pobliskiego lasu, a z ciemności wpadały do światła włochate ćmy i krążyły wokół lampy. Panie zajęte były szyciem odzieży dla powstańców, tylko Grabiszyna łuskała strąki fasoli. Na dywaniku przy łóżku leżał Grot i spał, posapując. Z kąta pokoju Walenty przysłuchiwał się rozmowie państwa, gotów natychmiast ją przerwać, gdyby pan poczuł się zmęczony. Światło lampy padało na kremowe firanki i śnieżnej białości pościel.

Nina westchnęła i otrząsnęła się ze wspomnień, bo Mignon szarpnęła głową. Poklepała szyję spoconej klaczki i popędziła ją cugłami. Mignon odwróciła głowę i łypnęła na nią ciemnym, złym okiem, jakby chciała powiedzieć: „A może byśmy się zamieniły miejscami?”. Nina zrozumiała wymowne spojrzenie ulubienicy i parsknęła śmiechem. Pogładziła grzywę klaczy i podała jej na osłodę kostkę cukru. Mignon zatańczyła w miejscu i niespodziewanie porwała się do szaleńczego galopu, przesadzając rowy i strumyki. Nina wcale jej nie wstrzymywała, upajając się pędem. Pochylona nad karkiem klaczy, szeptała jej do ucha najczulsze słowa zachęty.

Jaga, drylująca na ganku czereśnie na placek, najpierw usłyszała regularny galop konia. Potem spomiędzy drzew wypadła klacz z rozwianą grzywą. Siedząca na niej Nina ponaglała ją jeszcze głośnymi okrzykami. Mignon płynnym ruchem uniosła się nad ogrodzeniem i miękko jak piórko opadła po drugiej stronie.

– Maryjo Święta! – wrzasnęła Jaga, zasłaniając sobie oczy. – Dziecko, zabijesz się!

Ale Nina zeskoczyła lekko z siodła. Śmiejąc się, objęła szyję klaczki i całowała jej mięciutkie chrapy. Gładziła i poklepywała zwierzę, dziękując za wspaniały skok.

– Moja moja cudna konisia – szeptała pieszczotliwie, gładząc pysk Mignon.

Z pobliskiej jabłonki zerwała kilka papierówek i podała klaczy, wynagradzając ją za wysiłek. Mignon pochłonęła owoce w mgnieniu oka i rewanzując się, skubnęła swoją panią po głowie i liznęła w policzek. Z dworku wypadł Grot i zaczął obskakiwać Ninę, szczekając radośnie.

– Ja ci mówię, że kiedyś przez ciebie umrę! – prorokowała Jaga ponuro. – Tyle lat uczyłam cię, że dama nie powinna tak się zachowywać. Owszem, można jeździć konno, to należy do dobrego tonu, ale z wdziękiem i powagą. A ty jak ten kozak, prawie majtki ci widać spod amazonki.

– W takim razie zgodzisz się ze mną, że do jazdy konnej odpowiednie są spodnie – zauważyła Nina złośliwie.

Jaga wzniosła oczy ku niebu.

– Nina, jesteś panią hrabiną, nie dragonem! – oświadczyła zgorszona.

– Jak Alek się czuje? – Pochyliła się nad miską i zaczerpnęła z niej pełną garść czereśni, pakując je do ust.

– Dobrze się czuje, właśnie go Walenty goli. Kilka razy pan pytał o ciebie. Ale zanim wejdiesz do sypialni, bądź łaskawa i przełknij te jagody. Nie, nie bierz więcej, bo nie wystarczy na placek.

– Żałujesz mi czereśni? Wielka rzecz, jak zabraknie, wezmę drabinę i narwę ich, ile będzie trzeba. Zamierzacie robić z nich konfitury?

– Uhm – mruknęła Jaga i się naburmuszyła. – Pani hrabina ma zamiar łązić po drabinie? Doprawdy, budujący widok! – stwierdziła z przekąsem. – Nina, odpędź te psy, bo można ogłuchnąć.

Jej uwaga dotyczyła okropnego hałasu, który podniosły dworskie brytany, przyłączając się do szczekającego Grota. Razem narobiły takiego harmideru, aż uszy puchły. Z dworku wypadła Grabiszyna ze ścierką, a za nią dziewczyna kuchenna z miotłą. Chciały przepędzić psy, lecz one figlarnie chowały się za hrabinę, a potem wyskakiwały rozbawione, szczekając jeszcze głośniej.

– Cicho, kundle! – Nina tupnęła gniewnie. – Grot, marsz do domu, ale już! Nianiu, jestem wściekle głodna. Idę do Alka, a ty każ mi przygotować coś do zjedzenia.

Mówiąc to, z wprawą ulicznika splunęła pestkami z przeżutych owoców.

– Niedługo będzie obiad. Sądzę, że do tego czasu nie umrzesz z głodu – zemściła się Jaga i pochwyciwszy miskę z czereśniami, podreptała do kuchni.

Nina wzruszyła ramionami i pogwizdując, poszła odwiedzić męża. Aleks siedział na łóżku, a Walenty z uroczystym ceremoniałem golił go, namydliwszy mu całą twarz. Spod piany wyjrzały ku niej bursztynowe oczy. Uchyliwszy się przed brzytwą, Aleks powitał ją pytaniem:

– Witaj, promyczku, jakże Ksaweremu?

– Nieco lepiej – powiedziała, rzucając kapelusz i rękawice na lśniącą mahoniową komodę. – Niestety, wuj sam sobie szkodzi, zadręczając się chorobą. Biedna ciocia ma przy nim zajęcie przez cały dzień.

– Tak jak ty przy mnie. – Uśmiechnął się przekornie.

– Nieprawda, bo ty jesteś bardzo cierpliwym pacjentem. Za to powiem ci dobrą nowinę. Braciszek już załatwił sprawę w Krakowie i niedługo wraca. Proboszcz mi powiedział.

Aleks poruszył się podniecony, a w jego oczach rozbłysła radość. Walenty znowu musiał przerwać golenie, czekając, aż pan hrabia da mu znak. Jak przystało na dobrze wychowanego kamerdynera udawał, że nie ma go w pokoju.

– Brawo. Muszę powiedzieć Jasiowi, żeby przydzielił mu eskortę w drodze powrotnej. Czekam, aż z Galicji wrócą Siekielski i Soszkiewicz, bo biedny doktorek ma za dużo obowiązków.

– Posłuchaj tylko, czym mnie proboszcz uraczył – rzekła Nina, wyjmując z szafki buteleczkę z lekarstwem i przyrządzając miksturę. – Za pieniądze pana hrabiego Branickiego i ze składek wynajęto w Anglii statek Ward Jackson. Załadowano go bronią i amunicją, nawet armatami! Statek miał popłynąć do któregoś z portów litewskich i wspomóc tam powstanie, którym dowodzi twój przyjaciel, pan pułkownik Zygmunt Sierakowski. Ale flota wojenna w Rosji już była uprzedzona, bo ktoś zdradził, i kiedy Ward Jackson wpłynął do portu szwedzkiego w Malmö, władze szwedzkie zasekwestrowały ładunek i internowały załogę. Pan Sierakowski nie

doczeka się broni. – Mówiła to z nieśmiałą nadzieją, że Aleks w końcu zniechęci się do walki i nie wróci do powstania.

Doskonale zrozumiał jej intencję, bo uśmiechnął się trochę krzywo kącikiem warg, gdyż Walenty właśnie golił mu brodę.

– Może braciszek będzie miał więcej szczęścia niż Ward Jackson. Walenty, długo jeszcze tej męczarni?

Kamerdyner pośpiesznie dokończył golenia, umył pana, wytarł mu twarz ręcznikiem i z satysfakcją przyjrzał się swemu dziełu.

– Ośmielam się zauważyć, że golenie trwało dłużej, bo jaśnie pan hrabia był okropnie zarosnięty. Ale teraz to jaśnie pan pięknie wygląda! – pochwalił, sprzątając ze stoliczka miseczkę z wodą, kosztowną brzytwę oprawioną w kość słoniową i pędzel z bobrowego włosia.

– Doprawdy? Nie spodziewałem się usłyszeć tak miłego komplementu. Dziękuję. – Aleks z powagą obejrzał się w lusterku. – Hm... a tobie się podobam, promyczku?

– Dla mnie zawsze będziesz najpiękniejszym mężczyzną na świecie.

– Bo nie masz innego wyboru, biedactwo. Wzięłaś sobie starego dziada...

– Alek! – Wytargała go za mokre jeszcze włosy i pocałowała w wilgotny, chłodny policzek. – Ani słowa więcej, bo nie dostaniesz placka z czereśniami! – Położyła mu palec na ustach, a on go ucałował.

– E, co też jaśnie pan hrabia mówi?! – obruszył się Walenty. – Toć to najpiękniejszy wiek dla mężczyzny.

– No, jeśli oboje tak twierdzicie, to ja się nie upieram – zgodził się Aleks potulnie. – Niech Walenty poszuka mi tej kremowej koszuli kupionej w Paryżu i wyjmie mój szlafrok. Jutro spróbuję wstać.

– Absolutnie się na to nie zgadzam. Jesteś jeszcze za słaby – sprzeciwiła się Nina.

– Jutro wstanę! – oświadczył tak twardym, zdecydowanym tonem, że zamilkła.

Walenty wtulił głowę w ramiona i wymieniwszy z nią pełne dezaprobaty spojrzenie, na palcach wyniósł się z sypialni. Nina usiadła na brzegu łóżka i poprawiła poduszki.

– Mówiła mi ciocia, że Binia nie dostała pozwolenia na przyjazd do Sarnik. A tak się cieszyłam, że przyjedzie z dziećmi i nareszcie zobaczysz małą.

– Może lepiej się stało. Oboje dobrze wiemy, jak się powstanie zakończy. Niechże przynajmniej to dziecko będzie bezpieczne. Byłbym bardzo zadowolony, żebyś i ty została za granicą.

Pochyliła się nad nim tak nisko, że w jego źrenicach widziała swoje małe odbicie.

– O, mnie się tak łatwo nie pozbędziesz!

– Wiedziałem, że tak powiesz, pani hrabino – westchnął.

– Nie, Alku. Jestem sobie prostą, niewykształconą dziewczyną i nie nadaję się na wielką damę. Tylko kocham cię tak mocno, jak nikt inny.

– Nie mów tak, Nino. Jesteś kimś o wiele lepszym od salonowej damy, bo ty masz wielkie bohaterskie serce – powiedział, tuląc ją do siebie.

Jaś, zbadawszy go wieczorem, był bardzo zadowolony ze stanu swojego pacjenta.

– No, wodzu – powiedział, ostukawszy Aleksa – jeszcze odrobinę cierpliwości, a będziesz zdrow jak rybka.

– Nie chwal go tak, bo on grymasi i nie chce jeść! – oświadczyła Nina oskarżycielskim tonem, z chmurną miną stojąc przy łóżku.

– Bo nie lubię białego mięsa. Czy koniecznie musicie karmić mnie kurami? – bronił się Aleks.

– Musisz jeść to, co ci każę i wtedy, kiedy ci każę! – oświadczyła gniewnie. – Nie tylko grymasił przy obiedzie, ale jutro chce wstać!

– Nie możesz przez pięć minut zostawić mnie w spokoju? – Aleks gniewnie odepchnął tacę leżącą mu na kolanach.

– Nie! Obiecuję, że jeśli zechcesz wstać, to się pogniewamy! – zagroziła, coraz bardziej zdenerwowana.

– Przecież muszę się ruszać! Przez sześć tygodni leżałem jak kłoda!

Nina prychnęła i skierowała się ku drzwiom.

– Może ty, Jasiu, lepiej sobie z nim poradzisz. Ja już nie mam nerwów! – Wyszła i trzasnęła drzwiami, aż się wszystko zatrzęsło.

Usiadła na ganku, czekając, aż Jaś zakończy badanie i wyjdzie. Gdy się pojawił, pociągnęła go za rękę do sadu na rozmowę. Stanęli przy płocie, między rzędami rosnących tam krzaczków czerwonych porzeczek i agrestu. Zerwała kwiat malwy i bezmyślnie go skubała. Był cielistoróżowej barwy, jak najdelikatniejszy atlas sukni balowej. Westchnęła.

– Może mi powiesz, jak długo jeszcze będziemy wyrzucać fortunę na tę waszą pechową partię?! – odezwała się podniesionym głosem,

sprawdziwszy, że nikt ich nie słyszy. – To naprawdę nie jest zabawne. Obawiam się, że niedługo Rosjanie ponownie dobiorą się wam do skóry i broń, która kosztowała tyle pieniędzy, przepadnie. Gdybym te pieniądze rozdała pomiędzy chłopstwo, ogłoszono by mnie świętą! Po jakiego diabła płacimy podatki na ten, pożał się Boże, Rząd Narodowy? Wywołali powstanie, więc ich obowiązkiem jest dostarczenie żołnierzom broni. Jakbym miała mało zmartwień, to jeszcze Alek, zamiast się kurować, znowu wybiera się na wojaczkę! Z taką dziurą w płucach! – Jęknęła i oparła głowę na piersi Jasia. – Jezu, żebyś ty widział, w jakim stanie przywiozłam go do Zameczku. Dusił się, dławił krwią, umierał mi na rękach. O, nie daj mi, Panie Boże, po raz drugi przeżywać tego koszmaru. A jemu już wojenka w głowie!

Jaś przygarnął ją do siebie i gładził niedbale spleciony warkocz. Rozumiał ją lepiej niż inni, lecz nie znajdował rady.

– Siostrzyczko, mamy powstanie... – zaczął, lecz jego słowa wywołały tym gwałtowniejszy wybuch.

– Do diabła z tą przeklętą ruchawką! – wrzasnęła z pasją. – Tylko patrzeć, jak Rosjanie dowiedzą się o was i zwałą się wam na karki ze wszystkich stron. Sprowadzą armaty! Przecież jesteście zupełnie bezbronni wobec ich potęgi. Mam oddać męża na pewną śmierć?

– Ja również uważam, że Aleks powinien się dalej leczyć i nie wracać do oddziału, ale jak wiesz, on jest bardzo uparty.

– Misiu... – pochwyciła Jasia za rękę. – Błagam, pogadaj z nim, ty jesteś lekarzem i masz autorytet!

– Mówiłem, nawet posprzeczałyśmy się. Nino, powinnaś lepiej znać swojego męża. On nie zmienia zdania.

Kurczowo splotła obie dłonie i ruszyła przed siebie, a Jaś szedł obok niej, objąwszy ją w talii.

– To co mam zrobić? – Podniosła na niego oczy pełne rozpacz. – Przykuć go do łóżka łańcuchem?

– Uspokój się, kotku. – Jaś zmusił się do uśmiechu. – Aleks tak prędko nie wróci do sił, bo jest bardzo osłabiony. Niepotrzebnie się zadręczasz. Masz może inne zmartwienia? Ktoś cię skrzywdził? Powiedz tylko słowo, a porachuję mu kości!

– Zaczynaj od siebie! Wszyscy jesteście powodem mego zmartwienia. Kiedy Alek wyzdrowieje, możesz także i jemu sprawić lanie. To przez was

wylewamy łzy. To wy sprawiacie nam ból, idąc do walki bez nadziei na zwycięstwo. Powiedz mi, Jasiu, na co wy jeszcze liczycie? Dlaczego wzgardziliście amnestią, choć była to jedyna szansa na honorowe zakończenie tej masakry? Po co ten bezsensowny rozlew krwi i nowe ofiary? Wywołaliście burzę, a ona was pochłonie!

Stała i przyglądała się ponuro spokojnie skubiącej trawę Mignon.

– Kotku, jestem tylko prostym lekarzem. Nie znam się na polityce, ale to nie jest ruchawka, lecz walka o istnienie narodu. Demonstrujemy zbrojnie, iż nie godzimy się na zniewolenie. To nieważne, że powstanie przegramy, a może i jeszcze kiedyś następne. Najważniejszy jest rezultat końcowy – zdobycie niepodległości. Dlatego ja wierzę w zwycięstwo i walczę. Kosztem naszej krwi i waszych łez zmartwychwstanie kiedyś wolna Polska!

W milczeniu podniosła ku niemu oczy. Przyszło mu na myśl, że te oczy mają dziwny kolor – jak woda w górskim jeziorze, kiedy o zachodzie słońca kładą się na niej cienie.

– Jasiu, czy ty zdajesz sobie sprawę, jakie będą konsekwencje tego powstania? Boję się nawet myśleć, co nas wówczas czeka – szepnęła. – Śpiewacie butnie: „Hej, bracia, w imię Boże, Bóg nam dopomoże”, ale Bóg dopomaga tylko silnym, a my jesteśmy słabi i osamotnieni w walce.

– Ja także nie mam złudzeń, podobnie jak twój mąż. Ale jestem lekarzem i moim obowiązkiem jest niesienie pomocy potrzebującym. Poza tym składałem przysięgę i jestem żołnierzem. – Raz jeszcze objął ją i pocałował. – Wybacz, złotko, ale muszę jeszcze wstąpić do Sarnik, bo wuj Ksawery czuje się gorzej.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, szukając u niego pociechy i poczucia bezpieczeństwa.

– Jesteś taki kochany, braciszku. Cieszysz się na dziecko?

– Marzyliśmy o tym z Emilką. Tak, jesteśmy szczęśliwi, a mamusia jest w siódmym niebie i już robi na drutach kaftaniki.

Z uśmiechem spojrzała w stronę domu.

– Widziałam. Posłuchaj, misiu, nie pozwól Emilce narażać się w tym stanie. Ja sobie nigdy nie wybaczę, że tak lekkomyślnie narażałam się na przedwczesny poród i straciłam synka. Czy prosisz ją, żeby zrezygnowała z pracy kurierskiej?

– Nie...

Przez chwilę patrzyła na niego, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Jasiu, do kroćset! – zaklęła jak stary dragon. – Dlaczego nie kazałeś jej pozostać w domu?

– Ponieważ nie mogę jej tego zabronić. Ona również jest powstańcem.

Zgrzytnęła zębami i posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Na mózg ci padło? Jeżeli raz jeszcze powiesz coś tak głupiego, musisz się liczyć z bardzo bolesnym dźgnięciem łokciem pod żebro, rozumiesz? – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Skinął głową i zaśmiał się.

– Już się boję. Ale zwracam ci uwagę, że twoje zachowanie pozostawia jednak wiele do życzenia. Jak na panią hrabinę jesteś zbyt... hm... impulsywna.

– To wpływ twoich socjalistycznych broszurek! – odgryzła się złośliwie.

– Skąd czerpiesz tę pewność? Sama mi mówiłaś, że nie czytujesz już bajek. – Jaś uścisnął ją, przeskoczył płot i zniknął pomiędzy drzewami.

Postąpiła za nim, lecz usłyszała tylko coraz szybsze kroki konia, a potem Jaś ruszył cwałem. Wsparła się o płot, nie mając ochoty wracać do domu. Aleks z pewnością spyta, o czym rozmawiali. Pragnęła wyładować się w płaczu, ale jak na złość nawet płakać jej się nie chciało. „Jezu, co to za ludzie?!” – myślała o Jasiu i Emilce, podziwiając ich w duszy i jednocześnie potępiając. Ich postępowanie było dla niej kompletnie niezrozumiałe i całkowicie pozbawione sensu.

– Byłoby najrozsądniej, gdyby ci szaleńcy w Warszawie poddali się bez awantur – mruzczała pod nosem, wracając do dworku. – Lepiej powiesić kilku krzykaczy, niż dopuścić do ruiny kraju i śmierci tysięcy niewinnych ludzi, którzy dali wiarę głoszonym bredniom.

Była w tak złym nastroju, że nawet widok uśmiechniętej twarzy męża, który już zapomniał o sprzeczce, nie poprawił jej humoru. Nie czuła się przy nim swobodnie. Miała ochotę wykrzyknąć i wypłakać całą nagromadzoną w niej złość i rozpacz, mimo iż wiedziała, że to nic nie zmieni. Ale po jakimś czasie serce zabiło jej żywiej, gdy mąż zwrócił ku niej bursztynowe oczy i po prostu patrzył. Zauważywszy jej posepną minę, zatroskany, jął się dopytywać, dlaczego jest smutna. Nie odpowiedziała, tylko przykucnęła przy łóżku i w milczeniu gładziła jego jedwabiste włosy. Drętwiała z trwogi na samą myśl, że wkrótce on po raz kolejny pozostawi ją samą, ze złamanym sercem i nieopisaną tęsknotą. „Boże, nie pozwól, aby

mu się stało coś złego! Jezu, miej go w opiece!” – modliła się, tuląc głowę męża do piersi.

Przez kolejne kilka dni Nina była bardzo niespokojna. Coś ją dręczyło, lecz nie mogła sobie przypomnieć, co to było, chociaż wyteżała pamięć.

Po południu zaturkotała na podjeździe bryczka. Nina wyjrzała przez okno i z radością ujrzała w niej Mirę i Emilkę. Pani Salomea poprzedniego dnia wyjechała do Makowa, by doglądać szwaczek szyjących powstańcze mundury, i zamierzała wstąpić do Sarnik, żeby odciążyć nieco zmęczoną ciotkę Marię w pielęgnowaniu chorego wuja.

– Jak to dobrze, że przyjechałyście! – zawołała Nina, wybiegając na ganek.

Spojrzała na Emilkę i umilkła. Młoda kobieta była kompletnie załamana i z trudem powstrzymywała łzy. Panna Lutówna również miała minę pogrzebową i nawet nie pogłaskała Grota, który wybiegł im na spotkanie.

– Na litość boską, co się znowu stało? – wykrztusiła Nina, odruchowo oglądając się za siebie, jakby w obawie, że coś może zagrażać mężowi. – Chodźcie do sypialni.

W pokoju Mira bezsilnie opadła na krzesło, pociągając nosem. Aleks przypatrywał się jej skonsternowany.

– Dlaczego pani płacze, panno Miro? Proszę się uspokoić – powiedział nieco ostrzejszym tonem, bo nie znosił spazmujących kobiet.

Emilka pociągnęła Mirę za rękaw, chrząknęła i oznajmiła opanowanym, lecz zmienionym głosem:

– Wracamy z Borku. Przybył kurier ze strasznymi wiadomościami. Powstanie na Litwie upadło. Piętnastego czerwca stracono w Wilnie wojewodę i naczelnika powstania, pana pułkownika Zygmunta Sierakowskiego!

Trupio blady Aleks usiadł na łóżku, wpatrując się w kobietę szeroko otwartymi oczami.

– Co?! Zygmunt nie żyje?! – krzyknął, chwytając się za piersi. – To niemożliwe. Zygmus? Przecież pisał do mnie... Spodziewał się dziecka, był taki szczęśliwy!

Opadł na poduszki i zaniósł się chrapliwym kaszlem, a na jego wargach pojawiła się krew. Nina z okrzykiem przerażenia porwała się i podbiegła do

niego, unosząc mu głowę.

– Lód! Natychmiast przynieście lodu! – zawołała, dźwigając męża i podkładając mu pod plecy poduszki.

Wystraszony Walenty przybiegł truchcikiem, niosąc naczynie z lodem.

– Aleczku, błagam, tylko się nie denerwuj, bo sobie zaszkodzisz – prosiła, przykładając mu na piersi okłady, aby nie dopuścić do mocniejszego krwotoku. Z trwogą badała wzrokiem jego zmienioną twarz.

Spod rzęs posłała Emilce i Mirze gniewne spojrzenie. „Też wybrały sobie porę na podobne nowiny” – pomyślała ze złością. Straszna wiadomość o śmierci przyjaciela Aleks mógł przypłacić nawrotem choroby. Pod wpływem wzruszenia mogły mu się otworzyć rany w płucach, a to byłaby już katastrofa.

Emilka z nieszczęśliwą miną, patrzyła na dyszącego ciężko Aleksa i ratującą go rozpaczliwie Ninę.

– O Boże, tak mi przykro. Bardzo przepraszam – bąkała zmartwiona. – Nie sądziłam... Skąd mogłam wiedzieć, że panowie znali się osobiście?

Pociągnęła Ninę za rękaw.

– To my już pojedziemy. Pan hrabia koniecznie potrzebuje spoczynku.

– Właśnie! – warknęła Nina, obejmując męża.

– Nie. – Aleks otworzył oczy i dał znak, żeby pozostały. Kiedy kaszel ustał i krew przestała płynąć, wyszeptał z wysiłkiem: – Chcę wiedzieć wszystko, każdy szczegół! Trudno mi uwierzyć w jego śmierć. To był człowiek niezwykły, po prostu genialny, jak legendarny Sułkowski. Nikt go już nie zastąpi.

Nina usiadła przy nim i ująwszy jego rękę, gładziła ją delikatnie i przyciskała do ust, baczną na każdy grymas bólu pojawiający się na pięknej twarzy męża. Emilka uznała, że nie należy sprzeciwiać się choremu, i całkowicie już opanowana cichym, beznamiętnym głosem zaczęła opowiadać o losach Sierakowskiego.

Jego dzieje mogłyby śmiało służyć za wzór tragedii antycznej. On sam był żywym wcieleniem bohatera romantycznego, nowego Wallenroda, przyjmując za cel życia wyzwolenie ojczyzny. Już na studiach w Petersburgu stał na czele kółek samokształceniowych, przyjaźniąc się z rosyjskimi opozycjonistami. Aresztowany za próbę nielegalnego przejścia granicy, skazany został na osiem lat przymusowej służby wojskowej w karnym batalionie w Orenburgu, niedaleko Turkiestanu. Młody i zdolny

Polak prędko zdobył sympatię i szacunek przełożonych i kolegów. Zdecydował, że zostanie w wojsku. Do przyjaciela pisał otwarcie: „Muszę ukończyć akademię wojskową, aby zdobyć punkt oporu w armii zaborczej”.

Jego kompaniami w kółkach patriotycznych w akademii byli: Dąbrowski, Padlewski, a potem Bobrowski, późniejsi członkowie Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego. Przed wybitnie zdolnym oficerem otworzyła się droga do świetnej kariery wojskowej. Nadzwyczaj utalentowany, wszechstronnie wykształcony, stał się ulubieńcem dowódców rosyjskich, doceniających w pełni jego zdolności przywódcze i charyzmę, którą cieszył się wśród żołnierzy. Zyskawszy sympatię ministra wojny, hrabiego Milutina, wystąpił z projektem reorganizacji zacofanej armii carskiej, postulując zniesienie kary chłosty stosowanej w wojsku. Awansowany do stopnia pułkownika, był już dygnitarzem wojskowym i od rangi generała dzielił go tylko krok.

Car Aleksander II cenił go wysoko i przyjmował na audiencjach. Ale Sierakowski ani na moment nie tracił kontaktu z władzami konspiracyjnymi w Warszawie i opozycją rosyjską za granicą. Żonę wybrał sobie z gniazda gorących patriotów – Dalewskich. Czterej bracia Zygmunta byli członkami Rządu Narodowego na Litwie, a pani Apolonia z Dalewskich Sierakowska z całego serca popierała działalność męża. Kiedy w Królestwie Polskim wybuchło powstanie, Sierakowski nie wahał się ani chwili. Wyjechał na Litwę, pozostawiwszy ministrowi Milutinowi list pożegnalny i motywując w nim swój wybór.

W czasie Wielkanocy, gdy cała rodzina zebrała się przy świątecznym stole, Sierakowski ukląkł przed matką.

– Pobłogosław mnie na śmierć lub na życie – powiedział do niej, a pani Fortunata Sierakowska w milczeniu przytuliła głowę ukochanego syna do piersi.

Żegnając się z rodziną, zabronił w razie aresztowania starać się o swoje uwolnienie, grożąc, że to zmusiłoby go do popełnienia samobójstwa. Odjeżdżając do powstania, jeszcze wyskoczył z wagonu kolejowego i przybiegł do żegnających go matki i siostry.

– Niech mnie kochana mama pocałuje, tak jak się całuje syna po raz ostatni w swoim życiu. A ty jak brata.

Pod pseudonimem „Dołęga” objął funkcję naczelnika powstania na Litwie i Żmudzi. Rozstrzygająca bitwa, pod Madejkami koło Birż, trwała trzy dni.

Drugiego dnia Sierakowski został ciężko ranny. Kula strzaskała mu kość biodrową i uszkodziła kręgosłup. Cierpiał straszliwie. Niestety chcieli, że furgon z rannym naczelnikiem i eskortujący go wierni oficerowie wpadli w ręce nieprzyjaciela w czasie postoju we dworze Kościałkowskich. Rosjanie, nie przejmując się krytycznym stanem rannego, wynieśli go i wsadzili do powozu. Oficer rosyjski, von Grass, wskazując po drodze spalone wsie, zauważył zjadliwie:

– Patrzcie, ile nieszczęścia z waszej winy.

– Nie są nieszczęśliwi – odpowiedział hardo Sierakowski. – To nasiona litewskie, z których w przyszłości rozkwitną biało-czerwone kwiaty!

Rosjanie, wjeżdżając z rannym naczelnikiem do Wilna, manifestowali prawdziwy tryumf. Grały orkiestry wojskowe, a żołnierze krzyczeli: „Ura! Ura!”. Jeńcom wiezionym na wózkach wygrażano pięściami. Przed pałacem namiestnikowskim odprawiono uroczyste nabożeństwo prawosławne.

Car, przerażony masowym udziałem ludności wiejskiej w powstaniu, postanowił za wszelką cenę zdusić bunt na Litwie i pod naciskiem carowej wybrał do tego celu generała Michała Mikołajewicza Murawiewa, uważanego przez samych Rosjan za szubrawca i człowieka bez honoru. Ale carowa wierzyła mu i błagała ze łzami w oczach, aby szybko przywrócił na Litwie porządek. Murawiew wzorowo wywiązał się z powierzonego mu zadania, zyskując sobie złowrogi przydomek – „Wieszatel”. Już w pierwszym miesiącu rządów wydał osiemnaście wyroków śmierci, a pierwszym powieszonym był ksiądz Iszora, skazany za odczytanie z ambony dekretu Rządu Narodowego o zniesieniu pańszczyzny.

Murawiew nienawidził Sierakowskiego, ulubieńca takich dygnitarzy jak Pierowski, hrabia Milutin, księżę Suworow czy generał Wałujew. Car był człowiekiem chwiejnym, ale carowa posiadała bezlitosny germański charakter i rozkazała Murawiewowi jak najsurowsze rozprawienie się z buntownikami. Po krótkim, urągającym sprawiedliwości procesie Zygmunt Sierakowski został skazany na karę śmierci przez powieszenie. Aresztowano również jego żonę, spodziewającą się dziecka panią Apolonię, i teściową, panią Dalewską. Obie kobiety starały się najusilniej o uzyskanie audiencji u Murawiewa. Mimo zakazu Sierakowskiego pragnęły błagać generała o łaskę dla więźnia. Ale oczekiwane posłuchanie okazało się koszmarem. Kiedy pani Apolonia chciała przemówić, Murawiew

poczerwieniał z wściekłości, wpatrując się w obie kobiety z dziką nienawiścią.

– Uklęknij i proś! – rozkazał. – Tu proś! Tu! – brutalne żądanie poparł nieprzyzwoitym, plugawym gestem.

Pani Sierakowskiej świat zawirował w oczach. Moskał czekał.

– No?! – wrzasnął. Nagle wybuchnął przekleństwami, wygrażając paniom zaciśniętymi pięściami. – Suki! – ryczał. – Na kolana! Przyszłaś w żałobie? Ściągaj suknię! Rozbieraj się, ty suko!

Zaczął szarpać suknię na pani Apolonii, a potem uderzył ją w twarz. Starej pani Dalewskiej strącił laską kapelusz z głowy. Stara dama zemdląła i upadła na podłogę. Pani Sierakowska milczała, a potem z pogardą i obrzydzeniem splunęła Murawiewowi w twarz. Podniosła w półprzytomną matkę i obie wyszły, słysząc za sobą przekleństwa i wrzaski generała. Na rozkaz Murawiewa obie kobiety aresztowano i zakuto w kajdany. Żołnierze rosyjscy rumienili się, unikając spojrzenia pani Sierakowskiej – kobiety w zaawansowanej ciąży!

Za ułaskawieniem Sierakowskiego prosili wyżsi oficerowie rosyjscy. Minister Milutin i książę Suworow wstawili się za nim do samego cara. Postarano się o zmianę prezesa sądu wojennego w Wilnie. Aleksander II zadepeszował do Murawiewa, polecając mu ulżyć cierpieniom więźnia, lecz generał, pewny poparcia carowej, odpowiedział swojemu władcy jednym słowem: „Niemożliwe!”.

15 czerwca z koszar w Wilnie wyszły kompanie wojskowe i obstawiły plac Łukiski. Przez całe miasto maszerowały orkiestry, bijąc w werble i grając na piszczałkach. Skazaniec nie mógł się utrzymać na nogach ani usiąść. Powleczono go do dorożki, w której musiał oprzeć się na ramionach księdza i posługacza. Pod szubienicą stawiło się całe miasto, by pożegnać swego wojewodę. Sierakowski wysłuchał wyroku, stojąc na uginających się nogach. Murawiew mógł być dumny, bo wieszano przywódcę powstania w stanie wzbudzającym litość. Jednak Sierakowski nie stracił ducha. Wysłuchawszy wyroku, krzyknął na cały głos:

– Protestuję wobec całej Europy i świata! – Jego dalsze słowa zagłuszyły werble.

Kaci pochwycili go brutalnie i wciągnęli na drabinę. Jeden z oprawców kopnął go w kręgosłup. Skazaniec jęknął i odepchnął rękę kata, podającą mu śmiertelną koszulę. Powiedział: „Bądź wola Twoja” – a potem słowa

zagłuszone warkotem werbli: „Barbarzyńcy, mnie zabijecie, ale ducha polskiego nie zabijecie!”. Kat znowu kopnął go w zmiążdżone biodro i zarzucił mu pętlę na szyję. Ludzie z płaczem upadli na kolana, głośno odmawiając litanie za konających. Spod nóg wyrwano mu drabinę, ale ci, którzy stali bliżej szubienicy, mówili, że Sierakowski umierał całe pięć minut! Nie pamiętano tak bestialskiej egzekucji.

Pani Apolonia ciężko zachorowała. Nieustannie strzeżona przez strażników i akuszerkę, na rozkaz Murawiewa miała zostać natychmiast rozdzielona z noworodkiem. Postanowiono, że chłopiec zostanie oddany na wychowanie do rodziny rosyjskiej, a potem do szkoły kadetów. Dziewczynkę chciano wychować w Instytucie dla Panien. Dzieci nigdy nie miały się dowiedzieć o swojej narodowości ani tego, kim byli ich rodzice. Pani Sierakowska urodziła córeczkę. Gdy została zesłana, dziecko nie przeżyło ciężkich warunków i zmarło⁰⁹.

Pod koniec opowiadania o śmierci Sierakowskiego¹⁰ kobiety głośno płakały. Nina, trzymając dłoń męża, rozmyślała o tragicznych losach pani Sierakowskiej, stawiając się w jej położeniu. Zastanawiała się, czy potrafiłaby uczestniczyć w straszliwej, hańbiącej kaźni męża, patrząc na jego mękę i śmierć na powrozie. „Nie, nigdy!” – mówiła sobie w duchu. Prędzej dostałaby obłądu i odebrała sobie życie albo przyszłaby na egzekucję z dobrze ukrytym pistoletem i celnym strzałem zabiłaby ukochanego i siebie. Wzdrygnęła się, przejęta grozą. „O Matko Najświętsza, weź mego Alka pod swoją opiekę” – błagała całym sercem, tuląc jego rękę do ust. Był największą miłością, całym jej życiem i Pan Bóg nie może jej go odebrać. Zapewne Aleks odgadł, o czym rozmyślała żona, bo uśmiechnąwszy się do niej, mocno uściśnął jej palce.

Gdy Emilka i panna Lutówna odjeżdżały do Makowa, Nina odprowadziła je do bryczki i wróciwszy do sypialni, zamierzała porozmawiać z mężem. Ale on leżał na wznak, miał zamknięte oczy i regularnie oddychał. Wiedziała, że Aleks nie śpi, tylko udaje, pragnąc pozostać sam ze swoimi myślami. Śmierć przyjaciela była dla niego ciężkim ciosem, lecz taką miał naturę, że nie lubił dzielić się z nikim przeżywanym bólem. Jakiś czas Nina stała przy łóżku, wpatrując się w jego pobladłą twarz, ściągniętą cierpieniem, potem w milczeniu odeszła. Próbując wyciągnąć męża na zwierzenia, prawdopodobnie tylko by go rozdrażniła i mogliby się pokłócić, a tego nie chciała.

[09](#) Cała rodzina Dalewskich została zesłana, a jeden z braci – Tytus – rozstrzelany w 1864 roku.

[10](#) Losy pułkownika Zygmunta Sierakowskiego przedstawione zostały na podstawie książki Stanisława Strumph Wojtkiewicza – *Sierakowski*.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, Aleks postanowił wstać. Nina była nieco spokojniejsza, bo asystował przy tym Jaś. Przyjechał z samego rana, powiadomiony przez żonę o wczorajszym krwotoku hrabiego. Aleks, podtrzymywany przez Walentego i Tomka, z wysiłkiem podniósł się z łóżka i zrobił kilka kroków. Ta czynność tak bardzo go zmęczyła, że upadł na posłanie, dysząc i oburzając się na swoją nieporadność. Odpocząwszy, zapowiedział stanowczo, że po południu znowu spróbuje chodzić. Nina z przerażeniem patrzyła na jego chudą jak patyk figurę. Był bardzo wysoki i zdawał się szkieletem obciążonym skórą. Tylko twarz była pełniejsza, wydelikatniała, a po zgoleniu zarostu znowu była męska i piękna.

Kiedy wyczerpany wysiłkiem Aleks położył się i zasnął, Nina skinęła na Jasia i razem wyszli, przysiadając w sadzie na ławce pod jabłonką.

– Jasiu, czy on przypadkiem nie nabawił się suchot? – spytała z obawą.

– Wykluczone.

Odwrócił głowę i zobaczył nadchodzącą Grabiszynę. Niosła na tacy gliniany garnek pełen zimnego kwaśnego mleka z grubą kremową śmietaną. Rozbełtawszy mleko, nalała je do przyniesionych porcelanowych kubków. Jaś tak chciwie wypił mleko, że na jego twarzy pozostał biały wąs.

– Aleks nie był chory na płuca, tylko ranny. Teraz musi dużo i pożywnie jadać, żeby wzmocnić organizm. Podawajcie mu tłuste mleko, śmietanę, jajka i masło. Mięsne posiłki powinny być urozmaicone jarzynami, rybami i owocami. Jakie to szczęście, że mieszkacie na wsi, bo po miastach głodnawo i horrendalnie wyśrubowano ceny żywności.

Nina skinęła głową i zatroskana przyglądała się mu spod oka. Mimo opalenizny nie wyglądał dobrze. Miał zapadnięte policzki i głębokie cienie pod oczami.

– Ty także zmizerniałeś – zauważyła. – Przed wyjazdem dam ci bańkę śmietany, miód i masło.

– Czego ty ode mnie chcesz, młoda damo? – zachnął się, zirytowany jej badawczym wzrokiem.

– Martwię się o ciebie, misiu. Emilka mówiła, że kaszlesz po nocach. Pij kwiat lipowy i nie przemęczaj się. Obozu diabli nie wezmą, jeżeli przez kilka dni pozostaniesz w Makowie. Kumosia cię wykuruje. Tylko nie częstuj miodem chłopców i sam go zjedz.

– Co ty, do licha, wymyślasz? Przecież nic mi nie jest! – Był już wyraźnie zły, nie życząc sobie rozmowy na temat swojego stanu zdrowia. – Lekarza

chcesz leczyć?

Pieszczotliwie wytargała go za czuprynę.

– No, nie złość się, misiuniu. Obawiam się o ciebie. Przecież wiesz, że mój ojciec i ciocia Tekla zmarli na suchoty.

– Przepraszam, kotku. – Jego dobre niebieskie oczy, spojrzały na nią z wdzięcznością. – Mnie naprawdę nic nie dolega. To nie są suchoty, tylko taki chroniczny bronchit, nic groźnego. – Odetchnął głęboko i zaraz zaniósł się suchym kaszlem. Odchrząknął zażenowany i poczerwieniał. – Drobiazg, to minie. Nie mów nic Emilce, dobrze?

– Nie powiem, ale ty się lecz, braciszku. Niedługo zostaniesz tatą i musisz dla dziecka długo żyć. Ach, tak bym chciała zabrać Alka i ciebie nad Morze Śródziemne – westchnęła.

Po odjeździe Jasia zajrzała do męża i sprawdzwszy, że głęboko zasnął, gwizdnęła na Grotę i poszła na spacer. Minęła sad, martwiąc się, że w tym roku wskutek huraganu nie będzie urodzaju na wczesne owoce. Tylko czereśnie obrodziły i gałęzie drzew oblepione były czerwonymi owocami. Zerwała kilka garści i otworzywszy skrzypiącą drewnianą furtkę, wyszła na łąkę i powędrowała ścieżyną prowadzącą do lasu, marząc o chłodzie. Dzień był bardzo upalny i spociła się, bo ciemna suknia grzała jak futro. Na próżno zasłaniała twarz szerokim słomianym kapeluszem.

„Och, ugotuję się w tych kirach” – pomyślała rozgniewana, wycierając strumyki swędzącego potu spływające po twarzy. Od dnia śmierci wojewodziny znowu przywdziała żałobę, ale teraz postanowiła, że po powrocie do domu zacznie nosić letnie jasne sukienki, przynajmniej wtedy, gdy nie będzie gości. Grot odbiegł od niej, przystanął i obejrzał się z nadzieją, że pani rzuci mu patyk i zechce się z nim pobawić. Ale Nina nie miała głowy do zabawy i zmęczona upałem wlokła się w stronę lasu, szukając odrobiny cienia. W połowie czerwca nastąpiły takie upały, że pola żarzyły się blaskiem, kwiaty więdły i cichły ptaki. Przed nią błękitniały zagony lnu, płonęły złotem łubiny, różowiały hreczki. Z polnych łąków nawoływały się przepiórki i derkacze.

Minąwszy pole, zagłębiła się w las. Niedaleko płynął potoczek. Usiadła nad brzegiem i rozpięła stanik sukni, zsunęła pończochy i pantofelki, z rozkoszą wkładając stopy do chłodnej wody. Zdjęła z głowy kapelusz i położyła go obok siebie. Przeciągnęła ramiona, kładąc się na miękkim mchu. Nagrzana słońcem ziemia pachniała ziołami i leśnymi kwiatami. Po

korze drzew spływały bursztynowe krople żywicy. Pomędzy potężnymi pniami nie było przewiewu, więc Nina wzięła kapelusz i zaczęła się nim wachlować. Czuła się już zmęczona życiem w ciągłym napięciu i zniechęcona do wszystkiego. Gdyby powstanie nie wybuchło, posiadając tak wielki majątek, mogłaby egzystować po królewsku. Kupiliby śliczną willę na Côte d'Azur, z widokiem na góry i morze. Co rano pływaliby w nagrzanym słońcem słonej wodzie i odpoczywali, leżąc na pływającym piasku. Mogłaby sprowadzić tam Binię i córeczkę. Westchnęła z żalem, wpatrując się w zielone korony ogromnych drzew, a potem prychnęła, otrząsając się z rozkosznych marzeń.

„Akurat znalazłam sobie czas na fantazjowanie!” – skarciła się surowo. Miała tak wiele zmartwień, bo ostatnio faktorzy omijali Maków. Drogi były niebezpieczne i ostrożni, przewidujący Żydzi woleli nie ryzykować utraty zakupionych produktów i zaopatrywali się w majątkach położonych bliżej miast. Marszcząc z namysłem brwi, postanowiła, że jesienią nie będzie czekać, aż ktoś łaskawie zechce się zjawić. Sama zawiezie do miasta produkty rolne i sprzeda je na targowisku za niższą cenę niż Żydzi. I tak na tym więcej zarobi. Sprzeda także część opasów z Borka i owczą wełnę, nie czekając, aż wszystko rozgrabią rosyjskie wojska. Przymknęła oczy i odpoczywała w ciszy lasu. Grot ułożył się przy niej i wpatrywał się w swoją panią coraz bardziej sennym spojrzeniem.

Obudziła się dręczona niepokojem, wyobrażając sobie, że jest już bardzo późno. Mąż zapewne dopytywał już o nią. Pośpiesznie wciągnęła pończochy, nałożyła pantofelki i podniosła się ociężale, masując obolałe boki. Gwizdnęła na Grotę buszującego w pobliskich zaroślach i poszła w stronę domu. Idąc pomiędzy łanami zbóż, zerwała kłos pszenicy i roztała go w palcach; ziarna pachniały chlebem. Żeby nie huragan, urodzaj byłby wyjątkowy. Grot popędził przodem i czekał, goniąc w zbożu kuropatwy.

Przy furcie prowadzącej do sadu stał stary dziad, może żebrak, i ciekawie zaglądał do ogrodu. Na jej widok drgnął zaskoczony i skulił się, jakby nagle zmałał. Przypomniała sobie, że widziała go niedawno, siedzącego pod murem cmentarnym w Sarnikach. Odniosła wtedy wrażenie, jakby spod słomianego kapelusza, wciśniętego głęboko na oczy, dostrzegła błysk jego bystrych oczu. Grot, biegnący dotąd spokojnie przy jej nodze, nagle zjeżył sierść i głucho zawarczał.

– A czego tu szukacie? – zagadnęła, otwierając furtkę.

– Inom przechodził, zara se pójdę – odparł cicho, kłaniając się jej do kolan.

– Z daleka idziecie? – indagowała, przypatrując się mu uważnie.

– Spod Świętego Krzyża. Po prośbie chodzę, jaśnie wielmożna pani, a dobrzy ludzie wspomogą czasem ubogiego.

Grot podszedł do niego i obwąchał go nieufnie, nie przestając warczeć.

– Cicho, pies, do nogi! – Nina wzięła setera na smycz i powiedziała: – Może jesteście głodni albo spragnieni, to zajdźcie do czworaków. Tutaj nie stójcie, bo was psy dworskie pogryzą.

– Bóg zapłać, jaśnie pani – mruknął stary i odszedł, odprowadzany coraz zajadlejszym warczeniem Grota, który wyszczerzył kły, gotując się do ataku.

Przemocą wciągnęła psa za ogrodzenie i zamknęła furtkę, bo seter wyrywał się z jej rąk, chcąc się wydostać za parkan i popędzić za dziadem. Zachowywał się jak wściekły i Nina, rozgniewana jego oporem, wlepiła mu klapsa, pociągając go za sobą. Grot zapierał się czterema łapami o ziemię i dalej warczał z dziką furją. Zadyszana przystanęła, usiłując przypomnieć sobie, kiedy i gdzie widziała tego człowieka, bo że już go spotkała, tego była pewna. „Jezu, żebym mogła to sobie przypomnieć, może wtedy opuściłby mnie ten niepokój dręczący mnie od kilku dni”. Grot wiercił się i skomlił rozszalony, posyłając jej spojrzenia pełne wyrzutu. Przytuliła psa i pocałowała, przepraszając za klapsa i przemawiając do niego łagodnie.

Ciągle rozmyślała o spotkanym przy płocie dziadzie, zastanawiając się, czego chciał? Gdyby był głodny albo spragniony, poszedłby do czworaków, jak to było w zwyczaju, albo wstąpiłby do dworskiej kuchni, prosząc o chleb. Koło Zameczku jak dotąd nikt podejrzany się nie kręcił, dopiero dzisiaj ten stary. Ze względu na bezpieczeństwo męża Nina nakazała służbie zwracać na wszystkich baczną uwagę. Czego dziad szukał w Zameczku? Nie prosił o jałmużnę...

Weszła do sieni i spuściła Grota ze smyczy, wieszając ją na haczyku przy wejściu. Uchyliła drzwi do kuchni i ze ściągniętymi brwiami stanęła na progu. Jaga i Grabiszyna, zajęte przygotowaniami do kolacji, patrzyły na nią ze zdziwieniem.

– Coś ty taka blada, Ninusiu? – zainteresowała się niania. – Może brzuch cię boli? A mówiłam Grabiszynie, że gęś na obiad była twardawa! Pewnie ci zaszkodziła.

– Co za gęś? – Nina spojrzała na nią z roztargnieniem. – Nic mnie nie boli, tylko ten dziad...

– Jaki znowu dziad? – zdziwiła się Jaga i podała jej porcelanowy talerzyk, pełen poziomek z cukrem i śmietaną. – Jedz, dziecko, źle wyglądasz.

– Nie chcę. Jakiś obcy kręcił się koło sadu.

– I co z tego? Może miał ochotę na owoce?

– Nie. Głowę bym dała, że ja tego człowieka gdzieś widziałam, tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i kiedy to było. – Nina odstawiła talerzyk na stół i przespacerowała się po kuchni, potrącając po drodze dziewczynę kuchenną. Jej oczy i ściągnięta twarz zdradzały ogromne napięcie i skupienie.

– Kotku! – Jaga pogłaskała ją po policzku. – Jeśli dobrze cię zrozumiałam, nieoczekiwane spotkanie jakiegoś żebraka wprowadziło cię w popłoch? Kłębek nerwów został z ciebie. Mało to biedaków włóczy się po okolicy? Czego ty się boisz? Przecież mogłaś widzieć go gdziekolwiek. Przyszedł i poszedł sobie z Bogiem, a ty robisz z igły widły. Żyjesz w nieustannym lęku. Ach, Boże, idź do pana hrabiego, bo dopytywał się już o ciebie.

Wchodząc do sypialni, Nina poczuła w sercu taki ból, jakby przebił je sopel lodu. Wzdrygnęła się i przetarła dłonią czoło. „Już zupełnie głupieję” – zganiła się w duchu. Aleks siedział w łóżku, a na kołdrze leżała odłożona książka, którą poprzednio czytał. Grot podbiegł do niego i przednimi łapami wsparł się na krawędzi pościeli, machając ogonem i starając się polizać pana po policzku. Aleks pieszczotliwie podrapał go po głowie i połaskotał.

– A gdzież to moje śliczne dziewczątko tak łazikowało? – Wyciągnął rękę, przyciągając żonę do siebie. – Usiądź, stęskniłem się za tobą. Poza tym umieram z głodu, a sam jeść nie chciałem.

Przycupnęła przy nim i przybierając pogodną minę, pocałowała go w koniuszek nosa.

– Tylko dlatego za mną tęskniłeś? Mój biedny głodomorku, już nakryję do stołu. Walentemu kazałam posiedzieć w sadzie i wygrzać kolana na słońcu, bo go bolą, pewnie na słotę – opowiadała, przysuwając do łóżka okrągły stolik i nakrywając go białym obrusem. Ustawiła talerze i sztucce oraz wysokie szklanki do kompotu. – A na kolację będą młode ziemniaczki z

koperkiem i masłem, i smażone pstrągi. A potem kompot lub maślanka. Ale najpierw musisz wypić szklanę gęstej śmietany.

Aleks mlasnął językiem i poklepał się po zapadłym brzuchu.

– Ekscytujące! Słonko, co się stało? Masz taką niewyraźną minę...

„Że też nie potrafię nic przed nim ukryć” – pomyślała, zmuszając się do radosnego uśmiechu.

– Tak ci się tylko wydaje. Byłam z Grotem na spacerze w lesie i trochę się zmęczyłam, paradując w palącym słońcu w tej czarnej sukni. Aleczku, czy nie weźmiesz mi za złe, jeżeli zacznę nosić jasne sukienki? W tej czerni można się ugotować.

– Nigdy nie byłem zwolennikiem ubierania kobiet polskich w te okropne kiry. Jesteś młoda, śliczna, ubieraj się stosownie do swojego wieku. Gdzie idziesz?

– Umyję tylko ręce i zaraz każę podawać kolację. Tomek nałapał w strumyku raków i jutro będzie zupa rakowa. Potem wybrał się z dziewczętami z czeladnej do lasu, na grzyby i czarne jagody. Grabiszyna przebąkiwała, że zrobi pierożki z grzybami. Tak się cieszę, że apetyt ci dopisuje.

W alkierzyku nalała wody do miednicy stojącej na szafce i starannie umyła dłonie. Krzątając się, doszła do wniosku, że musi pogodzić się z faktem, iż nigdy nie przypomni sobie, gdzie widziała tego dziada. Chcąc uczcić dobry apetyt Aleksa, przyniosła z kredensu butelkę wiśniaku na rumie. Napęliła kieliszki alkoholem o barwie ciemnej purpury i podała jeden mężowi.

– Za twoje zdrowie, Aleczku.

Obserwował ją sponad wzniesionego kieliszka.

– A jednak tobie coś jest!

– Nieprawda! – Roześmiała się swobodnie. – Moje kocisko drzemało i coś mu się przez sen marzyło, i tyle!

Do sypialni weszła Grabiszyna, niosąc na srebrnej tacy półmiski z apetycznie pachnącymi daniami.

– Śmietanka dla pana hrabiego! – oznajmiła pogodnie. – Trzeba to wypić, Olesiu. – W chwilach troski zawsze zwracała się do swego mlecznego syna po imieniu.

Nina usiadła przy stole, krojąc potrawy i podając je mężowi. Jedli, żartując, sprzecząc się – kto zje więcej – i dogryzając sobie ze śmiechem.

Aleks był weselszy niż poprzedniego dnia. Widocznie zdołał się otrząsnąć po szoku, którym z pewnością była wiadomość o strasznej śmierci przyjaciela. Po kolacji Grabiszyna uprzątnęła ze stołu i dygnawszy, wyszła, życząc państwu dobrej nocy. Nina odsunęła stolik i przysiadła na brzegu łóżka. Aleks ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie, zaglądając jej w oczy.

– A teraz powiedz mi, promyczku, co cię martwi.

Podziwiała w duchu jego przenikliwość, spostrzegawczość i upór w dążeniu do odkrycia prawdy. Postanowiła jednak nie mówić mu o spotkanym starcu, aby nie niepokoić go swoimi urojeniami.

– No dobrze... – Udała, że ustępuje. – Martwię się o Jasia. Ma chroniczny bronchit, kaszle i wcale się nie szanuje. Tak łatwo może się nabawić suchot... – Sięgnęła po butelkę z wiśniakiem i nalawszy sobie pełen kieliszek, wypila go niemal jednym łykiem.

– Słonko, Janek jest lekarzem i lepiej od ciebie wie, jaki jest stan jego zdrowia. Posłuchaj, odstaw tę butelkę. O ile się nie mylę, to już trzeci kieliszek. Wstawisz się przed snem i przyśnią ci się koszmary. Ożeniłem się z dobrze wychowaną panienką, a resztę życia chyba spędzę z nałogową pijaczką!

– Przecież muszę czymś umilić sobie to życie – westchnęła żałośnie.

– Zwłaszcza że masz męża do niczego...

– Nie obrażaj mego męża. – Posłała mu piorunujące spojrzenie. – Jest zdumiewającym mężczyzną.

– Dziękuję za łaskawe uznanie. – Wsparłszy głowę o poduszki, obserwował ją spod przymkniętych powiek.

Nie mogła wytrzymać jego badawczego wzroku, więc wstała i poszła do kuchni. Powróciła, niosąc talerzyki z poziomkami.

– Zjedz jeszcze poziomki, Aleczku. Nasz doktor każe ci jeść dużo owoców, są zdrowe.

– Dobrze. Jutro wstanę silniejszy i znowu spróbuję chodzić.

– Jutro przewiozę cię do Makowa – podjęła głośno niespodziewaną decyzję.

– Do Makowa, dlaczego?

– W pałacu jest większy komfort i tam będziesz bezpieczniejszy. – Jej głos był chłodny i pozbawiony emocji.

– Cóż, może to i lepiej, tęsknię za domem – powiedział.

– Ja również. – Zaświeciła lampę naftową i usiadła przy Alku, biorąc do rąk powieść pana Balzaca *Jaszczur*. Jakiś czas czytała ją głośno, dbając, aby jej akcent francuski był nieskazitelny. Aleks słuchał z zamkniętymi oczami, zdając się zasypiać. Ale gdy umilkła, otworzył oczy i przyciągnął żonę do siebie.

– Dam ci coś na dobranoc – wyszeptał, ujmując jej głowę w obie dłonie.

Zbliżył usta do jej warg. Pocałunek był namiętny i tak długi, że Ninie zrobiło się gorąco i krew szybciej popłynęła w jej żyłach. Rozchyliła wargi i oddała mu pocałunek równie żarliwie.

– Boję się, żebyś nie wyszła z wprawy. – Uśmiechnął się przekornie. – Och, kochanie moje, tak bardzo pragnę trzymać cię w ramionach, kochać się z tobą, ale jeszcze jestem za słaby. Marzyłem, żeby znowu poczuć smak twoich ust. Dobranoc, moja ukochana.

– Kocham cię, najdroższy. Śpij dobrze.

Z dziko bijącym sercem weszła do alkierzyka. Wsparła głowę o ramę okienną i oddychała szybko, wciągając w płuca ciepłe, pachnące powietrze i mając pod powiekami obraz męża. Zapomniała o dręczących ją obawach, ogarnięta cichą radością. Podniosła głowę, wpatrując się w księżyc płynący nad sadem, lecz za moment przykryły go chmury i pociemniało. Powiał wiatr i na parapet okienny opadł pożółkły liść, niczym symbol przemijania. Rozbierała się wolno, przeciągając zmysłowo.

Ciągle czuła na ustach smak warg Aleksa, a w całym ciele słodką omdłałość. Dawno już nie żyli ze sobą jak żona z mężem i pragnęła go, ciesząc się, że szybko wraca do sił i nie trzeba już czuwać przy nim nocami. Położyła się na kozetce i niemal natychmiast zasnęła, uśmiechając się przez sen. Znajdowała się w różanej altanie obok Pauli rozmawiającej z kimś odwróconym do Niny plecami. Hrabina ignorowała jej obecność w sposób obraźliwy, udając, że jej nie zauważa, jakby miała koło siebie służącą, której obecność można tolerować w salonie, lecz nie wypada zwracać na nią uwagi. Rozgniewana jej arogancją Nina zerwała się, zamierzając opuścić altanę. Odchodząc, spojrzała na mężczyznę rozmawiającego z Paulą. On również powoli odwrócił ku niej głowę i Nina zdrętwiała. Martwy Rafał uśmiechnął się do niej przebiegle, a z wielkiej dziury na skroni spływał strumyk krwi...

Usiadła na łóżku, zupełnie przytomna i pełna nieopisanego przerażenia. Już wiedziała, kim był stary żebrak. Jej pamięć natychmiast z fotograficzną

dokładnością odtworzyła rysy starego Żabca, wykrzywione morderczą furią, i jego oczy, pełne obłądnej żądzy zemsty, kiedy zastąpił drogę Aleksowi na pogrzebie Pauli i Rafała. A teraz ten sam człowiek kręcił się koło dworku i zagląda do sadu. To nie był przypadek!

Wstrząśnięta okropnym odkryciem, siedziała na kozetce, trzęsąc się ze strachu. Potem bosą, na palcach, weszła do sypialni i spojrzała na męża. Leżał na wznak, rozłożywszy szeroko ramiona. Cały dom pogrążony był we śnie i w ciszy słyszała tylko regularne tykanie zegara odmierzającego godziny nocy. Spojrzała na jego tarczę i w słabym świetle nocnej lampki zauważyła ze zdziwieniem, że jest dopiero po północy. „Boże, jeszcze tyle godzin do świtu” – westchnęła, powracając do alkierzyka.

Postanowiła, że rano wywiezie męża z Zameczku. Miała do siebie pretensje, że nie uczyniła tego wcześniej. Pałacu w Makowie strzegli wysoki mur, stróże i psy. Była tam liczna służba, całym sercem oddana swojemu państwu. Można było ukryć rannego w głębokich lochach i innych kryjówkach. Postąpiła bardzo lekkomyślnie, pozostawiając męża tak długo w jednym miejscu. Ale skąd stary Żabiec mógł wiedzieć o obecności Aleksa w Zameczku? Jednak wiedział! Prawdopodobnie musiał ją śledzić i za nią trafił do dworku. Skuliła się na posłaniu i zaczęła odmawiać szeptem pacierz za dusze stracone w otchłań piekielną, choć wątpiła, czy to pomoże Pauli i Rafałowi, potępionym na wieki. Przypomniała sobie, że nazajutrz była rocznica tajemniczej śmierci obojga kochanków. Bała się zasnąć, lecz zmęczenie przemogło niepokój...

Kiedy ponownie otworzyła oczy, była jeszcze głęboka noc, a nad nią pochylała się Jaga, blada, z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

– Ubieraj się! – krzyknęła. – Na dziedzińcu pełno dragonów!

Nina zerwała się na równe nogi, narzucając na koszulę nocną lekki biały peniuar. Miała wrażenie, że dotknął ją paraliż i tylko jej umysł funkcjonuje normalnie. Nie czuła rąk ani nóg, a od serca rozchodziło się lodowate zimno. Rozbolił ją brzuch, a myśli pobiegły ku osobie męża. W otwartym oknie pojawiła się śmiertelnie blada twarz Tomka. Chłopak wskoczył do pokoju, trzymając w dłoni rewolwer.

– Moskale – wyszeptał. – Trzeba ratować pana.

Ze wszystkich stron słychać już było stąpanie wielu koni i głośnie komendy. Dworek otaczało wojsko, a ktoś dobijał się do drzwi. Myśli Niny były przeraźliwie przytomne. Bez namysłu jak wicher wpadła do sypialni.

Aleks już nie spał i leżał spokojnie, trzymając w dłoni odbezpieczony rewolwer, gotowy do strzału. Oczy miał szeroko otwarte, a jego usta tworzyły okrutną linię.

– Alek, uciekaj przez okno w alkierzyku! Tomek i niania wyprowadzą cię przez sad do lasu. Ja podpalę dwór i osłonię was ogniem – poleciała, podając mu spodnie i koszulę. – Śpiesz się, ukochany!

– Nie, jedyna moja, to już koniec. Nie zdołam dojść nawet do okna. Ratuj się, moja najdroższa, i pamiętaj, że musisz żyć dla dziecka. O mnie się nie troszcz. Żywego mnie nie dostaną, nie zobaczysz mnie na szubienicy. Obiecuję ci to!

– Ty musisz żyć! – wykrzyknęła z dziką rozpaczą, oszalałym wzrokiem rozglądając się po pokoju.

– Nie można żyć za wszelką cenę, kochanie. Uciekaj! Tomek, wyprowadź panią i opiekuj się nią – powiedział, uśmiechając się do niej.

Chłopiec spojrzał na Ninę, potem na swojego dowódcę i wolno potrząsnął głową.

– Nie zostawię pana naczelnika.

– To rozkaz! Jesteś młody i życie przed tobą.

– Nie można żyć za wszelką cenę. – Tomek powtórzył jego słowa i schował się w małej niszy, znajdującej się za wezgłowiem łóżka, przyczaiwszy się z palcem na cynglu rewolweru.

Nina przyklękła, objęła męża za szyję i pocałowała go w usta, mocno, z całej siły, na wieczne pożegnanie.

– Twój los będzie i moim – szepnęła mu do ucha.

Przesłała Tomkowi uśmiech i skinęła na struchlałą Jagę. Obie wyszły z sypialni, zamykając za sobą drzwi. W sieni stali już blada Grabiszyna i Walenty w samym tylko barchanowym kaftaniku i płóciennych kalesonach.

– Tomuś wyprowadził pana hrabiego? – spytał szeptem.

– Nie. Pan nie ma siły, żeby uciekać. Obaj będą się bronić do śmierci. Módlmy się o cud!

Drzwi wejściowe trzęsły się od potężnych uderzeń kolbami. Nina odsunęła od siebie trzymającą ją kurczowo Jagę i sama zaczęła zdejmować skoble, mówiąc głośno z nutą zniecierpliwienia:

– Już otwieram! Co to za hałasy po nocy? Przestańcie walić, bo drzwi uszkodzicie.

Pchnięte od zewnątrz drzwi rozwarły się z trzaskiem, o mało nie rozbijając jej głowy. Do sieni wpadło kilku dragonów, rozglądając się podejrzliwie. Cuchnęli końskim potem i brudem niemytych ciał. Nina cofnęła się z odrazą.

– Czego tu chcecie? – odezwała się, mierząc ich wyniosłym spojrzeniem.

Za dragonami wszedł oficer. Usłyszawszy jej pytanie, odpowiedział po francusku:

– Doniesiono nam, że w tym domu przechowywany jest ranny buntownik. Musimy przeprowadzić rewizję. Proszę nie utrudniać nam tego zadania, *madame*.

Wydawało się Ninie, że stoi na mrozie, bo całe jej ciało ogarnęło lodowate zimno. „Chryste, pozwól mi szybko umrzeć, żebym nie patrzyła na to, co się tutaj wydarzy” – modliła się bezgłośnie. Walenty miał oczy okrągłe ze zgrozy. Trząsł się cały, kłapiąc bezzębną szczęką, lecz nie myślał o sobie, sparaliżowany myślą o strasznej śmierci czekającej pana. Obok niego jak dwa posągi stały obie stare kobiety – Grabiszyna i Jaga – oraz dwie dziewczyny kuchenne. Wszyscy podskoczyli nerwowo, gdy z rąk kamerdynera wysunął się szklany lichtarzyk ze świeczką i rozbił się na drobne kawałki na kamiennej posadzce. Walenty prędko się schylił i podniósł palącą się dalej świecę.

Nina mocno zacisnęła dłonie i pomyślała, że jeśli nie potrafi się opanować i zdradzi się przed oficerem, będzie to wyrok śmierci nie tylko dla męża i Tomka, ale i dla wszystkich domowników. Musiała zachować spokój i godność do końca. Dragoni patrzyli wyczekująco na swego dowódcę i wszystkim udzieliło się napięcie. Pomimo obecności wielu ludzi w sieni panowała cisza. Przy nodze Niny stanął Grot i wpatrywał się w żołnierzy. Pysk miał zmarszczony cichą furią, a czarne wargi uniosły się bezgłośnie, odsłaniając długie kły. Gdyby Nina skinęła, skoczyłby dragonom do gardła i zginął w obronie domu swego pana. Ale ona łagodnym gestem położyła dłoń na głowie psa.

– Ktoś złośliwie wprowadził panów w błąd – odezwała się, patrząc oficerowi prosto w oczy i nie próbując myśleć, jak to wszystko się zakończy. – W tym domu nie ma miejsca dla buntowników. Jak pan widzi, dworek jest niewielki. Mieszkam tu z kilkoma starszymi domownikami i mam ciężko chore dziecko. Moja córeczka cierpi na konwulsje i jeżeli ją przestraszycie, dostanie drgawek i może umrzeć. – Wypowiedziawszy te

słowa, pożałowała, że nie ma tu córki. Miała cień nadziei, że może wzgląd na chore dziecko powstrzyma dragonów od natychmiastowej rewizji i przedłuży o kilka chwil życie męża.

Oficer nie spuszczał z niej wzroku. W jego oczach zalśniła iskierka podziwu dla jej urody i jakby litość. Stała przed nim wiotka, cała spowita w śnieżne fałdy jedwabnego peniuaru. Rozplecione we śnie włosy lśniąca falą opadały na jej ramiona i plecy, spływając aż do bioder. Była taka młodziutka, delikatna i bezbronna, taka kobieca, że mimo woli każdy mężczyzna pragnął przygarnąć ją do serca i chronić. Ale jej rysy zastygły w kamienną maskę, zaś w oczach miała wyraz gracza, który cały swój majątek postawił na jedną kartę.

– Bardzo pani współczuję, *madame* – rzekł uprzejmie oficer. – Postaramy się nie robić hałasu, jednak dom przeszukać musimy. – Złożył jej ukłon, jakby przepraszając za nocne najście.

– Ależ proszę, szukajcie panowie. Nie mamy nic do ukrycia – odparła, opierając się plecami o drzwi sypialni.

Oficer wydał kilka rozkazów. Dwóch dragonów pozostało w sieni, a dowódca, prowadzony przez Grabiszynę, chodził po dworku, otwierając kolejno drzwi do bocznych pokoi i schowków. Na podwórzu dragoni przeszukiwali stodoły i mieszkania służby dworskiej, zaglądając w każdy zakątek. Zaraz rozległy się krzyki ludzi, brutalnie wyrzucanych z izb. Stróżujące brytany z wściekłością rzuciły się na żołnierzy i padły zastrzelone. Słyszając huk, Nina zaczęła się ponownie cicho modlić, a Grot zaskomlił i przytulił się do jej nóg.

Walenty pobiegł za oficerem, proponując mu wino i zakąskę. Jego siwe włosy srebrzyły się w blasku świecy, a drżące łydki telepały się w nogawkach płóciennych kalesonów. Potykał się na troczkach wlokących się za nim, próbując dotrzymać kroku oficerowi. Lecz ten nie dawał się skusić, szorstko odsuwając staruszkę na bok i idąc dalej. Nina trzęsła się od wewnętrznych dreszczy, dłonie i stopy miała zimne, bolał ją brzuch i czuła nudności. Nerwowo przełykała ślinę, wyobrażając sobie, co w tym momencie musi przeżywać Aleks, leżąc bezsilnie w łóżku i żegnając się z życiem, z nią i z dzieckiem, którego nie dane mu było zobaczyć. Wiedziała, że zbiera siły do ostatniej walki. Biedny Tomek także oczekuje na śmierć. Ile czasu mogą się bronić? Minutę, dwie... Potem obaj zginą zastrzeleni, rozniesieni na szablach rozjuszonych dragonów. Ale pierwszy zginie oficer!

Poczuła jakby cień żalu, bo był uprzejmy, miał uczciwą twarz i w widoczny sposób okazywał jej szacunek.

Jedyną jej pociechą była myśl, że Aleks nie odejdzie sam z tego świata, bo ona towarzyszyć mu będzie w ostatniej drodze w nicość. Nie miała już żadnej nadziei na ratunek, nie wierzyła, że wydarzy się cud, choć modliła się o to z całej duszy, ze wszystkich sił. Wsparta plecami o drzwi sypialni, czekała biernie, gotowa umrzeć na tym progu, jak wierny pies. Zanim dragoni wtargną do sypialni, aby zabić męża, najpierw muszą przejść po jej trupie. Rewizja niemal dobiegła końca, a do niej podszedł zakłopotany oficer.

– Przykro mi, *madame*, lecz muszę zajrzeć również do tego pokoju – powiedział i spostrzegł ze zdumieniem, jak jej ogromne oczy rozplomieniają się nagle, stając się świetliste i nieopisanie piękne.

– Panie... – powiedziała cichym, zdyszonym głosem. – Panie, tam jest tylko małe chore dziecko! Przysięgam na moją duszę. Nie wchodźcie tam – błagała, patrząc mu w oczy i nie ruszając się z miejsca.

Zawahał się, nie wiedząc, jak usunąć z drogi tę uroczą przeszkodę. Nie miał śmiałości, żeby jej dotknąć, i patrzył na nią, widząc w jej szeroko rozwartych źrenicach blask świeczki.

– *Madame*, nie chcę używać wobec damy przemocy. Proszę usunąć się od drzwi. Obiecuję, że zachowam się bardzo cicho i dziecka nie przestraszę. – Tym razem mówił po rosyjsku, bo żołnierze, nie znając francuskiego, zaczęli się mu podejrzliwie przypatrywać.

Pod wpływem jakiegoś impulsu Nina pochwyciła jego rękę i z całej siły ją uścisnęła.

– Niech pan tam nie wchodzi. Błagam... – wyszeptała ochryplym, łamiącym się głosem.

„Posłuchaj mnie! – myślała, czując, że po twarzy spływają jej krople lodowatego potu. – Okazałeś mi litość, nie chcę widzieć, jak padasz z głową rozwaloną kulą”.

– *Madame*, ja muszę tam wejść! Proszę ustąpić, bo żołnierze się nam przyglądają – ostrzegł i odsunawszy ją delikatnie, przeszedł obok, odwracając głowę, by nie patrzeć w jej pełne dzikiej rozpacz i łez oczy.

Wsparła się mocniej o ścianę, bo nogi załamywały się pod nią i patrzyła, jak oficer cicho uchyla drzwi i na palcach wchodzi do sypialni. Z zamierającym sercem czekała, kiedy w pokoju rozlegną się strzały i dragoni

runą do wnętrza, przebijając ją szablami. Gotowała się na śmierć i zdawało się jej, że ściany sieni rozstępują się i widzi przed sobą jasną smugę księżycowego blasku. Ktoś mocno chwycił ją pod rękę i podtrzymał. Jak przez mgłę dostrzegła stojącą obok Jagę. „To dobrze, razem umrzemy” – pomyślała, kreśląc nieznacznie na piersi znak krzyża. Nie miała już siły, żeby się modlić, i przez długą jak wieczność chwilę domownicy oczekiwali huku strzałów i wrzasku dragonów rzucających się do ataku.

Za jej plecami skrzypnęły drzwi. Z sypialni wyszedł oficer i skłonił się jej nisko, bardzo nisko. Ujął i ucałował jej bezwładną rękę. Oстрыm spojrzeniem obrzucił czekających w milczeniu żołnierzy.

– Gdzie jest ten stary dziad, który nas tutaj przyprowadził? Okłamał mnie, bo w tym domu nie ma żadnych buntowników. W sypialni leży bardzo chore dziecko, które przestraszyliśmy. Odszukać tego starego i natychmiast powiesić! Pewnie jest w zмовie z buntownikami i może chciał nas wprowadzić w zasadzkę – powiedział to takim tonem, że wachmistrz wypadł z sieni jak wystrzelony. Ale po chwili powrócił, bezradnie rozkładając ręce.

– Melduję pokornie, że to bydlę uciekło, proszę waszej wielmożności. O, ten stary od razu mi się nie podobał, bo mordę miał wredną. Wolał nie czekać na karę. A może spalić ten dwór, a mieszkańców zabrać do Radomia? Kto wie, czy nie byli w zмовie.

– Milcz, durniu! – ryknął na niego oficer. – Chcesz spalić dom niewinnych ludzi? Trzeba się rozejrzeć po okolicy. Na koń! – rozkazał i pośpiesznie wyszedł z dworku, nie spojrzawszy więcej na osłupiałych domowników.

Przez jakiś czas na dziedzińcu słychać było głosy komend, dźwięki trąbki i stąpanie koni. Stopniowo hałas się oddalał, głosy milkły i wkrótce cisza nocna na powrót objęła dworek wtulony w gąszcz lip.

Pod Niną nagle ugięły się kolana i bezsilnie osunęła się na posadzkę. Jaga i Walenty dźwigali ją, lecz ona leciała im przez ręce, nie mogąc ustać na nogach. Trzęsła się cała po przeżytych potwornym strachu. Drżał w niej każdy nerw, każda żyłka. Czuła się jak człowiek, który spadając z ogromnej wysokości, przeżył w locie własną śmierć i zamiast roztrzaskać się na twardej ziemi, wylądował na miękkim puchowym posłaniu. Szok był zbyt silny na jej stargane nerwy.

– Córeńko, Pan Bóg sprawił cud! – łkała głośno niania. – Idź do pana i uściskaj go.

Na wspomnienie męża Ninie powróciły siły, gorąca krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Wbiegła do sypialni, oświetlonej tylko drżącym światłem wiecznej lampki przed figurą Chrystusa. Uklękła przy łóżku, obejmując Aleksa. Miał przymknięte oczy i poruszał ustami, jakby szeptał coś do siebie. Nad górną wargą i na czole perliły się mu kropelki potu, a na lewym policzku drgał nerwowo mięsień. Kiedy go dotknęła, pochwycił ją z niezwykłą siłą i obsypał pocałunkami, zdławionym głosem wymawiając jej imię. Jeszcze nigdy tak jej nie całował, podnosząc obie dłonie do ust i ściskając je, jak dziecko, które za coś bardzo dziękuje.

– Tak ogromnie cię kocham, moja żono – szeptał pomiędzy szalonymi pocałunkami. – Moja jedyna miłości, moje życie, mój najwierniejszy przyjacielu.

Oderwała wargi od jego ust i uniosła mu głowę. Wpatrywali się w siebie z czułością, zamykając w spojrzeniu całą swoją miłość.

– To był cud, prawda, Alku? – wyszeptała, zamierając na myśl, że mógł już nie żyć. Mogli nie żyć oboje.

– Raczej szczęśliwe zrządzenie losu.

– Nie rozumiem, dlaczego...?

– Dlaczego on nie przywołał dragonów, a ja go nie zastrzeliłem?

– Aha! – W jej oczach, napełnionych jeszcze łzami, malowała się ogromna radość.

Na ustach Aleksa pojawił się lekki uśmiech, choć ślady niedawnego przeżycia wciąż były widoczne w jego oczach. Nina wpatrywała się w niego chciwie, gładząc miękkie włosy rozsypane na poduszce. Dotykała palcami szczupłych policzków i czoła, przekreślonego łukami ciemnych brwi, jakby chciała się upewnić, że to nie złudzenie, lecz rzeczywistość. Aleks żyje, nie zginął i żyć będzie dla niej i dla dziecka! Po raz pierwszy pomyślała o córce jako o części jego ciała.

– Niech Pan Jezus błogosławi temu dobremu Rosjaninowi. Niech mu Matka Boska wymodli długie, szczęśliwe życie. Za twoją głowę, ukochany. Nie mogę uwierzyć, że ocaleliśmy.

Usłyszeli ciche pochlipywanie. To Tomek, skulony za łóżkiem, płakał.

– Synku, chodź do nas! – zawołał Aleks, przygarniając chłopca do piersi.

– Słyszałem, Nino, jak broniłaś wstępu do pokoju, zasłaniając drzwi

własnym ciałem. Kiedy ten oficer wszedł, naciskałem już cyngiel. Całe szczęście, że światło lampki padło mu wprost na twarz i to go ocaliło. Nas również! Zdążyłem tylko zawołać, żeby Tomek nie strzelał. Bo ja dobrze znałem tego oficera. Był kornetem¹¹ w moim pułku. Razem należeliśmy do tajnego związku wojskowego. Często nawet u mnie bywał i jego nazwisko z pewnością figurowało na liście Pauli. Nie był zamożny, zadłużył się i musiał odejść z elitarnego gwardyjskiego pułku. Gdzieś go przenieśli i potem już go nie widywałem. Kiedy nagle wszedł do pokoju, byłem kompletnie zaskoczony. Nie mogłem z zimną krwią zastrzelić dawnego kolegi. Ale on także mnie poznał, gdy tylko wymówiłem jego imię. Uścisnął mi rękę i kazał leżeć spokojnie. Położył palec na ustach i wyszedł. Ot i cała historia. Uratował nam życie, bo ja i Tomek zginęlibyśmy, a ty, biedactwo, i nasi domownicy poszlibyście na Sybir.

– Nie, kochany... – Uśmiechnęła się smutno. – Ja poszłabym za tobą.

Pod wpływem strasznego przeżycia, kiedy była na granicy życia i śmierci, zwróciła się do męża z dziwaczną prośbą:

– Przrzeknij mi coś...

– Wszystko, co zechcesz, ukochana.

Przysunęła się bliżej, wpatrując się w jego oczy.

– Przrzeknij, że gdyby się coś stało... – Głos jej załamał się i objęła go kurczowo. – Gdyby, no wiesz, to nie zostawisz mnie tu samej.

– O czym ty mówisz?! – zawołał, przejęty trwogą.

– Błagam, gdyby coś z tobą... Przysięgnij, że mnie samej nie zostawisz! Że zabierzesz mnie z sobą, bo ja nie chcę żyć bez ciebie.

– Ależ to szaleństwo! Nigdy! – wykrzyknął, ściskając z całej siły jej dłoń.

– Nie odmawiaj mi, proszę... – Naraz się załamała i wybuchła rozdzierającym płaczem.

Ujął jej głowę i lekkimi pocałunkami osuszał łzy spływające obficie po policzkach.

– Nino, stamtąd już się nie wraca – powiedział stanowczo. – Co za ponure myśli cię nawiedzają? Żyjemy i to jest najważniejsze! Tomku, zachowałeś się, jak na polskiego powstańca przystało. – Uścisnął mu rękę i ucałował zmieszanego chłopaka. – Poświęciłeś się, synku, chcąc zginąć razem ze mną. Jestem z ciebie dumny! Kiedy skończy się powstanie, zadbam, żebyś stał się rzeczywistym członkiem naszej rodziny. Powiedz, czy masz jakieś życzenie?

– Tak... – Tomek poczerwieniał z zadowolenia i dumy. – Proszę, aby mnie pan naczelnik nigdy od siebie nie oddał.

– Zgoda. A teraz idź i rozejrzyj się, czy dragoni naprawdę odjechali i czy ktoś nie kręci się w pobliżu. Sprawdź, czy ludziom nie stała się krzywda.

Zanim uszczęśliwiony chłopak wybiegł z pokoju, Nina objęła go mocno i ucałowała.

– Jesteś bardzo dzielny, Tomeczku, nigdy nie zapomnę twego poświęcenia. Dziękuję ci.

W całym domu rozlegały się radosne okrzyki domowników. Nikomu nie mogło pomieścić się w głowie, że Moskale odeszli, nie paląc i nie zabijając. Nina postanowiła utrzymywać ich w mniemaniu, że wydarzył się cud, bo sama w to wierzyła. Powiedziała, że oficer ulitował się nad rannym powstańcem. Jedna tylko Jaga posłała jej wiele mówiące spojrzenie, lecz przezornie milczała. Nina bardzo prędko ochłonęła z podniecenia i uznała, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło, dopóki stary Żabiec żyje. Co prawda uciekł, ale mógł powiadomić pierwszy napotkany patrol lub złożyć donos kozakom na rogatce, że w Zameczku ukrywa się ranny powstaniec. Nie ulegało wątpliwości, że byli śledzeni. Czuła to podświadomie od chwili, kiedy zobaczyła starego siedzącego pod cmentarnym murem. Spałaby spokojniej, gdyby wiedziała, że jakaś dobra dusza wysłała łotra na tamten świat. O swoich obawach postanowiła powiadomić Aleksa. Wysłuchał jej ze zdumieniem.

– Ale skąd on mógł o mnie wiedzieć?

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć – mruknęła, ściągając brwi. – Kochany Grot wyczuł tego nędznika i o mało go nie rozszarpał na strzępy.

– Nie rozumiem, dlaczego ten człowiek tak mnie nienawidzi.

– Bo jest przekonany, że to ty zabiłeś Paulę i Rafała. – Umilkła i dodała szeptem: – Nie byłam lepsza od niego...

Wrócił Tomek i oznajmił, że wojsko naprawdę odjechało, a w pobliżu nikt podejrzany się nie kręci. Na szczęście ludzie także nie ucierpieli, zastrzelono tylko psy.

– Jeszcze tej nocy musimy przewieźć cię do Makowa – oznajmiła Nina, rozpatrzywszy się w sytuacji. – Trzeba sprowadzić karecię.

– Ja pojadę! – natychmiast ofiarował się Tomek. – Wrócę piorunem!

Nina posłała mu ciepłe spojrzenie i potargała pieśczośliwie jego bujną jasną czuprynę.

– Ty będziesz strzegł pana naczelnika. Ja sama pojedę do Makowa.

– Po nocy? – zaprotestował Aleks. – Nie zgadzam się! Możesz wpaść na patrol kozacki.

– Najszybszym koniem jest moja Mignon, a ona zrzuci każdego. Tylko jeden Maciek jeździł na niej, a on jest na Łysej Polanie. Obiecuję, że będę bardzo uważać, bo mam dosyć wrażeń jak na jedną noc. Walenty, proszę przygotować pana do drogi. Nianiu, dopilnuj, żeby w Zameczku nie pozostały żadne ślady po rannym panu. Uprzątnijcie bandażę, szarpie i płótna oraz lekarstwa, posprzątajcie pokój. Jakie to szczęście, że Grabiszyna nie straciła głowy i wszystkie podejrzane rzeczy wpakowała do beczek z kiszonymi ogórkami. Bądźcie czujni, bo cuda dwa razy z rzędu się nie zdarzają.

W alkierzyku ubrała się pośpiesznie, wydając jeszcze przez przymknięte drzwi polecenia. Włożyła spodnie, kurtkę i okręciła warkocze wokół głowy, żeby nie przeszkadzały jej podczas jazdy. Gdy wyszła, gotowa do drogi, Jaga skrzywiła się, obrzuciwszy ją krytycznym spojrzeniem.

– A fe! Nie masz amazonki?

– Owszem, ale nie myślę przewracać się na trenie. Na koniu jeżdżę po męsku. Nianiu, zrozum, że czasy słodkich, delikatnych i mdlejących dam minęły. Trwa powstanie! Aha, niech Grabiszyna zapowie ludziom, żeby trzymali języki za zębami, a obcych niech pędzą precz!

– Nino, ja... – Aleks zamierzał coś powiedzieć, lecz ona zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Cicho, ty marudo! – Zaśmiała się i wybiegła, aby osiodłać klaczkę.

Po chwili do uszu domowników dotarł odgłos pędzącego cwałem konia.

– Kozak, nie dziewczyna – utyskiwała półgłosem Jaga. – W kogo ona się wdała? Świętej pamięci jej matka była posłusznym, cichutkim jak myszka stworzeniem. – Tak zrzędząc, niania w głębi serca była niezmiernie dumna ze swojej wychowanki.

Mignon mknęła naprzód i tylko wiatr świstał w uszach amazonki. Nina pędziła, jakby ją diabeł gonił. Naprawdę gnał ją niepokój o bezpieczeństwo Aleksa. Nie wierzyła, że stary Żabiec zniechęci się niepowodzeniem. Pochylona nad karkiem klaczy, ponaglała ją głosem i naciskiem kolan. Płytkie rowy klacz przesadzała potężnym szczupakiem i leciała jak ptak

przez polne ścieżki i leśne przecinki. Chrapała ze zmęczenia, lecz nacisk kolan pani zmuszał ją do utrzymywania jednakowej prędkości. Nina z trwogą liczyła wiorsty dzielące ją od Makowa. Zatrzymała się na moment dopiero przed boczną furtą, otwierając ją własnym kluczem, i wskoczywszy ponownie na siodło, popędziła przez park cienistą aleją. Wjechała na otwartą przestrzeń i ściągnęła raptownie cugle, wpatrując się jak urzeczona w pałac. Stał cichy i cały skąpany w świetle księżyca wyglądającego spoza chmury. Na tle ciemnej gęstwiny drzew, wsparty na smukłych kolumnach, prezentował doskonale proporcje budowli. Wysokie okna tajemniczo połyskiwały szybami, a szerokie tarasy pełne były egzotycznych roślin. Ogarnęła dom spojrzeniem pełnym miłości i zachwytu. Tylko tutaj czuła się bezpieczna, bo mury pałacu dodawały jej sił, jak niegdyś Matka Ziemia Anteuszowi¹². Poza Makowem była nieszczęśliwa i bezradna. Patrzyła na swój dom z miłością, a lekki nocny wiatr rozwiewał jej włosy nad czołem. Zmęczona Mignon parsknęła, a ona oprzytomniała.

Mijając pełne kwiatów rabaty, zbliżyła się do pałacu. Ukochany dom! Podjechała przed ganek i zeskoczywszy z konia, zaczęła dobijać się do drzwi. Dopiero po dłuższym czasie posłyszała człapiące kroki zaspanego Pawła. Wpadła do sieni i widząc, że chłopak na widok pani stanął z rozdziawionymi ustami, rzekła podniesionym tonem:

– Niech Paweł nie stoi jak słupek, tylko odprowadzi Mignon do stajni i obudzi pana koniuszego. Powiedz mu, niech natychmiast zaprzęga do karety i zajedzie przed dom! – rozkazała.

Gdyby nie strach o Aleksa, padłaby chyba z wyczerpania. Rzuciła się na fotel i dyszała, zmęczona szaloną jazdą. Na galerii pokazała się pani Salomea, a przy niej Emilka, obie zbudzone ze snu, w nocnych czepkach i niedbale narzuconych szlafrokach.

– Nina? O Boże, czy pan Aleksander... – Przerażona starsza pani przechyliła się przez balustradę.

– Nie, Alkowi nic nie dolega, ale mieliśmy niezapowiedzianą wizytę dragonów – odparła Nina i krótko wspomniała o dramatycznych wydarzeniach. – Jaś w domu?

– Ukrył się, bo nie wiedzieliśmy, kto puka. – Emilka podkasała szlafrok i pobiegła zawiadomić męża o przyjeździe Niny.

Ale on posłyszał jej głos i sam wyszedł z kryjówki.

– Serwus, kiciu! – powitał ją, schodząc do sieni. – Zaraz się ubiorę i pojedziemy razem. – Ziewnął, przemagając ogarniającą go senność. – Aleks musi mieć przy sobie lekarza, bo nie wiadomo, jak zniesie wstrząsy w podróży. Nasze drogi to nie Pola Elizejskie¹³.

Przybiegła pani ochmistrzyni, również w neglizu, pytając, co się stało. Kumosia, jak zawsze troskliwa, bez pytania przyniosła dzban chłodnego mleka. Nina wypła je duszkiem i oblizała białe wąsy. Jaś ubrał się zdumiewająco prędko i zszedł, niosąc walizczkę z narzędziami. Spokojnie wysłuchał relacji Niny o donosie Żabca.

– A to stary drań! – z oburzeniem skomentował jej słowa. – Koniecznie powinna zająć się nim policja narodowa i wyprawić kanalię na tamten świat. Masz rację, kotku, Aleks nie jest już bezpieczny w Zameczku.

Nina z niecierpliwością oczekiwała na karetę, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w dworku i zabrać stamtąd męża. Poleciała ochmistrzyni przygotować pokoje na przyjęcie pana hrabiego. Gdy karetą zajechała przed ganek, Nina wstała i z trudem, na sztywnych nogach, zeszła do powozu. Jaś zaproponował, żeby została w domu, ale nawet słuchać o tym nie chciała.

Stach nie żałował bata i do Zameczku dojechali jeszcze przed świtem. Nina uspokoiła się, widząc, że nic nowego się nie wydarzyło. Aleks był gotowy do podróży i siedział na łóżku, owinięty w pledy. Mężczyźni na rękach zanieśli go do karety i ułożyli na miękkiej kanapie. Grabiszyna zęgnęła go, płacząc i przeklinając w żywy kamień starego Żabca i Moskali.

W pałacu wszystko przygotowane było na przyjęcie pana. W pokoju pomimo ciepłej nocy na kominku płonął ogień i wszędzie stały świeże kwiaty. Domownicy witali hrabiego jak bohatera, całując go po rękach i błogosławiąc.

– Nareszcie w domu... – westchnął, znalazłszy się w miękkim łóżu i w perfumowanej pościeli. – Promyczku, połóż się zaraz, bo wyglądasz jak własny cień.

– Poczekał, aż Jaś cię zbada. – Usiadła przy łóżku i troskliwie pochyliła się nad mężem, dotykając jego czoła.

Okazało się, że podróż wcale mu nie zaszkodziła i Jaś był bardzo zadowolony ze swego pacjenta. Jednak Nina nie mogła się uspokoić i siedziała z ponurym wyrazem twarzy.

– Nie zaznam spokoju, dopóki ten szubrawiec nie zawiśnie na powrozie – powiedziała do Jasia. – Niech policja przykładnie go ukarze. W końcu za co płacimy rządowi podatki?

– Spokojnie, kotku. – Jaś poklepał ją po ramieniu. – Rano Emilka złoży meldunek kurierowi, za kilka dni możesz się spodziewać wizyty żandarmerii.

– Tu?! – zawołała zirytowana. – Oni mają szukać Żabca, a nie składać mi wizytę.

– Pomimo wszystko jeszcze żyjemy – zauważył Aleks pogodnie.

– Żabiec także o tym wie – cierpko stwierdziła Nina.

– No to poflirtujcie sobie, a ja idę lulu – oświadczył Jaś, rozpaczliwie ziewając. – Rano muszę być w leśnym obozie. – Przesłał im pocałunek dłonią i wyszedł.

Nina podłożyła mężowi dodatkową poduszkę pod głowę, pamiętając, że powinien spać wysoko. Przyciemniła nocną lampkę i szczelnie zaciągnęła ciężkie kotary na okna, bo już świt zaglądał do pokoju.

– Wiesz, odnoszę wrażenie, że nie byłem w domu całe wieki, a to tylko siedem miesięcy – powiedział Aleks, rozglądając się po swojej sypialni, urządzonej ze smakiem i wytwornością. – Bardzo tu przyjemnie.

– Tylko? Nie było cię w domu aż siedem miesięcy, a dla mnie siedem wieków! Trudno mi uwierzyć, że znowu jesteś przy mnie.

Oderwał wzrok od bukietu prześlicznych kremowych róż, jeszcze niezupełnie rozkwitłych, i spojrzał na nią.

– Dziś przeszliśmy oboje próbę ogniową. Kochanie, musisz odpocząć. – Przyjrzał się z troską jej pobladłej z wyczerpania twarzyczce. – Natychmiast się połóż. Jesteś jak ze szkła, pozostały tylko oczy i warkocze, reszta jest niewidoczna. Jeżeli mnie nie posłuchasz, ja wstanę!

– Nic mi nie będzie. Oj, idę już, idę! – zawołała, widząc, że mąż podnosi się i siada na łóżku.

– Natychmiast, inaczej wstanę i zaniosę cię do sypialni! – zagroził.

– Kochany, tylko na to czekam! – Roześmiała się zalotnie.

Podeszła, żeby się pożegnać, a on ujął jej głowę i pocałował ją tak mocno, jak poprzedniego wieczoru. Przez moment świat przestał dla nich istnieć, a czas się zatrzymał.

– Kocham cię – szepnął, chciwie chwytając powietrze.

Poszła do sypialni wniebowzięta. „O, niech on tylko wróci do zdrowia – dumiała rozmarzona, rozbierając się powoli. – Zaczniemy z sobą żyć jak małżeństwo, a wtedy ja się postaram, żeby zapomniał o tej przeklętej wojaczce. Wyjedziemy za granicę i może będziemy mieli dzieci. Nareszcie urodzę mu syna”. Nie zadzwoniła po Ulisę, pragnąc być sama ze swoimi myślami.

Była nieludzko zmęczona. Marzyła o dniu wolnym od obowiązków i codziennych trosk. O dniu bez strachu, murów strzegących przed napaścią, po prostu o życiu w wolnym kraju, gdzie mogliby swobodnie egzystować, gdzie myśli jej krążyłyby beztrudnie wokół przyjemnych rozrywek i upojnych nocy, gdzie mogłaby zapomnieć o krwi, przemocy i czyhającej dokoła śmierci.

Noc, nazbyt obfitująca w mocne wrażenia, wyczerpała ją do tego stopnia, że gdyby nie ból głowy, nie byłaby pewna, czy jeszcze żyje. Ukłękła na przywiezionym z Warszawy klęczniku hrabiny Tekli i modliła się długo, dziękując Bogu za cudowne ocalenie. Ale słowa modlitwy zaczynały się plątać, powieki opadały na oczy. Coraz cichszym głosem szeptała:

– Dziękuję Ci, Panie Jezu Miłosierny, za łaskę i życie mego Alka...

Jaga, niespokojna o nią, uchyliła drzwi do sypialni i zastała Ninę śpiącą, z głową wspartą na klęczniku. Przeniesiona na własne łóżko przespała prawie pół dnia.

Wieczorem Jaś poinformował, że raport o donosie Żabca już został złożony i wkrótce trafi do rąk Policji Narodowej. Siedzieli po kolacji u Aleksa, czującego się o wiele lepiej w domu. Przez gęste koronkowe firany wpadały do pokoju ostatnie promienie zachodzącego słońca. Ściany, obite kremową jedwabną tapetą w złoty rzucik, harmonijnie kontrastowały z połyskującymi czerwienią wina mahoniowymi meblami. Błyszcząca wywoskowana posadzka, a leżący na niej dywan z Aubusson był miękki jak mech. Barwiły się na nim kolorowe kwiaty. Drogocenny gobelin, również z manufaktury z Aubusson, przedstawiał polowanie na jelenia.

– Jestem przeciwny stosowaniu kary śmierci wobec chłopów – mówił Jaś, nawiązując do poprzednich swoich słów. – Uważam jednak, że kto raz wstąpił na śliską ścieżkę zdrady, ten już jest stracony, władze carskie nie wypuszczą go z rąk. Posłuchaj, Ninko, gdzie mieszka ten Żabiec?

Z namysłem podniosła przezroczyste oczy w górę, starając się przypomnieć sobie wszystko, co słyszała o ojcu Rafała.

– Chyba gdzieś w pobliżu Wąchocka. Ale jak się ta miejscowość nazywa? Och, moja pusta głowa. Aha, już wiem, Rataje! Zresztą ksiądz proboszcz lepiej będzie wiedział, skąd ten potwór pochodzi.

– Mam mu powiedzieć, że proszę o adres, bo zamierzamy wysłać starego drania do piekła?

– Ależ nie! – Nina roześmiała się serdecznie. – Jednak jak się nie mylę, on z pewnością mieszka w tej wsi.

Aleks przysłuchiwał się ich rozmowie z nieobecny wyrazem twarzy.

– Braciszek jeszcze nie wrócił? – spytał Jasia.

– Oczekujemy go lada dzień. Posłałem mu już eskortę. Wyobraź sobie, że coraz więcej chłopców schodzi się do obozu. Wielu takich, których mieliśmy za poległych. Nino, powiedz wójtowi, że jego syn jest lekko ranny, ale szybko się wylize.

– Obawiam się – wtrącił Aleks – żeby braciszek nie wpadł z całym transportem w łapy jakiegoś patrolu. To byłby prawdziwy pech.

– To go jeszcze nie znacie! – Jaś uśmiechnął się na wspomnienie przyjaciela. – To jest frant, kuty na cztery nogi. Po bitwie w wąwozie byliśmy obdarci i bez grosza. Tak przywędrowaliśmy do Galicji. Myślałem, że pomrzemy tam z głodu, ale braciszek się zakręcił i zaraz znalazły się pieniądze, kąt do spania w klasztorze Bernardynów, miska strawy i dobrzy ludzie, gotowi śpieszyć nam z pomocą. Ułatwił nam także przejście granicy. Nie martwcie się o niego, poradzi sobie. Nino, mam dla ciebie prezent od Emilki.

Wydobył z kieszeni kartkę i przeczytał krótki wiersz.

*Kornie gniemy w proch kolano.
Bądź pozdrowion krwią rozlaną.
Wnet mściciele z krwi tej wstaną,
A Ty, grom nam w ręce dasz,
Boże nasz!*

– Romanowski! – ucieszyła się Nina. – Kochana Emilka, jak to miło, że pamięta, jakiego poetę najbardziej lubię.

– To mnie pocieszyłeś – przerwał jej Aleks i napił się odrobinę czerwonego burgunda, zalecanego mu przez Jasia na wzmocnienie. – Czekam, kiedy nareszcie wrócą Siekielski, Soszkiewicz i Barycz. Przecież wiem, że wzięłeś na siebie cały ciężar organizacji obozu, ale na razie nic nie mogę na to poradzić. Gdy tylko powrócą, będziesz mógł sobie trochę odsapnąć.

Jasia jakby nagle zamurowało. Stracił humor i siedział z nieszczęśliwą miną, wpatrując się w podłogę i przygryzając dolną wargę. Ta nagła zmiana jego nastroju nie wróżyła nic dobrego.

– Misiu, wyduś to z siebie – cicho powiedziała Nina.

– Jasna cholera! – wybuchnął z gniewem. – Generał Jordan rozbity!

Aleks usiadł z wrazenia na łóżku i wpatrywał się w Jaśka, zupełnie zaskoczony tą wiadomością.

– Mów! – rzekł krótko.

Błękitne oczy Jasia pociemniały z bólu i wściekłości. Kolejna klęska i obawa o życie przyjaciół wytrąciły go z równowagi. Odepchnął stojący obok rokokowy stoliczek z zastawą do herbaty, aż filiżanki głośno zadzwoniły, i zatopił palce obu rąk w jasnej czuprynie.

– Początkowo nie chciałem wam nic mówić, bo macie dosyć zmartwień, lecz doszedłem do wniosku, iż byłby to błąd. Aleks jest naszym dowódcą i powinien wiedzieć o wszystkim. Pojechałem rano z Emilką do Porajów, by złożyć meldunek na Żabca, i w tym właśnie czasie przybył kurier z tą wiadomością. Okazało się, że akcja nie została przeprowadzona w tajemnicy i Rosjanie przez swoich agentów w Galicji byli doskonale poinformowani o naszych zamierzeniach. To jest ewidentna wina rządu, bo każdy oddział przekraczający granicę jest oczekiwany, atakowany i rozbijany. A nasze władze zamiast temu zaradzić, dalej pchają ludzi w paszczę śmierci.

Jaś westchnął i spojrzał na Aleksa. Lecz on słuchał w zupełnym spokoju, zachowując właściwą sobie chłodną rezerwę.

– Grupa uderzeniowa formowała się w majątku hrabiego Tarnowskiego, ale trwało to tak długo, że nieprzyjaciół już został powiadomiony. Dwudziestego czerwca przekroczył Wisłę Dunajewski. Jego oddział liczył około trzystu ludzi. Wszyscy uzbrojeni byli w broń palną, lecz fatalnym zbiegiem okoliczności gdzieś się zapodziały kapiszony do karabinów. Żołnierze nie mieli broni odtylcowej, ale starego typu. W tej sytuacji nie

chcieli się bić i Dunajewski wycofał oddział, lecz sam utonął w czasie przeprawy przez rzekę. Kilka godzin później przekroczył Wisłę Popiel, mając przy sobie także około trzystu żołnierzy i mały oddział kawalerii. Popielowi towarzyszył generał Jordan. Powstańcy mieli przeciwko sobie przeważające siły wroga, który poprzednio już starł się z Dunajewskim. Pod Komorowem doszło do bitwy trwającej siedem godzin. Powstańcy bili się bardzo dzielnie, mimo to wieczorem musieli wycofać się do Galicji, tracąc połowę ludzi w zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Poległo, jak pod Miechowem, dużo młodzieży szlacheckiej, a śpieszący z pomocą Jordanowi major Bończa wpadł w zasadzkę i zginął. Oto są najświeższe wiadomości. Psiakrew! – Jaś zaklął i zerwawszy się z krzesła, zaczął nerwowo chodzić po pokoju, z rękami włożonymi do kieszeni, aby ukryć ich drżenie. – Nie wiem, co się stało z Tadkiem, bo do Galicji nie wrócił. Podobno pogrom był straszny. Rozbestwieni kozacy używali sobie, dobijając rannych pikami i obdzierając poległych z odzieży. Pech chciał, że Tadeusz był przy generale Jordanie. O ile mi wiadomo, ocalała zaledwie garstka naszych, lecz Tadka między nimi nie było.

Nina poczuła rozpacz i ból. Nie mogła wprost uwierzyć, że Tadeusz, najlepszy przyjaciel, niemal brat, i mąż biednej Trusi, nie żyje.

– Słuchaj, kotku... – zwrócił się do niej Jaś. – Może pojedziesz jutro do Brzezińca? Zosia potrzebuje teraz twego wsparcia i pociechy.

– Nie musisz mi tego mówić. Oczywiście, że pojedę – powiedziała, broniąc się przed rozpaczą.

– Dopóki nie sprawdzimy wiadomości o jego śmierci, należy mieć nadzieję – zauważył chłodno Aleks.

Nina spojrzała na niego, wiedząc, że jego metodą obroną jest ucieczka w głąb siebie. Z pewnością był bardzo przejęty losem swego ulubieńca i reszty swoich oficerów. Rozumiał też, jakim ciosem było rozbicie znakomicie wyposażonej armii generała Jordana.

– Słyszałem niepotwierdzoną wiadomość, że Soszkiewicz i Barycz przeżyli. Tak mówił kurier, który ich zna. W partii Popiela był także Orlewicz, ale i o nim nie można niczego się dowiedzieć. – Jaś ochrypl i jednym haustem wypił całą filiżankę herbaty.

Nina opuściła głowę i z goryczą zastanawiała się, dlaczego tak bezsensownie rzucano w paszczę śmierci tylu wspaniałych mężczyzn, którzy mogli się przydać ojczyźnie. Rezultatem wysiłku całego

społeczeństwa uzbrajano oddziały powstańcze ponoszące klęskę. Lista poległych wydłużała się przerażająco. Wzdrygnęła się, przypominając sobie, jakim potwornym wstrząsem była dla niej wiadomość o śmiertelnej ranie męża. Teraz biedna Zosia będzie ponownie przeżywać piekło niepewności. Zaledwie otrząsnęła się z rozpacz po rozbiciu partii w wąwozie...

Aleks odchrząknął i powiedział opanowanym tonem:

– Jasiu, wyślij do Komorowa jakiegoś sprytnego chłopaka. Niech się postara dowiedzieć czegoś o Siekielskim. Może jest ranny i oczekuje pomocy?

Nina odgadła, że mąż robi to ze względu na nią i Zosię, którą bardzo lubił.

Nazajutrz zaraz po śniadaniu wybrała się do Brzezińca. Po drodze wstąpiła do wójta, powiadamiając go, że jego syn znajduje się w leśnym obozie. Prosiła, żeby ludzie zwracali baczną uwagę na obcych, kręcących się po wsi. Opisała dokładnie starego Żabca, wymyślając na poczekaniu historię, iż jest to zbrodniarz, mający na sumieniu pobicie księdza, okradzenie kościoła i zbezczeszczenie ołtarza. Z doświadczenia wiedziała, że chłopci nie przejmą się zaniechaniem donosicielstwa, ale natychmiast zatrzymają świętokradcę i wymierzą mu surową karę. Wójt, uradowany dobrą wiadomością o synu, obiecał dopilnować, aby nikt obcy nie włóczył się w pobliżu pałacu i po wsi.

Nina ruszyła w dalszą drogę, rozmyślając nad fanatyczną religijnością chłopstwa, która bynajmniej nie szła w parze z przestrzeganiem dziesięciorga przykazań, bowiem we wsi przestępstwa i zbrodnie zdarzały się nawet częściej niż w miastach. Wyrastający w twardych warunkach chłopci, obarczeni nieraz pracą ponad siły, bywali okrutni i bezlitośni. Jeden tylko Kościół mógł pozytywnie wpłynąć na kształtowanie ich charakterów, a nawet poderwać wieś do walki z zaborcą. W miejscowościach, gdzie księża patrioci szli do powstania, chłopstwo bez namysłu ruszało za swoim duszpasterzem i dawało w walce dowody męstwa i gorącej miłości ojczyzny. Podobnie postawa dziedziców wpływała na zachowanie chłopstwa w odniesieniu do powstania. Maków był tego najlepszym przykładem.

Mignon, zmęczona upałem, chrapnęła i zwolniła kroku. Nina się rozejrzała i mijając kolorowe skrawki pól, obliczała, ile będzie musiała sprowadzić z folwarków sandomierskich zboża, jarzyn, owoców, lnu i rzepaku na olej, a także bydła do swego folwarku i dla gospodarzy makowskich. Wieś jeszcze się nie podniosła po klęsce huraganu i Nina uważała, że obowiązkiem dziedzica było wspomoczenie gospodarzy przed zimą. Aleks, chwając jej postawę, zachęcał ją do tego.

Dwór w Brzezińcu wyglądał sielankowo w cieniu wielkich klonów i jaworów. Bielone ściany świeciły zza gęstwiny zielonego bluszczu. Pod oknami kwitły rzędy różnokolorowych malw, pelargonii i róż. Nina zeskoczyła z klaczy i oddała cugle nadbiegającemu chłopcu stajennemu. Na jej spotkanie wyszła fertyczna pokojówka i dygnawszy, uśmiechnęła się szeroko.

– Pani dziedziczka w domu? – Nina zatrzymała się w sieni przed lustrem, zdejmując kapelusz i oddając go dziewczynie, razem z rękawicami i żakietem.

Chusteczką wytarła spoconą twarz i poprawiła włosy. Pokojówka podniosła tren amazonki i pomogła jej przerzucić go przez ramię, uważając, żeby pani się na nim nie potknęła.

– A gdzieżby? Pani siedzi w sypialni z paniczem – odparła rezolutnie i po namyśle dodała: – Przyjechała także wielmożna pani Biecka.

„No nie, a to mam pecha! Tylko Doroty brakowało mi dziś do szczęścia” – pomyślała Nina z niezadowoleniem. Prowadzona przez pokojówkę, weszła do sypialni. Pokój sprawiał wrażenie kaplicy grobowej, bo na okno spuszczone rolety i zaświecono świecznik. Nina, oślepiona jaskrawym światłem słońca, z trudnością mogła dostrzec coś w tym półmroku.

– Patrzcie, patrzcie! – usłyszała zjadliwy głosik Doroty. – Jaśnie pani hrabina raczyła zstąpić na niziny. Prosimy... Może pani hrabina raczy się rozgościć?

– Może byś raczyła się zamknąć. – Nina natychmiast przybrała postawę obronną. – Magda, podnieś te rolety! Ciemno tutaj jak w rodzinnym grobowcu i równie wesoło! Otwórz okna, bo duszno w pokoju.

Dopiero kiedy w sypialni zrobiło się jasno, zobaczyła, że Zosia siedzi w łóżku w zmiętej nocnej koszuli, z rozpuszczonymi na ramiona jasnymi włosami. Twarz miała szarą i udęconą, oczy zaczerwienione od łez. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, trzymając w ramionach synka,

przerżonego płaczem matki. W sercu Niny obudziło się ogromne współczucie. Niedawno pogrążona była w podobnym cierpieniu. Nie zamierzała jednak dopuścić, żeby Zosia popadła w marazm i kompletnie się załamała. Lekkim krokiem podeszła do łóżka, usiadła na krawędzi i ucałowała biedną płaczkę.

– Moje kochane maleństwo... – powiedziała czule, gładząc jej potargane włosy.

Zosia bez słowa pochyliła się, wspierając głowę na jej piersi i tuliła się do niej, szukając u przyjaciółki pociechy.

– Że też raczyłaś się pofatygować – powtórzyła Dorota ze złośliwym uśmiechem, obrzucając zawistnym spojrzeniem piękną amazonkę Niny z zielonego kaszmiru, kupioną w Krakowie, i seledynową bluzeczkę z francuskiego jedwabiu, przybraną delikatnym angielskim haftem i koronkami.

– Lepiej milcz! – syknęła gniewnie Nina. – Co ty sobie wyobrażasz, że ja z balu wracam? A mogę wiedzieć, dlaczego jaśnie pani Biecka, taka troskliwa o Zosię, nie podniosła leniwej pupy i nie kazała sprzątnąć pokoju i zadbać o nią? Siedzisz tu niby malowana lala i patrzysz spokojnie, jak Trusia zalewa się łzami!

– Nic na to nie mogę poradzić i proszę cię, nie rób mi uwag. – Dorota poczerwieniała jak rozdrażniona indyczka.

– Widocznie zasłużyłaś na uwagi. Gdyby nie łaska boska i prawdziwy cud, nie miałabym już nigdy przyjemności podziwiania twej elokwencji. W nocy wpadli do Zameczku dragoni, bo jakaś „dobra dusza” powiadomiła Moskali, że w dworku ukrywa się ranny powstaniec.

Ta wiadomość zrobiła na obu paniach ogromne wrażenie. Zosia przestała płakać i szeroko otworzyła mokre od łez oczy, a Dorota spoważniała.

– Jezu Chryste, zabrali pana hrabiego?! – wykrzyknęła Zosia, przyciskając synka do piersi.

– Nie. – Nina uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Grabiszyna z Walentym schowali Alka na stryszku w sianie, a mnie udało się przekonać oficera, że nikogo nie ukrywamy i ktoś ich złośliwie oszukał.

Nie zamierzała wtajemniczać nikogo w dramatyczne szczegóły ocalenia męża. Zresztą pani Biecka, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, nie wydawała się zainteresowana jej przeżyciami.

– To rzeczywiście przykre – zauważyła zdawkowo. – Jednak mimo wszystko mogłaś wcześniej zainteresować się naszą Sophie.

Nina posłała jej przeciągłe spojrzenie. Już miała na języku ostrą uwagę, lecz wstrzymała się ze względu na Zosię.

– A ty, moja droga, robisz tutaj dobre wrażenie? Zresztą mniejsza o to. Trusiu, posłuchaj mnie uważnie... Przestań płakać, bo Tadek żyje. Nie potrafię powiedzieć, skąd to wiem, ale jestem tego zupełnie pewna. Pamiętasz, jak po bitwie w wąwozie rozpaczałaś, wyobrażając sobie, że poległ? Wtedy także powiedziałam ci, że on żyje, i nie myliłam się wcale. Moje przeczucia zawsze się sprawdzają. Może dostał się do niewoli albo jest ranny i leży w jakiejś chłopskiej chacie. Wkrótce wszystkiego się dowiemy, bo do Komorowa pojechał nasz człowiek.

– Ale gdyby on żył, odezwałby się do mnie. – Zosia potrząsnęła głową i ponownie wybuchła płaczem.

– A czy mój mąż mógł się odezwać? Był nieprzytomny. Kto wie, może Tadek wrócił już do Krakowa i lada dzień kurier przywiezie list od niego. Nie wolno ci wątpić w to, że on żyje! Czasami mi się wydaje, że to nasza wiara i modlitwy chronią ich od nieszczęścia. Musisz być silna, Trusieńko, bo Tadeusz może potrzebować twojej pomocy. Masz synka...

– On nawet nie zna swego ojca – wyszeptła Zosia. – Może nigdy się nie dowiemy, gdzie został pogrzebany?

– Zosiu, natychmiast się przeżegnaj! – wykrzyknęła przesądna Nina. – Koniec z płaczem! – Energicznie szarpnęła taśmę dzwonka. Przywołała pokojówkę i zmierzyła ją surowym wzrokiem. – Magda, dlaczego pani leży w nieświeżej nocnej koszuli i nie jest uczesana? W sypialni nieporządek, mały panicz głodny, bo ssie palec! Żeby mi się to więcej nie powtórzyło, rozumiesz?

Dziewczyna otworzyła usta, lecz nie ośmieliła się wydusić słowa na swoją obronę. Dopiero po dłuższej chwili, mnąc w palcach brzeg fartuszka, bąknęła nieśmiało:

– Bo jaśnie pani dziedziczka nie pozwoliła.

– Proszę?! – prychnęła Nina drwiąco. – Potrzeba ci osobnego pozwolenia? Jesteś pokojową i do twoich obowiązków należy zadbać o swoją panią. Czy pani dziś coś jadła?

– Nie.

Nina posłała Dorocie wymowne spojrzenie.

– Proszę natychmiast przynieść pani coś do zjedzenia, a nam kawę. Macie bulion? – Dziewczyna skinęła głową. – W takim razie dla pani bulion, kanapkę i kieliszek mocnego wina. Oj, szkoda, że o tym wcześniej nie pomyślałam. Jutro przyślę ci butelkę burgunda. Paniczowi podajcie kaszkę na mleku albo bulion z grysikiem. Pokój posprzątasz potem, gdy wyjdziemy do ogrodu.

Magda dygnęła, zaszeleściła krochmalonymi spódnicami i zniknęła, jakby ją wiatr zdmuchnął.

– Kochanie... – Nina mocno ujęła rękę przyjaciółki, przyciągając ją do siebie. – Tadek żyje i nie wolno ci go opłakiwać. Zjedz coś i koniecznie trzeba nakarmić to biedne dziecko. W pokoju jest duszno, bo dziś bardzo upalnie. Wyjdziemy do ogrodu, a potem każę cię spakować i zabiorę do Makowa.

Zosia ucałowała ją z wdzięcznością.

– Dziękuję ci, Ninetko, ale ja zostanę w Brzezińcu, bo tutaj czuję się bliżej Tadzia.

– No, jakby nagle się tu pojawił, nie byłby tobą zachwycony. Może choć uczeszsz to wronie gniazdo, które masz na łepetynie? Weź grzebień... Tak, grzeczna dziewczynka... Podaj mi mego chrzestnego synka. No, chodź do mnie, mój słodki skarbie!

Pod wpływem jej krzepiących słów Zosia wstała z łóżka, usiadła przy toalecie i zaczęła czesać splątane włosy, sycząc z bólu. Kiedy pokojówka przyniosła jedzenie, zmusiła się do przełknięcia bulionu i wypłała wino. Poczowała się nieco lepiej. Przez ten czas Nina bawiła się z chłopczykiem, huśtając go i łaskocząc, aż zachwycony dzieciak głośno chichotał. Dorota przypatrywała się temu z pewnym zdziwieniem, wiedząc, iż Nina nigdy nie przepadała za dziećmi. Malec machał tłustymi łapkami i próbował gaworzyć, ciągnąc swoją matkę chrzestną za włosy i całując ją, gdzie popadło. Zmęczona, powierzyła dziecko niańce, rozkazując je nakarmić. Zosia się umyła, ubrała za parawanem i razem poszły do ogrodu, siadając na szerokiej ławie pod ogromnym ślicznym jaworem.

– Dostałyście zaproszenie na obłóczyny Stasi? – spytała Dorota, wachlując się perfumowaną chusteczką. – W niedzielę w kościele przyklasztornym w Świętej Katarzynie Stasia złoży śluby zakonne. Jej pracę w szpitalu matka przełożona potraktowała jako nowicjat. Gdyby nie hojność pani wojewodziny, Wąsoccy nigdy nie zdołaliby uzbierać

pieniędzy na posag zakonny. Pani Wąsocka rozpacza, ale zabronić Stasi tego nie może.

– Więc jednak... – Nina na moment przymknęła oczy, przywołując w pamięci obraz roześmianej Stasi w białej sukni balowej. – A taką miałam nadzieję, że może w szpitalu pozna jakiegoś porządnego chłopca i zmieni zamiar.

– Nie, ona naprawdę bardzo kochała Władka – powiedziała Zosia, powstrzymując płacz. – Zawsze sądziła, że zostanie starą panną. Nie była taka ładna jak Jadzia i uważała, że nikt jej nie zechce. Tymczasem Władek wybrał właśnie ją, nie zwracając uwagi na jej przeciętną urodę i oryginalne maniery. Jadwiga nie znalazła szczęścia w miłości, a jej brzydsza siostra była głęboko kochana przez wartościowego mężczyznę.

– Ach, zupełnie zapomniałam! – Nina westchnęła ze smutkiem. – Przed śmiercią pani wojewodzina powiedziała, że z nas wszystkich tylko jedna Jadwiga znajdzie w życiu szczęście.

– Biorąc pod uwagę moją sytuację, nie trzeba być prorokiem, aby to przewidzieć. – Dorota parsknęła zgryźliwym śmiechem. – Więc jak, pojedziecie w niedzielę do kościoła?

– Oczywiście – potwierdziła Zosia, osuszając chusteczką mokre policzki. – Wszystkie znamy się od dziecka, więc musimy być na tej uroczystości. Boże, klasztor to jakby połowa śmierci, bo cóż zakonnicy do świata...

– Szkoda, że Binia nie może przyjechać – odezwała się Dorota. – Jakże ona się miewa?

– Ogólnie doskonale. Ma dwóch wspaniałych synów i dobrobyt. Ale teraz bardzo się martwi, bo nie zezwolono jej przyjechać do Sarnik.

– To niegodziwe! – oburzyła się Zosia. – Jak można zabronić córce spotkania z chorym ojcem? Prusacy nie mają sumienia. Szkoda, że Binia mieszka tak daleko. Oj, niewesoło ułożyły się nam losy, prawda, dziewczęta? A pamiętacie, jak wyczekiwałyśmy tej dorosłości, długich sukien, balów i wojaży? Ja miałam w podróż poślubną jechać do Wenecji, podobnie jak Nina. Po drodze oczywiście Paryż i zakupy w najlepszych magazynach. Za to teraz możemy się stroić w kiry, zawsze są modne. Salę balową zastąpią nam cmentarze, a kto wie, czy nie czekają nas dalekie podróże... kibitką na Sybir! – Głos Zosi załamał się nagle, więc ponownie szybko poszukała chusteczki.

Dorota odchrząknęła i sprawdzwszy, że głos jej nie zawiedzie, oznajmiła:

– Byłam wczoraj w Suchedniowie. Żyd Jojne, nasz faktor, powiedział mi, że aresztowano pana Prendowskiego z Mirca. Pewnie zostanie zesłany na wiele lat. Ale są i tacy, którzy znakomicie bawią się w tych czasach. Starewicz się ożenił i wyjechał do Paryża w podróż poślubną. Paszport otrzymał bez trudności. A ojciec pisał mi, że mój małżonek także używa życia w bezpiecznej Galicji. Znalazł sobie zasobną idiotkę i oskubie ją z pieniędzy. Mama próbowała z nim rozmawiać, to nawet nie raczył przyjść na spotkanie.

– Nie pojedziesz do niego? – Zosia patrzyła na nią ze współczuciem.

– Po co? Co mi po takim mężu, który pozostawia żonę na pastwę losu w czasie powstania? W rok po ślubie! Prędko przegrałby w karty cały majątek, bo z mego posagu już niewiele zostało. Aktorzycom kupował złote pierścionki, wynosił z domu moją biżuterię i wszystko przegrywał. Przekląty nałóg – karty i dziewczęta! Tracił mój posag na ladacznice... Może ta jego nowa flama pozna się na nim i wyrzuci go jak zużytą szmatę. Ręczę, że wtedy pomyśli o powrocie do domu.

– A ty go przyjmiesz? – Nina wysoko uniosła brwi.

– Ja? Psami poszczuję! – Nieładna chuda twarz Doroty przybrała zacięty wyraz. – Nienawidzę go! Poniżył mnie i nigdy mnie nie kochał, żeniąc się tylko dla mego posagu. – Zamilkła i nagle wrzasnęła wściekle: – Bodaj by go moskiewska kula nie minęła!

Zerwała się gwałtownie z ławki i wsparłszy głowę o pień drzewa, zaniósła się rozpaczliwym szlochem, bełkocząc przez łzy:

– Och, Kaziu...



¹¹ W armii carskiej najniższy stopień oficerski w kawalerii.

¹² W mitologii greckiej syn Gai, Ziemi Rodzicielki; był nie do pokonania, stojąc na ziemi, która dodawała mu sił.

¹³ fr. *Avenue des Champs-Élysées* – główna, reprezentacyjna ulica Paryża.

Rozdział 3

Na obłóczyny Stasi Wąsockiej zjechały przyjaciółki, rodzina, krewni i sąsiedzi. Brakowało jedynie Bini, która przysłała depezę. Kiedy wrota klasztoru zamknęły się za nową zakonnicą, na zawsze oddzielając ją od bliskich, wszystkie panie płakały. Szczególnie boleśnie przeżyła to wydarzenie Nina, przypominając sobie, że ona również miała zamiar spędzić resztę życia w tych ponurych murach.

Jadąc z Zosią otwartym powozem do domu, miała wrażenie, że wraca z pogrzebu. Ale dzień był precudny, letni i świetlisty, pełen śpiewu ptaków i zapachu ziemi w pełnym rozkwicie. Widziała przed sobą znaczną część horyzontu i gdziekolwiek spojrzała, tam stała puszcza, niby zielone morze, wgłębiona dolinami, wzniesiona łagodnymi grzbietami gór. Dla Niny drzewa były czymś więcej niż zbiorowiskiem sosen, jodeł, modrzewi, lip i buków, były czymś szczególnie cennym. Drzewa kochała niemal tak, jak najbliższe osoby, wielbiła je po prostu. Sama ich obecność, szept wiatru w gałęziach, blask promieni słonecznych na liściach dodawały jej otuchy w momentach zwątpienia. Pomyślała, że wolałaby wcześniej umrzeć, niż żyć z dala od ukochanej Puszczy Świętokrzyskiej.

Kolejne dni lipca, suchego i gorącego, mijały cicho i tak spokojnie, jakby w kraju nie płonęły wsie i miasta, jakby nie ginęli ludzie. Aleks prędko powracał do zdrowia i Nina dziękowała za to Bogu, widząc, jak mąż z każdym dniem nabiera sił do życia. Jak dawniej, stał się ośrodkiem, wokół którego obracało się życie w pałacu. Do niego przychodził pan Bochniak po rozkazy, jemu pan Marcinkiewicz składał raporty z nowo zapisanych majątków. Ze spadku po wojewodzinie najbardziej cieszyło Aleksa piękne stado koni rasy węgierskiej i angloarabów. Stara dama znała się na hodowli i sprowadzała najpiękniejsze zwierzęta ze wszystkich zakątków kraju. Aleks chciał mieć wierzchowce przydatne w kawalerii, toteż stajenni codziennie ujeżdżali konie, oswajając je z hukami strzałów, ogniem i

hałasem. Nina rozkazała sprowadzić stado do Makowa, w obawie, że gdy Starewicz powróci z podróży poślubnej, zmuszona będzie stoczyć z nim prawdziwą walkę w obronie odziedziczonej ziemi, a rezultat tych zmagania wydawał się jej raczej wątpliwy. Jako osoba przewidująca, poleciła panu Marcinkiewiczowi ściągać z folwarków sandomierskich, co tylko się dało, przede wszystkim: bydło, owce, drób, trzodę chlewną, owoce i świeże jarzyny. Część zostawiała sobie, resztę oddawała gospodarzom makowskim na dogodne spłaty. Wieś momentalnie się podniosła i wzbogaciła, serdecznie wdzięczna dziedzicze za pomoc.

Aleks wstawał już z łóżka, a nawet przechadzał się po domu. Początkowo Nina obawiała się, czy sobie tym nie zaszkodzi, ale Jaś pocieszył ją, mówiąc, że chory musi się poruszać, aby organizm, osłabiony ranami, zaczął prawidłowo funkcjonować. Niezastąpiony Walenty znalazł na strychu wygodny fotel na kółkach, w którym wożono chorą hrabinę Teklę. Fotel dokładnie oczyszczono, wyłożono miękkimi poduszkami i odtąd, kiedy pogoda dopisywała, Nina woziła w nim męża na spacer do parku.

To były chyba najpiękniejsze dni w ich życiu. Całymi godzinami siedzieli sami w ogrodzie różanym, nad stawem, rozmawiając tak szczerze i otwarcie, jak nigdy przedtem. Nina zagarnęła męża zachłannie, ciesząc się, że jest jeszcze za słaby na samodzielność i należy wyłącznie do niej. Pozwalał troszczyć się o siebie, czuły i potulny. Otworzył się przed nią, jawnie okazując jej swoją miłość. Razem spędzali czas na pieszczotach, pocałunkach i w tej miłosnej atmosferze Nina zapomniała o strachu dręczącym ją od początku powstania, szczęśliwa, że może na niego patrzeć, całować go i słuchać jego niskiego głosu, mówiącego jej o miłości.

Lecz bywały dni, kiedy Aleks zamykał się z Jasiem i panem Bochniakiem w gabinecie, prowadząc z nimi długie rozmowy. Wtedy drętwiała z trwogi na myśl, że oto okrutny los znowu wyciąga pazury po jej największą miłość, aby oderwać go od niej i rzucić na krwawe pole walki. Bywała wtedy tak rozdrażniona, że Aleks musiał uspokajać ją, przemawiając jak do małego i przestraszonego dziecka.

Pewnej nocy obudziło Ninę pukanie w drzwi na taras. Zerwała się z łóżka i boso pobiegła otworzyć. Wiedziała, że to swój, bo Grot nie szczekał, tylko przyjaźnie machał ogonem. Wyjrzawszy na taras, ujrzała ze zdumieniem

roześmianego braciszka Benona i Jasia, który przez dwa dni nie pokazywał się w pałacu. Zakonnik był jeszcze chudszy, ale dobry humor mu dopisywał. Przywitali się bardzo serdecznie.

– Mam nadzieję, że nie zlekkałeś się? – odezwał się Jaś, wchodząc do pokoju.

– Zdążyłam się już przyzwycząić, choć uważam, że dżentelmeni nie powinni wchodzić do domu przez sypialnię damy.

– Kiciu, konwenanse są nie na czasie, a ostatni dżentelmen poległ na polu chwały. Wódz śpi? Obudź go, bo mamy ważne nowiny.

Ale on już nie spał, obudzony rozmową, i dopytywał się, kto przyszedł, na wszelki wypadek trzymając rewolwer pod ręką.

– Aleczku, są tu braciszek Benon i Jaś. Można ich wprowadzić do ciebie? – spytała, zaglądając do jego pokoju.

– Oczywiście. – Schował broń do szufladki nocnej szafki i zawołał wesoło: – Hej, chłopcy, nie czajcie się za drzwiami, bo w Makowie nie ma carskiej policji!

– Jakże się cieszę, że pan naczelnik czuje się lepiej. – Zakonnik powitał go z tą samą co zwykle serdecznością. – Pan Jezus ustrzegł od nieszczęścia i chwala mu za to. Przywiozłem broń i nowiny z Krakowa.

– Jest broń? – Aleks usiadł na łóżku, przesywając braciszka wzrokiem. – Wspaniale! – Odetchnął. – W jaki sposób udało się fratrowi przesznułować ją przez granicę?

Jaś usiadł na kanapce i wybuchnął śmiechem.

– Nie uwierzycie, jaki pomysłowy jest ten nasz kochany księżulo! Istna komedia.

Aleks pozbył się resztek senności.

– Siadajcie, przyjaciele. Nino, czy dla zmęczonych przybyszów znajdzie się w domu coś mocniejszego od herbaty?

– Zaraz przyniosę, tylko proszę, poczekajcie na mnie.

Nina zacisnęła w talii pasek peniuaru i wsunawszy na bosc stopy laczki, klapiąc nimi, pobiegła do kredensowego pokoju po wino i kieliszki, śpiesząc się, żeby nic nie stracić z przygód braciszka. Wołała nie budzić służby, jeśli nie zajdzie taka potrzeba. Mężczyźni rozsiedli się w pobliżu łóżka, a Jaś zajął się winem, rozlewając je do kieliszków.

– Macie państwo pozdrowienia od pana Piotrowskiego i jego uroczej małżonki – rzekł zakonnik. – To dzięki jego pomocy udało mi się w tak

krótkim czasie zdobyć broń palną. Mam porządne karabiny i rewolwery, a także sporo amunicji. Zostało jeszcze nieco pieniędzy i pan Piotrowski już szykuje następny transport. Mam także poufny list do pana naczelnika.

Braciszek posmakował wina, mlasnął i z właściwym mu poczuciem humoru opowiedział o perypetiach z transportem broni.

– Zatrzymałem się w klasztorze ojców Bernardynów, bo oni mają szerokie znajomości wśród właścicieli zakładów pogrzebowych. Praktyczni rzemieślnicy doradzili mi, żebym wynajął u nich okazały karawan, w którym łatwo pomieścić broń i amunicję. Karawan został przystosowany do tego celu przez zaprzysiężonych stolarzy. Do wnętrza wsunięto trumnę z nieboszczykiem, rzekomym dziedzicem z Kongresówki, któremu nagle się zmarło w Krakowie. Przed śmiercią wyraził życzenie, aby mógł spocząć w rodzinnym grobie w guberni radomskiej. W rzeczywistości w trumnie znajdowały się zwłoki bezdomnego biedaka. Pan Piotrowski postarał się o wszelkie dokumenty i zezwolenie na deportację zwłok. Granicę przekroczyłem zupełnie legalnie – opowiadał braciszek z filuternym uśmiechem. – Austriacy, naród katolicki, pobożny, nie robili mi żadnych trudności przy przejściu granicy. Żołnierze z własnej chęci pomogli mi nawet ładować karawan na prom, za co ich pobłogosławiłem. Spokojnie dojechaliśmy do Rakowa. Dopiero za miastem zaczęły się kłopoty, bo wpadłem na duży patrol dragonów. Kazano mi się zatrzymać, a oficer sprawdził dokumenty. Soldaci cały czas trzymali mnie na muszce, bo jak oficer mi oświadczył, podobno mam wredną mordę! Ciarki mi biegały po grzbiecie i – Boże przebacz – żal się zrobiło nędznego żywota, a jeszcze bardziej tej broni zdobytej z takim trudem. Ale co było robić? Oficer czytał te dokumenty, wypytyjąc mnie, czy nieboszczyk nie umarł przypadkiem na jakąś zakaźną chorobę. Dałem mu świadectwo lekarza, stwierdzające, że zmarł na apopleksję. Jednak oficer jakoś mi nie dowierzał i wilkiem patrzył na trumnę. Nagle rozkazał mi ją otworzyć, bo on musi wszystko sprawdzić. Tłumaczyłem mu, jak komu dobru, że nie godzi się zakłócać zmarłemu spokoju, ale on rozdarł się na mnie, powiadając, że zna dokładnie wszystkie chytre sztuczki podłych Polaczków i głowę daje, że w tej trumnie jest coś paskudnego! Może proch albo maszyny drukarskie, a kto wie, czy nie karabiny dla tych drani, buntowników. Opierałem się jak mogłem, perswadując mu, żeby zostawili nieboszczyka w spokoju, ale im bardziej próbowałem ich przekonać, tym mocniej oni się upierali, że wiozę coś

nielegalnego, i starali się z kolei przekonać mnie do swoich racji za pomocą kolb karabinowych. Dołożyli mi pod żebra kilka solidnych kuksańców i tak „argumentując”, zabrali się do rozbijania trumny. Bałem się, że rozniosą ją na kawałki i nie będę miał w co włożyć mego nieboszczyka. Kazałem więc woźnicy odbić wieko, udając, że czynię to pod przymusem. Oficer i kilku dragonów weszło do karawanu, pilnując, żebym stamtąd czegoś nie wyniósł po kryjomu. Poczciwy woźnica prędko się uwinął i otworzył wieko trumny. Było bardzo upalnie i... Nie, dalej już nie opowiem, bo pani hrabina mogłaby zasłabnąć! – Zakonnik skrzywił się zabawnie. – W mgnieniu oka wymiotło ich z karawanu. Wskoczyli na konie i pognali, jakby ich sam Belzebub z widłami gonił. Do końca podróży miałem święty spokój. Po drodze ludzie ze wsi dołączali się do konduktu, śpiewając pobożne pieśni, i w taki sposób dojechaliśmy do Sarnik. Tam pochowałem po chrześcijańsku biedaka, a broń dotarła do obozu.

Słuchacze zaśmiewali się, wyobrażając sobie te sceny i podziwiając spryt oraz odwagę zakonnika. Nina zdecydowała się jednak obudzić służbę i kazała przygotować posiłek, bo braciszek i Jaś byli głodni. Aleks mocno uściskał rękę fratra, mało przypominającą wypieszczoną dłoń kleru. Była spracowana i twarda, jednocześnie pewna i pełna braterskiego ciepła. Obaj przybysze szybko uwinęli się z jajecznicą i smażoną białą kiełbasą. Zakonnik westchnął i przestał się uśmiechać tym swoim rozbrajającym uśmiechem, którym jednał sobie ludzi. Kilka razy zerknął na Ninę i wzdychał.

– Niech już braciszek mówi – powiedziała, kiedy ich spojrzenia się spotkały. – Życie mnie zahartowało i łatwo się nie wzruszam.

– Przykro być puszczykiem, ale kiedy pani hrabina każe, to już powiem. Mam wiadomość o Tadeuszu Siekielskim.

– Jezu, nie żyje?! – krzyknęła, blednąc i zrywając się z krzesła.

– Nie, nie! Żyje, ale jest ciężko ranny. Leży w krakowskim szpitalu i do walki już nie wróci. Stracił lewą rękę.

Nina oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach.

– Boże! – jęknęła. – Jak ja o tym powiem Trusi?

– No właśnie... – Braciszek był mocno strapiony. – Biedna pani Zofia ma ciężki krzyż do dźwigania. Najgorsze już minęło, ale Tadeusz długo jeszcze będzie cierpiał. Jednak najważniejsze, że przeżył.

– Nie można było tej jego ręki uratować? – Aleks nie potrafił ukryć przykrości, bo Siekielski był jego ulubieńcem i zapowiadał się na znakomitego oficera. Dowcipny i wesoły, zawsze potrafił kpić z powstańczej nędzy i rozśmieszał kolegów w najpoważniejszych sytuacjach. Kochał wojsko i był żołnierzem z krwi i kości.

Braciszek podniósł opuszczoną głowę i spojrzał hrabiemu w oczy.

– Niestety, nie. Lekarze robili co w ludzkiej mocy, by uniknąć amputacji, lecz kula strzaskała kość, wywiązała się gangrena i rękę należało natychmiast odjąć, prawie do ramienia. Ocalał cudem. Kto z państwa zawiadomi panią Siekielską? – Zakonnik zatroskanym wzrokiem rozejrzał się po twarzach przyjaciół. – Ja mogę to zrobić.

Nina czuła, że dławi ją w krtani, i mrużyła oczy niczym ptak wrzucony nagle w snop światła. Ale nie płakała i okropną wiadomość przyjęła spokojnie.

– Ja jej to powiem – oznajmiła stanowczo, prostując się energicznie.

– Bóg zapłać – szepnął braciszek Benon.

Zapadło milczenie i dopiero po jakimś czasie przerwał je Jaś, mówiąc:

– Wodzu, zapomniałem ci powiedzieć, że do obozu wrócili Soszkiewicz i Wacek Barycz.

– O, to doskonale! – Aleks poprawił się na poduszkach. – Niech Soszkiewicz jutro stawi się u mnie – rozkazał. – Siekielski do oddziału już nie powróci, więc dowództwo w moim zastępstwie obejmie kapitan Soszkiewicz. Wiem, że Barycz otrzymał od władz awans na porucznika, więc ty, Jasiu, możesz już się zająć swoimi sprawami zawodowymi.

– Tak jest. Jutro natychmiast przekażę Soszkiewiczowi twoje polecenie – oświadczył Jaś służbiście, bez śladu zwykłego przekomarzania się.

Nina przypomniała sobie kapitana przedstawionego jej podczas wizyty w leśnym obozie. Był to typ prawdziwego wiarusa, z długim sumiastym wąsem i krzaczastymi brwiami, ocieniającymi bystre siwe oczy. Dawny rosyjski oficer, zdyscyplinowany i karny, stał się cennym nabytkiem w partii. Aleks cenił jego doświadczenie wyniesione z wojny kaukaskiej i powierzał mu odpowiedzialne zadania.

Zanim obaj mężczyźni poszli spać, Jaś pieszczotliwie pociągnął Ninę za warkocz.

– Słuchaj, skarbie... mam dla ciebie prezent imieninowy.

Posłała mu wdzięczne spojrzenie, unosząc kąciki ust w uroczym uśmiechu. Już dawno nie dostała żadnego podarunku. Miała nadzieję, że będzie to coś ładnego. O mało nie padła z wrażenia, kiedy Jaś wyciągnął z kieszeni duży rewolwer. Zaśmiał się, zauważywszy jej zawiedzioną minę.

– Kotku, nie kręć noskiem. – Żartobliwie objął ją wpół. – Nie zdajesz sobie sprawy, że jest to najnowszy typ sześciostrażalowego rewolweru! Mając przy sobie taką broń, możesz spokojnie wykańczać kozaków, jednego po drugim, pod warunkiem że zechcą ustawić się w kolejce. Drugą armatę mam dla wodza. Oj, żeby to wszyscy nasi chłopcy mieli taką broń...

– Jeszcze chwila, a rozpłaczę się ze szczęścia – warknęła Nina, chowając rewolwer do szuflady szyfonierki.

Aleks ucieszył się z prezentu i oglądał rewolwer, mierząc z niego kolejno w żyrandol i w Jasia.

– Dziękuję, doktorku. Pyszne cacko! – pochwalił zadowolony.

– Zaraz wam każę przygotować pokoje. – Nina chciała zadzwonić na pokojówkę, lecz Jaś ją powstrzymał.

– Nie. Prześpimy się obaj na kanapkach w saloniku. Pójdę tylko na chwilę do mamy. Emilki nie ma? – Przeciągnął się i stłumił szerokie ziewnięcie.

– Pojechała do Koniecpola zawieźć pieniądze dla tamtejszego lazaretu. – Spojrzała na Jasia i wzruszyła ramionami. – Co z was za małżeństwo? *À propos* Emilki, to my, braciszku, wkrótce porozmawiamy sobie w cztery oczy!

– Służę pani hrabinie. – Złożył jej przesadny ukłon. – No, chodźmy, frater, trochę podrzemać. Patrzcie, śpi! Frater, nie chrap na krześle, bo spadniesz i nos rozbijesz. Ech, Boże święty!

Zmęczony zakonnik rzeczywiście zasnął i nawet zaczął cicho pochrapywać. Jaś położył mu rękę na ramieniu i silnie nim potrząsnął. Braciszek otworzył oczy i rozejrzał się nieprzytomnie. Jaś otoczył przyjaciela ramieniem i podtrzymując go troskliwie, wyprowadził z pokoju. Tymczasem Aleks otworzył otrzymany od zakonnika list i rzuciwszy okiem na podpis, wydał pomruk zdziwienia. Szybko przebiegł wzrokiem drobne rządki liter. Wyglądał, jakby treść listu bardzo go zaskoczyła.

– Czy to coś ważnego, Alku? – Obserwująca go bacznie Nina zauważyła na twarzy męża niezwykle ożywienie.

– Kto wie, mój skarbie. Może nawet bardzo ważne – odpowiedział zagadkowo, starannie składając list i chowając go do szufladki.

– To z Warszawy? Rozkaz Rządu Narodowego? – badała nieustępliwie, lekceważąc sobie obowiązek zachowania tajemnicy wojskowej.

– Nie. – Uniósł jedną brew i uśmiechnął się kącikiem ust. Zauważywszy jednak w jej oczach lęk, wyjaśnił uspokajająco: – To tylko list od dawnego znajomego.

– Aha – mruknęła, nie śmiejąc już pytać, bo jego źrenice skryły się w cieniu rzęs, a cała twarz przybrała nieprzenikniony wyraz.

Jednak tajemniczy list nie dawał jej spokoju. Musiał zawierać coś naprawdę ważnego, bo nie powierzono go poczcie powstańczej, tylko doręczył go sam braciszek, obracający się w kołach zbliżonych do rządu. Widocznie autor tej korespondencji również był osobistością. Miała nikłą nadzieję, że może dowie się czegoś, i odkładając spoczynek, kręciła się po sypialni męża, nalewając do szklanki kompot z czereśni i dokładnie zaciągając kotary na oknach.

– Wybierasz się jutro do pani Zofii? – spytał, widząc, że Nina nie śpieszy się do snu. – Wiesz, trudno mi pogodzić się z myślą o kalectwie Tadeusza. Taki wspaniały chłopak, rychło stałby się doskonałym oficerem, i koniec! Z całego serca mu współczuję, pani Zofii również. Jego kalectwo to dla obojga prawdziwa tragedia. Ale i ty, promyczku, przeżyjesz kilka przykrych momentów. A może do Brzezińca pojedzie pani Salomea? To taka delikatna, subtelna kobieta i bardzo lubi panią Zofię.

– Nie! Tylko ja powiem to Trusi, bo dobrze wiem, co znaczy lęk o ukochanego człowieka. – Podeszła i przyklękła przy łóżku. – Macie już broń, są ludzie i wiem, że gdy tylko staniesz na nogach, znowu mnie porzucisz. A dla mnie zaczną się nieprzespane noce i dni pełne tęsknoty. Boże, czasami wolałabym nie żyć! Umarli nie cierpią...

Przygarnął ją do siebie, wzruszony tym nagłym wybuchem rozpacz.

– Ja przecież nie odjeżdżam, moja najśłodsza. Jestem przy tobie i daję ci słowo, że ten list nie zawiera nic strasznego. No, pocałuj mnie, słonko. Jeszcze zdążymy się sobą nacieszyć.

– Nie opuszczaj mnie – szepnęła, przyciskając usta do tego miejsca, gdzie na jego szyi pulsowała tętnica. Wyczuła, że jego serce bije coraz szybciej i mocniej. Odetchnęła, bo jeszcze należał do niej.

Kiedy chciała podnieść się z kolan, zatrzymały ją jego ramiona. Nieśpiesznie wodził palcami po jej twarzy, lekkimi pocałunkami muskał powieki. Jego gorące wargi ześliznęły się po jej rozpuszczonych włosach,

dotykając szyi i piersi wychylających się z głębokiego dekoltu koszuli nocnej. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, czując, że się rumieni. W całym ciele słyszała łomot swojego serca. Jego pocałunki stawały się coraz głębsze i natarczywsze, rozchylając jej usta. Chwilami musieli odrywać się od siebie, by zaczerpnąć powietrza. Wyciągnęła rękę, pieszcząc jego gładką skórę. Pragnęła go równie mocno, jak on jej...

Gwałtownie zerwał z niej koszulę i ogarnięty szalonym pożądaniem zaledwie mógł oddychać. W ciszy nocnej słyszała jego szybki oddech, a ciało jej prężyło się i wyginało w łuk pod dotknięciem jego dłoni. Przyjmowała jego pieścizny jako wszechogarniającą rozkosz. Tulili się do siebie, ciało do ciała, usta do ust. Jego dłonie, mocne i delikatne, świadomie i celowo przesuwają się po jej nagich piersiach, biodrach, brzuchu. Na każde dotknięcie odpowiadała spontanicznie, reagując bezbłędnie na każdy bodziec. Gładząc uda żony, czuł, że jej paznokcie wpijają się mu w skórę pleców. Przewracali się po miękkim łożu, wyzbyci wszelkich hamulców, nie mogąc nacieszyć się sobą. Naga, zwinna, rozkoszna, owijała się wokół niego. Pieścił ją tak długo, aż osiągnęła szczyt. Krzyknęła, głośno wymawiając jego imię. Wypełnił sobą jej ciało, serce i myśli, i nie było tam już miejsca na nic innego.

– Spójrz na mnie – szepnął, obserwując, jak smugi światła i cienia przesuwają się po jej twarzy. – Chcę widzieć twoje oczy.

Świat zawirował w jej głowie. Czowała się tak, jakby tonęła... Wziął jej twarz w dłonie, wpatrując się w jej ogromne, pełne blasku namiętności źrenice.

– Zostań dziś ze mną – powiedział ochrypłym, zadyszczanym głosem. – Błagam, miłości moja, zostań...

Wiadomość o kalectwie męża Zosia przyjęła nad podziw spokojnie. Wprawdzie zrazu wybuchła rozzwierającym płaczem, lecz prędko się opanowała. Nina z pewnym zdumieniem zauważyła, że Trusia jakby godziła się z tym przerażającym faktem.

– Zapewne uznasz mnie za potwora – odezwała się jeszcze drżącym głosem. – Ale Nino, on tym kalectwem okupił swoje życie. Już nigdy nie wróci do powstania i może przeżyje ten okrutny czas. Nigdy nikomu o tym

nie mówiłam, ale czasami miewałam takie chwile, że bliska byłam samobójstwa. Nie wiem, czy zechcesz mnie zrozumieć.

– O, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak doskonale cię rozumiem – powiedziała Nina z goryczą. – Aleks czuje się coraz lepiej i wkrótce wróci do powstania, a wtedy...

– Więc widzisz... Biedny Tadzio do końca życia będzie kaleką. Jak pomyślę, że odcinali mu tę jego chorą najdroższą rękę, to... – Młoda kobieta zachłysnęła się łzami i jakiś czas walczyła z ogarniającą ją boleścią, ale po chwili mówiła już spokojnie: – Nino, jadę do Krakowa, a gdy Tadek wyzdrowieje, nigdy więcej nie puszczę go od siebie na krok. Ma syna, niechże zajmie się jego wychowaniem i gospodarką. Dziecko musi mieć ojca, ja chcę mieć żywego męża, a nie pamięć o bohaterze. Z najbliższych pozostał mi tylko Tadzio, bo teść i tatuś nie żyją. Jestem sierotą.

– Trusieńko! – Nina przytuliła ją do siebie. – Moje słodkie biedactwo.

Zosia przygryzła dolną wargę i pokiwała głową.

– Nie oszukujmy się, kochanie. Ja wiem, że tatuś poległ jeszcze zimą. Możesz mi powiedzieć, jak zginął?

Nina zmusiła się, żeby w kilku słowach opowiedzieć jej o strasliwym noclegu i śmierci pana Syrwinia w mroźną lutową noc. Skłamała, że poległ trafiony kulą w serce i nie cierpiał. Za nic na świecie nie wyznałaby Zosi, że starszy pan został bestialsko zamordowany i padł pod ciosami chłopskiej siekiery. Niechaj choć ten potworny mord zostanie dla biednej Trusi tajemnicą do końca życia. Zosia słuchała jej uważnie, choć bez widocznego wzruszenia. Dawno już opłakała śmierć ukochanego ojca i teraz wszystkie jej myśli skupiały się na osobie męża. Nina zaproponowała, że zabierze Stefana do Makowa, i obiecała, że w czasie nieobecności Zosi sama będzie zarządzać Brzezińcem.

– Żadna siostra nie byłaby dla mnie tak dobra, jak ty. Nigdy ci tego nie zapomnę, ale dziecko zabiorę z sobą do Krakowa. Tadek pewnie zechce je zobaczyć. Wiem, że w mieście znajduje się także moja szwagierka. Muszę przedstawić jej bratanka, bo jeszcze go nie zna.

– Jak sobie życzysz, Trusieńko. Ale na podróż, przewodnika i pobyt w Krakowie potrzebne jest złoto. Tadeusz musi mieć najlepszych lekarzy, pielęgniarza i wygodny apartament w hotelu. Czy masz na ten cel pieniądze?

– Oczywiście, Ninetko. Ja nie... – zaczęła Zosia i umilkła, spuszcżając oczy i czerwieniąc się ze wstydu.

– Może ty nie, ale ja tak. – Nina parsknęła śmiechem. – Mój ty głuptasku, czego się wstydzisz? Ja także byłam bez grosza, gdy miałam jechać do Galicji, i gdyby nie pomoc pani wojewodziny, musiałabym zrezygnować z podróży. Pieniądze rzecz nabyta. Jesteś dla mnie jak siostra, poza tym Tadeusz był oficerem w partii mego męża i należy się mu pomoc. Czy trzy tysiące rubli ci wystarczą?

Oczy Zosi rozbłysły radością. Westchnęła z ulgą.

– To za dużo, Ninetko! W Krakowie z pewnością wspomozę nas siostra Tadzia. Jest bardzo zamożna i uwielbia brata. Obiecuję, że zaraz po żniwach oddam ci te pieniądze. Gdyby nie ten okropny huragan, nie miałabym tych kłopotów.

– Nie musisz mi tłumaczyć. Pamiętasz, jak wyglądał Maków? I proszę cię, jeśli mnie kochasz, nie wspominaj o zwrocie dżugu. To nie jest pożyczka. Jestem matką chrzestną Stefana i mam prawo sprawić prezent memu synowi. Jutro przyślę ci pieniądze i rozejrzę się za jakimś pewnym przewodnikiem.

Zosia prędko zamruęła powiekami, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

– Z serca ci dziękuję, najmilsza. Widzisz, jestem egoistką, bo nawet nie spytałam, jak pan hrabia się czuje.

Na policzki Niny wypłynął śliczny rumieniec. Podniosła na przyjaciółkę oczy lśniące wewnętrzną radością. Zosia spojrzęła na nią przecięgle, uśmiechnęła się dyskretnie i musnęła dżonię jej rozpalony policzek.

– Bardzo się cieszę, że pan hrabia czuje się nieco lepiej – powiedziała.

Spojrzęły na siebie i rzuciły się sobie w ramiona.

Nina powracała do domu, rozmyślając po drodze o podróży Zosi do Krakowa. Rozumiała jej pragnienie pielęgnowania rannego męża, lecz pomysł powrotu z Tadeuszem do Brzezińca wydał się jej nierozsądny. Kiedy powstanie upadnie, władze carskie z pewnością przypomną sobie o jego buntowniczej działalności. Mogą go aresztować i zesłać, pomimo kalectwa. Tylko że Tadek nie zgodzi się pozostać w Galicji, bo kochał ziemię i swój dom rodzinny.

Mignon zwolniła, przechodząc w wyciągnięty kłus, więc Nina popuściła cugle i pogładziła grzywę klaczki. Pochyliwszy się na siodle, podała jej kostkę cukru. Westchnęła i przeciągnęła się na siodle, czując w biodrach rozkoszny dreszczyk na wspomnienie miłosnej nocy. Ich zbliżenie przypominało wybuch wulkanu. Oboje byli sobie ogromnie spragnieni. Ogarnięta szaloną namiętnością, mdlała w jego ramionach, porwana falą uniesienia, którego od dawna nie zaznała. Leżeli potem oszołomieni szczęściem, dopóki nowy przypływ pożądania nie rzucił ich sobie w ramiona. To było cudowne przeżycie i Nina była niemal pewna, że zanim Aleks całkowicie wyzdrowieje, ona będzie mogła oznajmić mu, że spodziewa się dziecka. Dziwna rzecz: ta myśl wcale nie była przykra, wręcz przeciwnie, budziła radość i nadzieję na urodzenie syna.

Zaledwie znalazła się w domu, na jej spotkanie wyszedł Walenty.

– Mamy gościa, proszę jaśnie pani hrabiny – oświadczył. – Przyjechał pan Orlewicz i siedzi z jaśnie panem hrabią w ogrodzie różanym.

– O, to miła nowina! – Posłała staruszkowi uśmiech i odruchowo spojrzała w lustro, poprawiając włosy.

Z pomocą Ulisi pozbyła się w garderobie amazonki i umyła z kurzu, przebierając się w suknię z cieniutkiego muślinu, jasnobłękitną w drobne białe kwiatki. Szumiąc szeroką marszczoną krynoliną, udała się do parku. Z daleka dostrzegła męża, siedzącego w swoim fotelu na kółkach, a obok niego Orlewicza. Młody człowiek zerwał się na jej widok z kamiennej ławki i z nabożeństwem ucałował podaną sobie dłoń.

– Pani hrabina wybaczy, ja tylko na kilka minut do pana naczelnika – tłumaczył się zmieszany, zaledwie ośmielając się na nią patrzeć.

– Ależ, panie Stanisławie, czy ja wyglądam na żandarma? – Nina pokazała w uśmiechu ząbki, a na jej policzkach utworzyły się urocze dołeczki. – Martwiliśmy się o pana. Gdzie się pan podziewał?

– Byłem we Lwowie. Po bitwie przepравиłem się przez Wisłę z resztkami oddziału generała Jordana. Mam dla państwa pozdrowienia od pana Tadeusza.

– O mój Boże, jakże ten biedak się czuje? – Nina usiadła obok męża, złożywszy przedtem na jego czole lekki pocałunek.

– Nieco lepiej – odparł Orlewicz niezbyt radosnym tonem. – Jest ogromnie osłabiony dużą utratą krwi. Jego siostra musiała na jakiś czas powrócić do swego majątku, więc pan Tadeusz oczekuje, żeby ktoś zabrał

go ze szpitala, bo wszystkie krakowskie lecznice są przepełnione rannymi i rekonwalescenci muszą je opuścić.

– Och, to się doskonale składa! – zawołała ucieszona Nina. – Pani Siekielska wybiera się do Krakowa, a ja szukam dla niej pewnego przewodnika. Jak na złość Emilka Borutyńska i Mira Lutówna są w podróży. Pan nam pomoże, prawda, panie Stanisławie?

Uniosła ramiona, aby umocnić luźny węzeł włosów, z których wysunęły się srebrne szpilki. Przy tym ruchu pod obcisłym stanikiem zarysowały się wyraźnie jej jędrne, krągłe piersi. Orlewicz prędko spuścił oczy i zaczął uparcie wpatrywać się w żwir pod stopami.

– Ja za dwa dni wracam do Krakowa i mogę przeprowadzić panią Zofię przez granicę – powiedział, nie podnosząc oczu.

– Znakomicie! Zosia będzie pod troskliwą opieką. Słyszysz, Aleczku?

– To bardzo uprzejme z pana strony – mruknął.

Jego uwagi nie uszło dziwne zachowanie Orlewicza i jego ukradkowe spojrzenia posyłane Ninie. Jej wesołość i zalotność zirytowały go. Od dawna wiedział, że młody leśnik beznadziejnie kochał się w jego żonie. Jednak obserwując, jak jego oczy miękko ogarniały jej postać wzrokiem pełnym zachwytu, nie potrafił się powstrzymać, aby nie okazać mu wyniosłego chłodu.

Zachowanie obu mężczyzn bardzo bawiło Ninę. Pragnęła być adorowana i lubiła, kiedy mąż okazywał zazdrość. Wprawdzie trochę się go wtedy bała, lecz świadomość, iż ją kocha i pragnie, była ogromnie ekscytująca.

– Czy wie pan może, w jakich okolicznościach pan Siekielski został ranny? – spytał Aleks oficjalnym tonem.

– Właśnie zamierzałem państwu o tym wspomnieć, bo to bardzo zagadkowe wydarzenie.

Jednak zanim zaczął opowiadać, przyszedł lokaj, pchając przed sobą elegancki wózek zastawiony miseczkami z saskiej porcelany, pełnymi malin ze śmietaną, wazą z kruszonem i talerzykami z ciastem owocowym. Nina odprawiła służącego i sama napełniła wysokie kryształowe szklanki kruszonem. Cienkim nożykiem pokroiła ciasto, układając kawałki na talerzykach. Orlewicz był bardzo wdzięczny za poczęstunek, bo dzień był upalny, a on zmęczony daleką drogą. Dopiero po podwieczorku powrócił do przerwanej historii.

– Od dłuższego czasu trwała zła passa, związana z galicyjskimi wyprawami. Była mowa o ofensywie powstańczej na froncie Miechów–Stopnica, aby oczyścić z nieprzyjaciela południową część kraju. Po serii niepowodzeń generał Jordan oświadczył, że nie ruszy bez gruntownego przygotowania oddziałów. Tymczasem w Krakowie plotkowano, że Hotel Lambert w Paryżu obawia się, aby Jordan nie ogłosił się dyktatorem. Ale generał nie myślał o tym i zwlekał z wymarszem. Dopiero pod naciskiem opinii publicznej zdecydował się na wymarsz, razem z Dunajewskim i Popielem. W razie powodzenia wyprawy miały kolejno wkraczać formowane w Krakowie oddziały powstańcze. Jak wiemy, wyprawa zakończyła się klęską, poległo wiele młodzieży ziemiańskiej, która znowu pokazała, że szlachta umie walczyć i godnie umierać. Na wiadomość o przegranej bitwie wstrzymano wymarsz innych oddziałów, a autorytet Jordana upadł, choć Rząd Narodowy nie zdymisjonował go, a nawet pochwalił w prasie podziemnej. Słyszałem, że generał Wysocki lub Różycki wybiera się na Ruś, ale obawiam się, że powiedzie im się nie lepiej niż Jordanowi.

– Ależ to skandal! – wybuchnął Aleks, zupełnie zapomniawszy o poprzedniej rezerwie. – Ktoś powinien stanąć za to przed sądem wojennym!

– A co się działo z Tadzkiem? – spytała Nina, wątpiąca w skuteczność rozpaczliwych wysiłków władz powstańczych.

– Pan Siekielski był w oddziale Popiela, przy samym generale. Z pogromu w wąwozie udało mu się uratować konia, więc przyłączył się do kawalerii. Prawie na samym początku bitwy kula trafiła go w lewe ramię, miażdżąc kość. Spadł z konia i dostał się pod kopyta jeźdźców. Przeszli nad nim, zaledwie go tykając, ale i tak był bardzo poturbowany i stracił mnóstwo krwi. Po bitwie znaleźli go mieszkańcy pobliskiej wsi i nieprzytomnego zabrali pod swój dach. Właśnie wtedy wydarzyło się coś niezwykłego... – Orlewicz urwał i napił się kruszonu.

– Proszę, niech pan mówi – nalegała Nina, przejęta losami przyjaciela.

– Po bitwie Rosjanie zaczęli przeszukiwać chaty, wywlekając z nich rannych powstańców. Siekielski leżał w izbie sam, bo gospodarze uciekli, obawiając się kary. Był przytomny, lecz miał już wysoką gorączkę i jęczał z bólu. Ramię bolało go okropnie i życzył sobie śmierci. Kiedy do izby wpadli Moskale, był przekonany, że zaraz zginie. Na szczęście nie byli to prości żołdaci, lecz huzarzy z jakiejś elitarnej jednostki. Właśnie

zastanawiali się głośno, co mają z nim zrobić, kiedy do izby wszedł wyższy oficer i zaczął się Siekielskiemu bacznie przypatrywać. Pogadał z huzarami, a oni wynieśli się z chaty. Oficer narzucił na Siekielskiego płaszcz, jak na poległego Rosjanina i kazał mu leżeć cicho, i czekać zmroku. Odszedł, a Tadeusz leżał, chwilami tracąc przytomność i odzyskując ją na skutek okropnego bólu. O zmierzchu powrócili gospodarze i jak umieli, opatrzyli mu ranę, podali wodę do picia, bo umierał z pragnienia. Był pewny, że umrze w tej chłopskiej chacie, i prosił gospodarzy, aby dali znać przez księdza do pani Siekielskiej o jego śmierci. Tymczasem gdy zapadła ciemność, przed chałupę zajechała karetka. Wysiadł z niej oficer i rozkazał chłopu przebrać Siekielskiego w mundur rosyjskiego kapitana, który przywiózł z sobą. Tadeusza przeniesiono do karety, oficer dowiózł go do samej granicy i pozostawił u jakiegoś rybaka, informując go, że to ranny powstaniec, który musi się prędko znaleźć w szpitalu. Jeszcze tej samej nocy rybak przeprowadził się z rannym przez Wisłę i dopłynął z nim do Krakowa.

– Rzeczywiście ciekawe wydarzenie – przyznał Aleks, słuchając z uwagą opowiadania.

– Niech Pan Bóg błogosławi temu Rosjaninowi – westchnęła Nina ze wzruszeniem. – Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie, bez względu na narodowość. Tadeusz nie wie, komu zawdzięcza życie?

– Nie. Był półprzytomny i niewiele pamięta. Ale odniósł wrażenie, że już kiedyś tego Rosjanina widywał. Podobno był niezwykle przystojny i nosił mundur kawalergarda.

Poniewczasie chętnie cofnąłby te słowa, ale było już za późno. Z najwyższym zdumieniem spostrzegł, że policzki Niny pokryły się szkarłatnym rumieńcem. Spuściwszy oczy, nerwowo mięła w palcach falbanki zdobiące stanik sukni. Aleks przypatrywał się jej przez złowrogo zmrużone oczy.

– Naturalnie, rycerski pan major Wielenin! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Że też od razu nie przyszło mi to do głowy.

Nina zarumieniła się jeszcze mocniej i niżej pochyliła głowę, przez co Orlewicz mógł podziwiać długość jej rzęs.

– To zapewne jakiś znajomy państwa? – spytał Orlewicz, nie rozumiejąc, co zaszło, ale podejrzewając, że Rosjanin nie cieszył się względami hrabiego.

– Znajomy? Hm... trafnie pan to zdefiniował. Prawda, Nino? – Aleks powiedział to tak osobliwym tonem, że biedny leśnik nie ośmielił się pytać o nic więcej.

Zastanowiło go zachowanie Niny. Siedziała z opuszczoną głową, wykonując nerwowe ruchy. Nalała sobie kruszon, lecz go nie piła i odstawiła miseczkę z malinami, mimo iż przedtem jadła je z apetytem. Czowała, że obaj mężczyźni ją obserwują, i to bardzo ją peszyło. Zapadło kłopotliwe milczenie. Orlewicz uznał, że stał się niepożądanym gościem, więc wstał, zamierzając się pożegnać. Obawiał się, że powiedział coś, co nagle poróżniło małżonków. Ale hrabia nie pozwolił mu odejść i tak uprzejmie zapraszał na kolację, bez śladu poprzedniej oziębłości, że Orlewicz przyjął zaproszenie.

Nina podniosła się z ławki i tłumacząc się obowiązkami pani domu, skinęła im głową i odeszła. Skręciła w boczną aleję i stwierdziwszy, że nikt jej nie widzi, zgarnęła obfite fałdy spódnicy i pobiegła do domu, sapiąc przy tym głośno, bo mocno ściągnięta sznurówka nie pozwalała wziąć głębszego oddechu. Po drodze przeklinała pod nosem jak furman:

– Psiakrew! Psiakość! Psia dusza!

Jak bomba wpadła do sypialni i z rozmachem rzuciła się na łóżko, kryjąc rozpaloną twarz w poduszkach. Jaga, mająca jak zwykle oko na wszystko, co się działo, przydreptała za nią do pokoju.

– Źle się czujesz? Wstań, kotku, bo niedługo podadzą kolację.

– Boże! – wrzasnęła Nina, głosem zduszonym przez poduszkę. – Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Czy w tym domu nie można mieć ani odrobiny prywatności? Zechciej dać mi pięć minut, dobrze? – Z wściekłością cisnęła koronkowym jaśkiem, trafiając w kominek.

Jaga poczuła się obrażona.

– Paskudna złośnica! Cóż to, odezwać się nie można do jaśnie pani hrabiny? A rób sobie co chcesz! – Wyszła z pokoju, kłapiąc pantoflami, i na znak oburzenia mocno zatrzasnęła za sobą drzwi.

„Czego oni, do diabła, ode mnie chcą?” – rozmyślała Nina z gniewem. Złośliwa uwaga męża i badawcze spojrzenie Orlewicza upokorzyły ją boleśnie. Uważała, że Tadeusz ma powód, aby do końca życia dziękować Bogu za to, iż pan Wielenin miał do niej słabość. Zapewne zapamiętał Tadeusza z wizyt składanych niegdyś w Makowie. Siekielski nie lubił młodego oficera i nawet kilka razy pokłócili się o niego. Aleks również

zachował się nieznośnie. Ciągłe wypominał jej flirt z Wieleninem, a sam miał jakieś sekrety, nawet nie pokazał jej tego tajemniczego listu z Krakowa. Z tego Orlewicza także okaz! Gapił się na nią takim wzrokiem, jakby była jego ślubną małżonką, przyłapaną na schadzce z gachem! Zauważyła, że mąż, który poprzednio był dla niego zimny jak kostka lodu, wyraźnie się na niego bocząc, potem niespodziewanie zmienił taktykę i zaprosił go na kolację, robiąc się słodki jak cukiereczek. Och, ta męska solidarność!

Zgrzytnęła zębami i zdenerwowana podniosła się z łóżka. Jak to możliwe, żeby po nocy pełnej miłosnego uniesienia spotkała ją ze strony męża taka przykrość? Powracając z Brzezińca, wyobrażała sobie, że tej nocy znowu będą się kochać, a tu masz babo placek!

Usiadła przy toaletce i wezwała Ulisię. Pokojówka uczesała ją niemal po balowemu, wcierając jej w skórę twarzy, szyję i ramiona pachnący krem liliowy.

„O, czekajcie, ja wam pokażę!” – Nina uśmiechnęła się mściwie, obmyślając zemstę. Była odrobinę niespokojna, bo wiedziała, że Aleks na samo wspomnienie Wielenina, wpadał w pasję i potrafił być wówczas dla niej bardzo niemiły. Nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje. Zaloty innych mężczyzn przyjmował na ogół bez ironicznych komentarzy, dumny z powodzenia żony. Ale gdy chodziło o Wielenina, zaczynał zachowywać się niegrzecznie i złośliwie, jak zazdrosny sztubak. Dziś również okazał zły humor w obecności gościa i upokorzył ją swoją jadowitą uwagą. Postanowiła więc ukarać męża i Orlewicza.

Ulisia upięła jej węzeł z warkoczy, mocując go srebrnymi grzebieniami wysadzonymi drobnymi diamencikami. Z pomocą pokojówki włożyła wieczorową suknię z białego batystu, odsłaniającą niemal całe ramiona i biust. Wyperfumowana i świeża jak poranek udała się do jadalni. Weszła do pokoju, kołysząc zalotnie krynoliną. Obaj panowie i pani Salomea siedzieli już przy stole, oczekując na nią. Zajęła swoje miejsce i całą uwagę podczas kolacji poświęciła Orlewiczowi, żartując sobie z jego kawalerskiego stanu i dopytując figlarnie, czy gdzieś po drodze nie zostawił serca. Trzepocząc rękami, koniecznie pragnęła się dowiedzieć, czy w Galicji damy są urodziwsze niż w Królestwie. Kokietowała biedaka, nie krępując się zupełnie obecnością męża.

Orlewicz dławił się pieczeniem i nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Obawiał się patrzeć na nią i odwracał wzrok, kiedy pochylała się ku niemu, intrygując go dekoltem i zapachem paryskich perfum. Ale nie potrafił powstrzymać się, by nie zerkać bokiem na jej lśniące warkocze, wyobrażając sobie, jak wyglądałyby, gdyby wyjąć z nich grzebienie. Muszą być miękkie i pachnące... Zachwycił się przepyszną linią nagich ramion i zarysem ślicznych piersi. Za ten kształt długiej szyi, za bogactwo włosów i cudowne oczy połowa kobiet na świecie oddałaby niejednen rok życia. Obawiał się zdradzić ze swoimi uczuciami, ale czasem nie potrafił się pohamować i sięgał wzrokiem do głębokiego dekoltu sukni. Nie mógł jeść, a zagadnięty, jąkał się jak nieśmiały uczeń podczas egzaminu. Zaraz po kolacji zaczął się żegnać.

– Już chce pan nas opuścić? – Nina artystycznie udała rozczarowanie.

– Niestety, muszę – powiedział z tak nieszczęśliwą miną, że z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Ujęła go pod ramię i słodko zajrzała w oczy.

– Nie, tak się nie godzi, panie Stanisławie. Nie widzieliśmy się od dawna i już zamierza pan nas opuścić? Nie zgadzam się! Z pewnością zna pan mnóstwo interesujących nowinek, o których my, mieszkańcy prowincji, dowiadujemy się ostatni. Nie puścimy pana, prawda, Alku? – szczebiotała promiennie uśmiechnięta.

Była w swoim żywiole i nawet Paula za swoich najlepszych czasów nie mogła się z nią mierzyć urokiem. Zaprosiła Orlewicza do malinowego salonu na kawę i muzykę. Nie potrafił odmówić i szedł za nią jak skazaniec na szafot albo jak pokorne ciele. Usiadła przy fortepianie, kazała mu spocząć obok siebie i odwracać strony nut, mimo iż grała z pamięci! Przy walcach Chopina wpatrywała się w niego tkliwie, a Orlewicz trząsł się ze zdenerwowania, nie wiedząc, czy ma jej paść do nóg, czy może lepiej uciec przez szeroko otwarte drzwi na taras. Siedział jak na szpilkach, czując na sobie ciężkie spojrzenie hrabiego. Pani Salomea, milczący świadek tej sceny, przeglądała kolorowe żurnale, udając, że jest pogrążona w lekturze.

Sytuację uratował Walenty. Zajrzawszy do salonu, szepnął Ninie, że przybył kurier z Borku i przywiózł jej list od panny Lutówny. Momentalnie zapomniała o Orlewiczu i nadąsanym mężu. Przeprosiła i wybiegła z salonu. Odebrała od posłańca list i przeczytała go. Panna Lutówna pisała, że przez jakiś czas będzie przebywać „u cioci”. Oznaczało to, że jedzie do

Galicji. Kiedy Nina powróciła do salonu, Orlewicza już tam nie było. Rozbawiona zasiadła ponownie do fortepianu i niby w zamyśleniu zaczęła grać ulubione utwory męża. Posłała mu przelotne spojrzenie i stwierdziła, że Aleks miał minę źle skrywanej wściekłości. Usłyszawszy *Larghetto*, wolno odwrócił głowę i zmierzył żonę lodowatym wzrokiem. Więcej nie zwracał na nią uwagi, rozmawiając z panią Salomeą, opowiadającą mu o znacznej poprawie zdrowia wuja Ksawerego, który zaczął już chodzić i zajmował się gospodarstwem, lecz nigdzie nie bywał, krępując się swojej bełkotliwej wymowy. Starsza pani rzuciła okiem na zegar i taktownie wstała, przeczuwając, że zanosi się na scenę małżeńską. Powiedziała „dobranoc” i odeszła do swego pokoju.

Aleks siedział dalej, wpatrując się z ponurą miną w otwarte drzwi na taras, i gładził łeb łaszącego się do niego Grota.

– Jestem zmęczony i pragnę się położyć – oznajmił naraz oschle, nie patrząc w stronę żony.

Bez słowa podniosła się od fortepianu i zadzwoniła. Na progu stanął lokaj, oczekując na rozkazy.

– Proszę zawieźć pana do sypialni, wezwać kamerdynera, pomóc mu rozebrać pana i położyć do łóżka – poleciła.

Aleks, zdumiony i zaskoczony, podniósł głowę i raczył na nią spojrzeć.

– A ty nie idziesz spać?

– Nie jestem zmęczona i idę na spacer do parku – odparła beztrosko.

Nucąc półgłosem francuską piosenkę, lekko zbiegła ze stopni tarasu, kierując się w stronę stawu. Przeszła ogród różany i usiadła na ławce, wsłuchując się w odgłosy letniej nocy. Gładka tafla wody odbijała rozsiane na niebie gwiazdy i srebrzystą tarczę księżyca w pełni. Co jakiś czas ciszę przerywało kwakanie przebudzonej kaczki lub głos bąka. Odezwał się lelek, a nad jej głową przemknęła cichym lotem sowa. Spokój w przyrodzie sprawił, że Nina również się wyciszyła. Nie żałowała danej mężowi nauczki i nie zamierzała go przeproszać. Obraził ją, więc miała prawo odpłacić mu pięknym za nadobne. Ale w miarę upływu czasu uraza do męża słabła, a pozostał tylko żal. Przyszło jej na myśl, że z Pawła jest offerma i pewnie nie zauważy, że panu zsunął się opatrunek. Aleks zaś nigdy się nie poskarży, choćby miał skonać. Przypomniała sobie, że o tej porze mąż zawsze bierze lekarstwo i pewnie dziś także nie upomniał się o nie. Och, był niełatwy we współżyciu, uparty i nieznośny, ale dla niej jedyny i

najdroższy. Wyobraziła sobie, że pewnie niedługo znowu się rozstaną, może już na zawsze...

Pod wpływem niepokoju nagromadzona w jej sercu złość się rozwiąła. Wprawdzie w parku było bardzo przyjemnie, jednak być może mąż jej potrzebował i postanowiła natychmiast sprawdzić, co się z nim dzieje. Zerwała się z ławki i popędziła do pałacu. W jego sypialni panował półmrok, przez otwarte okna wpływał zapach maciejki i kwitnących lip. Aleks leżał na boku, twarzą do ściany. Oj, to był naprawdę zły znak! Przyklękła przy łóżku, tuląc policzek do jego pleców.

– Kochanie, wzięłeś lekarstwo? Czy nie czujesz się gorzej? – szepnęła słodkim głosem.

– Chcę spać! – warknął, bynajmniej nie czułym głosem, nawet nie odwracając głowy.

– Aleczku, spójrz na mnieee... – miauknęła płaczliwie.

– Jestem zmęczony. Przyjmij to do wiadomości i idź sobie. Dobranoc!

– Co ja ci zrobiłam złego? – Chlipnęła na wszelki wypadek, skubiąc koronkę na rękawie jego nocnej koszuli. – Wczoraj było między nami tak cudownie, a dzisiaj... Pewnie już mnie nie kochasz. Znudziłam ci się?

– Kocham cię! – warknął ponownie takim tonem, że momentalnie zapomniiała, iż zamierzała być dla niego słodka i przymilna.

– No nie! – wybuchła ze złością. – Ty naprawdę jesteś niemożliwy. O co masz właściwie do mnie pretensje? Każesz mi się zastanawiać, co uczyniłam złego, nie przedstawiając mi nawet dowodów winy?

Odwrócił się powoli w jej stronę i wsparty na łokciu, przypatrywał się żonie przez przymrużone powieki.

– Niewiniątko! – prychnął drwiąco. – Ostrzegam, idź lepiej spać, bo w przeciwnym razie będziesz musiała odpowiedzieć na kilka pytań.

Przeszyła go gniewnym wzrokiem.

– A właśnie, że nie pójdę spać, bo nie mam na to ochoty! – wykrzyknęła i podniosła się z kolan, stając przed nim z założonymi na piersiach ramionami. – Proszę, możesz mnie pytać, ja nie mam nic do ukrycia – oświadczyła wyzywającym tonem.

Usiadł na łóżku, podciągając poduszki wysoko pod plecy. Nina spojrzała w jego pociemniałe z rozdrażnienia oczy i nagle pożałowała, że nie posłuchała ostrzeżenia i nie poszła do sypialni. Może rano obudziłby się w lepszym humorze? Ale jakoś w to nie wierzyła, bo nie należał do ludzi,

którzy prędko zapominają urazy. Chciała się cofnąć, lecz on pochwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Oczekuję na przeprosiny – powiedział cichym głosem, z zaciętą miną. – I uprzedzam, nie próbuj na mnie twoich sztuczek. Ani żalosne chlipanie, ani słodkie minki nie zrobią na mnie wrażenia. Za dobrze cię znam. – Kilka razy głęboko odetchnął. – Przede wszystkim patrz mi prosto w oczy, bo wtedy nie potrafisz kłamać. A tak na marginesie, zwracam ci uwagę, że nie podoba mi się, kiedy moja żona w obecności kuriera rządu pokazuje się w jasnej, dekolowanej sukni, wprost prowokując do zalecanek. Zapomniałaś, że w kraju obowiązuje żałoba narodowa?

– Oho... – bąknęła.

– Co to znowu znaczy? – Uniósł brwi.

– Nic, po prostu „oho”! Wybacz mi, następnym razem pokażę się kurierowi zawołowana i cała w czerni. Włożę nawet czarne pantaloney i mogę je zaprezentować przy świadku!

– Nino!

– Nie krzycz. Wiem, że jestem źle wychowana i zupełnie brak mi szacunku dla pseudopatriotycznych idiotyzmów. A ty jesteś zwykłym hipokrytą! Sam pozwoliłeś mi nosić jasne suknie, stosowne do mego wieku. Tak czy nie?

– Owszem, ale obecność pana Orlewicza powinna cię skłonić do przestrzegania żałoby.

– Alek, nie rozśmieszaj mnie! Nie zamierzam się podporządkować nakazom, których nie aprobuję, i topić się w tym upale w kirach. Mam niemiłe przeczucie, że kiedy wspólnymi siłami doprowadzicie ten nieszczęsny kraj do zguby, będę miała czas nosić kiry przez wiele lat. A tobie wcale nie chodzi o żałobę, tylko jesteś na mnie wściekły, bo Orlewicz gapił się w mój dekolt.

Po jego ustach przemknął cień uśmiechu, lecz tak szybko, że Nina tego nie dostrzegła i mówiła dalej, coraz bardziej zirytowana:

– Nie zamierzam cię za nic przeproszać. Gorszysz się moim swobodnym zachowaniem? Więc należało ożenić się nie ze mną, lecz z tą wymokłą księżniczką Wandą, z którą cię swatano. Taka wielka dama z pewnością zachowywałaby się wytwornie, obszywając nawet majtki czarną wstążeczką. A w łóżku, kochając się z tobą, nosiłaby koszulę zapiętą pod szyją i odmawiała szeptem akt żalu za grzechy. Oczywiście po francusku!

Jak ja nienawidzę bogoojczyźnianego głędzenia i ponurego bełkotu: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”!

– Nino!

– Co, kochanie? – Uśmiechnęła się uroczo i zjadliwie. – Jesteś zgorszony? Pewnie myślisz, że zachowuję się wulgarnie i niegodna jestem nosić tytułu hrabiny Klonowieckiej? Słusznie, jestem tylko prostą dziewczyną, bez wykształcenia i posagu, która przez przypadek weszła w wysokie progi. Co w tym złego, że ten biedny chłopak przez chwilę podziwiał mój dekolt? Mam osiemnaście lat i lubię, kiedy mężczyźni dają mi do zrozumienia, że wyglądam ponętnie.

– Powinna ci wystarczyć adoracja męża – przerwał jej surowo.

– Nie adorujesz mnie zbyt często – odpaliła i zawstydzona przygryzła wargi.

– Zapewne pan major Wielenin adorował cię w sposób bardziej sugestywny – zrewanżował się Aleks.

– Istotnie, robił to z właściwą Rosjanom żarliwością!

– Ach tak, w takim razie może nareszcie się dowiem, co między wami było? Już dawno zamierzałem się z tobą rozmówić na ten temat.

Nina wzruszyła ramionami i usiadła na skraju łóżka, splatając dłonie na kolanach. Co mogła powiedzieć na swoją obronę? Każde jej słowo budziło w nim niewiarę. Pewne wydarzenia na zawsze muszą pozostać przed nim tajemnicą. Nigdy nie dowie się o tej niesamowitej chwili, gdy stali z Wieleninem objęci kurczowym uściskiem, a ona z entuzjazmem przyjmowała jego szalone pocałunki, obezwładniona miłosną furiją. Nie, o tym mąż nie dowie się nigdy, choćby miała zaraz paść trupem i smażyć się w piekle przez całą wieczność!

– Mieliście romans, tak? – spytał, przeszywając ją przenikliwym spojrzeniem.

– Nie.

– Kłamiesz!

– Imputujesz mi, że byłam kochanką pana Wielenina? Przecież ty byłeś moim pierwszym mężczyzną!

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Gdybym podejrzewał, że należałaś do niego, po prostu zabiłbym go, a na ciebie więcej nie spojrzał. Ale ja wiem, że łączył was romans. Nie próbuj zaprzeczać. Widziałem w operze jego oczy wpatrzone w ciebie. Obserwowałem jego zachowanie w Makowie.

Wiem, że był w tobie nieprzytomnie zakochany, a ty doskonale o tym wiedziałaś i to ci pochlebiało! Uwodziłaś go!

Pobladł, a na jego twarzy odmalował się wyraz bezgranicznego smutku. Nina spodziewała się wybuchu gniewu, gorzkich wymówek, nawet gróźb rozwodu, tymczasem on patrzył na nią w milczeniu. Widok jego smutnych oczu przejął ją dreszczem żalu. Nie chciała, by cierpiał. Marzyła, aby ten wieczór nie skończył się wzajemnym wypominaniem grzechów.

– Ukochany! – załkała, chwytając jego rękę i pokrywając ją pocałunkami.
– Czemu zadręczasz się czymś, co nigdy nie miało miejsca? Niepotrzebnie ranisz i siebie, i mnie.

– Nie miało miejsca? A jak sądzisz, dlaczego on uratował życie Tadeuszowi? Posłuchaj mnie, Nino! Albo powiesz mi prawdę, całą prawdę o sobie i o nim, albo natychmiast zadzwonię, każę się zawieźć do obozu i nigdy więcej do domu nie wrócę.

– Dobrze... – Skinęła głową i opanowanym głosem opowiedziała o swojej znajomości z majorem.

Nie starała się Aleksa o niczym przekonywać, mówiła obiektywnie, tak jakby nie wspominała o sobie, lecz o zupełnie obcej kobiecie. Na jego twarzy malowały się kolejno gniew, zazdrość, a potem jakby cień litości. Nie przerywał jej, tylko nie odrywał od niej badawczego wzroku. Pod wpływem tego spojrzenia po plecach Niny przebiegały ciarki. Kiedy skończyła, Alek bez słowa przymknął powieki. Czekwała na jakiś znak, ale leżał nieruchomo, zdając się spać. Nina się podniosła, poprawiła mu kołdrę, podciągając ją, bo noce lipcowe bywały już chłodne, a on odkrywał się we śnie.

– Jest mi bardzo przykro, że się poróżniliśmy – powiedziała cicho. – Ja także zachowałam się niewłaściwie, przepraszam. To było głupie. Dobranoc.

– Zostań! – rozkazał krótko, a jej ścisnęło się serce na wspomnienie tego samego słowa wypowiedzianego poprzedniej nocy tak miękko i namiętnie.

Posłusznie przysiadła na skraju posłania.

– Cokolwiek mi powiedziałaś, ja jestem przekonany, że Wielenin nie jest ci obojętny. Jaka szkoda, że dopiero teraz dowiedziałem się od ciebie prawdy. On nie miał prawa występować w roli twojego opiekuna i obrońcy! Powinien mnie osobiście zawiadomić o zajściu w kasynie i to ja wpakowałbym kulę w Woroncewa, i rozprawił się z Paulą za ciągnięcie cię

po żołdackich norach. – Usiadł na łóżku tak gwałtownie, że aż sprężyny jęknęły.

– Alek, błagam, nie rzucaj się tak, bo rany mogą się otworzyć! Och, co za dureń z tego Orlewicza! – wykrzyknęła z gniewem.

Przez otwarte okna powiał nocny wiatr, poruszając koronkowymi firanami, i zaglądnął księżyc, bieląc ściany martwym, nierealnym światłem.

– Nie troszcz się o mnie – odezwał się z goryczą. – Wiem, że gdy polegnę, Wielenin cię odszuka, a ty przyjmiesz go z zachwytem.

Nina zatrzęsała się z przerażenia, które momentalnie przerodziło się w dziką pasję.

– Ty chyba nie masz serca! Jak śmiesz tak do mnie mówić? Jestem twoją żoną. Powiedziałam ci, że twój los będzie i moim. Zachowujesz się okrutnie i właściwie czego ty ode mnie chcesz? Dlaczego mnie tak dręczysz?

– Bo wiem o tobie więcej niż ty sama – powiedział to bez gniewu, tylko ze smutkiem. – Jeszcze siebie nie poznałaś. Jesteś bardzo młoda i masz bujny temperament. Twoje ciało reaguje na najlżejsze nawet dotknięcie... – Dotknął jej piersi, a ona bezwiednie wygięła się do tyłu. – Widzisz? Nino, są w życiu człowieka chwile, że to jego ciało decyduje, nie rozum. Ja już to przeszedłem, ale wszystko jest jeszcze przed tobą, moja śliczna kokietko...

Widziała przed sobą jego oczy, szeroko rozwarte i pełne cierpienia.

– Moje ciało nie będzie mną rządzić! – oświadczyła z mocą. – Przysięgałam ci przy ołtarzu wierność i dotrzymam przyrzeczenia do śmierci. Tak mi dopomóż Bóg!

– Mówisz jak dziecko – westchnął. – Nawet nie wiesz, jakie wyzwania może postawić przed tobą życie. Nie jestem wielkoduszny i choćbym zginął, nie zamierzam oddawać cię tamtemu mężczyźnie. Każdemu innemu, ale jemu nie! – Zaciśnął palce na jej ramionach i silnie nią potrząsnął. – Ponieważ wiem, że tylko jego kochałabyś równie mocno co mnie!

Szarpnęła się, coraz bardziej zdenerwowana i rozżalona.

– Puść mnie! Jesteś niesprawiedliwy i niewdzięczny. Już zapomniałeś, że to ja wydarłam cię śmierci? Nie pamiętasz, jak umierałam razem z tobą, kiedy dusiłeś się krwią? Że byłam gotowa skonać na progu twego pokoju, gdy wpadli dragoni i myśleliśmy, że to nasza ostatnia godzina? – Zakrztusiła się i odkaslnąwszy, mówiła dalej, coraz głośniejsze: – Żeby

dostarczyć ci broń, naraziłam życie nienarodzonego dziecka i swoje. Nie jestem niczemu winna, ale czuję się jak jawno grzesznica! Przez ciebie!

Puścił ją i przez jakiś czas leżał z zamkniętymi oczami.

– Przepraszam. To ta choroba uczyniła ze mnie sentymentalnego głupca. Fatalne małżeństwo z Paulą odcisnęło na mnie piętno nieufności. Ja nie jestem niewdzięczny i doskonale wiem, jak wiele ci zawdzięczam. Ale wiem również, że jestem od ciebie starszy o wiele lat, rzadko bywam w domu, a ty jesteś młodziutka i masz gorącą krew.

– Alek, przestań mnie torturować filozoficznymi wywodami! – Zerwała się i tupnęła. – Twoje zmienne nastroje przypominają kobietę przy nadziei! Gdybym naprawdę kochała pana Wielenina, tobym za niego po prostu wyszła, i koniec sprawy. A z tą różnicą wieku to już przesadziłeś. Ubiegłej nocy udowodniłeś mi to w sposób absolutnie jednoznaczny. Owszem, jestem młoda, ale nie w głowie mi romanse. A mówiąc szczerze, z pewnością nie dostanę spazmów, jeśli zrobisz ze mną coś, czego dżentelmeni nie robią ze skromnymi żonami. – Posłała mu wyzywające spojrzenie i uwodzicielski uśmiech. – Zawsze jestem otwarta na wszelkie nowinki. Aha, nie powiedziałaś mi, co było w tym liście z Krakowa!

Obserwował ją kątem oka i nagle roześmiał się głośno, ukazując lśniące zęby.

– No i jak mam cię nie kochać? Wiem, że jest ci ciężko i walczysz jak lwica o mnie i utrzymanie majątków, a ja ci jeszcze umilam życie. A tak marzyłem, że zabiorę cię za granicę, pokażę Paryż, obsypię brylantami. Twoja uroda rzuciłaby Francuzów na kolana. Na twój widok mężczyźni wyskakivaliby z okien, żeby paść ci do nóg – zakończył żartobliwie.

– Pięknie dziękuję, nie pochwalam zbiorowego samobójstwa. – Podeszła do łóżka i wzmocniła światło lampki nocnej. – Przez cały wieczór musiałam ci się spowiadać. A kiedy ty powiesz mi prawdę o sobie? Przecież wiem, że w Petersburgu i w Paryżu nie prowadziłeś się jak święty Antoni. Miałeś mnóstwo kochanek, bywałeś w nocnych lokalach i piłeś.

– Przyznaję, ale wtedy jeszcze nie znałem ciebie.

– Hm, to jest argument – zgodziła się, ale tylko pozornie. – Ale nie wyobrażaj sobie, że jestem taka naiwna i uwierzyłam, że po ślubie z Paulą, a może i przed ślubem, nic cię z nią nie łączyło. Czasami wymknęło się wam jakieś słówko świadczące niezbicie, że o tak intymnych szczegółach

wiedzieć mogli jedynie kochankowie. Czy dalej będziesz mi wmawiał, że nigdy nie spałeś z Paulą?

Nie odpowiedział, tylko zarumienił się lekko.

– Aha – mruknęła z urazą. – Dobrze, nie będę dłużej cię dręczyć. Idę spać, dobranoc.

Przytrzymał ją za rękę, całując po kolei każdy paluszek.

– Przestań! Byłeś niegodziwy i nie zamierzam ci tego wybaczyć. Żegnam pana hrabiego. – Wyrwała się i złożyła mu z powagą dworski rewerans. – Pa! – Ruszyła ku drzwiom, kołysząc biodrami, aż krynolina falowała jak dzwon.

– Mój słodki promyczku...

– Nie zatrzymuj mnie! – Rzuciła mu przez ramię przeciągłe spojrzenie.

– Słonko, nie odchodź. Opowiem ci o liście, dobrze? No, chodź do mnie, pragnę cię i chcę cię pieścić do rana. Cofam wszystko, co powiedziałem. Wróć, moja najukochańsza. – Wyciągnął do niej ramiona. – Mam się zachowywać jak dżentelmen czy inaczej?

Przystanęła, uśmiechając się, a na jej policzku utworzył się rozkoszny dołeczek, zwykle wprowadzający mężczyznę w obezwładniający stan zachwyty.

– Dla mnie możesz się zachowywać jak Stieńka Razin¹⁴. Mnie to wcale nie przeszkadza. – Podeszła i wygięła się zmysłowo. – Nie chcę budzić służby i wyjątkowo pozwalam, żebyś mnie rozebrał.

Drżącymi rękami rozpiął haftki jej sukni, szarpiąc je i klnąc pod nosem. Miękka tkanina z cichym szelestem opadła jej do stóp. Śladem sukni poszły halki i gorset oraz spodnia koszulka. Przytulił ją, szukając ciepła jej ciała. Zrewanżowała się, rozrywając mu koszulę tak gwałtownie, aż prysnęły drobne perłowe guziczki i rozsypały się na posadzce. Poderwał ją i wciągnął na łóżko. Pokój zawirował w jej oczach, kiedy wziął ją z szaloną namiętnością. Cicha, tajemnicza i pełna westchnień noc zamknęła się nad ich głowami.

Leżeli potem przytuleni do siebie w całkowitym milczeniu. Ta lipcowa noc oprócz spokoju miała już w sobie lekką melancholię nadchodzącej jesieni. Zamilkły godowe śpiewy ptaków, ze skoszonych trawników unosił się mocny zapach ziół. Od stawu płynął chłodniejszy powiew. Gdzieś daleko zaszczekał pies, a za oknem przeleciała sowa mieszkająca na strychu, rzucając w przelocie krótki okrzyk. Aleks poruszył się i dotknął

gorącymi ustami nagiej piersi Niny. Otworzyła oczy i sprawdziła, czy bandaże nie zsunęły się z ran. Były już zupełnie zagojone, jednak Jaś kazał jeszcze nosić opatrunek, aby uniknąć infekcji. Uniosła się i okryła go starannie czułym, matczynym ruchem. Poczuli ze wzruszenia skurcz serca, przepełnionego gorącą miłością i głębokim szacunkiem dla jej niezłomnego charakteru i szczerych uczuć.

– Jesteś dla mnie aniołem opiekuńczym. Ale nie powinnaś mnie tak mocno kochać, bo tyle razy zachowałem się wobec ciebie okrutnie i brutalnie. Jednak uwierz mi, nigdy nie czułem się tak szczęśliwy, jak przy tobie.

– Cieszę się – wymamrotała sennie. – Czy ja się w końcu dowiem, co było w tym liście?

– Ty zawsze stoisz mocno na nogach! – Zaśmiał się i wlepił jej klapsa w zgrabną nagą pupę. – Ale do rzeczy... Słyszałaś może o hrabiach Hauke?

– Aż do znudzenia. Nieboszczka Paula przedstawiała mi pannę Julię Hauke jako wzór do naśladowania i przykład dworskiej kariery.

– Mój dawny znajomy z Rosji, pan hrabia Józef Hauke, przebywa obecnie w Krakowie i zaprasza mnie do siebie na rozmowę.

– Przecież ty jesteś ranny! – oświadczyła, podejrzewając, że list może mieć związek z powstaniem.

– Ale on o tym nie wie. Pan Józef jest młodszy ode mnie, ale jego droga życiowa podobna była do mojej. Wychowywał się w Korpusie Paziów, w huzarach gwardii dosłużył się stopnia podpułkownika. Następnie, podobnie jak ja, przeszedł przewartościowanie poglądów i z carskiego pupilka stał się przeciwnikiem caratu. Ach, długo musiałbym ci tłumaczyć te sprawy.

– Nie musisz, ja rozumiem.

– Jak by nie było, on jest krewnym cara Rosji przez męża swojej kuzynki, księżnej Julii z domu Hauke Battenberg. – Aleks dmuchnął, by pozbyć się włosów spadających mu na oczy. – U szczytu kariery, jak Sierakowski i Zwierzdowski „Topór”, porzucił wojsko i ożenił się z prostą szlachcianką. Mieszka z żoną w Galicji i próbuje się zorientować w sytuacji. Nie wszyscy mu dowierzają, podejrzewając podstęp. A może po prostu mu zazdroszczą. Gdyby zdecydował się przystąpić do powstania, zyskalibyśmy bardzo zdolnego oficera.

– Ale czego on od ciebie chce? – Nina nerwowo kopnęła kołdrę, bo zrobiło się jej gorąco.

– Spokojnie, promyczku... – Pochylił się i ucałował jej usta. – Pan Hauke słyszał, że biorę udział w powstaniu, więc chciałby się ze mną spotkać, by dowiedzieć się czegoś. Znamy się dobrze i on ufa, że powiem mu prawdę o aktualnej sytuacji. Wie, że ze mną może być szczery, i to wszystko.

– Ale ty nie możesz jechać. Wykluczone! Odpisz mu, że jesteś ranny, a twój oddział został rozbity. Nie możesz jechać, nie będąc całkiem zdrowy. Alek, ja nie chcę. Ja się boję!

– Nino, kochanie, przecież nie wyjeżdżam. No, nie miej takiej smutnej minki. Pocałuj mnie, promyczku. Mieliśmy się kochać do rana, a do świtu jeszcze daleko.

Ale Nina, przejęta nagłą trwogą, nie potrafiła już czerpać radości z miłosnego zbliżenia.

[14](#) Stiepan Razin – ataman kozacki, przywódca buntu w Rosji w XVII wieku. Słynął z okrucieństwa.

W ciągu następnych dni Aleks uparcie starał się odzyskać dawną formę i sprawność fizyczną. Chodził już bez trudu, potem zaczął ćwiczenia gimnastyczne pod okiem Jasia i jazdę konną. Stach, będący po śmierci Kacpra koniuszym, wybrał mu ze stada pięknego złocistego ogiera, a Tomek sam go ujeździł, przyzwyczajając do strzałów i ognia. Całymi dniami Aleks galopował po parku, skakał przez przeszkody i pokonywał trudności terenowe, przyzwyczajając wierzchowca do siebie. Zazwyczaj towarzyszyła mu Nina na swojej Mignon, podziwiając sprawność jeździecką męża. Aleks znakomicie jeździł konno, w siodle stapiając się w jedno z koniem i odczuwając najmniejszy ruch wierzchowca.

Powracając do zdrowia, hrabia dla wprawy ćwiczył z Jasiem szermierkę, ucząc przy tym Tomka fechtunku białą bronią. Maciek, zdolny uczeń poległego koniuszego, pokazywał chłopcu wyższą szkołę jazdy i dzygitówkę¹⁵. Z cichą rozpaczą Nina pojęła, że mąż już oddalał się od niej, a zwodniczy spokój i szczęście skończą się wraz z jego odejściem. Odsuwała od siebie tę myśl, ciesząc się każdą chwilą spędzoną razem. Pogoda była przepiękna i czas po obiedzie spędzali na powietrzu, galopując po alejach lub spacerując po rozległym parku.

Zdarzało się, że Emilka odpoczywała w domu po podróży. Wówczas Jaś nie wracał do obozu, pragnąc się nacieszyć obecnością żony. Dwoma łódkami wypływali na staw i bawili się jak dzieci. Panowie obsypywali damy liliami wodnymi, oblewając je przy sposobności wodą od stóp do głów. Panie rewanzowały się i po chwili wybuchała bitwa morska, pełna śmiechu i okrzyków bojowych obu walczących stron. Dopływali w końcu do brzegu i śmiejąc się, padali na trawę. Nina próbowała uczyć Emilkę pływać w płytkiej wodzie, a Jaś udawał, że ratuje „topielicę”, stosując metodę usta-usta. Wystraszone wrzaskami ptactwo wodne wzlatywało w niebo, a rozzłoszczone łąbędzie syczały, wyciągając ku nim długie szyje. Obie kobiety – bardzo młode – były zakochane w mężach i w czasie krótkich chwil beztroskiej zabawy zapominały o powstaniu, toczących się walkach i poległych, zaś Maków wydawał się im najbezpieczniejszym i najpiękniejszym miejscem na ziemi.

Pewnego dnia Emilka przywiozła z Borku podziemną prasę: kilka egzemplarzy politycznego pisemka Białych pod tytułem „Naprzód”, redagowanych z talentem przez pana Szujskiego¹⁶, oraz broszury i gazetkę Czerwonych, noszącą szyderczy tytuł: „W tył”. Atakowała ona rząd,

protegowany zdaniem Czerwonych przez Wielopolskiego, jezuitów i obszarników.

Wieczorem powrócił z leśnego obozu Jaś i wszyscy zgromadzili się w wielkim salonie na piętrze, przy kawie, winie i owocach. Emilka wspomniała o kolejnej, nieudanej wyprawie generała Wysockiego na Ukrainę, rozbitego pod Radziwiłłowem. Jeden z oddziałów powstańczych został rozbrojony przez Austriaków, a powstańców osadzono w twierdzy.

– Jak dotąd Austriacy udawali neutralność – zauważyła Nina, oblizując palce z soku brzoskwini.

– Niestety, to już przeszłość. – Emilka z westchnieniem obróciła w palcach maleńką filiżankę z chińskiej porcelany, całą czarną ze złotym brzegiem i tak cieniutką, że widać było znajdujący się w niej płyn. Przypatrzyła się jej z podziwem i ostrożnie postawiła na podstawku. – Dowiedziałam się, że we Lwowie aresztowano księcia Sapiechę i innych działaczy politycznych. Oskarżono ich o przynależność do spisku zagrażającego dynastii Habsburgów.

– Alek, słyszysz? – Nina posłała mężowi wymowne spojrzenie. – Zamierzacie walczyć na dwa fronty? – Z gniewem rzuciła na talerzyk niedojedzony owoc.

– Ale państwo nie wiecie o najważniejszej nowinie... – rzekła Emilka. – Wielopolski wyjechał z kraju, dotknięty niełaską monarchy! Teraz najważniejszą osobą w Królestwie jest generał Berg¹⁷, zausznik cara.

Zdumieni słuchacze wpatrywali się w nią z niedowierzaniem. Aleks wstał i zaczął się przechadzać po wielkiej sali, przystając pod obrazami i nie zwracając uwagi na to, na co się patrzył.

– To rzeczywiście bardzo ważna nowina. Tylko nie wiadomo, cieszyć się czy obawiać.

– O, diabli nadali! – sapnął przejęty Jaś, wichrząc sobie jasną czuprynę.

Nina była wstrząśnięta tą wiadomością i nawet nie ukrywała przerażenia.

– Ależ to okropne! Dzięki staraniom rzekomych patriotów pozbyliśmy się z kraju jedyne go człowieka, który próbował coś dla Polski zrobić.

– Zrobił brankę! – przypomniał Jaś.

– Chciał w ten sposób opanować chaos. – Nina wzruszyła ramionami. – Teraz krajem będzie rządził zruszczony Niemiec. Cieszymy się!

– To jeszcze nie wszystko... – Emilka umiejętnie stopniowała napięcie. – Arcybiskup Feliński został skazany na wieloletnie zesłanie do Gatczyzny w

głębi Rosji!

To już był prawdziwy szok. Głowa Kościoła polskiego skazana na wygnanie! Feliński nie cieszył się wśród rodaków sympatią i uznaniem. Wielu zarzucało mu, że zanadto przyjaźni się z rodziną namiestnika, że został arcybiskupem z łaski cara, mimo iż on nigdy o tę godność nie zabiegał. Ale sam fakt, że car ośmielił się potraktować arcybiskupa Kościoła katolickiego jak niepokornego muzyka¹⁸ wywołał powszechne oburzenie.

– Matko Najświętsza! – wykrzyknęła pani Salomea, wchodząc do salonu i słysząc słowa synowej. – Car zesłał człowieka, który ze wszystkich sił starał się nas pojednać? To niesłychane! A co na to papież?

– Ojciec Święty nie będzie przecież darł kotów z carem Rosji o jednego Polaka – zauważył drwiąco Aleks. – Papież potępił powstanie i nas, „buntowników”, a gdyby kler polski nie był w większości patriotyczny, powstańcom odmówiono by nawet ostatniego namaszczenia i w ogóle sakramentów. Polska nigdy nie była ulubioną córką Watykanu, choć od wieków broniliśmy krzyża i płaciliśmy słone świętopietrze. Polityka prowatykańska okazała się wielokroć zgubna dla Polski. O wiele łatwiej sprawować władzę w państwie posiadającym kościół narodowy, jaki mają protestanci czy anglikanie. A jak się zachował w tej sprawie Rząd Narodowy? – zwrócił się do Emilki.

– Rząd nic na to nie może poradzić – powiedziała z żalem, napełniając filiżankę kawą dla pani Salomei. – Po ostatnim zamachu stanu w naszych władzach podziemnych nie dzieje się dobrze.

Jaś roześmiał się głośno, lecz nie było w tym wesołości.

– Czy to nie komiczne, że ludzie walczą o stołki, aby po nich wejść wygodniej na szafot?

Przysiadł się bliżej żony i objął ją mocno. Siedzieli wsparci o siebie głowami, ogromnie zakochani pierwszą wielką miłością. Emilka poprawiła się i dyskretnie pomasaowała bolący krzyż. Jej figura powoli zaczynała tracić panieńską smukłość, na twarzy wskutek wychudzenia uwydatniły się kości policzkowe. Była blada i miewała podkrążone oczy. Nina kątem oka dostrzegła skurcz bólu ściągający jej piękne rysy. To spostrzeżenie wyzwoliło w niej wybuch szewskiej pasji.

– Jasiu, do wszystkich diabłów! – zawołała, wyładowując na nim rozsadzający ją gniew. – Czy do ciebie naprawdę nie dociera, jak mizernie

wygląda twoja żona? Ślepy jesteś? Dlaczego pozwalasz jej narażać życie w służbie kurierskiej? Bez jednej kurierki łączność się nie zawali, ale ona może zachorować! Chcesz, żeby straciła to dziecko? Obym nie była złym prorokiem, ale dobrze wiem, jak sama się czułam, podróżując w tym stanie. Jesteś lekarzem, zabroń jej tej pracy!

– Kochanie, przecież ja się czuję zupełnie dobrze. – Zarumieniona Emilka usiłowała się bronić, czując na sobie zatroskany wzrok męża. – Naprawdę!

– Czego ty chcesz ode mnie, dziewczyno? – zirytował się Jaś. – Czy prośby twojego męża wpłynęły na zmianę twojej decyzji, gdy wybrałaś się do Krakowa?

– Wtedy była inna sytuacja, wiesz o tym dobrze. On nie wiedział, po co jadę. Myślał, że do lekarza. A Emilkę z powodzeniem mogą zastąpić inni i dziury w niebie nie będzie. Przypomnij sobie tylko, jak się moja podróż zakończyła! – odpowiedziała ostro.

Zaraz uświadomiła sobie z przykrością, że jej słowa musiały zranić Aleksa. Jednak nie dał nic po sobie poznać i natychmiast ją poparł.

– Nina ma rację. Pani Emilii nie wolno narażać siebie i dziecka. Kiedy giną tysiące, celem nadrzędnym jest prokreacja i wychowanie nowego pokolenia, które nas kiedyś zastąpi. Gdybym wiedział, w jakim celu Nina wybiera się do Krakowa, nigdy nie pozwoliłbym jej jechać i nasz synek by żył.

– Słyszysz? – Jaś spojrzał na żonę z wyrzutem. – Może coś z tego trafi do twojej łepetyny, bo jak dotąd to przez twój upór tylko ja zbieram cięgi należne tobie. Mamo, przemów tej kozie do rozumu!

Starsza pani z rozrzewnieniem patrzyła na syna i synową.

– Ja nie mogę, synku – powiedziała ze słodyczą. – Emilka sama musi zdecydować, co dla niej ważniejsze: praca czy przyszłe macierzyństwo.

Emilka spuściła oczy i znowu spiekła raka. W towarzystwie ludzi dobrze wychowanych nigdy nie poruszano tematów związanych z ciążą. Panie napomykały jedynie, iż któraś jest przy nadziei lub w stanie błogosławionym, i tyle. Mężczyźni również udawali, że niczego nie widzą, jakby nie wiedzieli, skąd się biorą dzieci. To był temat tabu, omawiany wyłącznie w czterech ścianach sypialni. Jednakże trudne warunki w czasie trwania powstania i ciężkie przeżycia uczyniły pewien wyłom w sztywnej etykiecie. Poza tym Jaś był lekarzem i otoczenie przyzwyczyliło się do rozluźnienia konwenansów. Damy już nie mdlały, usłyszawszy o ciąży, i

swobodniej wyrażały się o tak intymnych sprawach. Jednak Emilka siedziała bardzo zawstydzona, z pochyloną głową, sprawiając wrażenie niezmiernie delikatnej i bezbronnej. Widok jej ślicznej jasnej głowy wzruszył Ninę.

– Kochanie... – powiedziała czule, biorąc ją za rękę. – Nawet się nie wahaj! Przecież nie chcesz unieszczęśliwić Jasia i nas, którzy tak bardzo cię kochamy.

Młoda kobieta miała w oczach łzy.

– Tak mi przykro, że martwicie się o mnie. Dziękuję ci, Ninko – powiedziała, oddając jej uścisk. – Oczywiście, że dziecko jest dla mnie najważniejsze. Jednak nie mogę zrezygnować z moich obowiązków, nie sprzedając o tym przełożonych. Rozmawiałam już w tej sprawie, ale jak dotąd nie otrzymałam od władz żadnej odpowiedzi. Obiecuję, że jeszcze dziś napiszę prośbę o uwolnienie mnie od obowiązków kurierskich do chwili odzyskania zdrowia.

– No, nareszcie odetchnę – mruknął Jaś i przyciągnąwszy żonę do siebie, złożył na jej ustach długi pocałunek.

Emilka oddała mu całusa równie gorąco i pieszczotliwie pogładziła jego wiecznie zwichrzoną czuprynę. Pani Salomea patrzyła na młodą parę z macierzyńską dumą. Emilka wybrała dla męża piękne duże jabłko i zaczęła je starannie obierać. Jaś uśmiechał się rozmarzony.

– Jak to miło, kiedy kobieta dogadza swojemu mężczyźnie – powiedział, z błogą miną rozwalając się na kanapie.

– Turek! – prychnęła Nina. – Tylko patrzeć, jak położysz nogi na stół!

– Pani Emilio... – odezwał się Aleks, otrząsając się z zamyślenia. – Czy wiadomo, dlaczego arcybiskup Feliński został zesłany?

Odruchowo poprawiła fryzurę i odsunęła się od męża na przyzwoitą odległość.

– Podobno poszło o procesje uliczne. Wielki książę Konstanty obawiał się demonstracji, tymczasem arcybiskup okazał się w tej sprawie niezłomny, gotów osobiście poprowadzić procesję, choćby na działa i bagnety. Potem w ręce namiestnika dostał się jakiś poufny memoriał Felińskiego, którego treść ujawnił francuski żurnal. Wielki książę wpadł we wściekłość i zemścił się, skazując księdza Konarskiego, kapelana oddziału powstańczego, na karę śmierci. Arcybiskup głośno zaprotestował, a obrażony książę rozkazał Konarskiego powiesić, a Felińskiego zesłał do Gatczyny.

– Boże... – westchnęła zawiedziona Nina. – W takim razie nie ma już żadnej szansy na porozumienie i przerwanie działań wojennych?

Ciągle jeszcze miała wątplą nadzieję, że rząd powstańczy lub cesarz zaproponują jakieś rozwiązanie, które zadowoliliby obie strony. Lecz po skazaniu i zesłaniu głowy Kościoła polskiego porozumienie było już absolutnie niemożliwe.

– Promyczku, nigdy takiej szansy nie mieliśmy – powiedział Aleks.

– Nieprawda! – zaprzęła się. – A amnestia?

– To był jedynie dyplomatyczny wybieg. Teraz możemy chociaż umrzeć honorowo, z bronią w ręku. Po przyjęciu amnestii wyrżnięto by nas jak stado baranów.

– Rzeczywiście, macie się z czego cieszyć – zauważyła Nina z ironią.

– A ja jednak wierzę, że kiedyś nastanie taki czas, że o wojnach będą się tylko uczyć jako o strasznej i odległej przeszłości – powiedział Jaś, wpatrując się zadumanym spojrzeniem w parkową dal, widoczną przez szeroko otwarte drzwi na taras.

Nina potrząsnęła głową.

– Jesteś nieuleczalnym idealistą, braciszku. Cokolwiek będziemy o sobie pisać czy mówić, człowiek jest i będzie drapieżnikiem. Nie czarujmy się, ta cecha ujawnia się w określonych okolicznościach. Spójrz tylko na mnie... Czy ja wyglądam na osobę okrutną? Z pewnością nie. A jednak jednym strzałem zabiłam człowieka, a innych być może poraniłam. Bo taka była konieczność. Wojny będą wybuchały tak długo, jak długo będzie istniał człowiek.

Pani Salomea postanowiła zażegnać wiszącą w powietrzu kłótnię i usiadła przy fortepianie, zaczynając grać do tańca. Aleks zrozumiał jej intencję i skłoniwszy się z gracją, poprosił do walca Emilkę. Nina szturchnęła Jasia w bok, dając mu w ten „subtelny” sposób do zrozumienia, że ma ochotę zatańczyć. Z rozdzierającym westchnieniem podniósł się z kanapy, ale tańczył wspaniale, wymyślając coraz to nowe figury. Ninie przypomniał się Tadeusz i spojrzawszy w oczy Jasia, pojęła, że i on myśli o przyjacielu.

– Pamiętasz...? – wyszeptęła, czując w sercu bolesny ucisk.

Nie odpowiedział, tylko przytulił ją mocno, bo w tej chwili potrafili zrozumieć się bez słów.

Pani Salomea grała modne galopy, anglezy, mazury i eleganckie walce wiedeńskie. Obie młode damy tańczyły niestrudzenie, zamieniając się

partnerami. Tańce przerwało dopiero zaproszenie na kolację.

Wieczorem Nina zwolniła Ulisę i usiadła przy toalecie, prosząc męża, aby rozpiął jej haftki stanika sukni. Obserwując jego zręczne ruchy, z wolna rozczesywała srebrną szczotką długie włosy, przerzuciwszy je na piersi.

– Alku, proszę, wytłumacz mi coś, bo tego nie potrafię zrozumieć – odezwała się pierwsza, śledząc w tafli lustra jego zamyśloną twarz. – Przecież ty, pan Sierakowski czy pan Zwierzdowski oraz inni Polacy cieszyliście się łaskami cara. Mieliście przed sobą olśniewające kariery i nikt nie wyrządził wam najmniejszej krzywdy. Dlaczego więc wzgardziliście życiem w dobrobycie i nienawidzicie Rosji?

Aleks skończył rozpinanie haftek i ze zdumieniem spojrział na żonę.

– Skąd przyszło ci na myśl, że nienawidzimy Rosji? – Wziął od niej szczotkę i sam zaczął rozczesywać jej włosy, rozdzielając je na pasma i splatając. – Przecież ja kocham Rosję. To moja pierwsza ojczyzna. Tam się urodziłem i wychowałem. To ogromny, przepiękny kraj i ludzie tam dobrzy, serdeczni. Czasami bardziej czułem się Rosjaninem niż Polakiem. Chlubiełem się służbą w elitarnym pułku, szanowałem i lubiełem moich kolegów oficerów – wspaniałych, honorowych mężczyzn. To były chyba najpiękniejsze lata mojego życia!

Nina spojrzała na niego, poruszyła się niecierpliwie i znacząco puknęła się palcem w czoło.

– To po jakiego czorta narażałeś życie, spiskując?

– Ja i moi koledzy pragnęliśmy dla Rosji i Polski wolnych, demokratycznych rządów. Chcieliśmy władzy konstytucyjnej, opartej na wzorach francuskich. Buntowaliśmy się przeciwko samodzierzawiu i tyranii, ale nigdy przeciw samej Rosji. Jeszcze dziś gotów byłbym wylać za nią krew i bronić jej choćby kosztem życia.

– Hojnie szafujesz swoją krwią. Nie sądzę, aby car był ci za to wdzięczny – zauważyła kwaśno.

Pochylił się i mocno pocałował ją w szyję. Obsypał pocałunkami nagie ramiona.

– Może przez jakiś czas przestaniesz rozważać o polityce, a zechcesz pomyśleć o mnie?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Był już zdrowy i jeszcze nigdy nie wyglądał tak młodo. Jego twarz wypełniła się i powlekła opalenizną. Oczy błyszczały radością życia, gdy w uśmiechu ukazywał białe zęby. Ciężka choroba wysubtelniła mu rysy i jego męska uroda działała na nią jak magnes. Częste zbliżenia miłosne coraz bardziej przywiązywały ją do męża. Zadrzała, kiedy jego palce zaczęły wędrować po jej ciele.

– Proszę, kochaj się ze mną – wyszeptał.

– Nie musisz mnie o to prosić, mój ty wieczny Don Kichocie. – Zamilkła, bo zamknął jej usta gorącym pocałunkiem, wziął na ręce i zaniósł na łóżko.

Aleks wyjechał do Krakowa w ostatnich dniach lipca, zdawszy dowództwo partii kapitanowi Soszkiewiczowi. Ufał całkowicie staremu oficerowi, wychowanemu w żelaznym rygorze i dyscyplinie armii rosyjskiej. Wiedział, że Soszkiewicz będzie walczył do ostatniego naboju, bo jako dezertera czekał go sąd wojenny i rozstrzelanie. Wyjeżdżając do Galicji, Aleks zabrał z sobą tylko Tomka. Przy pożegnaniu Nina nie pozwoliła sobie nawet na jedną łzę. Można było sądzić, że jest spokojna i zimna, gdyby nie wyraz jej oczu.

– Mam nadzieję, że wrócę razem z Siekielskimi – obiecywał, ubierając się do drogi i mocno ściskając w talii pas.

Pod surdudem miał rewolwer, na ramiona narzucił szeroki płaszcz bez rękawów. W cywilnym ubraniu wyglądał na wytwornego podróżnika.

Nina poleciła przyprowadzić przed ganek konie i nie czekając, aż mąż pożegna się z domownikami, pierwsza dosiadła po męsku Mignon. Aleks wyszedł z domu wzruszony, żegnany krzyżem i błogosławieństwami. Walenty płakał, ocierając łzy rękawem liberyjnej kurtki.

– Poczciwa dusza – rzekł Aleks do Niny i skinieniem dłoni pożegnał stojących na ganku domowników. – Nie pozwalaj mu się przemęczać, bo ostatnio bardzo się postarzał.

– Och, kiedy on broni swoich praw jak lew i nie pozwala zastępować się przez młodszych lokajów. – Nina nacisnęła kolanami boki klaczki. – Bardzo przeżył twoją chorobę i najazd dragonów.

Konie, którym porywisty wiatr dął prosto w nozdrza, paraskały, podrzucając nerwowo łbami. Nina ostro ściągnęła cugle, bo Mignon odtńczyła parę kroczków i zaczęła podrygiwać, zdradzając wielką ochotę

wpakowania się na pień drzewa. Dostała klapsa i to ją nieco uspokoiło, zniechęcając do psych figlów. Tomek, nie chcąc przeszkadzać małżonkom, powiedział, że pojedzie przodem i sprawdzi, czy droga bezpieczna. Pokłusowali polną ścieżką pomiędzy zbożami gotowymi do żniw, ku zielonej ścianie lasu.

– Znowu przychodzi nam się żegnać, nie wiadomo na jak długo – poskarżyła się Nina, kładąc dłoń na rękach męża, trzymających cugle. – Marzyłam, że razem wyjedziemy z kraju, a ty nigdy nie wrócisz do powstania.

– Promyczku, przecież tym razem nie musisz się martwić o całość mojej skóry. To raczej ja nie będę miała spokoju, myśląc o tobie.

Rozmawiając, dotarli na rozstaje dróg w miejscu, gdzie na wzniesieniu stał dębowy krzyż, ufundowany przez hrabinę Teklę. Spowiły go już powoje i polne kwiaty oraz zwiędłe wieńce. W tym miejscu droga skręcała, ginąc w gęstej puszczy. Nina przypomniała sobie, że wtedy jechała do leśnego obozu po aresztowaniu pana Siekielskiego. Wtedy była wczesna wiosna, a teraz lato chyliło się już ku jesieni.

– Wiesz, Alku, najbardziej będzie mi brakowało nocami twego pochrapywania – odezwała się, patrząc na niego chciwie i pragnąc jak najdłużej zachować w pamięci jego obraz. – Było dla mnie gwarancją spokoju i bezpieczeństwa... – Urwała i chrząknęła, by nie usłyszał, że jej głos się załamał.

– Najmilsza moja... – Podjechał do niej tak blisko, że konie otarły się o siebie bokami. – Przyjdą jeszcze i dla nas dobre czasy.

– W tym kraju? – Skrzywiła się ironicznie. – Przecież u nas zawsze jest albo przed powstaniem, albo w czasie powstania, albo po powstaniu.

Uśmiechnął się melancholijnie.

– To już polska tradycja, kochanie. Jesteś bardzo dzielna, ale uważaj na siebie, proszę. Gdy wrócę, chcę cię zastać w całości. Długo nie będę w tym Krakowie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, rozchylając usta pod naciskiem jego warg.

– Kocham cię, Nino – powiedział cicho. – Jesteś moją pierwszą i ostatnią miłością.

– Jedyny, wracaj do mnie...

Spomiędzy drzew wyjechał Tomek i oznajmił, że droga wolna. Nina pocałowała go w policzek i szepnęła do ucha, żeby strzegł pana. Skinął

głową i porozumiewawczo przymrużył oczy. Konie skoczyły naprzód i obaj jeźdźcy niemal natychmiast zniknęli, pochłonięci przez zielony gąszcz boru. Nina stała, choć zniknął ślad za nimi. Wreszcie z opuszczoną na piersi głową zawróciła, powstrzymując klacz i nasłuchując w nadziei, że jeszcze posłyszycie tętent i rzenie ich koni. Lecz byli już daleko. Tylko wiatr szumiał coraz głośniejsze, kołysząc gałęziami przydrożnych drzew i rozsiewając zeschnięte liście.

Po odjeździe Aleksa w domu uczyniło się tak cicho, że Nina myślała chwilami, iż oszaleje. Latem sąsiedzi i znajomi się porozjeżdżali. Zosia z synkiem przebywała w Krakowie, starsi państwo Jabłoccy mieszkali już tam na stałe, namawiając córkę, by wydzierżawiła lub sprzedała majątek i przeniosła się do Galicji. Ale Dorota oświadczyła stanowczo, że nie zamierza ruszać się z domu ani teraz, ani nigdy, i z niespodziewaną energią sama zaczęła zarządzać zadłużonym majątkiem, użerając się z ekonomami, służbą folwarczną i chłopami.

Wąsoccy, bardzo przygnębieni złożeniem ślubów zakonnych przez Stasię, wyjechali z Jadwigą do krewnych, na Mazowsze. Do Makowa przyjeżdżał czasami proboszcz, rzadziej wujostwo Borutyńscy. Pozostawali zwykle do kolacji, grając z księdzem w karty. Wprawdzie wuj Ksawery powrócił do zdrowia, jednak nie odzyskał całkowicie utraconej sprawności fizycznej. Poruszał się bez pomocy kul, lecz jego pochylona postać i wykrzywione usta, pozostałość po apoplektycznym ataku, sprawiały przykre wrażenie na ludziach, którzy znali go dawniej. W pamięci Niny na zawsze pozostał potężnym, kipiącym energią mężczyzną, znakomitym jeźdźcem i dziedzicem dbałym o pomnożenie majątku. Wuj zdawał sobie sprawę ze swego niekorzystnego wyglądu, bo rzadko gdziekolwiek bywał i nawet nie chciał się pokazywać w kościele, zgadzając się, aby proboszcz przyjeżdżał do dworu z sakramentami. Od czasu jego choroby ciotka Maria zmieniła się tak bardzo, że chwilami Nina jej nie poznawała. Posiwała, zaczęła tyć i wyraźnie złagodniała.

Pewnego dnia Nina pojechała z wizytą do Sarnik i siedziała z ciotką w altance nad strumykiem, w cieniu gęstych drzew, bo słońce przypiekało bez miłosierdzia. Wuj niespodziewanie poczuł się gorzej i nie doglądał prac zniwnych, tylko grał w salonie z proboszczem w szachy, kłócąc się z nim

bez przerwy. Ciotka Maria pracowicie obszywała koronką koszulki dla wnuków, a Nina jej pomagała, wyszywając na nich kwiatki delikatnym haftem angielskim. Zauważyła, że ciotka od dnia choroby męża nosiła czarną suknię bez żadnych ozdób. Jej bujne włosy, ujęte w jedwabną siatkę, mocno posiwiały, a na skroniach wiły się srebrzyste pasma. Rozpalone powietrze drgało, falowało jak woda, lecz w cieniu zielonych jaworów i lip był przyjemny chłód. Kobiety pracowały w milczeniu, zmęczone upałem. Wtem ciotka przerwała pracę i spojrzała badawczo na siostrzenicę.

– Czasami odnoszę wrażenie, że sam Pan Bóg zemścił się na nas za twoją krzywdę – odezwała się z powagą.

Nina oniemiała z wrażenia i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Skąd to mniemanie, ciociu? – zapytała, ochłonawszy z zaskoczenia.

– Ach, Nino, nie oszukujmy się wzajemnie – westchnęła ciotka. – *Entre nous soit dit*¹⁹, nie miałaś u nas słodkiego życia. Ale to była wyłącznie moja wina. Miałam obowiązek zaopiekować się dzieckiem mojej jedynej siostry i okazać mu miłość. Może mi nie uwierzysz, lecz czułam się najbardziej nieszczęśliwa, kiedy postępowałam źle.

Nina podniosła głowę, powracając do rzeczywistości.

– To dawne dzieje – powiedziała chłodno. – Nie zamierzam wnikać w pobudki, które ciocią kierowały. O nic nie mam do wujostwa pretensji.

– Ale ja mam pretensje do siebie – oświadczyła ciotka otwarcie. – Pan Bóg w swojej nieskończonej dobroci obdarzył nas dwiema córkami. A ja, głupia, nie umiałam docenić jego mądrości. Nic dziwnego, że na stare lata zostaliśmy z Ksawuniem sami. Binia ma już własny dom, rodzinę, a mieszka tak daleko, że nie możemy uczestniczyć w jej życiu. Czeka nas samotna, przykra starość dwojga nikomu niepotrzebnych ludzi. A przecież mogło być zupełnie inaczej... – W jej ciemnych, dawniej ognistych oczach ukazały się dwie łzy i wolno spłynęły po policzkach. Nie otarła ich, spadły na dziecięce koszulki, wsiąkając w płótno.

„Mogło być inaczej” – pomyślała Nina z goryczą. Niegdyś nie lubiła ciotki i wuja, ale teraz im współczuła. Los okazał się dla nich niełaskawy, zsyłając choroby, starość i samotność.

– Proszę, niech ciocia nie obwinia Bini – powiedziała. – Ona was kocha i tylko stan wojenny oraz wybuch powstania uniemożliwiają wam częste podróże do Świerszczyn, a jej do Sarnik.

Ciotka Maria opuściła ręce na kolana i potrzęsnęła głową.

– Nino, ja nie jestem aż tak ograniczona, żeby do mnie nie docierała prawda. Nasza córka jest nieszczęśliwa w małżeństwie i nas obarcza winą, bo to my przyczyniliśmy się do wydania jej za mąż za Edwarda. Straciliśmy serce naszego dziecka.

Nina nigdy nie podejrzewała, że ciotka domyśla się powodów oziębłości córki.

– Wujostwo zapewne chcieli jak najlepiej – bąknęła przez grzeczność. – Binia ma bardzo wiele obowiązków. Duży dom, dwoje małych dzieci... o przepraszam, troje, bo przecież wychowuje i moją córkę. Robiła, co mogła, żeby przedostać się do Sarnik, nawet zamierzała nielegalnie przekroczyć granicę. Na szczęście Edward wybił jej ten niemądry pomysł z głowy. Nie, nie, ciocia się myli. Binia jest taka dobra, kochająca, czuła...

– Ale brak jej czasu na napisanie bodaj kilku słów do rodziców? – Na ustach ciotki ukazał się smutny uśmiech. – Nie potrzebujesz jej bronić, bo ja nie oskarżam mego dziecka, tylko siebie samą. Do śmierci sobie nie daruję, że wydałam młodziutką, nieświadomioną panienkę za mężczyznę, którego wcale nie kochała. Mogła przez wiele lat pozostać przy nas i sama wybrać sobie małżonka. Wiem, że jesteście sobie bardzo bliskie...

Na wspomnienie Bini Nina się rozpromieniła.

– Tak wiele jej zawdzięczam – powiedziała z uśmiechem. – To ona uparcie ratowała mnie, gdy umierałam w czasie porodu. Lekarzom opadły ręce, niania zwątpiła, tylko Binia wierzyła, że przeżyję. Podnosiła mnie na duchu, starając się natchnąć mnie otuchą, gdy rozpaczałam po śmierci mego Olesia. Jest dla mnie najlepszą siostrą, jaką mogłam sobie wymarzyć.

Ciotka, słuchając jej z uwagą, wydawała się bardzo zadowolona.

– Na szczęście nie udało mi się was poróżnić – stwierdziła szczerze. – Z pewnością nie wiesz, że tak samo gorąco kochałyśmy się z twoją matką. Nie umiałam wybaczyć Alfredowi, że z jego winy umarła tak młodo i w ubóstwie. Może dlatego czułam do ciebie niechęć, że charakterem przypominałaś mi twego ojca i tragedię mojej jedynej siostry.

Nina była zdumiona tym dziwnym podobieństwem losów rodzinnych. Ona także nienawidziła Edwarda, oskarżając go, że skrzywdził Binię. Ciotka nigdy nie wspominała, że siostry Dobranieckie darzyły się tak wielkim uczuciem. Niania także nie rozmawiała z nią na ten temat.

– Widzisz... – Ciotka Maria wzięła głęboki oddech i kontynuowała rozmowę już bez emocji. – Nasza matka, a twoja babka, marszałkowa, była

osobą nieczułą. Nigdy nie okazała nam, dzieciom, ani odrobiny miłości. Nasz jedyny brat się zabił, spadając z konia. Zostałyśmy tylko dwie – ja i twoja matka. Helenka była starsza ode mnie o dwa lata, ale to nam nie przeszkadzało. Od najmłodszych lat nigdy się z sobą nie rozstawaliśmy. Ona była bardzo zdolna i miała talent muzyczny, który ty, moje dziecko, odziedziczyłaś po niej. Ojciec zwykle ulegał matce, lecz w jednym wypadku okazał się nieugięty – zauważywszy wielki talent u córki, postanowił kształcić ją za granicą. Wysłał ją do renomowanej pensji klasztornej we Francji, kiedy miała dwanaście lat. Ja nie miałam żadnych zdolności, a po naszej matce odziedziczyłam nieprzyjemne cechy jej charakteru. Kochałam moją córkę i na swój sposób kochałam również i ciebie, ale nie potrafiłam tego okazać. Popełniłam kilka strasznych błędów i jest mi bardzo trudno żyć z takim ciężarem winy. Może poczułabym się nieco spokojniejsza na sumieniu, wiedząc, że nie żywisz już do mnie żalu.

Serdeczność ciotki tak podziałała na Ninę, że usta jej zaczęły się trząść i rozpląkała się głośno, całując ciotkę po rękach i obejmując jej kolana. Pani Borutyńska przytuliła ją i mocno ucałowała.

– Wyrosłaś na wspaniałą kobietę, Nino – powiedziała serdecznie, kładąc rękę na jej schylonej głowie i gładząc jej włosy. – To nie komplement. Wiem, jak rozpaczliwie ratowałaś Olesia, kiedy był ciężko ranny, a potem własnym ciałem zasłoniłaś drzwi do jego sypialni. Nie przelękłaś się śmierci z rąk Moskali. Jestem z ciebie bardzo dumna!

Pochwała ciotki znaczyła dla Niny więcej niż czyjekolwiek słowa uznania, ponieważ ciotka nigdy nikogo nie chwaliła, zwłaszcza jej.

– Och, ciocia mi pochlebia. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Nie zrobiłam nic, co zasługiwałoby na pochwałę. Mówiąc szczerze, to ciocia służyła mi za wzór, jak być dobrą żoną. Twoje małżeństwo z wujem jest najlepszym przykładem zgodnego, kochającego się stała.

Tym razem to ciotka Maria poczuła się bardzo wzruszona.

– Cieszę się, że wdałaś się w nas, w siostry Dobranieckie. Obie przedkładałyśmy szczęście naszych mężów ponad własne pragnienia. Twoja matka zapłaciła za to życiem, będąc do końca wierna ideałom Alfreda.

Rozmawiały z sobą długo i serdecznie, ucieszone i zarazem zawstydyzone odkrytą nagle bliskością.

[15](#) Pokazy akrobatyczne na galopującym koniu.

[16](#) Józef Szujski (1835–1883) – historyk, publicysta, działacz polityczny, dramaturg, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor *Dziejów Polski*.

[17](#) Teodor hrabia Berg (1790–1874) – feldmarszałek, od sierpnia 1863 roku ostatni namiestnik Królestwa Polskiego i naczelny dowódca wojsk rosyjskich w Królestwie. Przystąpił energicznie do tłumienia powstania, a następnie prowadził zdecydowaną politykę rasyfikatorską. Po jego śmierci Królestwo Polskie przemianowano na *Privislinskij kraj*, a urząd namiestnikowski na *general-gubernatorstwo*. Berg był człowiekiem bezwzględny i okrutny, zaprzędanym carowi.

[18](#) Ciemny, zacofany chłop w dawnej Rosji.

[19](#) fr. mówiąc między nami

Tydzień po wyjeździe Aleksa zjechał do Makowa mały oddziałek żandarmerii narodowej. Siedzieli na mocnych młodych koniach, uzbrojeni w karabinki, pistolety i szable oraz długie lance. W jednakowych granatowych mundurach prezentowali się bojowo i elegancko. Dowódca, młody oficer o bladej, jakby nalanej twarzy i lnianych włosach, ciężko zsiadł z wierzchowca i wszedł do pałacu, rozglądając się z czujnym sceptycyzmem parweniusza.

Powiadomiona o niespodziewanej wizycie Nina poleciła prosić gościa do biblioteki i z pewnym niepokojem pośpieszyła na jego spotkanie. Za nią jak kwoki za jedynym kurczęciem podreptały Jaga i pani Salomea. Oficer spacerował po sali, dzwoniąc ostrogami i wspierając się na rękojeści szabli. Prezentował się znakomicie w dobrze skrojonym mundurze i twarzowej czapce z wysoką kitą z piór.

– Z kim mam przyjemność? – odezwał się aroganckim tonem, mierząc wzrokiem wchodzące kobiety.

„A toś ty taki, bratku?” – pomyślała Nina z niesmakiem i zmierzyła go spojrzeniem z wyniosłością królowej. Nie podobał się jej ten fircyk, dzwoniący ostrogami i chętnie opierający rękę na biodrze, podkreślając tym gestem wciętą talię. Nie tak wyglądali prawdziwi powstańcy. Bywali brudni, bardzo zawszeni i przeważnie głodni.

Zauważywszy jej minę, oficer zreflektował się przywołany do porządku.

– *Pardon, mesdames*, porucznik Doliwa! – zaprezentował się pośpiesznie.
– Czy mówię z panią Klonowiecką?

– Tak, jestem hrabina Nina Klonowiecka. Czego panowie sobie tu życzą?
– spytała, celowo podkreślając swój tytuł, mimo iż nigdy tego nie robiła.

Żandarmeria narodowa nie cieszyła się wśród szlachty dobrą sławą. To oni z równą carskim władzom bezwzględnością ściągali podatki i wykonywali wyroki śmierci, czasami na niewinnych ludziach.

– Czy zastałem pana Klonowieckiego? – Żandarm udał, że nie dosłyszał tytułu.

– Mąż na dłuższy czas wyjechał – odpowiedziała zimno, siadając i gestem wskazując mu fotel.

Towarzyszące Ninie panie w milczeniu zajęły miejsca, szeleszcząc krynolinami i badawczo obserwując przybysza.

– A dokąd wyjechał?

Nina nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Trwa powstanie i mężowie nie informują nas, dokąd się wybierają. *À propos*, jaki jest powód pańskiej wizyty? – zapytała, nie usiłując nawet udawać uprzejmości.

Butny oficerek działał jej na nerwy, a jego maniery pozostawiały wiele do życzenia. Mężczyźni dobrze wychowani odnosili się do kobiet z kurtuazją, okazując im szacunek.

– O, przepraszam. – Żandarm obdarzył damy imitacją uśmiechu. – Zapomniałem wyjaśnić, jaki jest powód naszego przyjazdu. Otrzymaliśmy informację, że niejaki Żabiec, chłop spod Wąchocka, sprowadził na pani męża Moskali.

– Istotnie.

Porucznik wyjął z kieszeni małą karteczkę i rzucił na nią okiem.

– Byliśmy w tych Ratajach, ale Żabca nie zastaliśmy. Podobno nie pokazał się we wsi od dłuższego czasu. Jego sąsiad, przyciśnięty do muru, przyznał, że Żabiec jest na usługach Moskali i donosi nie tylko na pojedyncze osoby, ale śledzi ruchy oddziałów powstańczych.

– To znaczy, że on nadal żyje?! – zawołała Nina z pasją. – Przecież kiedy wróci do domu, powiedzą mu, że byliście, a wtedy zemści się na nas!

– Przykro mi, ale nie mogliśmy na niego czekać. Proszę o bliższe szczegóły tego wydarzenia.

– Naprowadził dragonów na dworek, w którym leżał mój ciężko ranny mąż. Cudem uratowaliśmy się wtedy od śmierci.

Wspomnienie o starym Żabcu sprawiło, że ponownie ogarnął ją przeraźliwy strach, jaki odczuwa człowiek, natknąwszy się na budzące grozę widmo. Dla niej ojciec Rafała był potworem, niosącym z sobą zapach krwi i śmierć.

– Co pan zamierza zrobić w tej sprawie?

– Cóż, nie mogę pani nic obiecać. Trwa powstanie. Stary może nam umknąć i schronić się pod opiekę silnego oddziału wojska, a tam go nie dosięgniemy. Zrobimy jednak wszystko, aby go ująć i powiesić. Do Ratajów wysłaliśmy żołnierza w cywilnym ubraniu, a sąsiad nie piśnie słówka, bo zagroziliśmy mu śmiercią.

Krytyczne uwagi uraziły widocznie jego ambicję, bo przybrał nadętą minę, odpowiadając prawie niegrzecznie. Nina miała ochotę wskazać mu drzwi, lecz obawiała się zatargu z żandarmerią i postanowiła nieco go

ugłaskać. Kazała sługom podać wino. Spojrzawszy na etykietkę, oficer wysoko uniósł brwi. Skosztowawszy alkoholu, stał się grzeczniejszy.

– Proszę jednak nie tracić nadziei. Zwrócimy na tę wieś szczególną uwagę. Ale takich chłopskich zdrajców są tysiące. – Upił odrobinę wina i zmienił temat. – Ponadto chcieliśmy sprawdzić, czy wnieśli państwo podatek narodowy.

Nina pobladła z oburzenia.

– Mogliście sobie panowie nie zadawać tyle fatygi. Podatek jest zapłacony za kilka miesięcy z góry. Dlaczego nie posiadacie list dłużników? Widocznie wasze kartoteki są źle prowadzone. W tym wypadku ja nie mogę mieć pewności, czy moje pieniądze wpływają do kasy rządu!

– Rozumiem pani obiekcje, ale nie wolno nam wierzyć na słowo, choć osobiście nie mam żadnego powodu, by obrażać panią niewiarą – wykręcił się gładko.

Wezwany przez Pawła pan Bochniak sapnął z gniewu, usłyszawszy żądanie żandarma.

– Wszędzie bałagan – mruknął gniewnie. – Zaraz przyniosę kwity.

Powrócił niebawem, niosąc pod pachą sporą kasetkę żelazną, gdzie przechowywał wszelkie dowody wpłaty. Kwity Rządu Narodowego były charakterystyczne: różowe z białymi znakami. Na boku rysunek przedstawiał dwie splecione w uścisku dłonie i napis: „Braterstwo, Równość, Niepodległość”. Ten świstek papieru mógł właściciela zaprowadzić bardzo daleko, bo aż na Sybir, a nawet na szubienicę.

Żandarm uważnie sprawdził pokwitowanie, a jego urzędowa powaga rozplynęła się w wymuszonym uśmiechu. Pani Salomea sama ponownie napełniła jego kieliszek winem. Skinął w podzięcie głową i trzymając kieliszek pod światło, badał kolor trunku, delektując się bukietem.

– Znakomite, już dawno nie piłem tak dobrego wina. Muszę prosić panią o jeszcze jedną przysługę... Potrzebuję siana dla koni, a dla żołnierzy chleba i słoniny. Czy mógłbym dostać trochę gorzałki? Chłopcy na noclegach bywają zmarznięci, zabiorę też wóz, ale odeślę go, gdy tylko zużyjemy siano.

Nina miała ochotę zakląć. Znowu zaczynał się rabunek. Oficer był bardzo pewny siebie, bo wiedział, że ona musi spełnić jego żądanie, gdyż mówił z pozycji siły.

– Mogę pana wspomóc paszą i słoniną. Dam także baryłkę wódki. Ale chleb pieczemy jutro. Jeśli chcecie, możecie poczekać...

Żandarm momentalnie stał się nieufny. Możliwe, iż podejrzewał ją o jakiś podstęp.

– Nie możemy czekać. Weźmiemy, co jest – powiedział, wstając.

– Jak pan sobie życzy – oświadczyła zimno i poleciła pani Ruchwalskiej wydać słoninę, wódkę i worek kaszy. Pan Bochniak poszedł z wachmistrzem po siano.

Porucznik zasalutował damom z rezerwą i bez słowa wyszedł.

– Kochanie... – odezwała się pani Salomea. – Może posłać do Lipieńca, oni tam pieką chleb w środę. Ten pan wziął twoją odmowę za złą wolę i kto wie, czy nie przestanie interesować się Żabcem.

– On już się przestał interesować tą sprawą. – Nina wygładziła zmiętą siedzeniem spódnice. – Ciocia zapomniała, że od czasu śmierci wojewodziny w Lipieńcu chleb wypiekają w sobotę. Nie mam ochoty pozbawiać tamtejszej służby chleba, żeby dogodzić tym niedzielnym wojakom.

Wyszła na ganek, aby sprawdzić, czy żandarmi odjeżdżają. Miała nadzieję, że wyniosą się z Makowa, bo ich obecność mogła zwabić kręcące się po okolicy patrole rosyjskie. Zauważyła, że żołnierze poją konie w fontannie, a kopyta zwierząt podeptały klomb czerwonych pelargonii i gładko strzyżony trawnik. Zmarszczyła gniewnie brwi, widząc, że z okien pałacu wyglądają dziewczęta, szczerząc zęby do strojnych kawalerzystów. Żandarmi odpowiadali im zabójczymi spojrzeniami i podkręcali wąsa. Ze wszystkich pomieszczeń służbowych wyglądało coraz więcej kobiecych głów, pokojówek, dziewcząt ze szwalni i z kuchni. Przybiegły nawet baby z czworaków, żeby obejrzeć sobie pięknych żołnierzy.

Ku wielkiemu żalowi obu zainteresowanych stron do bliższej znajomości jednak nie doszło. Oficer, otrzymawszy prowiant i siano, dał znak do wymarszu. Żandarmi wskoczyli na konie i wolno ruszyli ku bramie, eskortując wóz, załadowany paszą, żywnością i pokradzionymi w sadzie owocami. Nina z wysokości ganku odprowadziła ich nieprzyjaznym wzrokiem. „Więcej takich wizyt, a od nowa popadniemy w ruinę” – pomyślała z zawziętością i pomstując po cichu, powróciła do domu.

Pani Salomea zauważyła, że oficer nie zachowywał się jak mężczyzna z dobrego domu i był raczej nieuprzejmy. Jaga zgodziła się z nią,

stwierdzając, że jest to skutek całkowitego upadku obyczajów. Rozwiązłe zwyczaje nastąpiły od czasu, kiedy panowie zaczęli w tańcu obejmować swoje partnerki! Dawniej tancerz zaledwie ośmielił się dotknąć paluszków damy. Panny również zachowują się nieskromnie, całując się z zaledwie poznanymi mężczyznami, nie mając pewności, czy są dobrze urodzeni i skłonni do oświadczyn. Natomiast mężatki są do tego stopnia lekkomyślne, że flirtują z oficerami wrogiej armii i podróżują same, nawet bez przyzwoitki. To mówiąc, Jaga posłała wychowance wymowne spojrzenie. Nina nie odpowiedziała i taktownie udała, że nie słyszy docinków, nie chcąc wywoływać kłótni. Niania miała akurat tego dnia bardzo wojowniczy nastrój. Zresztą nie było czasu na rozmowy; czekali na nią interesanci.

Niegdyś hrabia przyzwyczał gospodarzy, żeby w kłopotach zwracali się do dziedzica. Ludzie mieli do niego takie zaufanie, że wędrowali do Makowa nawet z odległych wiosek, prosząc o radę, wsparcie czy rozsądzenie sporu, a nawet protekcję u carskich władz. Przed wybuchem powstania codziennie gromadził się przed pałacem spory tłumek wieśniaków. Kiedy zabrakło hrabiego, gospodarze zaczęli przychodzić do młodej dziedziczki, prosząc o coś albo skarżąc się na kłopoty. Działania powstańcze wymiotły z pobliskich miasteczek władze carskie. Dziedziczka stała się więc dla chłopów najwyższym autorytetem. Nina starannie zabiegała o ich względy, ratując wieś po huraganie, hojnie wspierając produktami i bydlętem z majątków wojewodziny. W trudniejszych sprawach zasięgała rady pana Bochniaka i wuja Ksawerego, mając zaufanie do ich doświadczenia i rozsądku.

Początek sierpnia był bardzo upalny. Wraz z gorącem wybuchła po wsiach epidemia czerwonki i śmierć zbierała obfite żniwo. Ludzie marli jak muchy, szczególnie małe dzieci. Brakowało pomocy medycznej, zaś środki znachorów okazywały się nieskuteczne. W miastach lekarze mieli pełne ręce roboty, zajęci ratowaniem rannych powstańców w tajnych lazaretach. W szpitalach już brakowało leków, a wieś, jak zwykle, pozostawiona była sama sobie. Nina nakazała gospodarzom przestrzegać higieny i myć się, a brudy spłukiwać wrzącą wodą. Jaś, ryzykując życie, wyprawiał się z leśnego obozu i jeździł po okolicznych wioskach, udzielając porad lekarskich. Choroba jednak nie ustępowała, a młodemu lekarzowi opadały

ręce. Zdarzało się, że przyjeżdżał wieczorem do Makowa, nieludzko zmęczony i tak przygnębiony, że nawet nie miał apetytu.

– Chłopi sami na siebie sprowadzają śmierć – skarżył się pewnego dnia przy kolacji, odsuwając z niechęcią talerz z nietkniętą potrawą. – Proszę ich, błagam, ludzie pilnujcie czystości. Myjcie naczynia w gorącej wodzie i kąpcie się choć raz na tydzień! Nie trzymajcie w izbie świń obok kolebek z niemowlęciem. Nikt mnie nie słucha.

Odchrząknął i przymglonym wzrokiem rozejrzał się po twarzach słuchających go pań.

– Choroba musi się rozprzestrzeniać, gdy w jednej izbie obok zdrowego leży chory, a nieczystości codziennie wylewane są do gnojówki lub po prostu za próg. Brak podstawowych zasad higieny powoduje zgon tysięcy osób rocznie. Och, ten nasz przeklęty polski brud! Ten wodowstręt naszych chłopów jest przerażający i wcale nie wynika z biedy. Nawet najuboższy może zaczerpnąć sobie wody i porządnie się umyć. Ale nasi chłopci powiadają, że „kto się umywa, tego ubywa”! Oto macie mądrość ludową. Do rzek wylewa się wiadra nieczystości, a potem ludzie piją tę wodę, nawet jej nie gotując. Słyszałem, że koło Opatowa pokazała się cholera, a w Ćmielowie było kilka przypadków tyfusu plamistego. Wojska rosyjskie także roznoszą choroby zakaźne, przywleczone gdzieś aż spod Uralu. Lada moment możemy się spodziewać epidemii dżumy lub czarnej ospy, podobnie jak to się działo w czasie rewolucji w trzydziestym pierwszym roku. Ach, mój Ty Boże kochany! – Ciężko westchnął i przetarł dłonią czoło.

– Dlaczego nie jesz, syneczku? – Pani Salomea popatrzyła z troską na jego mizerną twarz. – Ta polędwica jest znakomicie przyrządzona, skosztuj choć trochę – zachęcała, gładząc delikatnie jego jasną czuprynę.

– Dziękuję mamusi, ale nie jestem głodny – powiedział, opierając ciężącą mu głowę na obu dłoniach. – Jestem zmęczony jak zgoniony pies. Zrobiłem chyba ze dwadzieścia wiorst. Dziś zmarło mi trzech pacjentów... – Poderwał głowę i spojrzał surowo na siedzące w milczeniu młode damy. – Emilka, Nina, pamiętajcie, nie wolno wam jeść niemytych owoców i jarzyn, pić wody nieprzegotowanej i nieprzegotowanego mleka! W czasie upałów lepiej zrezygnować z lodów, mizerii, a nawet sałaty. W Suchedniowie cała rodzina zatrąła się lodami. Mam was uczyć higieny?

– Zastosujemy się do pańskich zaleceń, panie doktorze – zgodziła się potulnie Emilka i mrugnęła do Niny.

– Grzeczna żonusha. Każ mi po kolacji przygotować gorącą kąpiel, bo ciągle mam wrażenie, że cuchnę końską uryną.

Nina z niesmakiem odłożyła widelec.

– Jasiu, masz osobliwy *façon d'être*²⁰ – zauważyła z przekąsem.

– Janusz, fe! – zgromiła go Emilka.

Jaś się rozejrzał i oprzytomniawszy, parsknął śmiechem.

– O, przepraszam! Zapominam czasem, że nie jestem w leśnym obozie. Już nie będę, obiecuję.

Nina przypatrywała się mu z dezaprobatą, wysoko unosząc brwi.

– To przerażające – rzekła z przekąsem. – Czy zauważyliście, moje panie, że on z każdym dniem coraz bardziej chamieje? A kiedyś byłeś takim uroczym, szarmanckim młodzieńcem – westchnęła z ubolewaniem.

– Ty również, kotku, byłaś niegdyś delikatną panienką, jak figurynka z saskiej porcelany. A teraz strzelasz do kozaków, ryczysz jak bawół na ekonoma i jeździsz konno ubrana w męskie gatki! – błyskawicznie odgryzł się Jaś z niewinną miną.

– Jeżdżę w spodniach – poprawiła wyniośle. – I nie ryczę jak bawół na pracowników. Bądź łaskaw liczyć się ze słowami. – Kątem oka dostrzegła, że pani Salomea serwetką zasłoniła sobie usta, a Emilka zaczęła się krztusić. – Jak sobie radzi pan kapitan Soszkiewicz? – zagadnęła pośpiesznie.

– Zupełnie dobrze. – Jaś odruchowo przysunął sobie miseczkę z sałatą i z roztargnieniem sięgnął do niej łyżką. – O, nawet smaczna – stwierdził odruchowo i ciągnął dalej: – To łebski żołnierz, potrafi siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, a potem nocą wyprawia się jak wilk na Moskali. Niedawno przetrzepał skórę dużemu oddziałowi kozaków, który zapędził się pod Zbelutki. Tamtejsi gospodarze donieśli nam, że po drogach włóczy się pół sotni, rabując chałupy i krzywdząc kobiety. Soszkiewicz zaczął się na nich jak pajak na muchę i z zaskoczenia wyciął ich do nogi, zagarniając na deser ich tabor. Do wsi się nie zbliża, z ludźmi nie gada, więc nikt nie wie, jaka to partia i skąd przybywa. Z okolicą kontakt mamy tylko przez naszych zaprzysiężonych wywiadowców. Dzisiaj w obozie chłopcy pieką ziemniaki zdobyte razem z taborem kozackim. Na wozach była mąka, słonina, ziemniaki i trzy worki kaszy. Znaleźliśmy także sporo nowej

bielizny męskiej. Możesz więc, jaśnie oświecona pani hrabino, nieco odsapnąć i darować sobie na jakiś czas szycie męskich gaci.

– Kalesonów – zwróciła mu uwagę Nina z obrażoną miną. – Wyrażaj się przyzwoicie!

– *Pardon!* Coś słyszeliśmy, że Rząd Narodowy szykuje Moskałom jesienią niemiłą niespodziankę. Może nareszcie otrzymamy pomoc z Francji?

Nina wybuchła śmiechem.

– Bardzo kiepski żart. Jeszcze w cuda wierzysz?

– To tylko mój domysł, ale coś naprawdę się gotuje. Aha, zapomniałem ci powiedzieć: jutro zgłoszą się do pana Bochniaka chłopcy z obozu po dziesięć koni. Kotuniu! – zawołał pośpiesznie, widząc, że brwi Niny zbiegły się groźnie na czole. – Konie rekwirują we wszystkich majątkach, nie tylko w Makowie. Wuj Ksawery daje pięć dobrych ogierów.

– Chcą wziąć moje araby? – zapytała złowrogo, odruchowo zaciskając w dłoni nóż. – Alek nic mi nie mówił.

– Pewnie bał się biedak ciebie... Złotko, odłóż ten nóż. Mężczyzna dyskutujący z uzbrojoną w nóż kobietą postępuje lekkomyślnie. Nino, osobiście słyszałem, jak wódz polecił Soszkiewiczowi rekwizycję koni po sąsiednich majątkach. Formuje się oddział kawalerii i całymi dniami ćwiczą w obozie jazdę. Miałem już kilka przypadków potłuczeń... – Urwał raptownie i z wyrazem osłupienia zajrzał do pustej salaterki. – Jezu, to ja sam zjadłem całą sałatę? Jestem prosię. Przepraszam, tak mi przykro!

Pani Salomea i Emilka się zaśmiały, widząc jego nieszczęśliwą minę, ale Nina się nie uśmiechnęła.

– Niech szlag trafi sałatę! – wysyczała przez zęby. – Ty mi lepiej powiedz, dlaczego ja muszę oddać wam konie. Moje araby! Zmarnujecie je, wystawicie na kule, zajeździecie na śmierć, moje cudne konisie. – W tym momencie jej oczy niebezpiecznie błysnęły. – A jeżeli nie dam?

– To i tak je wezmą! – odparł ze stoickim spokojem, zabierając się do zjedzenia wzgardzonej połówki. – Mniam, pycha! Kotku, to nie wypada, żeby małżonka naczelnika oddziału powstańczego piekliła się o kilka koni – oświadczył, uśmiechając się szeroko.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile taki koń kosztuje?! – wrzasnęła rozeźlona i tak mocno uderzyła nożem w talerz, że pękł na połowę. – Pójdę

przez was z torbami pod kościół. Kawaleria, psiakrew! Zmarnują mi moje araby!

– Droga pani hrabino, ma pani osobliwy *façon d'être*. – Jaś dokładnie powtórzył jej słowa, nie biorąc sobie do serca wypowiedzianych w pasji wyrzutów. Wiedział dobrze, że dla męża Nina zrobi wszystko.

Przełknęła bezsilną wściekłość i zdołała się opanować.

– W innych majątkach są szkapy, nie konie – mruknęła, dając Pawłowi znak, żeby uprzątnął rozbity talerz.

– Rozumiem twoją troskę o konie, ale pomyśl tylko: konnica porusza się szybciej w terenie i prędzej umknie pogoni. Mam nadzieję, że jutro się zachowasz, jak na tak wielką damę przystało, bo kapitan wysłał po te konie młodych i przystojnych kawalerów, aby osłodzić ci stratę. Przyjadą tu Barycz i Orlewicz ze Skrzyckim.

– O, Wacek przyjedzie? – ucieszyła się Nina, na chwilę zapominając o gniewie. – Dawno go nie widziałam. Orlewicz także jest w obozie?

– Przejazdem. – Jaś popatrzył na nią kpiąco. – Boję się o tego chłopaka, bo ostatnio okropnie zgłupiał. Gdyby ktoś wymyślił lekarstwo na beznadziejną miłość, musiałbym mu zaaplikować podwójną dawkę leku. Jak sądzisz? – Posłał jej niewinne spojrzenie, udając, że nie dostrzega gorącego rumieńca wykwitającego na policzkach Niny.

Spuściła oczy i zaczęła gorliwie mieszać herbatę w filiżance, zapomniawszy ją najpierw posłodzić. Pani Salomea i Emilka z trudem zachowywały powagę.

– Wybacz mu, kochanie. – Emilka wymierzyła mężowi lekkiego klapsa. – On naprawdę zachowuje się dzisiaj niemożliwie. Pewnie za dużo przebywał na słońcu.

– Żono, nie krytykuj ślubnego męża – upomniał ją Jaś z powagą, wycierając usta serwetą. – Nie narzekaj na mnie, bo mam dla Niny miły prezencik.

– Litości! – Nina z rozpaczą wzniosła oczy ku niebu. – Na imieniny podarowałeś mi sześciostrażowy rewolwer. Podejrzewam, że teraz dostanę od ciebie armatę.

– Mylisz się. Masz, czytaj. – Wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę z nagryzmołonymi ołówkiem dwiema zwrotkami wiersza.

Rzuciła okiem na kartkę i podziękowała mu ślicznym uśmiechem.

– Mój Boże, Romanowski!

– A widzisz? Przeczytaj głośno, niech i moje damy się ucieszą. To są jego ostatnie wiersze, odpisałem je od kuriera.

Nina przysunęła bliżej świecznik i zaczęła czytać cichym, drżącym głosem:

*Aniołeczku, dziewczę moje,
Na rozstanie rączkę daj.
Grają trąbki, czas na boje
Za rodzinny kraj.
Podaj rączkę, na mym czole,
Święty znak mi krzyża złóż.
Liczne ptactwo lecim w pole.
Iluż wróci z burz?
Módl się za mnie, lilio biała,
Bogu poleć serca żal.
Tyś powstańca pokochała.
Pobłogosław stal!*

Nina zamilkła i dopiero po jakimś czasie jeszcze ciszej przeczytała drugi wiersz:

*Jeśli polegnę, niech mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci imienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode.
Mój kurhan niech się trawą ozielenia.
A gdy deszcz majowy ten kurhan zrosi,
Niech ptak się nad nim jak mój duch unosi.*

– A on, biedak, pewnie i własnej mogiły nie ma – boleśnie westchnęła pani Salomea.

Nina wsparła policzek na złożonych dłoniach i zacisnęła usta, wstydząc się płakać. Emilka przytuliła się do męża. Tragiczny los młodego poety mógł być końcem każdego walczącego powstańca.

– No nie! – Jaś wstał i ujął się pod boki. – To ja chciałem zrobić wam przyjemność, a te dziwne stworzenia płaczą! Nino, jutro będziesz miała oczka czerwone jak królik. Wacio i Orlewicz prędko się odkochają.

Emilka, udając złość, chwyciła go za kołnierz kurtki.

– Nie rób mi wstydu, ty źle wychowany osobniku! Może gdy się wykąpiesz, przybędzie ci trochę oleju w tej łepetynie.

– Mamusiu, ona mnie chce z zemsty utopić! – zawołał Jaś z przerażeniem, wskazując żonę palcem. – Ale nic z tego, bo ja dobrze pływam. A ciebie i tak kocham, i zaraz ci to udowodnię!

Porwał Emilkę na ręce i wyniósł ją z jadalni, śmiejąc się i pokrywając jej twarz i suknię pocałunkami. Pani Salomea patrzyła za nimi oczami, w których malował się bezmiar miłości.

– Codziennie Bogu dziękuję, że są tacy szczęśliwi. Emilka to wyjątkowa kobieta.

– O tak. Szczególnie teraz, gdy za jej przyczyną za kilka miesięcy powiększy się rodzina Borutyńskich. – Nina się zaśmiała.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy zostanę babcią. Tak się cieszę, że Pan Bóg pozwolił mi żyć radością moich dzieci – zwierzała się pani Salomea z błogim uśmiechem.

Nina uznała, że jej zachowanie się przed chwilą było raczej zenujące, więc dodała:

– Proszę ciocię o wybaczenie mi tych kilku nieparlamentarnych wyrażeń, których użyłam, ale czasami tracę panowanie nad sobą. Nie jest mi lekko.

– Ależ ja cię rozumiem, moje kochane dziecko – powiedziała starsza pani ze słodyczą. – Masz mnóstwo zmartwień i kłopotów na swojej biednej główce, ale jesteś bardzo dzielna i znakomicie sobie radzisz.

Nazajutrz rano Nina zeszła na śniadanie do małej sali jadalnej i zastała tam tylko Jasia, spożywającego z apetytem śniadanie. Na jego prośbę Emilka pozostała dłużej w łóżku i pokojówka zaniósł jej kawę do pokoju. Do uszu Niny dochodziły z kredensowego pokoju ożywione głosy pani Salomei, Jagi oraz pani ochmistrzyni, odbywających burzliwą naradę nad podwieczorkiem, ponieważ tego dnia zapowiedzieli się goście.

Jaś podniósł głowę znad talerza i posłał Ninie powitalny uśmiech. Usiadła przy stole i rozłożywszy na kolanach krochmaloną serwetkę, obserwowała go, jak zręcznie zwijał w rulonik różowe płaty szynki, smarując je musztardą lub chrzanem ze śmietaną. Twarz miał wygładzoną, wypoczętą i mimo woli Nina poczuła jakby cień zazdrości, wyobrażając sobie, że Emilka niemal każdej nocy ma przy sobie męża i zasypia w jego

ramionach. Natychmiast jednak się opamiętała i zganiała za swój egoizm. Jaś był przecież chory i codziennie narażał życie, jeżdżąc po wsiach i udzielając ludziom pomocy. Emilka, będąc przy nadziei, także ryzykowała, pełniąc obowiązki kurierskie. „Jestem niegodziwa i mam podły charakter” – potępiła się surowo.

Powróciła myślami do nocy pełnych miłosnych pieszczot i szalonych uniesień, kiedy jeszcze Aleks był w domu, i zagryzła usta, ogarnięta palącym pragnieniem i tęsknotą za pocałunkami męża i dotykiem jego nagiego ciała. Marzenia przerwało wejście służącego, który oznajmił Jasiowi, że osiodłany koń czeka. Młody lekarz z pośpiechem kończył jedzenie.

– Nie śpiesz się tak, misiu. Mało zjadłeś i będziesz głodny – powiedziała, patrząc na niego z czułością.

– Muszę, kotku, bo chorzy na mnie czekają. – Wytarł usta serwetką, przełykając ostatni kęs pieczywa. Strzepnął z szarej kurtki okruszki i wstał od stołu. – Ślicznotko, nie złość się dziś przy chłopcach. Te konie są nam naprawdę bardzo potrzebne. – Podeszedł do niej i pocałował ją w czoło i w rękę. – Przyrzekasz?

– Obiecuję. Tylko dla ciebie zachowam się jak dama i będę miała maniery markizy.

Wyszła za nim i stojąc na ganku, patrzyła, jak lekko, ruchem pełnym gracji dosiada wierzchowca, wskakując na siodło bez dotykania strzemion.

– Misiu, uważaj na siebie – poprosiła i zebrawszy w garść fałdy spódnicy, zbiegła po schodach, podeszła do niego i uściśnięła mu rękę. – Przyjedziesz dziś wieczorem do domu? – spytała, zadzierając głowę i patrząc mu w oczy.

– Obawiam się, że nie. Muszę być w obozie, bo kilku chłopców pochorowało się na czerwonkę i nie chcę dopuścić do epidemii. Przenocuję na Łysej Polanie i jak się uda, wrócę jutro wieczorem. Do widzenia, skarbie.

– Postaraj się przyjechać. Ciocia i Emilka są takie radosne, gdy jesteś w domu. Ja też!

Patrzył na nią z góry, a w jego błękitnych oczach odbijało się poranne niebo, podkreślając ich intensywną niebieską barwę.

– Do widzenia, braciszku.

Na jego ustach pojawił się rozmarzony młodzieńczy uśmiech.

– Mój Boże, Nino... – wyszeptał, pochylając się ku niej z siodła. – Jestem taki szczęśliwy!

Pocałował ją w policzek i odjechał. Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w lipowej alei, a jego rozmarzone oczy i uśmiech pełen słodczy zapisały się w jej pamięci na zawsze.

Dotrzymała słowa i zachowała się spokojnie, kiedy powstańcy wybierali konie. Sama im pomagała, podsuwając te mniej wartościowe, ze stadniny w Lipieńcu. Po południu przyjechali wujostwo Borutyńscy, przywoząc z sobą Dorotę Biecką i proboszcza. Podczas gdy proboszcz ze starszymi paniami grał w preferansa, a Dorota obzerała się galaretką owocową, wuj Ksawery poszedł z Niną obejrzeć konie odziedziczone po wojewodzinie.

Na pastwisku była Mignon. Zobaczywszy swoją panią, zarżała i przybiegła, kładąc jej głowę na ramieniu. Nina przyniosła jej duże jabłko i kilka marchewek. Klacz wszystko zjadła i otarła się pyskiem o policzek Niny. Jej wypukłe ciemne oczy pełne były figlarniej przekory. Nina pogładziła pieszczotliwie delikatne nozdrza klaczy, a Mignon chwyciła wargami jej palce. Lecz kiedy wuj Ksawery wyciągnął rękę, by poklepać ją po karku, Mignon zjeżyła grzywę, pokazała zęby i ostrzegawczo chrapnęła.

– To najpiękniejszy koń, jakiego w życiu widziałem – powiedział wuj, oceniając klacz okiem znawcy.

– Prezent od Alka. Uwielbiam ją.

– Jest przepiękna. Hrabia musi cię bardzo kochać, jeśli podarował ci klacz wartą tysiące rubli. Widzę, że ona także jest do ciebie przywiązana. Żeby zrozumieć konie, należy pojąć ich dusze i upodobania, wtedy stają się najlepszym przyjacielem człowieka. Ty to rozumiesz, bo klaczka cię kocha. Miłość do koni to nasza cecha rodzinna.

– O tak, wuju. Mignon robi dla mnie wszystko i jeszcze nigdy nie odmówiła mi skoku.

– Bo świetnie jeździsz konno. Marynia również doskonale jeździła i niegdyś zakochałem się w niej na umór, ujrzawszy ją na koniu, gdy pędziła galopem na polowaniu – dorzucił z uśmiechem. – Aleks jeszcze nie pisał?

– Nie, ale mam nadzieję, że w Galicji jest bezpieczny – westchnęła.

– Nie martw się. Przecież wiesz, jak obecnie działają poczty. Kurierzy także nie zawsze mogą dojechać na czas. – Wuj zamilkł i ściągnął grube czarne brwi. – Tak bym sobie życzył, żeby Janek z Emilką wyjechali do Krakowa do czasu jej rozwiązania. Tu się robi coraz bardziej gorąco.

– Niestety, to tylko nasze pobożne życzenia, bo ani jego, ani jej żadna siła nie wyciągnie z kraju – rzekła Nina ze smutkiem, odpędzając dłonią gza krążącego nad okiem Mignon.

– Wiem o tym. – Zatroškany wuj Ksawery pociągnął w dół siwiejącego wąsa.

Powrócili do towarzystwa, siedzącego już w różanym ogrodzie przy okrągłym, pięknie rzeźbionym stole. Ogród był w pełnym rozkwicie, zapach kwiatów wprost odurzał, a róże były wszędzie. Pięły się po murach, zwisały z kamiennych waz, wyrastały z klombów. Proboszcz, pani Salomea i ciotka Maria rozmawiali, Dorota popijała wino, paląc długiego, cieniutkiego papierosa ze złotym ustnikiem. Palenie stało się wśród dam bardzo modne od czasu, kiedy panna Pustowójtówna zaistniała jako legenda.

Tego dnia Dorota miała na sobie suknię z niemal przezroczystego muślinu w kolorze dymu, z dużym dekoltem i mnóstwem falbanek. Przez cienki materiał przeświecały atłasowe ramiączka wierzchniej halki. Krynolina była tak szeroka, że pani Biecka zaledwie mieściła się w fotelu. Sąsiedzi już coraz głośniejszy komentowali jej romans ze służącym we dworze młodym pisarzem prowentowym. Podobno pisarz składał raporty rano, kiedy pani dziedziczka leżała jeszcze w łóżku. Towarzyszył również Dorocie w czasie spacerów konnych. Ostatnio Nina widziała ich na jarmarku w Bodzentynie. Dorota przechadzała się pomiędzy straganami, a za nią jak po sznurku postępował młody mężczyzna z arogancką miną. Miał grubo ciosane rysy i byczy kark znamionujący siłę. Szedł za Dorotą, nie spuszczał jej z oczu, a na jego szerokich wargach zastygł cyniczny wyraz, który wydał się Ninie odrażający. Pani Biecka kupowała różne rzeczy, wskazując je pejczem i targując się przy tym jak przekupka. Stawiała śmiesznie małe kroczyki w wysokich lakierowanych bucikach i krążyła po jarmarku, przerzuciwszy tren amazonki przez ramię i ćmiąc papierosa. Jej osoba wzbudzała zdumienie poczciwych mieszczan bodzentyńskich, natomiast Ninę zaskoczyła śmiałość, z jaką Dorota afiszowała się ze swoim ordynarnym adoratorem.

Pod wieczór pokazała się w ogrodzie Emilka. Od rana czuła się gorzej i pani Salomea wymogła na niej, żeby nie wstawała z łóżka. Usiadłszy w pobliżu Doroty, obejrzała z kobiecym zainteresowaniem jej strojną toaletę.

– Wyobraźcie sobie państwo, że w Warszawie popłoch między damami i wszystkie elegantki pochowały się w domach.

– Doprawdy? – Dorota niegrzecznie wzruszyła ramionami, bo nie lubiła żony Jasia.

– A co się wydarzyło? – zaciekawiała się Nina.

– Podobno Rząd Narodowy sprzeciwił się noszeniu przez panie krynolin – wyjaśniła Emilka z tajemniczą miną.

– Ach nie, to niemożliwe! – wszystkie panie wydały okrzyk oburzenia i spojrzały na siebie, wstrząśnięte tą niesłychaną nowiną.

Emilka zakłopotana się wywołaną przez siebie burzą.

– Przepraszam, ja tylko żartowałam. Jednak cała sprawa mogła się zakończyć poważnymi konsekwencjami, trudnymi do przewidzenia.

– No, ale napędziłaś nam strachu! – Nina odetchnęła. – Widać Rząd Narodowy nie ma większych zmartwień i nie ma się czym zajmować.

– Wbrew pozorom to poważna sprawa – powiedziała Emilka.

Na usilne prośby zgodziła się opowiedzieć o skandalicznej aferze, w którą wplątano Rząd Narodowy. Zawiniła podziemna gazetka „Prawda”. W lipcu ukazał się w niej artykuł, w którym anonimowy autor ganił strojące się w czasie powstania panie. W dosadnych słowach krytykował baniaste i ogoniaste krynoliny, kosztowne okrycia i wymyślne kapelusze. Nie podobały mu się również haftowane spódnice, koronkowe falbany i modne fryzury. Autor artykułu wzywał mężów i ojców elegantek, żeby pouczyli je o potrzebie skromności w czasie powstania, zaznaczając, iż winowajczyni należy upominać, nie karać.

– Coś podobnego! – Ciotka Maria zatrzepotała rzęsami. – Chyba jakiś szalenciec to napisał.

Ninie cała sprawa wydała się po prostu niesmaczna i śmieszna.

– To mi wygląda na nieudolną prowokację – oświadczyła. – Cóż to, żyjemy w kraju mahometańskim, żeby nam mężczyźni dyktowali, w co się mamy ubierać?

– Nie, to raczej bardzo pomysłowa prowokacja – poprawiła Emilka. – Oczywiście, nikt nie przyznał się do popełnienia tego artykułu, ale po Warszawie gruchnęła wiadomość, że rząd nakazuje kobietom zdjęcie krynolin! Prasa europejska jak echo powtórzyła tę wiadomość, naturalnie z odpowiednim komentarzem. Na skutki tej bezmyślnej enuncjacji nie trzeba było długo czekać. Na Starym Mieście i w Ogrodzie Saskim jacyś nieznani

sprawcy zaczęli napastować kobiety, zrzucając im kapelusze, zrywając siatki z warkoczy, a nawet przemocą ściągając z nich krynoliny. Wybuchła panika! Napastowane panie uciekały z krzykiem w samych halkach i w... – Emilka urwała i zaczerwieniła się mocno.

– Nie do wiary! – wzdychała pani Salomea ze zgorzeniem. – A gdzie się podziała rycerskość i galanteria mężczyzn wobec dam?

– Owszem, niektórzy panowie stanęli w obronie napastowanych kobiet – przyznała Emilka. – Lecz niewiele im pomogli, bowiem carska policja zamiast sprawców napaści chwytła obrońców kobiet i pędziła ich do cyrkułów. Nasz rząd i władze carskie wzajemnie oskarżały się o prowokację i zamieszczały w prasie coraz to drastyczniejsze opinie. Rząd wydał nawet rozkaz dzienny, zdecydowanie potępiający samowolę osób podejrzanych. – Emilka starała się zachować powagę, ale uśmiechała się pod nosem i z politowaniem potrząsała głową.

– Skandal! – zagrzmiął basem wuj Ksawery. – Cały kraj w ogniu, krew się leje, padają zabici, a ci durnie kłócą się o babskie kiecki.

– No i jak się ta afera zakończyła? – Dorota, zjadłszy galaretkę, raczyła się odezwać.

Emilka pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła zmięty kawałek gazetki.

– Osądźcie państwo sami – powiedziała i niemal szeptem odczytała: – „Biada temu, co nie szanuje świętej boleści niewiast naszych” – głosił rozkaz dzienny. – Dalej rząd nie wahał się grozić sprawcom zamieszek Trybunałem Rewolucyjnym.

– Oho! – Proboszcz zażył szczyptę tabaki i kichnął. – Dosolili im z grubej rury! Sztyletnicy nie żartują.

– Wszystko skończyło się na wielkim krzyku i kilku podartych krynolinach. – Emilka skrzywiła się zabawnie. – Jednak ta śmieszna afera spowodowała spadek zaufania do władz podziemnych. Na razie nasze krynoliny są bezpieczne.

Goście długo dyskutowali o tym godnym pożałowania incydencie. Potem panowie zajęli się sprawami gospodarczymi, rozmawiając o spodziewanych urodzajach. Ciotka Maria i pani Salomea szeptały sobie coś do ucha, z rozrzewnieniem przypatrując się Emilce. Tylko Dorota Biecka nie odzywała się prawie wcale i siedziała nadęta, paląc papierosa. Być może była zazdrosna o jej urodę albo o Jasia. Zresztą zawsze okazywała niechęć kobietom, które były kochane przez mężów. Ponura mina nie przeszkadzała

jej zjeść na kolację pstrąga w majonezie i kremu ze szparagów, a potem dużej marengi²¹. Odjeżdżając, skoczyła z buzią na swojego stangreta, który miał nieszczęście się spóźnić.

Wuj Ksawery pokiwał głową i basem skomentował jej zachowanie:

– Dziewczyna prędko powinna ponownie wydać się za mąż, bo skwaśnieje na ocet siedmiu złodziei. Nic dziwnego, że Kazio dał drapaka od takiej sekutnicy.

– Coś mi się widzi, że ona już się wydała, tyle że bez sakramentów – oznajmił proboszcz, trzaskając wieczkiem tabakierki.



²⁰ fr. sposób bycia

²¹ Ciastka z piany, podobne do bez, z bitą śmietaną i konfiturami.

Rozdział 4

Lato 1863 roku było najaktywniejszym okresem w powstaniu. Rosja pomimo miażdżącej przewagi nie potrafiła zdusić walki i zakończyć rozlewu krwi. Opór zdławiony w jednym miejscu wybuchał w innym ze zdwojoną siłą. Mimo iż Rząd Narodowy nie potrafił poderwać całego społeczeństwa do walki o wyzwolenie, to jednak dziesiątki tysięcy mężczyzn chwyciły za broń i stanęły do boju. Porzucano magnackie pałace, szlacheckie dwory, urzędy pracy, szkoły i warsztaty, stając do nierównych zapasów z zaborcą. Nawet chłopci, początkowo niechętni, a nawet wrodzy powstaniu, coraz częściej zjawiali się w powstańczych obozach, dostarczając walczącym braciom dach nad głową, żywność oraz cenne informacje. Szczególnie na Podlasiu i w Górach Świętokrzyskich wielu wieśniaków włączało się do walki.

Tymczasem w miastach życie toczyło się normalnym trybem. Ludzie pracowali, uczyli się, a w dni świąteczne chodzili do parków, gdzie grały orkiestry. W domach prywatnych odbywały się zebrania towarzyskie, nawet z tańcami. Tymczasem w niemal każdym miasteczku istniały tajne lazarety albo szpitale, gdzie zaprzysiężeni lekarze i zakonnice oraz panie z organizacji „piątek” zajmowali się rannymi. W rzemieślniczych warsztatach lano kule, naprawiano zepsutą broń i uszkodzone uprząże, w tajnych zakładach krawieckich szyto mundury, bieliznę i czapki. Szewcy sporządzali ciężkie, wysokie, tak zwane „palone” buty, będące częścią umundurowania powstańczego.

Wspaniałym przykładem patriotyzmu dawali polscy księża. Nie było takiej partii powstańczej, która nie miałaby własnego kapelana. Często dowódcy oddziałów pod szarym mundurem nosili sutannę. Głośno było o księdzu Mackiewicz na Litwie i księdzu Brzósce na Podlasiu, prowadzącym walkę nawet po upadku powstania, którzy aż do swej śmierci dowodzili wiernymi w sprawie żołnierzami. Niższy kler w ogromnej większości popierał walkę zbrojną i służył powstaniu z całym poświęceniem. Jednak wśród wyższego

duchowieństwa nie brakowało ludzi słabych, opowiadających się za ugodą z caratem.

Jednak najważniejszy wpływ na trwanie powstania miały polskie kobiety: od ulicznej przekupki po księżnę. Swoją niezachwianą wiarą w słuszność walki podtrzymywały mężczyzn, umiejac tchnąć ducha w wąpiących i wahających się. Niestrudzone, pełne zapału, okazując zaborcy jawną nienawiść, trwały niezłomnie na swoich posterunkach, pełniąc trudne obowiązki, chociaż dokoła wszystko się waliło, a powstanie tonęło w rzekach krwi. Głęboką wiarę w Boga, miłość ojczyzny, tradycje narodowe oraz wolę walki aż do zwycięstwa te dzielne Polki przekazywały swoim dzieciom, a one – kolejnym pokoleniom. Dzięki takiej postawie udało się narodowi przetrwać niewyobrażalne cierpienia, terror, brutalne metody rusyfikacji i germanizacji, zachowując polskość aż do momentu wyzwolenia i odzyskania niepodległości.

Latem powstanie rozpałało się coraz jaśniejszym płomieniem. Nikt nie zliczył, ilu żołnierzy przewinęło się przez leśne obozy. Szli tysiącami i tysiącami ginęli. Nikt nie policzył bezimiennych mogił, kryjących prochy poległych i pomordowanych na ziemiach Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi. Żaden kronikarz nie spisał zmarłych w lochach więziennych, w kibitkach mknących na zesłanie, zamarznętych, zatłuczonych batami na katorżniczej drodze, zgasłych na straszliwych „etapach”, zaginionych na bezdrożach, zmarłych z głodu i nieludzkiej pracy w kopalniach uralskich i syberyjskich. Nikt nie liczył straconych w jawnych i tajnych egzekucjach. Poległych i zmarłych z ran grzebano pośpiesznie, często nie znacząc mogił krzyżem w obawie, że szczątki mogą zostać zbezczeszczone.

Latem żołnierze powstania mogli przypisać sobie kilka spektakularnych zwycięstw. Rząd Narodowy, naiwnie i bezkrytycznie wierząc w rzucony przez Napoleona III frazes: „Trwajcie!”, wzmógł działania wojenne. W kraju i za granicą zasłynęły nazwiska dowódców partii powstańczych. Głośno mówiło się o Ludwiku Żylińskim, przybyłym do powstania prosto ze Stanów Zjednoczonych, który zmienił mundur oficera amerykańskiego na szarą kurtkę powstańczą. Pod Ignacewem stoczył zwycięską bitwę Edmund Callier, naczelnik ziemi mazowieckiej. W województwie krakowskim walczył z powodzeniem Zygmunt Chmieleński, brat Ignacego, a w augustowskim – Konstanty Ramotowski „Wawer”. Szlachta kujawska własnym sumptem wystawiła brygadę kawalerii. Świetnie uzbrojeni, na

wspaniałych rasowych koniach, ubrani w mundury ułanów polskich kawalerzyści prezentowali się znakomicie i dzielnie walczyli. Słynny stał się atak oddziału majora Roberta Skowrońskiego, który pod Wołą Cyrusową poszedł w otwartym polu do szturm na armaty, zmuszając nieprzyjaciela do odwrotu. Wiadomości o kolejnych sukcesach przelatywały z ust do ust, wszędzie budząc nadzieję i szaloną radość.

W Makowie było spokojnie i nie zaobserwowano większych oddziałów rosyjskich. Czasami przemknął w pobliżu patrol dragonów lub kozaków. Czasem przemaszerował oddział powstańczy, kryjąc się śpiesznie w bezpiecznych ostępach Puszczy Świętokrzyskiej. Rodzina z niecierpliwością oczekiwała zwolnienia Emilki z obowiązków kurierskich, ale przyszła matka dalej odbywała podróże, wybierając jednak krótsze trasy. Z ostatniej wyprawy powróciła rozpromieniona.

– Kochani! – wykrzyknęła od progu. – Wielki sukces! Pod Żyrzynem²² pan pułkownik Michał „Kruk” Heydenreich jednym wspaniałym atakiem na moskiewski konwój pocztowy zdobył kasę z dwustoma tysiącami rubli! Wyobrażacie sobie taką masę pieniędzy? Nasz rząd zakupi za te ruble broń dla walczących oddziałów!

– O ile przedtem tych pieniędzy nie roztrwoni na błahostki – odezwała się Nina, niemająca wcale zaufania do operatywności władz powstańczych. – Powinnaś odpocząć po podróży, złotko.

Lecz Emilka pełna była entuzjazmu i taka rozgorączkowana, że niewiele odpoczywała i zaraz po obiedzie zeszła do parku. Pani Salomea z Niną siedziały nad stawem. Nina, wygodnie wyciągnięta w trzcinowym fotelu, leniwym spojrzeniem śledziła lot orła bielika krążącego nad Sieradowską. Nie było wiatru i tafla stawu, gładka jak atlas, odbijała koloryt nieba. Na stoliku w wysokim wazonie stały pąki herbacianych róż. Pani Salomea pracowicie szydełkowała koronkę, zamierzając obszyć nią niemowlęce koszulki. Emilka usiadła obok nich i srebrną chochlą nalała sobie kompot z czerwonych porzeczek. Wspomniała o Mirze, podróżującej z Maćkiem aż gdzieś w Kaliskie. Chłopak pomimo sprzeciwu swojej pani wprosił się do Miry na stangreta i Nina obraziła się na niego.

– Podobno miałeś się mną opiekować – przypomniała mu, nie kryjąc urazy.

– E, jasnie pani potrafi sama najlepiej się sobą zaopiekować, a panna nauczycielka to przecie chuchro – wyjaśniał zakłopotany, a potem mruknął

gniewnie pod nosem: – Baby to lubią, jak chłop jest już całkiem od nich zależny...

I pojechał! Na wspomnienie jego zuchwałych słów Nina zacisnęła zęby, ale musiała przyznać ze wstydem, że nie potrafiła się gniewać na swego ulubieńca i że imponował jej twardy charakter chłopaka i jego patriotyzm. Kątem oka dostrzegła Pawła, zmierzającego w ich stronę przez różany ogród.

– Przyszedł chłopak z Borku – wymamrotał zdyszany do Emilki. – Powiada, że ma pilny interes.

– Oj, mogliby już dać ci spokój! – fuknęła Nina. – Jaś prosił, żebyś się nie przemęczała.

– Dowiem się tylko, o co chodzi, i zaraz wrócę. – Emilka z westchnieniem odstawiła szklankę z kompotem, podniosła się i poszła za lokajem do domu.

Tajna poczta w Borku pracowała niezmordowanie dzień i noc, przyjmując dziesiątki rozkazów, odezw i pieniędzy, jak również broń i amunicję, rozsyłając przesyłki do walczących oddziałów lub do cywilnych adresatów.

– Może jest jakaś wiadomość od Alka? – odezwała się Nina z nadzieją. – Pójdę i zobaczę. Przepraszam ciocię.

– Tylko nie siedźcie tam długo. – Pani Salomea posłała jej matczyzny uśmiech.

Nina zastała Emilkę stojącą w sieni przed lustrem. Właśnie narzucała na ramiona ciemną rotundę. Nie zauważywszy wchodzącej Niny, wsparła się mocno dłonią o poręcz krzesła, a lekki przeciąg z otwartych drzwi poruszał pasmem jej długich jasnych włosów, igrając z czarną koronką sukni. Wyglądała blado i mizernie.

– A dokąd to się wybierasz, młoda damo?! – zawołała Nina ostro.

– Dobrze, że jesteś, kochanie. – Emilka się rozejrzała i stwierdziwszy, że są same, szepnęła: – Muszę natychmiast jechać. Postaram się prędko wrócić do Makowa.

– Oszalałaś?! Ja się nie zgadzam, bo Jasiak mnie i cioci głowy pourywa! – Nina się zdenerwowała, patrząc na jej wynędzniałą twarz i podkrążone oczy. – Przecież obiecałaś, że już nie będziesz się narażać. Przesyłkę może dostarczyć inny kurier.

Emilka energicznie potrząsnęła głową.

– To nie może czekać! – powiedziała stanowczo. – Widzisz ten znaczek na kopercie? Te dokumenty zawierają ściśle tajne informacje i muszą być niezwłocznie dostarczone adresatowi. To jest pismo delegatury rządu w Galicji. Muszę je dostarczyć do Warszawy. Przy sposobności powiadomię kogo trzeba, że mój stan dłużej nie pozwala mi pełnić obowiązków kurierskich. Obiecuję ci, kochanie, że to już moja ostatnia podróż.

– Słodki Jezu! – Nina wydała rozpaczliwy jęk. – Jaś mnie zamorduje, kiedy się dowie, że pozwoliłam ci jechać. Emilko, zlituj się, ja chcę jeszcze trochę pożyć, mam małe dziecko. Pomyśl o Jasiu!

– Zawsze o nim myślę... Nineczko, śpiesz się! Ucałuj ode mnie mamusię.

– Poczekaj, ty wariatko! Jakiego masz stangreta? Och, szkoda, że Maciek pojechał z Mirką.

– Mam chłopca z Borku. Niedawno został zaprzysiężony. Ucałuj Janusza i powiedz mu, że kocham go nad życie, ale nie pozwalam, żeby na ciebie krzyczał. Chyba nigdy nie odwdzięczymy się za to, co dla nas zrobiłaś. Do zobaczenia, kochanie.

Ucałowały się i Emilka wsiadła do bryczki. Nina w ostatniej chwili rzuciła jej na kolana ciepły pled, bo noce sierpniowe bywały już chłodne.

Wracała do ogrodu zamysłona, zastanawiając się nad zdumiewającą siłą charakteru i poczuciem obowiązku, nakazującym tej młodej kobiecie przy nadziei odbywać długie i męczące podróże. Pani Salomea załamała ręce, dowiedziawszy się o wyjeździe synowej, jednak ani jednym słowem nie skrytykowała tej decyzji. Nina wybierała się z matką Jasia do Sarnik, lecz po wyjeździe Emilki nie miała już ochoty do składania wizyt i zapragnęła pozostać tylko z domownikami.

W czasie choroby Aleksa, a szczególnie po dramatycznej scenie najazdu dragonów, gdy bezsilnie oczekiwała jego i swojej śmierci, zrodziło się między nimi coś o wiele głębszego niż wzajemne pożądanie. Więż nowa i bardzo silna. Mąż stał się dla niej w tym okresie integralną częścią życia i kolejne rozstanie przeżyła bardzo głęboko. Jedynie nadzieja, że w Galicji nie grozi mu niebezpieczeństwo, pozwoliła jej godnie znosić rozłąkę. Ale leżąc w upalne księżycowe noce w swoim wielkim łożu, tęskniła za Alekssem i jego namiętymi pieszczotami, w których oboje się zatracali.

Następnego dnia wieczorem powrócił Jaś i zaraz zapytał o żonę. Dowiedziawszy się, że jest w kurierskiej podróży, wybuchnął gwałtownym gniewem. Rozwścieczony jak nigdy, czynił matce i Ninie wyrzuty, że pozwoliły jej jechać.

– Mogłyście spokojnie patrzeć, jak zbiera się do drogi?! – krzyczał blady i roztrzęsiony. – Przecież ona jest już w szóstym miesiącu ciąży! Gdyby nastąpiło teraz poronienie, jej życie byłoby zagrożone! Nie rozumiecie tego, do diabła?!

– Nie krzycz... – Nina usiłowała się bronić łzawym głosem. – Ciocia nawet nie wiedziała, że Emilka wyjeżdża, a ja nie mogłam jej zatrzymać, mimo że prosiłam, by wysłała kogoś innego. Sam dobrze wiesz, jaka ona potrafi być uparta i odpowiedzialna. Przecież nie mogłam jej przywiązać za nogę do stołu! Podobno te dokumenty były bardzo ważne i musiała osobiście odwieźć je do Warszawy. Obiecała mi, że stanowczo zażąda uwolnienia od obowiązków. Przypomnij sobie, Jasiu, że to ja nalegałam, aby Emilka zaprzestała pracy kurierskiej. Jesteś wobec nas niesprawiedliwy! – Na wszelki wypadek Nina pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

– Uparła się, uparła... – mruzczał ze złością, biegając po pokoju i potrącając meble. – Wolałbym, żeby nie była taka obowiązkowa. Ach, Boże!

– Misiu, braciszku, uwierz mi – szepnęła Nina ze skrucą. – Ja naprawdę nic nie mogłam poradzić. Prosiłam, żeby pomyślała o tobie. Powiedziała, że zawsze o tobie myśli, że cię kocha nad życie, ale jechać musi. Doprawdy, tak mi przykro!

Jaś, zauważywszy zmartwioną minę matki i łzy w oczach Niny, złagodniał i przeprosił panie. Lecz z tym większą niecierpliwością oczekiwał każdego dnia powrotu żony. Matka tłumaczyła mu, że podróż do Warszawy i z powrotem może potrwać nawet tydzień, i zalecała cierpliwość.

Tymczasem zamiast Emilki powróciła Mira. Jak zwykle pełna entuzjazmu dla sprawy, opowiadała z humorem o swojej pełnej przygód podróży. Była bardzo zmęczona i postanowiła przedrzemać się kilka godzin, lecz obiecała, że zejdzie na obiad.

Całe przedpołudnie Nina zajęta była doglądaniem koszenia zboża, wyręczając zapracowanego pana Bochniaka. Żniwa zbliżały się ku

końcowi, pogoda sprzyjała i ludzie się spieszyli, żeby ukończyć prace przed nadejściem deszczu. Mignon, podenerwowana upałem i muchami, zachowywała się tak nieznośnie, że Nina ledwie mogła nad nią zapanować i miała wrażenie, jakby powyrywano jej ramiona.

Po powrocie do domu umyła się dokładnie i zmieniła mokrą od potu bluzkę i spodnie na lekką muślinową suknię. Odsapnąwszy, wzięła płaski kosz i nożyce, a potem powędrowała do parku po kwiaty. Towarzyszyły jej, jak zwykle, Grot i kilka innych psów z pałacowej sfory, z którymi się przekomarzała i zaśmiewała z psich figlów.

W rosarium długo wybierała róże do wazonów w buduarze i do sypialni męża. Dbała, by w jego pokoju były zawsze świeże kwiaty, jakby za chwilę miał tam wejść. Ścięte róże układała w koszu, rozkoszując się ich pięknem i zapachem. Kilka z nich zaniósła do kaplicy i postawiła na ołtarzu, starając się omijać wzrokiem Ukrzyżowanego. Rzeźba była tak realistyczna, że się jej bała. Odmówiwszy pacierze za zmarłych, powróciła do domu.

Po pracowitym poranku i męczącej jeździe czuła wilczy głód i zasiadła do stołu, oczekując na ulubioną zupę – grzybową z francuskimi kluseczkami. Siedząca obok pani Salomea wspomniała, że rano odwiedziła słabującego księdza proboszcza i zawiozła mu ciasto z owocami, arcydzieło Kumosi. Wyspana Mira zeszła do jadalni i tak zabawnie opowiadała o swoich przygodach w podróży kurierskiej, że rozśmieszyła obie panie. Nawet Walenty, celebrujący z uroczystą miną wnoszenie wazy z zupą, czynił bezskuteczne wysiłki, by zachować powagę. Zajęte rozmową panie, nie spostrzegły, że drzwi się uchyliły i do jadalni wsunął się Paweł. Nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie, które posłał mu staruszek, podszedł do Niny.

– Przyjechał stary Josel i prosi jaśnie panią hrabinę o rozmowę – powiedział półgłosem.

– Nie widzisz, błaznie, że jaśnie panie spożywają obiad? – Kamerdyner spiorunował lokaja groźnym wzrokiem. – Josel może poczekać!

Stary faktor nie pokazywał się od tak dawna, że zaintrygowana Nina postanowiła jednak przerwać posiłek i rozmówić się z nim. Odłożyła serwetkę i wstała.

– Zapewne Żydzi już się dowiedzieli, że mamy urodzaj. A może to wiadomość od pana? – powiedziała z nadzieją i spojrzała na Pawła, każąc mu zaprowadzić Josela do buduaru.

Młody lokaj skłonił się i wyszedł. Walenty zadreptał w miejscu i zastygł, trzymając srebrną chochlę jak berło.

– Oj, dałby Pan Jezus – westchnął. – Ale zupa wystygnie, proszę jaśnie pani hrabiny, a odgrzewana jest niesmaczna.

– To długo nie potrwa.

Pani Salomea i panna Lutówna ze zrozumieniem obserwowały jej twarzyczkę, zarumienioną z podniecenia.

– Czy możemy ci towarzyszyć, kochanie? – spytała starsza pani. – Nie będziemy przeszkadzać?

– Ależ proszę, cioteczko.

Mira również podniosła się z krzesła i razem weszły do buduaru, gdzie czekał Josel. Stary Żyd złożył damom niski ukłon, sięgnął za pazuchę i wydobył skrawek starej koperty. Nina z niecierpliwością wyrwała mu papier z ręki.

– Kiedy Josel widział pana hrabiego? Zdrowy? – zagadnęła, usiłując odczytać drobniutkie literki. Zaraz spostrzegła, że to nie było pismo Aleksa.

Żyd z zakłopotaniem pogładził siwą brodę.

– Ja nic o tym nie wiem. Lepiej niech jaśnie pani przeczyta, co tam napisane. To bardzo delikatny interes, a mnie tu wcale nie było...

Nina posłała mu przenikliwe spojrzenie i tknięta niedobrym przecuciem, podniosła skrawek koperty do oczu, sylabizując mikroskopijne literki. Omiotła wzrokiem dziwną wiadomość i zachwiała się na nogach.

– Nino, na litość boską, co się stało?! – Mira podbiegła do niej i podtrzymała, ratując przed upadkiem. – Jakies złe nowiny? Co z panem hrabią?

Śmiertelnie blada Nina ciężko opadła na najbliższe krzesło, a z jej bezwładnej dłoni wysunął się papier i sfrunął na dywan. Pani Salomea pochyliła się i go podniosła. Wyjęła z kieszeni okulary, podeszła do okna i z uwagą przeczytała karteczkę.

– Jezu Chryste! – wydała głośny okrzyk, wspierając się o parapet.

Nina momentalnie oprzytomniała i zapomniawszy o słabości, błyskawicznie znalazła się przy niej.

– Mira, wody! Przynies sole trzeźwiące... Cioteczko, tylko spokojnie. Proszę usiąść i głęboko oddychać. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

– Powiedzcie mi wreszcie, o co chodzi – niecierpliwiła się panna Lutówna, nie rozumiejąc tej dramatycznej sceny.

Nina zwróciła na nią oczy pełne przerażenia.

– Emilka aresztowana, siedzi w Radomiu – powiedziała szeptem, jakby sama nie dowierzała tej strasznej nowinie. – No, idź po wodę i krople bobrowe. Szybko, bo ciocia mdleje!

Mira wybuchła głośnym płaczem i wypadła z pokoju. Podśłuchującemu pod drzwiami Walentemu wytrąciła z ręki chochlę, którą bezwiednie jeszcze trzymał.

W napisanym z więzienia grypsie Emilka zawiadamiła, że została aresztowana w drodze powrotnej z Warszawy. Nie miała przy sobie nic kompromitującego, lecz żandarmi znaleźli w bryczce paczkę gazetek, do których się nie przyznawała. Została przewieziona do Radomia i osadzona w areszcie śledczym. Siedziała w celi sama i była już kilkakrotnie przesłuchiwana, lecz nie przyznała się do winy, twierdząc uparcie, że gazetki podrzucono jej na bryczkę, kiedy jadła obiad w zajeździe. Może i dano by jej wiarę, ale obciążyla ją paniczna ucieczka stangreta. Na widok podchodzących żandarmów chłopak, oszalały z przerażenia, zeskoczył z kozła i uciekł do lasu. Oficer śledczy podejrzewał, że nie był to zwykły stangret, tylko jakiś ważny powstaniec przebrany za chłopca. Zagroził, że w razie odmowy zeznania prawdy Emilka zostanie przewieziona do Cytadeli Warszawskiej, gdzie czeka ją sąd wojenny.

Otrząsnąwszy się z pierwszego, porażającego wrażenia, pani Salomea poderwała się z krzesła.

– Trzeba ją ratować! – zawołała, chwytając Ninę za rękę. – Jezu, przecież ona spodziewa się dziecka! Nie powinno się więzić kobiet przy nadziei. Istnieją przecież jakieś humanitarne względy dla kobiet mających zostać matkami. Rosjanie są ludźmi, mają matki, żony i dzieci!

Nina z ponurą miną opuściła głowę. Przypomniała sobie tragiczne losy pani Sierakowskiej. Ona również była w zaawansowanej ciąży, mimo to nie oszczędzono jej ani kajdan, ani męki ciężkiego więzienia i widoku egzekucji męża. Najwidoczniej pani Salomea pomyślała o tym samym, bo rozplakała się rzewnie.

– Moja biedna córeczka... Moje nieszczęśliwe dzieci... Matko Najświętsza, co ja powiem Jasiowi? Maryjo, ratuj!

Na tę myśl Nina poszarzała na twarzy i poczuła, że nogi uginają się pod nią.

Ciotka padła na kolana i złożonywszy dłonie, wpatrywała się w widoczny za szeroko otwartym oknem przestwór błękitnego nieba. Po jej bladych policzkach spływały łzy, kiedy usta szeptały słowa modlitwy. Po chwili powróciła Mira, niosąc wodę i lekarstwa, lecz Nina dała jej znak, by nie przeszkadzała, tylko uważała na panią Salomeę. Skinęła na Josela, ze współczującą miną stojącego w kąciku, i razem przeszli do biblioteki. Ciężko opadła na fotel i ruchem ręki zaprosiła faktora, by usiadł.

– Dotknęło nas okropne nieszczęście – powiedziała łamiącym się głosem.

– Musimy za wszelką cenę uwolnić młodą panią Borutyńską. Ja nie pożałuję na ten cel pieniędzy. Czy Josel zna w Radomiu jakiegoś wyższego oficera lub urzędnika? Słyszałam, że oni biorą łapówki za wypuszczenie więźnia. Tylko nie wiem, komu mam ją wręczyć i ile dać?

Stary Żyd zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł:

– W Radomiu wiele może pan pułkownik Dobrowolski. On tam jest fest figura! Jemu sam generał Uszakow potrzebuje dać własną córkę za żonę. To strasznie ważna osoba i on jest Polak, ale nie lubi powstania i bił pana Langiewicza pod Małogoszczą.

Aleks, znając osobiście Dobrowolskiego, opowiadał jej, że był on niegdyś gorliwym spiskowcem, należącym do tajnego sprzysiężenia wojskowego. Niespodziewanie bez żadnego konkretnego powodu zmienił orientację, stając się zaciętym wrogiem konspiratorów. Ścigał zawzięcie partie powstańcze i był nieubłagany dla pojmanych jeńców. Ulubieniec generała Uszakowa starał się z powodzeniem o rękę jego córki.

– Więc Josel uważa... – zaczęła Nina, ale faktor przerwał jej w pół słowa.

– Joselowi nie trzeba trzy słowa. Ja pomogę jaśnie oświeconej pani. Żaden Żydek nigdy nie został skrzywdzony w Makowie. Jaśnie pan graf²³ to wielki, dobry i hojny pan, a pan doktor Borutyński także złoty człowiek. My o tym pamiętamy. W Radomiu mam dwa młode Żydki, co one służą panu pułkownikowi Dobrowolskiemu. Ja sobie z nimi pogadam i powiem jaśnie pani, co robić.

Nina odetchnęła. Wiedziała, że kiedy faktor coś obieca, święcie tego dotrzyma.

– Dziękuję Joselowi – powiedziała ucieszona. – Josel nie będzie narzekał na moją niewdzięczność. Zaraz przyniosę pieniądze.

– A niech Pan Bóg zabroni! – zawołał Josel, unosząc obie ręce obronnym gestem. – Ja grosza od jaśnie oświeconej pani nie wezmę! Przecie ja także

Polak, tyle że mojżeszowego wyznania. Wielmożny pan doktor Borutyński wyleczył mego wnuczka, co on miał ropień. On także nie wziął ode mnie grosza. To jest taki dobry człowiek, że jakby on miał lepszą głowę do interesów, to mógłby być Żydem. Niechaj go Najwyższy uchroni od nieszczęścia. Może potem dla tych dwóch srulków trzeba będzie coś dać, a ile, to się jeszcze zobaczy.

Stary faktor sapnął ze zmęczenia. Nina zaproponowała, żeby odpoczął i posilił się przed powrotną drogą, lecz odmówił i pożegnawszy ją, odszedł. Wkrótce usłyszała turkot kół jego wózka.

Pani Salomea siedziała w buduarze pogrążona w smutnej zadumie. Nina uklękła przy niej i ucałowała obie jej ręce.

– Moja złota cioteczko, proszę nie rozpaczać. Uratujemy Emilkę. Przrzekam, że zrobię absolutnie wszystko, aby wyrwać ją z łap oprawców. Ale teraz trzeba nam siły do działania.

Starsza pani przytakiwała biernie głową.

– Boże miłosierny, co ja powiem Jasiowi? – szepnęła. – On tego nie przeżyje... Boję się o niego.

Na moment strach sparaliżował Ninę i poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Ona także się obawiała, aby Jaś w pierwszym odruchu rozpaczy nie popełnił jakiegoś szaleństwa. Bardzo kochał żonę, a jego miłość do niej jeszcze wzrosła, kiedy się dowiedział, że wkrótce Emilka obdarzy go dzieckiem. Wyobraziwszy sobie, do czego może dojść, Nina uznała, że nie może pozwolić sobie na chwilę słabości, bo los uwięzionej zależał od szybkiego działania.

– Na razie nie należy Jankowi wspominać o aresztowaniu żony – powiedziała stanowczo, podnosząc się z kolan. – Dowie się o tym fakcie, kiedy Emilka będzie już na wolności. Ja natychmiast wyjeżdżam do Radomia.

Spostrzegła kamerdynera ze zmartwioną miną zaglądnącego do pokoju. Wszyscy domownicy już wiedzieli o nieszczęściu, które spotkało młodą panią Borutyńską.

– Walenty! – rzekła zdecydowanym tonem. – Proszę posłać stajennego do Sarnik. Zaraz napiszę bilet do wuja Ksawerego. Miruniu, w czasie naszej nieobecności powiadomisz o wszystkim pannę Lasewiczównę. Trzeba prędko wyrobić lewe dokumenty i paszporty dla cioci i Emilki. Zaraz po

uwolnieniu z więzienia obie muszą wyjechać za granicę. Tu Emilka nie będzie bezpieczna.

Pani Salomea słuchała jej uważnie, już całkowicie opanowana.

– Ja z tobą, dziecinko. Razem pojedziemy do Radomia – oznajmiła tak kategorycznym głosem, że Nina nie próbowała się z nią spierać.

Usiadła przy sekretarzyku i napisała krótki liścik do wuja Borutyńskiego. Nie wołając Ulisi, poszła się spakować do drogi. Zanim zdążyła zamknąć sakwojaż, do sypialni weszła zdenerwowana Jaga.

– Nino – zaczęła od progu – ja się nie zgadzam! Leziesz wilkowi prosto w paszczę! Co ty sama możesz poradzić?

– Jeżeli nie ja, to kto? – Nina podniosła głowę i spojrzała niani prosto w oczy. – Nie ciocia, bo zbyt zrozpaczona, i nie Jaś... On może pogrzebać wszelką szansę na uwolnienie Emilki i sam się dostać w łapy Moskali. Trzymajcie język za zębami, bo inaczej wpadnie w szal! Uprzedź służbę, że kto ośmieli się szepnąć słówko na ten temat, straci pracę. Ja przez Josela spróbuję się dostać do pułkownika Dobrowolskiego, który jest liczącą się osobistością.

– Masz zamiar go przekupić? – Pod Jagą zatrzęsły się kolana i prędko usiadła.

– Owszem. Dam mu prawdziwie królewską łapówkę, musi się na nią złakomić. Spójrz tylko, nianiu...

Sięgnęła do wnętrza torby i wyjęła podłużne etui ze szkarłatnego aksamitu ze złotym herbem Habsburgów. Kiedy je otworzyła i przesunęła przed oczami Jagi, ogromne brylanty błysnęły bajeczną feerią ogni.

– Dobry Boże, brylanty wojewodziny! – stęknęła Jaga. – Takie królewskie klejnoty temu kacapowi?

– Trudno. Muszę darować mu coś, co skłoni go do szybkiego działania. Och, te brylanty skusiłyby nawet księcia. Jakby mu było mało, dorzucę jeszcze folwark, niech się udławi! Byle tylko Emilka wyszła z więzienia, a Janek doczekał się upragnionego dziecka.

Jaga była ogromnie wzruszona i Nina znalazła się w jej ciepłych, kochających ramionach.

– Masz złote serce, córeczko. Będę się za was modlić. – Zakreśliła na jej czole krzyżyk.

Zanim obie panie zdążyły się przygotować do podróży, z Sarnik przyjechał wuj Ksawery, mimo swego kalectwa dosiadając konia. Był

niesłuchanie wzburzony wiadomością o aresztowaniu Emilki i dowiedziawszy się, że panie wybierają się do Radomia, wcisnął Ninie do rąk woreczek pełen złotych imperiałów.

– Tu masz dwa tysiące rubli w złocie – powiedział. – Nie żałuj pieniędzy na ten cel, bo Moskale je lubią. Jak trzeba będzie, dostaniesz więcej. Żebyś był zdrowy, pojechałbym z tobą, ale teraz byłbym ci tylko zawadą. Marynia kazała cię ucałować.

Po raz pierwszy w życiu Nina zarzuciła wujowi ręce na szyję i ucałowała go jak ojca. Nie była zdziwiona jego hojnością, wiedząc, jak bardzo wuj Ksawery kocha Jasia. Dla niego oddałby ostatni grosz. Pokazała mu klejnoty wojewodziny, a wuj Ksawery zachwyił się nimi i zarazem zdumiał jej wielkodusznością.

– Te brylanty mają ogromną wartość, bo i historyczną – zauważył. – Nie szkoda ci ich?

– Cóż znaczą te kamyki wobec szansy uwolnienia biednej Emilki i szczęścia Jasia?

Patrzył na nią długą chwilę w milczeniu.

– Niechże ci Bóg błogosławi, moje drogie dziecko – szepnął.

Wstydząc się okazać wzruszenie, poszedł pocieszyć panią Salomeę. Nina pośpiesznie wydała pani ochmistrzyni i niani polecenia na czas swojej nieobecności.

– Jaś przyjedzie tu dziś wieczorem. Co mam mu powiedzieć? – dopytywała się Mira, spłakana i zdesperowana.

– Powiedz mu, że państwo Maciejewscy mają kłopoty i Emilka została w Warszawie dłużej, aby otrzymać zwolnienie od obowiązków. Pojechaliśmy z ciocią, żeby wspomóc państwa Maciejewskich finansowo. Mira, pamiętaj! Jaś nie może się dowiedzieć o aresztowaniu Emilki. Znasz go i wiesz, jaki potrafi być zapalczywy. Aha, gdzie jest Maciek?

– Pojechał do leśnego obozu zawieźć chłopcom paszę dla koni i gazetki „Z Pola Bitwy” – odpowiedziała panna Lutówna ze skrucą.

Nina spojrzała na nią przeciągle wzrokiem niewróżącym nic dobrego. Maciek powinien ją spytać o pozwolenie. „Spiorę kiedyś tego szczeniaka na kwaśne jabłko!” – pomyślała rozgniewana i zawiedziona, zupełnie zapominając, że Maciek był od niej starszy o kilka lat, o głowę wyższy i silny jak koń. Po odejściu Tomka do oddziału chłopak się zbiesił i nie pytając jej o zgodę, z całą energią włączył się do pracy konspiracyjnej,

wykonując jakieś tajne prace dla panny Lasewiczówny albo kapitana Soszkiewicza i służąc jako stangret kurierkom. Nina nie miała siły mu tego zabronić, bo chłopak był bardzo bliski jej sercu. Nie zapomniała, jak z narażeniem życia dźwigał ją na plecach, kiedy ścigali ich kozacy. Teraz jednak była na niego naprawdę wściekła, bo chciała, żeby jechał z nimi do Radomia. Ostro pouczyła Mirę, aby nigdzie go nie wysyłała, bo może być potrzebny.

Wychodząc z buduaru, usłyszała za sobą żaloszny skowyt. Grot nieufnie przyglądał się Pawłowi, wynoszącemu do karety sakwojaze. Przykucnęła i przytuliła psa, całując go w czubek głowy i pieszcząc.

- Mira, zaopiekuj się Grotem, bo biedak będzie za mną tęsknił – poleciła.
- No, jestem gotowa do drogi. Szkoda, że Maciek nie jedzie z nami.

Na szczęście mogła zawsze polegać na Stachu, bo stary był bez reszty oddany swemu państwu.

[22](#) Bitwa pod Żyrzynem miała miejsce 8.08.1863 roku.

[23](#) Tytuł arystokratyczny; również osoba nosząca ten tytuł.

Podróż do Suchedniowa trwała krótko, bo makowskie araby pędziły jak wichry. W mieście pozostawili konie, zmieniając je na zaprzęg pocztowy, i podróżowali dalej, nie tracąc czasu na nocleg. Nina drzemała z głową wspartą o poduszki karety, usypiana rytmicznym kołysaniem, lecz często się budziła, słysząc ciężkie westchnienia pani Salomei i szept odmawianych modlitw, przerywanych cichym płaczem. Serce Niny ścisnęło się z żalu i ogromnego współczucia, ale na razie nie znajdowała słów pociechy. Miała jednak nadzieję, że potrafi uwolnić Emilkę i wyprawić obie kobiety bezpiecznie za granicę.

Wczesnym rankiem były już w Radomiu. Zatrzymały się w najlepszym hotelu i wzięły apartament, co tak rozczerowało hotelarza, że osobiście pofatygował się na piętro i otworzył im drzwi do numeru. Pani Salomea chwiała się na nogach, zmęczona rozpaczą i podróżą. Nina namówiła ją, aby położyła się do łóżka i wypoczęła. Sama zmieniła suknię podróżną, ubierając się z wyszukaną elegancją. Od hotelarza dowiedziała się, gdzie mieszka pułkownik Dobrowolski, i wsiadła do karety.

Przez całą drogę łamała sobie głowę, w jaki sposób wręczyć oficerowi łapówkę, zachowując przy tym obowiązujące formy dobrego wychowania. Obawiała się, żeby pułkownik nie poczuł się tym dotknięty na honorze. Po Uszakowie i gubernatorze Dobrowolski był niewątpliwie najważniejszą osobą w mieście. Na skutek jego interwencji śledztwo mogło zostać umorzone, a Emilka uwolniona z więzienia. Wyjęła z torebki etui i raz jeszcze przyjrzała się klejnotom. Brylanty były czystej wody i tak piękne, że skusić mogły każdego. Uznała w końcu, że najwłaściwiej będzie podarować je pułkownikowi jako prezent ślubny dla narzeczonej. Prócz brylantów miała przy sobie pięć tysięcy rubli oraz akt własności majątku w Kaniówce. Wierzyła, że Dobrowolski nie oprze się takiej pokusie.

Pułkownik nie mieszkał w koszarach, lecz w pięknej kamienicy w centrum miasta. Dom zajmowali wyżsi oficerowie i po korytarzach kręciło się wielu ordynansów. Nina zdecydowanym krokiem weszła do sieni, choć trzęsła się ze strachu i z nerwów było jej bardzo zimno. Zaraz na wstępie trafiła na wartownika, który zagroził jej drogę.

– Wy czego? – warknął. – *Nie lizia!*

Niezrażona jego zachowaniem, zmierzyła żołdata ostrym, pańskim wzrokiem.

– Ja do pana pułkownika Dobrowolskiego! – powiedziała rozkazującym tonem. – Tu masz mój bilet, melduj!

Jej pewność siebie, uroda i wytworna toaleta zrobiły na wartowniku wrażenie.

– Wasza wielmożność wybaczy – tłumaczył się wcale niezłą polszczyzną. – *Gospoda pułkownika* nie ma.

– Kłamiesz! – Wyminęła go i sięgnęła do klamki. Drzwi mieszkania były zamknięte na głucho. – Ach, Boże! – jęknęła zdesperowana.

– *Madame...* – Usłyszała francuskie słowa wypowiedziane przyjemnym męskim głosem. – Czy mogę być w czymś pomocny?

Obejrzała się szybko, mierząc śmiałka wyniosłym spojrzeniem. Przed nią stał młody oficer i przypatrywał się jej z ciekawością, niepozobawioną akcentu rozbawienia.

– Pragnę się widzieć z panem pułkownikiem Dobrowolskim w bardzo ważnej sprawie. Gdzie mogę go znaleźć? – zagadnęła po francusku.

– Ogromnie mi przykro, że muszę panią zmartwić. Pan pułkownik wyjechał do Warszawy.

Nina poczuła się jak człowiek, który z nagłą otrzymał cios w głowę. Cała udawana pewność siebie uleciała i ciężko wsparła się o ścianę.

– *Madame*, czy pani słabo? – Oficer zaniepokoił się jej bladością i gestem pełnym szacunku podtrzymał ją ramieniem. – Może jednak będę mógł czymś pani służyć?

Zajrzała mu głęboko w oczy, spoglądające na nią z życzliwym zainteresowaniem.

– Chciałam porozmawiać z panem pułkownikiem w sprawie mojej niewinnie aresztowanej krewnej – wyznała, nabierając do niego zaufania. – Teraz już nie wiem, do kogo mam się zwrócić.

Namyślał się, obserwując ją badawczo.

– Krewna pani została niedawno aresztowana? Znajduje się w Radomiu?

– Tak. Jest w areszcie śledczym. Kto mógłby mi pomóc? – zapytała nieśmiało z budzącą się nadzieją.

Młody oficer miał zmartwioną minę.

– No nie wiem – bąknął, przygryzając dolną wargę. Był bardzo młody i rycerski. – To śledztwo zapewne dotyczy sprawy politycznej? Ostatnio pan pułkownik nie przyjmuje interesantów. Pani rozumie, ludzie bywają niedyskretni. Powstają plotki uwłaczające honorowi oficerów Jego

Cesarskiej Wysokości. Bardzo mi przykro, ponieważ pan pułkownik jakiś czas zabawi w Warszawie. O, gdyby pani miała okazję rozmawiać z samym panem generałem Uszakowem... On, jako naczelnik wojenny guberni, ma prawo decydować w kwestiach politycznych. Ale bardzo trudno trafić do niego, bo ciągle zajęty. Audiencje rzadko są wyznaczane.

Na policzki Niny wypłynął rumieniec podniecenia.

– Mam szczęście osobiście znać pana generała! – wykrzyknęła. – Och, gdybym tylko miała sposobność, aby mu się przypomnieć.

Oficer zastanawiał się przez chwilę.

– Czy jest pani pewna, że pan generał zechciałby panią przyjąć?

– Gdyby ktoś był tak uprzejmy i przekazał mu wiadomość, to sądzę, że przyjąłby mnie. – Umilkła, patrząc mu błagalnie w oczy.

– No cóż... – westchnął. – Proszę dać mi swój bilet. Spróbuję go doręczyć panu generałowi. Oczywiście, niczego nie mogę obiecać. Pani mieszka w Radomiu?

– Nie. Jestem tu przejazdem i zatrzymałam się w hotelu. – Na wyrwanej z eleganckiego notesiku kartce szybko zapisała nazwę hotelu i numer pokoju. Podała ją razem z biletem wizytowym, ozdobionym prześliczną winiętą oraz złożonym herbem z hrabiowską koroną.

– Postaram się zrobić, co będę mógł, i prześlę pani wiadomość do hotelu.

– Jestem panu bezgranicznie wdzięczna – powiedziała, podnosząc na niego oczy wilgotne od łez.

Złożył jej ukłon i odprowadził do karety.

W hotelowym pokoju Nina zastała panią Salomeę siedzącą przy oknie i chorą z rozpacz. W czasie nieobecności Niny przyszedł młody Żyd i oznajmił, że pułkownik Dobrowolski wyjechał z Radomia, a w tym wypadku Josel jest bezsilny. Usłyszawszy to, biedna kobieta odchodziła od zmysłów.

– Proszę, niech cioteczka nie płacze! – zawołała Nina, widząc ją całą we łzach. – Być może uda mi się rozmawiać z kimś ważniejszym od Dobrowolskiego. Obiecано mi audiencję u generała Uszakowa. A on, jako naczelnik wojenny, wszystko może. Teraz musimy się tylko modlić, żeby zechciał mnie przyjąć.

Po południu zapukał żołnierz i wręczył Ninie bilet od generała. Uszakow bardzo uprzejmie wyznaczył jej spotkanie nazajutrz o jedenastej. Pani Salomea z wybuchem radości rzuciła się jej na szyję.

– O, Pan Jezus jest miłosierny! – wykrzyknęła. – Moja biedna córeczka będzie wolna. Słyszałam, że Uszakow jest porządnym człowiekiem. Nineczko, moje dziecko najdroższe, taka jestem ci wdzięczna.

Nina nie chciała odbierać jej złudzeń, jednak wcale nie była pewna, czy zdoła przekonać generała o niewinności Emilki. Uszakow nie był naiwnym oficerkiem, którego można było oczarować dołeczkami w buzi i trzepotaniem rzęs. Był to stary, twardy żołnierz, z dużym doświadczeniem wojskowym. Brał udział w tłumieniu powstania w 1831 roku oraz rewolucji na Węgrzech. Uczestniczył również w obronie Sewastopola w czasie wojny krymskiej. W porównaniu z tak krwiożerczymi bestiami jak Murawiew czy Berg był człowiekiem dosyć pobłażliwym i wyrozumiałym, jednakże jako naczelnik wojenny guberni musiał okazywać surowość wobec przestępców politycznych.

Po południu obie damy udały się do fary na mszę, przystępując do spowiedzi i komunii świętej, w intencji uwolnienia Emilki. Przyjąwszy sakrament, powróciły do hotelu nieco podniesione na duchu. Nina nie żałowała pieniędzy, zamawiając msze błagalne u ojców Bernardynów. Prawie całą noc nie zmrzyła oka, modląc się i prosząc Boga, aby audiencja u generała została uwieńczona powodzeniem. Nie mogła doczekać rana i wcześniej zerwała się z łóżka, tak zdenerwowana i spięta, że wszystko leciało jej z rąk.

Pani Salomea sama ułożyła jej wspaniałe włosy w modną i twarzową fryzurę. Aby nie drażnić dostojnika znienawidzonymi przez Rosjan kirami, Nina włożyła wytworną paryską toaletę z jedwabnego weluru w kolorze chabru. Draperie szerokiej krynoliny zdobiły aksamitne kokardy i taka sama kokarda podtrzymywała ciężki węzeł jej włosów pod kapelusikiem przybranym strusimi piórami i gęstą koronkową woalką. Skropiwszy się perfumami, z drżeniem oczekiwała na wyznaczoną godzinę, powtarzając w myślach wyimaginowaną rozmowę z Uszakowem.

Kiedy hotelowa pokojówka zapukała, oznajmiając, że kareta czeka, Nina rzuciła się w ramiona pani Salomei, w nagłym odruchu dziecinnego przerażenia. Gdyby szło o jej własny los, nie doznawałaby ani połowy tego strachu i poczucia odpowiedzialności. Cokolwiek się wydarzy, w razie

niepowodzenia do końca życia będzie mieć do siebie pretensje, że nie uczyniła wszystkiego, co można było zrobić. Wciągając rękawiczki i wkładając do torebki sole trzeźwiące i chusteczkę, myślała o Jasiu, przysięgając sobie, że nie zawiedzie zaufania, którym darzyła ją pani Salomea.

– Niech Wszechmogący Pan Bóg wspiera cię i otacza opieką, moje ukochane dziecko – szepnęła starsza dama, tuląc ją do siebie. – A może wolisz, żebym pojechała z tobą?

– Nie, ciotuniu. Być może będę musiała znieść jakąś brutalną żołdacką uwagę. Ciocia by tego nie ścierpiała – powiedziała Nina stanowczo i widząc lęk na twarzy pani Salomei, prędko dodała: – Mam jednak nadzieję, że nic takiego mnie nie spotka. – Wysunęła się z jej objęć i z mocno bijącym sercem wsiadła do karety.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi pokoju, pani Salomea padła na kolana i zaczęła się żarliwie modlić.

Godzina była jeszcze wczesna, więc Nina poleciła Stachowi, by zajechał do fary. W kruchcie dostrzegła trumnę z nieboszczykiem i uznała to za zły prognostyk. Idący za nią stangret zamruczał coś pod nosem z niezadowoleniem i nieznacznie splunął od uroku. Oboje uklękli przed wielkim ołtarzem, modląc się o powodzenie sprawy. Stach bił się z pokorą w piersi i wzruszony jeżył siwe sumiaste wąsy. Wiedział, gdzie młoda pani idzie, bo nie miała przed nim tajemnic, i bał się o nią, ale nie okazywał tego, starając się podnieść ją na duchu.

Kiedy wsiadała do karety, odezwał się ze sztucznym uśmiechem:

– Niechże się jaśnie paniuleczka nie frasuje. Przecie ten Rusek nie ludożerca i nie odmówi prośbie takiej śliczności, jak moja pani, chyba że ślepy. Da Pan Jezus, wszystko skończy się dobrze.

Nina o mało się głośno nie rozpłakała, ale siłą woli zapanowała nad sobą. Wyciągnąwszy rękę, mocno uścisnęła spracowaną prawicę koniuszego. Przez całą drogę do garnizonu powtarzała w myślach słowa, które zamierzała wypowiedzieć do generała. Uznała, że podstawową zasadą, którą się musi kierować, jest ściśle trzymanie się faktów i zmienianie jedynie szczegółów będących tajemnicą. Wyglądając przez okno w czasie jazdy, nagle stwierdziła z przerażeniem, że ma w głowie zupełną pustkę, a wszystkie fakty się mieszają, tworząc w jej myślach chaos. Wymyślając sobie od tępych idiotek, zajechała do koszar.

Elegancki adiutant wprowadził ją do dużej sali, pełnej oczekujących na wezwanie oficerów i wyższych urzędników gubernialnych. Naczelnik wojenny w tych okrutnych czasach był panem życia i śmierci. Nic nie mogło się wydarzyć w mieście i w guberni bez jego wiedzy i woli. Toteż wejście do sali wytwornej młodej damy wzbudziło zrozumiałą sensację. Nina przezornie opuściła na twarz gęstą woalkę, lecz mężczyźni domyślali się, że skrywa pod nią piękną buzię. Zastanawiali się, kim jest ta nieznana nikomu kobieta w kosztownej paryskiej toalecie. Ciekawe spojrzenia odprowadziły ją aż do drzwi gabinetu.

Podążając za prawiącym jej komplementy adiutantem, Nina czuła dalej kompletną drętwotę mózgu. Ułożone z takim trudem argumenty naraz uleciały jej z pamięci. Zwyczajnie bała się tego człowieka, od którego decyzji zależały losy Emilki i Jasia. Zuchwałe spojrzenia oficerów i ich domyślne uśmiechy onieśmiały ją i raniły jej dumę.

– *Madame la comtesse* Nina Klonowiecka! – zaanonsował adiutant i przepuściwszy ją przodem, starannie zamknął drzwi gabinetu.

Uszakow siedział na końcu dużej sali, urządzonej ze wschodnim przepychem, za ogromnym biurkiem zawalonym dokumentami. Podwładny lub interesant musiał przededefilować przez całą długość pokoju, prowadzony bacznym wzrokiem dostojnika. Podchodząc do biurka, był już odpowiednio „zmiękczony”. Nina zatrzymała się przy drzwiach i dopiero kiedy Uszakow podniósł się z fotela, odrzuciła z twarzy woalkę i podeszła bliżej. Uszakow uprzejmie wskazał jej wyściełane barwną skórą krzesło, a gdy usiadła, zmierzył okiem konesera jej smukłą figurę i prześliczną, choć pobladłą z wrażenia twarz. Uśmiechnął się lekko, zauważywszy, że pod wpływem jego spojrzenia zarumieniała się. Generał miał sześćdziesiąt lat i jej zawstydzenie pochlebilo jego męskiej próżności.

– Z przyjemnością stwierdzam, że rozkoszny pączek rozwinął się w przepiękną różę – odezwał się po francusku, skłaniając ku niej głowę. Owionął ją zapach brylantyny i dobrej wody kolońskiej. – Miło mi panią powitać, choć spotykamy się w smutnych czasach. Ale kto mógł przypuścić, że niespodziewanie wydarzy się tak wiele dramatycznych sytuacji? Przybyła pani do Radomia z małżonkiem, hrabią Aleksandrem Iwanowiczem?

Przełknęła ślinę, obawiając się, aby nie dostać ze strachu czkawki, i próbowała zebrać się na odwagę.

– Mąż przebywa za granicą na kuracji zdrowotnej – powiedziała cicho. – Choruje na płuca.

– Uhm... – Generał poniósł lewą brew i posłał jej nieodgadnione spojrzenie. – Kiedyś cenilem męża pani. Był znakomitym oficerem i miał otwartą drogę do świetnej kariery wojskowej. – Uszakow nie spuszczał z niej wzroku, dostrzegając paryski szyk toalety i kosztowne drobiazgi osobiste. – Zapamiętałem panią z dnia wyścigów konnych. Była pani taka młodziutka i wiośniana, siedząc obok hrabiny Pauli.

Nina momentalnie odgadła, że Uszakow od początku zmierzał do nawiązania rozmowy o tej złowrogiej kobiecie.

– Jakoś dziwnie prędko opuściła ten świat, prawda? A tak na marginesie, co jej się przydarzyło? – zapytał wprost, mrużąc oczy w dwie wąskie szparki.

Ogarnął ją nagły chłód, zadrżała i zbladła. Boże Świąty, za nic nie chciała rozmawiać teraz o Pauli i jej tajemniczej śmierci. Instynkt ostrzegał ją, że to bardzo zły omen, ponieważ sny i wspomnienie o hrabinie zawsze przynosiły jej pecha. Jednakże musiała odpowiedzieć na pytanie generała.

– Nawiązała romans z młodym księdzem i została przez niego zastrzelona – oświadczyła, powracając pamięcią do upiornych chwil przeżytych w różanej altanie.

– Co za nieszczęście – cicho mruknął generał. – To była najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Sam płomień! Szatan w ciele anioła... A co za temperament! I zginęła tak marnie, z ręki durnego klechy? Ech, Aleksander Iwanowicz nie zasługiwał na taką żonę i zmarnował ją. Gołąbka widocznie nudziła się przy tym zimnym polskim arystokracie. Po Petersburgu i Paryżu nędzna wiocha! Próbowwała, biedaczka, się zabawić, z fatalnym skutkiem. Ale, jak widzę, mąż prędko się pocieszył – stwierdził złośliwie. – Szczęśliwy człowiek, bo nie wiadomo, która z was piękniejsza. Ogień i kwiat. Szkoda Pauli Nikołajewny – westchnął i opuścił głowę. – *Tout est fini*²⁴.

Jakiś czas siedział w milczeniu, odruchowo bawiąc się bibularzem. Jego twarz przybrała ponury wyraz. Wysunął dolną wargę, przygarbił się i jakby nagle postarzał. Nina domyśliła się, że zapewne łączyła go z Paulą bardzo intymna znajomość. Jego uszczypliwe uwagi o Aleksie puściła mimo uszu. Lękała się, żeby jakimś nieostrożnym słowem nie urazić generała. Jeśli poczuje się dotknięty, bramy więzienia nigdy nie otworzą się przed Emilką.

Siedziała jak na szpilkach, pragnąc jak najszybciej znaleźć się daleko od tego miejsca. Stojący w kącie sali piękny zegar wolno wybił w pół do dwunastej. Wiedziała, że koniecznie powinna się odezwać, nawiązać rozmowę i przedstawić sprawę Emilki, ale nie potrafiła wydobyć głosu, przeklinając swą nieśmiałość. Niegdyś umiała się elegancko zachować w salonach warszawskiej arystokracji, ale teraz paraliżował ją strach. Obawa, że nie podoła zadaniu, którego się podjęła, i zawiedzie nadzieje pani Salomei, a może i Emilki. Pomyślała z gniewem, że Paula na jej miejscu umiałaby uzyskać u Uszakowa, co tylko by chciała.

Obudzony z zamyślenia generał uniósł głowę i spojrzał na Ninę z oficjalną, urzędową miną.

– Czym mogę pani służyć? – odezwał się oschłym, służbowym tonem. – Mój czas jest ograniczony licznymi obowiązkami.

Wyłamując sobie palce, przywołała się do porządku i wyjaśniła mu, z czym przyszła. Starła się z całą mocą podkreślić, że młoda pani Borutyńska padła ofiarą prowokacji lub nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Uszakov wysłuchał jej cierpliwie, z dziwnym wyrazem twarzy, nie przerywając ani słowem. Kiedy skończyła, poczerwieniał nagle z gniewu i z pasją uderzył pięścią w biurko, aż Nina nerwowo podskoczyła na krześle.

– *Tout est une blague!*²⁵ – wybuchnął z taką wściekłością, że struchlała. – Niech pani nie próbuje mi wmawiać, że aresztowana kobieta jest niewinna! Wszystkie, bez wyjątku, jesteście buntowniczkami. To wy podjudzacie waszych mężczyzn, zachęcając ich do buntu i przedłużając zamęt. To przez was leje się krew! Polskie dzieci z mlekiem matek karmią się nienawiścią do nas. Nie potraficie docenić dobrodziejstw, które pod panowaniem Romanowów spłynęły na ten nędzny kraik. Niech pani przestanie mnie okłamywać! Pani nie prosi mnie o łaskę, tylko próbuje podstępnie wprowadzić mnie w błąd. Ale to się pani nie udało!

Ninie krew uderzyła do głowy. Urażona do żywego w swojej dumie narodowej, upokorzona, gryzła wargi do krwi, całym wysiłkiem woli próbując zachować spokój. Była świadoma, że w tym momencie ważą się losy Emilki.

– Pan generał ocenił mnie niesprawiedliwie – powiedziała pokornie. – Jestem młoda i niedoświadczona. Nie znam się na polityce i nie zamierzam kwestionować opinii pana generała o moich rodaczkach. Rozumiem, że te

słowa podyktowało panu generałowi rozgoryczenie. Ja świadomie nigdy nie osmieliłabym się okłamywać pana generała. Co najwyżej mogę być w tej sprawie nieorientowana. Twierdzą jednak stanowczo, że pani Borutyńska niesłusznie została aresztowana. Niedawno wyszła za mąż i jest przy nadziei. Przecież żadna kobieta nie zaryzykuje życia swego nienarodzonego dziecka, wdając się w jakieś polityczne awantury. Moje słowa może potwierdzić nawet lekarz wojskowy. Wraciała z Warszawy od rodziny, a gdy spożywała obiad, ktoś musiał podrzucić jej na bryczkę kompromitujące materiały.

Próbowała z całą zarliwością przekonać go o niewinności Emilki, lecz instynktownie czuła, że sprawa przybrała niekorzystny dla niej obrót. Przekłęte wspomnienie o Pauli rozdrażniło generała. Poczowała skurcz żołądka i dreszcz trwogi. Zrozpaczona i świadoma, że znalazła się w ślepym zaułku, postanowiła zagrać *va banque*, stawiając wszystko na jedną kartę. Nieznacznie nakreśliła krzyż na piersi, jak człowiek skaczący w przepaść.

– Słyszałam, że córka pana generała ma wkrótce stanąć przed ołtarzem. – Wyjęła z torebki etui, otworzyła je i położyła na biurku. Ogromne brylanty załśniły tęczą barw. – Te klejnoty są naszą biżuterią rodową, a pochodzą z cesarskiego skarbcza Habsburgów. Byłyby cudownym prezentem ślubnym dla panny młodej. Proszę, niech pan generał raczy je ode mnie przyjąć w podarunku, wraz z życzeniami dla córki. Błagam, proszę mnie źle nie zrozumieć! To jest dar z najszczerzego serca dla rodziny pana generała.

Uszakow wysłuchał jej spokojnie, lecz na policzki wystąpiły mu czerwone plamy. Przeszył ją srogim wzrokiem.

– Pani próbuje mnie przekupić! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Czy zdaje sobie pani sprawę, że wystarczy mi skinąć, a znajdzie się pani tam, gdzie przebywa pani krewna?

Pobladła, lecz nie spuściła głowy, wpatrując się wprost w jego oczy.

– Pan generał może mnie nawet kazać powiesić, ale tu nie może być mowy o przekupstwie. Nie osmieliłabym się na tak ryzykowny uczynek. Panie generale, w hotelu czeka na mnie jak na zbawienie teściowa tej nieszczęśliwej kobiety. Miała nadzieję wkrótce zostać babcią, a teraz... Ja się boję wrócić do hotelu i spojrzeć jej w oczy. Błagam pana o łaskę dla przyszłej matki! Boże miłosierny, przecież więzienie może zabić tę delikatną kobietę w jej stanie! – zawołała z rozpaczą.

– Dlaczego to pani przyszła do mnie, a nie mąż aresztowanej? – zagadnął Uszakow zimno, bynajmniej nie rozczulony jej prośbami.

– Ponieważ ja miałam zaszczyt poznać pana generała osobiście. Mąż mojej krewnej nic jeszcze nie wie o jej uwięzieniu. Jest lekarzem i przebywa gdzieś w terenie, lecząc chłopów chorych na czerwonkę. To groźna epidemia.

Lękała się, że kiedy Uszakow zacznie wypytywać o Jasia, to zaręczenia o niewinności Emilki zabrzmiały jak bajka i budowana z trudem jej obrona rozsypie się jak domek z kart.

– Tak pani mówi? – Sięgnął po teczkę z korespondencją i wyjął z niej gęsto zapisaną kartkę. – No cóż, przekonamy się, co policja ma na ten temat do powiedzenia. – Przebiegł pismo wzrokiem i uśmiechnął się drwiąco. – Oto dokładne *dossier* pani rodziny! – Uderzył lekko palcem w kartkę. – Na szczęście zapoznałem się z tym pismem przed przyjęciem pani, bo przewidywałem, że zechce mnie pani okłamać. Ta rzekomo niewinna kobieta od dawna była pod obserwacją policji. Nie ulega wątpliwości, że pełni obowiązki kuriera. Jej mąż, Jan Borutyński, zniknął z Warszawy w styczniu i zapewne siedzi w lesie, lecząc rannych buntowników. Pan hrabia Aleksander Iwanowicz także nie przebywa za granicą, ponieważ żadna z naszych placówek dyplomatycznych nie potwierdziła jego wizy i nie przedłużyła paszportu. Ten dokument dawno stracił ważność. Pani, oczywiście, doskonale wie, gdzie znajduje się pani mąż! Nieładnie to wszystko wygląda i dziwię się, że ośmieliła się pani przyjść do mnie z zamiarem przekupienia mnie. Podziwiam pani tupet, a raczej bezczelność! Ale to koniec. Zabraniam pani prosić o łaskę dla tej kobiety! Proszę nie liczyć, że okażę litość dla wrogów mego władcy i mej ojczyzny. To przestępstwo, za które powinienem panią surowo ukarać! – Z rozmachem rzucił na biurko teczkę. – Przyjąłem panią tylko dlatego, że osoba pani kojarzy mi się z miłym wspomnieniem Pauli Nikołajewny. Gdyby nie ona, kazałbym panią natychmiast aresztować.

Nina patrzyła na niego, niezdolna wykonać ruchu. Pociemniało jej w oczach, więc mocniej wsparła się plecami o krzesło. „Muszę wstać i wyjść stąd – pomyślała. – Jezu, spraw, żebym tutaj nie zemdląca. Mogę zasłabnąć w każdym innym miejscu, nawet upaść do rynsztoka, ale nie tutaj” – modliła się resztką przytomności.

Nadzieje na uwolnienie Emilki się rozwiały. Nie potrafiła w sposób dyplomatyczny rozegrać tej partii, przypominającej grę w szachy. Bezlitośnie się obwiniła, mając zresztą pewność, że Uszakow wybuchnął gniewem wcale nie z pobudek patriotycznych, a dlatego, żeby wyrównać rachunki za Paulę. Ta okropna kobieta stała się zmorą jej życia i tryumfowała nawet po śmierci. Nina oblizwała suche wargi i wbiła paznokcie w ciało, starając się opanować ogarniającą ją słabość. Przegrała i choćby padła na kolana i całowała generałowi buty, to Emilki już nie uratuje. Próbowwała wstać, lecz bezsilnie opadła na krzesło. „Jezu, co ja powiem Jasiowi?” – przemknęło jej przez myśl.

Uszakow raz i drugi posłał jej gniewne spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Widok jej twarzy o barwie popiołu, wykrzywionej spazmem rozpaczki, złagodził nieco jego oburzenie.

– No cóż, jest pani jeszcze bardzo młoda i nie umie pani kłamać – powiedział normalnym głosem. – Jako żołnierz doceniam pani odwagę, choć nie pochwalam zachowania. Niestety, pani poświęcenie było daremne, bo więźniarka została wczoraj przewieziona do Warszawy i zostanie osadzona w Cytadeli. Tam moja władza już nie sięga. *Je suis vraiment désolée*²⁶.

Nina poczuła na piersiach wielki ciężar, nie mogła złapać oddechu ani przełykać. Twarz Uszakowa raptownie się oddaliła, zmaląła, jakby patrzyła na niego przez odwróconą lornetkę. Jego głos dochodził do niej, dudniąc jak w beczce, a szum rozmazywał poszczególne słowa. „Cytadela, cytadela!” – coś w niej pękło, jakiś obcy głos powtarzał uporczywie tę nazwę jak zepsuta pozytywka, kiedy pogrążała się w ciemność.

– Każę wezwać lekarza. – Usłyszała czyjś zatroskany głos.

Rozległ się brzęk szkła i do jej wyschniętych ust ktoś przyłożył szklanekę z wodą. Poczowała na języku wilgoć i chciwie ją przełknęła.

– Pani zasłabła, wezwę lekarza i każę odnieść panią do karety – powiedział Uszakow.

Pochylony nad nią, podawał jej wodę.

Uświadomiwszy sobie, że zemdląca i zrobiła z siebie widowisko, momentalnie wróciła do przytomności. Była na siebie taka wściekła, że najchętniej by się spoliczkowała. Znienawidziła się za tę chwilę słabości. Strach gdzieś odleciał, pozostała tylko świadomość klęski. Szorstko odsunęła rękę generała i wstała z krzesła.

– Dziękuję, że pan generał raczył poświęcić mi swój cenny czas, i bardzo przepraszam za sprawiony kłopot – odezwała się mocnym, dźwięcznym głosem, bez śladu słabości.

Uszakow spojrział na nią z mimowolnym podziwem. Od lat przebywał w tym kraju, lecz polskie kobiety nadal stanowiły dla niego niezbadaną zagadkę. Nie rozumiał ich zachowania, nie akceptował go, ale musiał przyznać, że zasługiwały na szacunek.

– Niech pani jeszcze na moment spocznie. – Sam podsunął jej krzesło i pomógł usiąść. – Zapewne przypomina pani sobie pana majora Wielenina? – spytał, udając, że nie zauważył jej szeroko otwartych oczu i mocnych rumieńców, które wypłynęły na jej policzki. – Wiem, że był pani bardzo życzliwy. Obecnie przebywa w Warszawie, awansował i jest dobrze widziany na dworze cesarskim. – Uszakow umilkł i posłał jej wymowne spojrzenie. – Proszę o tym pamiętać, jakby wybierała się pani przypadkiem do Warszawy. Radziłbym udać się tam do pana generała Korfa. To bardzo porządny człowiek. Na wszelki wypadek mój adiutant dostarczy pani dwie przepustki na drogę. Żegnam panią.

Zadzwoił i polecił adiutantowi wypisać dokumenty podróżne, a potem odprowadzić hrabinę do karety. Podniósł się z fotela i złożył jej ukłon. Bez słowa opuściła na twarz woalkę i wyszła. Adiutant zanotował nazwiska obu dam i oświadczył, że dostarczy dokumenty do hotelu, razem z podorożną, zezwalającą na zmianę koni pocztowych. Sprowadzona do powozu, szła sztywna jak manekin, wpatrując się przed siebie osłupiałym wzrokiem. Stach, czekający na nią z niecierpliwością, posłał jej pytające spojrzenie. Kiedy oficer pomógł jej wsiąść do powozu, upadła na poduszki, nic nie widząc i nie słysząc. Nic do niej nie docierało. Stach, zauważywszy, że pani się nie odzywa i sprawia wrażenie wpeł zemdłonej, domyślił się, że wizyta u generała zakończyła się niepowodzeniem.

– Psie syny! – Zgrzytnął zębami i wyładował przepełniającą go wściekłość, trzaskając batem nad grzbietami koni. Pomknęły galopem, błyskawicznie mijając bramę koszar.

Nina siedziała otępiąła, życząc sobie, żeby ta droga do hotelu trwała wiecznie. Nie mogła się zdobyć nawet na jedną łzę. Nie miała odwagi spojrzeć w twarz cioci Salomei i w jej oczy pełne nadziei i oczekiwania na dobrą nowinę. Drżała na samą myśl o Jasiu. Ale w głębi duszy nie miała już do Uszakowa pretensji. Owszem, nakrzyczał na nią, bo tak wypadało

carskiemu dostojnikowi, ale nie był złym człowiekiem. W zawołowanej formie poradził jej, by zwróciła się do Wielenina, i polecił jej generała barona Korfa, naczelnika wojennego Warszawy. Nic więcej nie mógł dla niej zrobić.

Wysiadła z karety z takim trudem, jakby miała dziewięćdziesiąt lat i młyńskie koło przywiązane do nóg. Stach pospiesznie zeskoczył z kozła i podtrzymał ją, bo się zachwiała.

– Nie wypuszczą młodej pani? – spytał szeptem.

– Już ją wywieźli do Cytadeli.

– Jezu Chryste, cholery nie ma na tych zbójów!

Nina wolno, krok za krokiem, weszła po schodach na piętro i przystanąła przed drzwiami pokoju, ofiarując biednej kobiecie jeszcze kilka bezcennych minut nadziei. Nie wiedziała, jak ma jej oznajmić straszną wiadomość. Ale gdy tylko weszła, starsza pani spojrzała na nią i bezwiednym ruchem uniosła dłoń, zakrywając nią usta. Nina bez słowa przeszła koło pani Borutyńskiej i położyła się na łóżku, obawiając się, że gdy tylko otworzy usta, natychmiast zwymiotuje. Starsza pani usiadła na krześle i bezmyślnym wzrokiem wpatrywała się w okno, skubiąc frędzle okrywającego ją szala. Nie odzywały się do siebie tak długo, aż to milczenie zaczęło Ninie ciążyć. Wstała i przyklękła u kolan pani Salomei.

– Cioteczko, oni wiedzą o nas wszystko. Emilka od dawna była śledzona. Nie ma jej w Radomiu, bo wczoraj wywieźli ją do Warszawy. Zostanie osadzona w Cytadeli.

Pani Salomea skinęła głową i dalej wpatrywała się przed siebie błędnym wzrokiem. Tylko jej ręce zaczęły febrycznie drżeć. Nina pochwyciła je i przytuliła do piersi, okrywając pocałunkami i łzami.

Jeszcze tego samego dnia wyjechały do Warszawy karetką pocztową, odsyłając Stacha do Makowa. Nina napisała do Miry krótki list, informując ją, że młoda pani Borutyńska znajduje się w Cytadeli, i zabroniła Jasiowi jechać za nimi, ponieważ dom państwa Maciejewskich mógł być obserwowany. W tej sytuacji naraziłby rodziców żony na aresztowanie i sam wpadłby w łapy policji.

Pan Maciejewski poruszył niebo i ziemię, żeby tylko ulżyć doli córki. Przez tajne kontakty uzyskał dla niej lepsze warunki i przeniesienie z

ogólnej celi do więziennego szpitala, bowiem po jednym z przesłuchań Emilka zasłała. Stosując się do rady Uszakowa, Nina wraz z panią Wandą z Wolskich Umińską udały się do generała barona Korfa. Po długich targach naczelnik wojenny stolicy, urzeczony urodą obu dam, wyraził zgodę na widzenie się z aresztantką, ale postawił warunek, że do Cytadeli pójdzie tylko Nina i w drodze wyjątku pani Salomea.

Był upalny sierpniowy dzień, gdy obie wybrały się do Cytadeli. Twierdza Aleksandrowska była niezdobytą fortecą, prawdziwym miastem, liczącym kilka tysięcy załogi, rzemieślników i pracowników cywilnych. Ten straszliwy twór w samym sercu Warszawy rządził się własnymi prawami. Posiadał ogromne magazyny, sklepy, piekarnie oraz szpital. Pracowano bez przerwy nad umocnieniem murów i powiększeniem Cytadeli, budując nowe forty, bramy i koszary. Twierdza posiadała istny labirynt bunkrów, bastionów i korytarzy, połączonych wysokimi murami, bronionymi przez baterie nowoczesnych armat, skierowanych lufami w samo centrum stolicy Polski. Na stokach wznosiły się słupy szubienic i tam odbywały się egzekucje więźniów.

Obie kobiety w całkowitym milczeniu przeszły głęboką fosę i przez most dotarły do bramy, okazując wartownikowi przepustkę. Ten wezwał żołnierza, który stał się ich przewodnikiem. W dyżurce zrewidowano je, sprawdzając przyniesione paczki. Potem poszły przez obszerne dziedzińce zamknięte czerwonymi murami, mijając długie piętrowe pawilony koszar i magazynów. Wszędzie stały warty, przechodzili żołnierze i oficerowie, śpiesząc do swoich zajęć. Kilka razy zostały ponownie wylegitymowane. Z więziennych budynków z najgorszej sławy sływał Pawilon X. Tam przebywali szczególnie niebezpieczni przestępcy polityczni. W komisjach śledczych przydawali wówczas: zruszczony Litwin Tuchołka i Polak – pułkownik Rozwadowski. Wymuszaniem zeznań zajmował się również Polak – pułkownik Zdanowski.

W przeznaczony do tego celu izbie stał drewniany kozioł. Na nim rozciągano więźnia, przywiązywano go sznurami i bito. Osobna izba służyła do przesłuchiwania kobiet. Przy śledztwie często uczestniczył sam Tuchołka, osobiście katując aresztantów. Po takich przesłuchaniach służba więzienna zmywała ze ścian i podłóg krew, wybite zęby i kał. Komisje śledcze pracowały bardzo energicznie i niemal codziennie ponury warkot werbli oznajmiał, że prowadzą skazańca na stracenie.

Emilka również trafiła najpierw do Pawilonu X, lecz gdy zachorowała, przeniesiono ją do więziennego szpitala. Był to budynek równie pęsnny, jak i cała reszta budzącej grozę twierdzy. Pod zakratowanymi oknami rosło kilka anemicznych drzew. Wpatrując się w okna cel, Nina pomyślała, że w takim miejscu dostałaby obłądu. Dla uwięzionych twierdza Aleksandrowska była piekłem. Nad jej bramami powinien wisieć napis: *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*²⁷.

Pani Salomea szła jak w transie, potykając się i chwiejąc. Nina ją podtrzymywała, sama ledwie trzymając się na nogach. Przytulone do siebie, podążały za przewodnikiem długimi korytarzami. W ścianach znajdowały się żelazne drzwi szpitalnych cel. Z obrzydzeniem oddychały ciężkim, smrodliwym powietrzem, przesyconym wonią moczu, siarki i karbolu. W pokoju służbowym raz jeszcze musiały okazać przepustki. Niemłody mężczyzna, obejrzawszy uważnie zezwolenie na widzenie się z więźniarką, ponownie zrewidował przyniesione paczki. Był znudzony, ziewał, a spod przybrudzonego, niegdyś białego fartucha wystawały mu ciężkie wojskowe buty. Eskortujący żołnierz oddalił się, a dozorca szpitalny powiódł je przez mroczny korytarz. Pani Borutyńska co jakiś czas przystawała, ocierając chusteczką siną, zroszoną zimnym potem twarz. Dysząc ciężko, szła naprzód, zacisnąwszy mocno zęby.

Emilka leżała sama w maleńkiej celi z wąskim zakratowanym okienkiem. Początkowo wcale jej nie poznały, bo przepyszne blond włosy miała krótko ścięte, a jej wychudła figura przypominała raczej młodego chłopca. Leżąc na wąskim, twardym łóżku więziennym, apatycznie wpatrywała się w sufit. Na odgłos klucza obracającego się w zamku uniosła się na łokciu, wpatrując się we wchodzące panie jak w zjawy z innego świata.

Pani Salomea upadła przy łóżku na kolana, z łkaniem pokrywając pocałunkami twarz i ręce synowej. Z jej ramion Emilka przeszła w objęcia Niny. Tuliły się do siebie, nie mogąc wykrztusić słowa z gardła ściśniętego płaczem. Uściskiem i spojrzeniem dodawały sobie odwagi. Emilka wyraźnie obawiała się podsłuchu, bo niespokojnie zerkała na wizjer umieszczony w drzwiach i przykładała palec do ust. Młoda kobieta patrzyła na obie damy z niedowierzaniem, dotykając końcami palców czystej bielizny, słodczy, owoców i domowych przysmaków, a nawet książek, które łaskawie zezwolono jej dostarczyć.

– Jakim cudem dostałyście się tutaj? – spytała samym ruchem warg.

– Dobre wróżki pomogły – również szeptem odpowiedziała Nina, dając jej do zrozumienia, że dopomogły panie z Towarzystwa Opieki nad Więźniami Politycznymi. To one uprosiły dowódcę twierdzy o pozwolenie na paczki i obiecały dalszą pomoc. Całując Emilkę, Nina przycisnęła usta do jej ucha.

– Odwagi, najdroższa. Robimy wszystko, żeby cię uwolnić.

Emilka mrugnęła na znak, że rozumie i dziękuje.

– Janusz wie? – spytała szeptem.

– Pewnie Mira powiedziała mu już o twoim nieszczęściu, moje ukochane dziecko – rzekła pani Salomea, ściskając jej ręce i patrząc na nią z matczyną miłością. – Gdy wyjeżdżałyśmy z Makowa, nie było go w domu i nic nie wiedział.

Emilka objęła obie panie ramionami i przycisnęła je do siebie.

– Cokolwiek się stanie, niech Janusz przyjmie to ze spokojem. Proszę, zabrońcie mu narażać się dla mnie. Powiedzcie, że go kocham i byłam z nim najszczęśliwszą kobietą. Ucałujcie ode mnie wszystkich domowników w Makowie. Boże, ja tak strasznie za wami tęsknię... – Zamilkła i zagryzła usta. – Wiem, że tatuś się postarał, aby przeniesiono mnie z ogólnej celi. Podziękujcie mu za to, a mamusię i siostry ucałujcie. Nino, czas spędzony w twoim domu był najradośniejszym okresem w moim życiu. Nigdy nie zapomnę twojej dobroci, bo jesteś dla mnie siostrą. Kocham was wszystkich.

Odwiedziny były krótkie. W drzwiach stanął dozorca i oznajmił, że widzenie skończone. Z głośnym szlochem rzuciły się sobie w objęcia.

– Mój skarbie najdroższy, moja męczennico! – Pani Salomea zanosła się płaczem. – Tylko nie trać nadziei. Ze względu na twój stan władze z pewnością potraktują cię łagodniej.

Emilka posiniała, a jej oczy zdawały się wyskakiwać z orbit, gdy nagłym ruchem usiadła na łóżku i odrzuciła kołdrę. Otworzyła usta i krzyknęła przeraźliwym głosem:

– Nie mam już dziecka! Oni je we mnie zabili! – Wskazała na swój płaski brzuch, a potem runęła na słomianą poduszkę i z głuchym jękiem waliła w nią głową.

Po powrocie z Cytadeli pani Salomea się rozchorowała. Nina była bezradna, nie wiedząc, do kogo powinna się zwrócić i jak ratować Emilkę. Niezawodna pani Wanda Umińska zaaranżowała spotkanie z panną Moniką Dymitriewą, wnuczką emerytowanego rosyjskiego generała i członkinią naczelnej organizacji „piątek”. Nina poprosiła ją o umożliwienie dotarcia do jakiejś ustosunkowanej osobistości, która miałaby wpływ na umorzenie śledztwa ze względu na stan zdrowia więźniarki lub choćby tylko złagodzenie wyroku. Takich osób było w Warszawie wiele, lecz Cytadela rządziła się własnymi prawami i bez wiedzy przewodniczącego komisji śledczej żaden więzień nie mógł opuścić twierdzy. Sędziowie, fanatycznie oddani carowi, byli, niestety, nieprzekupni.

Pewnej nocy Nina się obudziła i długo się przewracała na niewygodnej kanapce, gdzie sypiała. Mieszkanie państwa Maciejewskich było skromne i niewielkie, a ona przyzwyczała się do luksusowych warunków. Gdyby nie fatalny huragan, spałaby teraz w stylowym łóżu, we własnym apartamencie przy Ogrodzie Saskim. Natomiast pani Salomea, przebywając w Makowie, wynajęła swoje mieszkanie przy placu Zamkowym i teraz obie musiały zatrzymać się u rodziców Emilki.

Walcząc z bezsennością, zastanawiała się, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. Miała zamiar napisać do samej carowej, błagając o łaskę dla uwięzionej. Ale carowa była Niemką, a po wybuchu powstania znienawidziła wprost Polaków, okazując to bardzo niedwuznacznie. Nina westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Wtem przyszła jej do głowy pewna myśl i z mocno bijącym sercem aż usiadła na sofce. Nie powinna szukać pomocy u obcych, nieprzychylnych ludzi. To nie miało sensu i kosztowało ją mnóstwo pieniędzy. Natomiast należało jak najprędzej zwrócić się do Wielenina i jego prosić o interwencję na dworze carskim. Młody oficer był tam dobrze widziany i miał wpływowego dziadka, jednego z doradców cara. W beznadziejnej sytuacji, w której Nina się znalazła, pomoc Wielenina mogłaby się okazać bezcenna. Powinna pomyśleć o tym wcześniej, zamiast szukać pomocy tam, gdzie nikt nie chciał lub nie mógł jej udzielić. Przecież Uszakow wyraźnie jej to podpowiedział.

Miała nadzieję, że Wielenin nie odmówi jej wsparcia, i postanowiła zobaczyć się z nim jak najprędzej. Zaledwie doczekawszy rana, ubrała się i poszła do panny Dymitriewy, prosząc ją, żeby jej dziadek – generał

Biernacki – zechciał się dowiedzieć, gdzie obecnie służy pan podpułkownik Sergiusz Fiodorowicz Wielenin.

Odpowiedź od generała nadeszła już nazajutrz. Okazało się, że Wielenin mieszka przy Belwederze, należąc do osobistej gwardii namiestnika. Nina postanowiła jeszcze tego samego dnia udać się sama do Belwederu, bo nie życzyła sobie świadków przy rozmowie z młodym oficerem. Zdecydowała nikomu nic o tym nie mówić, żeby w razie niepowodzenia zaoszczędzić nieszczęśliwej pani Salomei nowego zawodu.

Z zaciętym wyrazem stanęła przed lustrem, starannie układając włosy i wkładając strojną letnią toaletę. Dzień był słoneczny i upalny, więc odpowiednia była suknia z cieniutkiego brzoskwiniowego batystu, haftowana w kwiaty forsycji. Szeroki kapelusz z białej koronki przybrany był obłokiem śnieżnej gazy i bukietem tych samych kwiatów, które zdobiły suknię. Nina skropiła się perfumami i wciągnęła na ręce długie białe rękawiczki. Pani Salomea z panią Maciejewską przypatrywały się jej z wielkim zainteresowaniem, o nic jednak nie pytając. Przesłała im pocałunek dłonią i pośpiesznie wyszła. Z pozoru prześliczny beztroski motyl, a tak naprawdę aż ugięła się pod brzemieniem wyrzutów sumienia.

Z ponurą determinacją wsiadła do dorożki i kazała się zawieźć do Belwederu. Udając się na spotkanie z Wieleninem, rzucała wyzwanie losowi. Wiedziała, że mąż nienawidził młodego Rosjanina i był o niego szalenie zazdrosny. Powiedział jej przecież, że jest on jedynym mężczyzną, którego ona mogłaby pokochać równie mocno jak jego. Jeżeli Aleks dowie się kiedykolwiek o tym spotkaniu, to bez względu na to, co skłoniło ją do tego rozpaczliwego kroku, nigdy jej nie wybaczy i ich małżeństwo może się rozpaść. Ale Jaś był jej ukochanym braciszkiem i przyjacielem, a Emilka jego żoną, którą kochała jak siostrę. Nie mogła pozwolić, aby Jaś cierpiał. Emilka musi być wolna, niezależnie od tego, jak wysoką cenę Nina za to zapłaci. Obraz wynędzniałej więźniarki leżącej na szpitalnym barłogu, tak nieludzko skrzywdzonej, prześladowały ją do końca życia.

Jadąc przez miasto odkrytą dorożką, obserwowała mijane ulice. Warszawa wyglądała jak obóz wojskowy. Gdziekolwiek rzuciła okiem, wszędzie dostrzegała mundury. Mimo terroru i ulicznych egzekucji mieszkańcy stolicy zachowali nieugiętą postawę. Na murach kamienic widniały ślady białej farby, którą zamalowywano patriotyczne napisy. Ulicznicy gwizdali przeraźliwie za kozackimi patrolami, płosząc im konie.

Warszawskie służące „przypadkiem” wylewały nocne naczynia na przechodzących pod oknami żandarmów. Na twarzach żołnierzy malował się wyraz niepewności, a tajni agenci oglądali się trwożnie za siebie w obawie, że w każdej chwili może dosięgnąć ich kula lub cios sztyltem od policji narodowej.

Dorożka zatrzymała się w pobliżu złoconej bramy Belwederu, zwieńczonej carskim godłem. Nina poleciła dorożkarzowi, żeby na nią zaczekał, i ociągając się, podeszła do budki wartownika, malowanej w czarno-żółte pasy i z dwugłowym orłem carskim. Głęboko zaczerpnęła powietrza, zbierając się na odwagę.

– Chcę się widzieć z panem podpułkownikiem Sergiuszem Fiodorowiczem Wieleninem – oznajmiła, nie siląc się nawet, by to życzenie wyrazić po rosyjsku.

Żołnierz spojrział na nią podejrzliwie, lecz ujęty urodą oraz wytwornością damy, złagodniał. Nie wyglądała na spiskowca, który może cisnąć niespodziewanie bombę lub w inny sposób zagrozić bezpieczeństwu namiestnika.

– *Ja nie znaju* – odparł uprzejmie. – *Wy, madama, pogadajcie z gospodem oficerem. Ot, tam!* – Wskazał palcem.

Zbliżyła się do dyżurki i podała swój bilet młodemu wystrojonemu lejtnantowi, prosząc, żeby zechciał go doręczyć panu Wieleninowi.

– Natychmiast każe sprawdzić, czy pan podpułkownik znajduje się u siebie – obiecał, olśniony jej pięknnością i śliczną toaletą.

Wezwał korneta i wręczywszy mu bilet, rozkazał poszukać Wielenina. Dokonawszy tego, próbował zabawiać Ninę salonową rozmową, proponując jej, by weszła do dyżurki i raczyła odpocząć. Ale ona nie zechciała, więc sam wyniósł jej krzesło i ustawił je w cieniu, potem przyniósł na tacy szklankę wody sodowej, zauważywszy, jak bardzo jest blada i spięta.

Siedziała zatem przed bramą Belwederu, trzęsąc się ze zdenerwowania, i modliła się, żeby kornet zastał Wielenina. Chciała tę trudną rozmowę mieć już za sobą. Postanowiła pomówić z nim zupełnie szczerze i otwarcie przyznać, że Emilka działała w konspiracji. Rosjanin był człowiekiem honoru i z pewnością nie zawiedzie jej zaufania. W głębi serca lękała się tego spotkania i krępowała się zaciągnąć u niego nowy dług wdzięczności bez możliwości rewanzu. Gdyby nawet nie wspomniał o swoich uczuciach,

to jego szafirowe oczy powiedziałyby jej o tym wymowniej niż najżarliwsze wyznania miłosne. Wielenin był jej największą nadzieją i ufała, że uczyni wszystko, żeby Emilkę uwolnić.

Jej cierpliwość wystawiona była na ciężką próbę, bo kornet długo nie wracał. Dopiero po półgodzinie przyszedł i zameldował lejtnantowi, że pan podpułkownik tydzień temu został wezwany do Rosji i prawdopodobnie już do Warszawy nie powróci. Straszny niespodziewany zawód... Nina poczuła się jak człowiek, któremu spod nóg usunęła się kładka i już nic nie dzieli go od przepaści. Doszła do kresu nadziei. Oto postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała ostatnią szansę. Odeszła sprzed Belwederu zdruzgotana.

Pomimo prażącego upału wstrząsały ją dreszcze, a stopy i dłonie miała zimne jak lód. Tymczasem dokoła niej świat wydawał się taki radosny w promieniach sierpniowego słońca. Weszła do Łazienek i idąc cienistymi alejami, ugięła się pod brzemieniem beznadziejnej rozpacz. Mijający ją spacerowicze rozmawiali i śmiali się beztrąsko, ale ona zdawała się nikogo nie dostrzegać, zatopiona w ponurych myślach. Wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, jak mocno pokochała młodą panią Borutyńską. Spragniona rodzinnego ciepła, przywiązała się do niej w czasie długich i trudnych miesięcy zimowych, jak do rodzonej siostry. Obie były żonami powstańców i razem przeżywały chwile okropnej trwogi o życie ukochanych. Mając czynną i energiczną naturę, Nina nie potrafiła się pogodzić z poniesioną klęską.

Powróciła do domu chora ze zmartwienia i w milczeniu usiadła na sofie, nie odzywając się do nikogo. Pani Salomea i pani Maciejewska wymieniły tylko znaczące spojrzenia i na palcach wyszły z pokoju.

[24](#) fr. to koniec; wszystko skończone

[25](#) fr. To wszystko jakieś żarty!

[26](#) fr. Tak mi przykro.

[27](#) wł. Utraćcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie – napis nad bramą piekielną w *Boskiej komedii* Dantego.

Pomimo doznanych niepowodzeń Nina uparcie nie rezygnowała i już następnego dnia próbowała szukać nowych dróg ratunku dla biednej więźniarki. Wystawała w przedpokojach wyższych oficerów, zbywana często szorstką odmową lub po prostu wypraszana z domu. Przełamując dumę rodową, zniżała się do pokornej żebraniny o łaskę i litość dla Emilii. Po niesłychanych staraniach udało się jej dotrzeć do żony jednego z członków komisji śledczej i w zamian za obietnicę złagodzenia wyroku podarowała Rosjance brylanty wojewodziny. Nic więcej zrobić nie mogła.

W tej sytuacji dalsze przebywanie w Warszawie było bezcelowe. W domu mogła czekać na nią wiadomość od męża. Zbliżała się jesień i należało pomyśleć o zapewnieniu dobrego zaopatrzenia na zimę, nie tylko dla pałacu, ale również i zrujnowanej przez huragan wsi. Zapewniła Emilce opiekę pań z organizacji „piątek”, pozostawiła pani Maciejewskiej znaczną kwotę pieniędzy i zabrawszy, niemal siłą, panią Salomeę, wyjechała z Warszawy. To miasto zbyt wiele jej przypominało. Właśnie minęła pierwsza rocznica jej ślubu z Alekssem i często nawiedzały ją obrazy szczęśliwych dni przeżytych razem w leśniczówce.

Przed wyjazdem udała się do ulubionego kościoła, Świętego Krzyża, pomodliła się przy ukrytym sercu Chopina i zamówiła kilka mszy, prosząc, aby modlono się za szczęśliwe uwolnienie Emilki z Cytadeli. Ksiądz nawet nie zdziwił się jej prośbie, bo z każdym dniem w mieście przybywało aresztowanych.

Nudna i monotonna podróż karetką pocztową zdawała się nie mieć końca. Wciśnięta w kąt powozu, Nina zastanawiała się nad dramatyczną sytuacją rodzinną. Przypomniała sobie słowa generała Uszakowa, będące ostrzeżeniem, iż władze carskie posiadają o nich przerażająco dokładne informacje. Nikt nie wierzył w zagraniczną podróż Aleksa i jego rzekomą chorobę. Po aresztowaniu Emilki Maków prawdopodobnie był pod obserwacją policji. Należało się spodziewać, że wcześniej czy później musiało do tego dojść. Ta świadomość napełniła jej serce lękiem. Nie mogła już się doczekać końca podróży, obiecując sobie uroczyście, że odtąd dom będzie czysty i wolny od kompromitujących materiałów.

Sierpień dobiegał końca i pogoda uczyniła się przyjemna, odpowiednia do podróży. Największe upały nareszcie minęły. Po spłowiałym błękicie nieba płynęły duże białe obłoki, zieleń na drzewach pociemniała. Gdzieś złocił się już zeschnięty liść. Na polach jak okiem sięgnąć ciągnęły się rzyska

po skoszonych zbożach. Chłopi orali ziemię pod jesienne zasiewy. W mijanych wsiach obracały się wiatraki, mieląc ziarno na mąkę. Było sielsko i sennie, aż nie mieściło się w głowie, że po miastach w ohydnych celach więziennych – cuchnących i zapchanych ludźmi – siedzą żołnierze powstania, oczekując na wyrok śmierci lub wieloletnie zesłanie. Nina przypomniała sobie, jak w maju, po sprzedaży warszawskiego mieszkania, wracały z Emilką do Makowa. Emilka udawała przed dragonami ciężko chorą, mając pod krynoliną torbę pełną broni palnej i ulotek. Martwiła się nie o siebie, lecz o to, że nie zdoła dostarczyć rewolwerów do powstańczego oddziału. Była taka dzielna...

Na to wspomnienie łzy napłynęły Ninie do oczu. Nie mogła znieść myśli, że oto wraca do domu, a nieszczęsna Emilka pozostała sama w dusznej, ciasnej celi straszliwej twierdzy, chora i okrutnie pozbawiona nadziei macierzyństwa. Wyobraziwszy sobie, że wkrótce spojrzy Jasiowi w oczy, Nina poczuła, że robi się jej słabo. Będzie musiała mu powiedzieć, że wszystkie starania o uwolnienie jego żony zakończyły się niepowodzeniem. Boże, a jak on pomyśli sobie, że nie zrobiła wszystkiego, co mogła, aby aresztowana wyszła wolna z Cytadeli? Że pożalowała na ten cel pieniędzy?

Niepokoił ją także stan pani Salomei. Starsza dama zachowywała się zupełnie biernie, a chwilami odpowiadała na zadane pytania zupełnie bez sensu, jakby nie rozumiejąc, co się do niej mówi. Nie mogła sypiać, nie odczuwała głodu ani zmęczenia.

– Wiesz – powiedziała raz z dziwnym wyrazem twarzy – mam ochotę rzucić się na ziemię i bić o nią głową... – Zaraz potem opanowała ją apatia i przestała się odzywać.

Dojeżdżając do ukochanego Makowa, Nina odetchnęła głęboko. W mieście czuła się źle i tęskniła do gór i lasów świętokrzyskich. Kiedy powóz mijał bramę wjazdową, swoim zwyczajem podniosła głowę i spojrzała na tarczę herbową. Tym razem lśniąca złota gwiazda na szyi orła wydała się jej przygaszona i matowa. Świtała, otworzywszy oba skrzydła żelaznej bramy, złożył paniom ukłon i wspiąwszy się na palce, zajrzał do powozu. Zobaczywszy, że nie ma w nim trzeciej osoby, westchnął żałośnie:

– O słodki Jezu, królu żydowski! – Widocznie miał nadzieję, że ujrzy w karetce młodą panią Borutyńską.

Na odgłos turkotu kół powozu na ganek wybiegła Mira. Pędziła w domowych laczkach, klapiąc i gubiąc je po drodze. Palce miała umazane

atramentem, bo właśnie przepisywała odezwy Rządu Narodowego. Ujrawszy wychyloną z okna karetki Ninę, zbiegła po schodach, zadzierając nieskromnie szeroką spódnicę.

– Bogu dzięki, że wróciłyście! – wykrzyknęła zadyszana, podbiegając do drzwiczek powozu. – Jaś szaleje, nie mogę dać sobie z nim rady. Uparł się, że jutro pojedzie do Warszawy. Mówcie prędko, co z naszą Emilką. Wyszła na wolność? Jest w Warszawie?

Pomogła wysiąść pani Salomei, troskliwie otaczając ją ramieniem. Posłała Ninie pytające spojrzenie, lecz ona uparcie unikała jej wzroku. W pałacu najwidoczniej oczekiwano przyjazdu pań, bo gdy przed dom zajechał powóz, wszyscy porzucili swoje zajęcia i wybiegli na ganek. Jaga z okrzykiem radości pochwyciła Ninę w ramiona i wprowadziła do sieni. Rozpromieniony Walenty pomógł jej zdjąć podróżną rotundę, odebrał kapelusz i rękawiczki. Paweł pobiegł po sakwojaże z rzeczami obu dam i zapłacił pocztylionowi. Kamerdyner nie śmiał się pierwszy odezwać, lecz z nieśmiałym zapytaniem utkwiał oczy w Ninie. Nie mogła znieść tego ufnego wzroku.

– Dlaczego nic nie mówicie, na Boga?! – zdenerwowała się Mira, zwracając się kolejno do Niny i pani Salomei. – Gdzie Emilka?

– W Cytadeli – odburknęła Nina niegrzecznie. – Proszę cię, zaopiekuj się ciocią, zaprowadź ją do pokoju. Emilka leży w szpitalu więziennym i czeka na wyrok. Kumosiu... – zwróciła się do skamieniałej ze zmartwienia klucznicy – proszę naparzyć mocnym ziół nasennych, bo pani Salomea prawie wcale nie sypia. Ja także muszę się położyć i odpocząć. Nie ma dla mnie żadnych wiadomości? – spytała Jagę.

– Nie, kochanie – wyszeptała niania drżącym głosem.

Po raz pierwszy w życiu Nina poczuła się tak bardzo zraniona, że pozwoliła sobie na głośną krytykę męża.

– Nie pisze! – krzyknęła z wściekłością, mając ochotę coś rozbić lub połamać. – Do diabła, cóż on sobie wyobraża?! Pojechał do Galicji i jakby się pod ziemię zapadł! Zapomniał nawet o pierwszej rocznicy naszego ślubu. Zapewne jest przekonany, że potrafię sobie poradzić z lawiną nieszczęść, które na mnie spadają. Ale ja nie jestem z żelaza! Przez ten czas mogłam umrzeć na cholera, być aresztowana i zesłana na Sybir. Ale co to mego małżonka obchodzi?!

Z furią kopnęła donicę z kwitnącym różowo oleandrem, syknęła z bólu i skrzywiona pokuśtykała do sypialni, zamykając za sobą drzwi na klucz. W tym momencie nienawidziła wszystkich ludzi i najchętniej rzuciłaby się na kogoś z pięściami. Sama się rozebrała, rozrzucając części garderoby po całym pokoju. Z rozmachem cisnęła pantofelkami o ścianę i dysząc ze złości, wskoczyła do łóżka. Ale gniew i zmartwienia odebrały jej zdolność spokojnego snu. Rozbolała ją głowa, w uszach ciągle miała monotony turkot kół powozu.

Przeleżała tak do obiadu, wpatrując się w różowy jedwab baldachimu. Z wolna powracał jej spokój, gdy uświadomiła sobie, że jest w swojej ślicznej sypialni i leży w miękkim, wygodnym łożu, a nie na twardej sofce obcego mieszkania, w którym do saloniku dolatywały zapachy z kuchni.

„Boże, jak dobrze jest być we własnym domu” – natychmiast przyszło jej też na myśl, że nieszczęsna Emilka uwięziona jest w Cytadeli i prawdopodobnie przez długie lata nie zobaczy męża ani własnego domu. Świadomość tego tak ją rozdrażniła, że mimo zmęczenia nie zmrużyła oka i na obiad przysłała rozczochrana i w fatalnym humorze. Z posępną miną siedziała przy stole, odmrukując tylko na pytania niani. Lecz Jaga nie miała o to do niej pretensji, rozumiejąc, że jej ukochana córka trzyma się tylko resztką zszarpanych nerwów. Mira, niemrawo jedząc zupę, miała oczy czerwone jak królik i żałośnie pociągała nosem. Pewnie już się dowiedziała o losach Emilki od pani Salomei. Kiedy Nina spojrzała na nią, panna Lutówna próbowała się uśmiechnąć, lecz zamiast tego rozplakała się żałośnie, kryjąc twarz w dłoniach. Jej szloch niesłychanie Ninę rozdrażnił. Marzyła, aby choć na jeden dzień odpocząć od zmartwień, zapomnieć o kłopotach, a nade wszystko uniknąć czekającej ją rozmowy z Jasiem, której panicznie się bała.

– Mira, uspokój się, proszę! – powiedziała ostro. – Czy Jaś przyjedzie dziś do Makowa?

– Codziennie ktoś przyjeżdża, aby się dowiedzieć, czy nie było wiadomości. Ale dzisiaj nie było nikogo, więc zapewne on sam wróci do domu. – Mira starannie wysiąkała nos i wytarła oczy. – Nie wyobrażam sobie, jak on przyjmie tę straszną wiadomość o naszej Emilce. Już wygląda jak cień, ale ciągle się jeszcze łudzi, że w drodze wyjątku Emilka wyjdzie

na wolność. Aha, był tu wczoraj pan Borutyński z Sarnik i powiedział, że jakbyś potrzebowała więcej pieniędzy, to oni sprzedadzą folwark!

– Folwark? – Nina skrzywiła się szyderczo, posyłając jej znad talerza ponure spojrzenie. – Chciałam dać Uszakowowi brylanty wojewodziny oraz moją Kaniówkę i o mało nie wylądowałam w kryminale. A tak przy okazji: odbyłam z panem generałem bardzo przykrą, lecz pouczającą rozmowę – sapnęła, czując, że znowu traci opanowanie. – Musimy zaraz pogadać w cztery oczy!

– Uszakow nie przyjął brylantów? – zdziwiła się panna Lutówna.

– Nie wszyscy Rosjanie są przekupni. Ofiarowałam je w końcu pewnej Rosjance, której mąż jest członkiem komisji śledczej. Wzięła je jak z łaski i wcale nie jestem pewna, czy przez to wyrok dla Emilki będzie łagodniejszy.

– Może jednak zachowa się przyzwoicie? – szepnęła Mira z płaczem, ponownie sięgając po chusteczkę.

– Jesteś bardzo naiwna – mruknęła Nina ze złością i dała znak Walentemu, żeby nie nakładał jej na talerz pierożków drożdżowych z nadzieniem z prawdziwków smażonych na maśle, arcydzieła kulinarnego pana Szymona.

Stary kamerdyner przysłuchiwał się uważnie rozmowie dam, reagując mimiką na każde słowo swojej pani. Brak apetytu Niny bardzo go zmartwił.

– Jaśnie pani hrabina nic nie je – szepnął z troską. – Może podam filety z jelenia w sosie śmietanowym? Pyszności! – namawiał gorąco. – Nasze słoneczko, jaśnie paniuleczka wróciła mizerna, więc jeść koniecznie trzeba – ośmielił się zauważyć.

– Słabo się czuję, ale jakoś to zniosę, przy Bożej pomocy – odpowiedziała cierpko, jednak zaraz się opamiętała, uniosła głowę i posłała mu słodki, przepaszający uśmiech. Było jej przykro, że potraktowała staruszka tak opryskliwie. Lecz tego dnia była jak jeź – same kłujące kolce. – Ta podróż i pobyt w Warszawie bardzo mnie zmęczyły, dlatego nie mam apetytu. W domu przyjdę do siebie. Chętnie napiłabym się wina. Ty, Miruniu, zapewne także?

Walenty momentalnie się rozpogodził.

– Sądzę, że najlepszy będzie xeres. Pozostało jeszcze kilka butelek. Zaraz przyniosę.

Ożywiony podreptał do lochów i powrócił zadyszany, niosąc zakurzoną butelkę. Wytarł ją starannie, otworzył i owinąwszy białą serwetą, napełnił dwa

kieliszki ciemnoczerwonym, gęstym ze starości winem. Nina wypła alkohol do dna, czując przyjemny zawrót głowy. Walenty spojrział na nią i bez pytania ponownie napełnił jej kieliszek.

Po obiedzie obie panie przeszły do buduaru. Pokój pełen był słońca i powietrza. Na stoliczkach stały wazon z barwnymi bukietami astrów i wysokich gladioli. Nina usiadła przy sekretarzyku, odruchowo odsuwając stojące na nim cenne figuryнки z saskiej porcelany i górskiego kryształu. Poprawiła skrzywioną świecę w srebrnym kandelabrze i spojrzała przenikliwie na siedzącą w fotelu Mirę. Panna Lutówna patrzyła na nią wyczekująco, złożonywszy dłonie na czarnej krynolinie.

– Miruniu, generał Uszakow dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że nasz dom jest pod obserwacją. Emilka cały czas była śledzona. Policja wie o nas stanowczo za dużo! Nikomu już nie zdołam wmówić, że mój chory mąż przebywa za granicą, a Jaś wyjechał w niewiadomym kierunku. Spodziewam się rewizji, więc musimy zaraz pozbyć się z domu wszystkich kompromitujących materiałów. Nie interesuje mnie, co z nimi zrobisz. Zniszcz je lub ukryj w innym miejscu. Poczta w Borku musi być natychmiast przeniesiona, a ty powiadom pannę Lasewiczównę i swoich przełożonych, że jesteś zmuszona zrezygnować z obowiązków kuriera, ponieważ jesteśmy pod obserwacją policji i obawiamy się rewizji, a nawet aresztowania. Ja nie zostałam uwięziona tylko dlatego, że pan generał Uszakow miał słabość do pierwszej żony mego męża – mówiła to głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie mamy chwili do stracenia!

Nigdy jeszcze w tak apodyktyczny sposób nie zwracała się do przyjaciółki, ale panna Lutówna zrozumiała, że sytuacja naprawdę jest rozpaczliwa, i nie ośmieliła się pisać słówka. Skinęła głową i prędko wyszła z pokoju. Wezwała do siebie Maćka, Pawła, dwóch lokai oraz Walentego i wszyscy zabrali się do roboty. Zaufani stajenni wykopali w najdalszym zakątku parku głęboki dół, do którego zaczęto znosić jakieś paczki, skrzynki i pudła w takiej ilości, że obserwująca ich z okna buduaru Nina pozieleniała ze strachu, wyobraziwszy sobie, co by się działo w razie nagłej rewizji! Ukończywszy pracę, Maciek, spocony, sapiąc ze zmęczenia, zapukał do buduaru.

– Muszę jechać z panną nauczycielką – oznajmił zakłopotany, spuszczać oczy.

– To jedź. – Nina wzruszyła ramionami i odwróciła się do niego plecami.

– A... jaśnie paniulka?

– O mnie się nie troszcz. Przyzwyczaiałam się radzić sobie sama – oświadczyła chłodno.

Maciek zrozumiał, że jego młoda pani ma do niego żal i urazę, więc zaczął się tłumaczyć:

– O Jezuu, przecie ja nie z własnej woli. Panna nauczycielka weźmie jakiegoś gamonia i wpadnie, jak młoda wielmożna pani Borutyńska. Raz-dwa obrócimy w obie strony, a potem się krokiem nie ruszę z Makowa. Aż mi się bebechy przewracają, jak sobie pomyślę, że moja najśliczniejsza paniulka sama poszła między tych drani, a mnie przy tym nie było!

Nina zamierzała okazać mu swoje niezadowolenie, lecz nie umiała złościć się na niego. Uśmiechnęła się krzywo kącikiem warg i powiedziała drwiąco:

– No już dobrze, opiekunie, wynoś się! A masz na drogę pieniądze? Weź to, żebyście w podróży nie głodowali. – Podała mu woreczek pełen srebrnych rubli.

Maciek błysnął zębami w szerokim uśmiechu, przypadł jej do rąk, objął za kolana i wypadł z buduaru, jakby go diabli gonili, nie chcąc wydać się mazgajem. Mira także prędko się pożegnała, wsiadła do bryczki, zapowiadając, że za dwa dni wróci – i pojechali.

Pragnąc czymś innym zająć myśli, Nina poszła do oficyny, żeby porozmawiać z panem Bochniakiem. Ale rządca był zdenerwowany, bo dowiedział się, że w pobliżu Makowa pojawili się kozacy i włócząc po okolicy, kradli, co im wpadło pod rękę. W Lipieńcu porwali maciorę i ograbili gospodarza powracającego z jarmarku. Chłop nie chciał im oddać pieniędzy za sprzedaną krowę, więc kozacy wlepili mu na goły tyłek pięć nahajek na pamiątkę spotkania i pobitego zostawili na drodze.

– Kozacy? – Nina mocno zacisnęła palce, by pan Bochniak nie dostrzegł, jak bardzo drżały jej ręce. – O, mój Boże! W takim razie należy natychmiast zawiadomić leśny obóz.

Pomyślała ze strachem, że Mira i Maciek mogą natknąć się na kozaków, ale miała nadzieję, że sprytny chłopak nie da się zaskoczyć. Teraz była zadowolona, że pojechał z panną Lutówną, mimo iż poprzednio złościła się o to na niego.

– Sądzę, że pan kapitan Soszkiewicz już wie. – Pan Bochniak miał zatroskaną minę i w zamyśleniu pociągnął wąs. – Zresztą z pewnością

będzie tu dziś pan doktor Borutyński i wracając do obozu, może przekazać ostrzeżenie.

– Słusznie. Proszę kogoś posłać na wieś. Należy ostrzec wójta, niech wyśle kobiety do boru – powiedziała Nina i zmartwiona, niespokojna powróciła do domu.

Przebrała się w lżejszą suknię, bo tego dnia znowu było upalnie, i staranniej uczesała włosy. Z książką w ręku udała się na taras i usiadła pod pasiastą markizą. Paweł przyniósł jej kompot ze śliwek, a Grot, stęskniony za nią, położył się przy jej nogach, podnosząc na swą panią oczy pełne psiej miłości. Pogładziła go i wsparłszy głowę o poduszki fotela, wpatrywała się w gęstwinę drzew parkowych w pełnym rozkwicie. W wielkich kamiennych wazach, stojących na balustradzie, kwitły jesienne róże. Krwistoczerwone, białe, herbaciane, prawdziwe okazy piękna. W marmurowych donicach pyszniły się różowe oleandry, szeleściły sztywne liście palm, wyniesionych na słońce z zimowego ogrodu, stwarzając pod pasiastą markizą pozór orientального przepychu. Cały pałac otaczały drzewa z tak królewskim bogactwem barw, zapachów i gatunków, że patrzącej na to Ninie zapierało dech w piersiach.

Na wprost domu szeroka, majestatyczna aleja niknęła w zielonym półmroku ogromnego parku. W pobliżu wznosiły się stuletnie modrzewie i sosny. Spoglądała w zadumie na wiekowe mury dawnego zamku, ze smutnym poczuciem przemijania. Zapewne przed wiekami mieszkający w tym zamku ludzie również przeżywali dramaty i radości. Mieli powody do dumy lub obawiali się wojny czy najazdu wroga. Może przyłożywszy ucho do muru, usłyszałaby jeszcze dawną muzykę, śmiech dzieci czy płacz kobiet, szcęk mieczy, okrzyki rycerzy i wrzawę bitewną? Ale oni pomarli przed wiekami, a ich cierpienia, łyzy i ból odeszły wraz z nimi w niepamięć. Przemineły, nie pozostawiając nawet śladu.

„Jaki piękny jest mój dom i tak mi w nim dobrze” – pomyślała Nina, wzdychając i wznosząc oczy na bezkres błękitnego nieba. W pobliżu tarasu spacerowały młode pawie, rozpościerając swe bajeczne ogony i wydając przeraźliwe okrzyki. Liście pobliskiego kasztanowca zaszeleściły i na balustradę skoczyła ruda wiewiórka, jej ulubienica. Usiadła i przez chwilę obserwowała swoją panią parą błyszczących czarnych oczek. Nina zawołała lokaja i kazała mu przynieść kilka orzechów włoskich. Podała je wiewiórcę, śmiejąc się z jej zabawnych grymasów oraz podziwiając wspaniałą rudą

kitę i pędzelki na uszach. Grot, przyzwyczajony do tych odwiedzin, zerkał tylko sennym okiem na śliczne zwierzątko.

Na końcu alei pojawił się jeździec. Noisette upuściła trzymany orzech i pisnąwszy ze złością, uciekła. Nina porwała się z fotela i podbiegła do schodów, wyciągając obie ręce. Jaś był tak bardzo zmieniony, że prawie go nie poznała. Siedział pochylony na koniu, bez zwykłej gracji, i ciężko zeskoczył z wierzchowca. Skinął jej głową i nie witając się z nią, wszedł na taras i rzucił się na trzcinowy fotel. Z przerażeniem stwierdziła, że nic nie pozostało z radosnego, roześmianego chłopca, zawsze skorego do żartów. Jego błękitne oczy jarzyły się jakimś gorączkowym, niezdrowym płomieniem w poczerniałej od trudu twarzy.

Na tarasie jak spod ziemi wyrósł nagle Walenty, przynosząc jeszcze jedno nakrycie. Srebrną chochlą nalał do szklanki kompotu śliwkowego. Jaś wypił go jednym tchem.

– Proszę mi dać wódki! – rozkazał chrapliwym, zupełnie obcym głosem.

Nina z najwyższym niepokojem spostrzegła, że Jaś był kłębkim rozszalałych nerwów. Coś się w nim załamało, a nieszczęście przywaliło go swoim ciężarem niby pniem złamanego drzewa. Nad jego głową huknęła piorun i ogłuszywszy go, odebrał mu zdolność trzeźwego rozumowania. W tym uśmiechniętym, zawsze serdecznym mężczyźnie widoczna była teraz zapiekła rozpacz, zżerająca go i doprowadzająca niemal do szaleństwa.

– Braciszku... – odezwała się Nina cichutko, biorąc jego rękę w obie dłonie. – Misiu najmilszy!

Zwrócił na nią przekrwione oczy i odezwał się szorstko, bez śladu dawnej czułości:

– Mów wszystko, co wiesz, ale nie waż się zmyślać!

Spuściła głowę i cichym głosem zaczęła opowiadać o staraniach, które wszyscy czynili w celu uwolnienia Emilki. Wspomniała o audiencji u Uszakowa i jego surowych oskarżeniach. Przyznała się do nieudanej wizyty w Belwederze, przerywając co chwilę, by zaczerpnąć powietrza i opanować drżenie głosu, łamiącego się pod wpływem wzruszenia. Całkiem odmówił jej posłuszeństwa, kiedy zaczęła opowiadać o odwiedzinach w Cytadeli. Nie śmiała powiedzieć Jasiowi, w jakim stanie znalazły Emilkę, i o strasznych skutkach nieludzkich metod śledztwa.

– Jak to, nie dało się nic zrobić? – przerwał jej, trąc dłonią czoło. – Przecież mój teść osobiście zna margrabiego Wielopolskiego. Ty również

go znasz. Trzeba go było prosić o wstawiennictwo u księcia namiestnika.

Nina spojrzała na niego zdumiona.

– Przecież margrabiego nie ma już w Warszawie. Popadł w niełaskę, zapomniałeś? Pan Maciejewski robił, co tylko mógł, ale bez powodzenia.

– Wierzę, ale Emilka miała tyle znajomych pań z „piątek”. Mogły się postarać, żeby przeniesiono ją do łżejszego więzienia, skąd można by ją wydostać. Okolicznością łagodzącą jest jej ciąża, to przecież już szósty miesiąc!

Nina przyjmowała jego wymówki z pokorą. Rozumiała, że gniew i rozgoryczenie były spowodowane straszliwym lękiem o ukochaną żonę. Dla ratowania Emilki Jaś gotów byłby poświęcić własne życie. Nie mogła odżałować, że przy ich rozmowie nie uczestniczyła pani Salomea. Może obecność matki wpłynęłaby na niego kojąco. Nie wiedziała, jak ma mu oznajmić okrutną prawdę o Emilce. Cokolwiek powie, będzie to dla niego potwornym ciosem w samo serce. Modliła się, aby Bóg zaoszczędził jej tego doświadczenia.

– Jesteś niesprawiedliwy, Jasiu. Pani Pruszkowa i Wanda Umińska postarały się, żeby Emilkę umieszczono w szpitalu więziennym.

Jaś pobladł śmiertelnie, a w jego oczach pojawił się wyraz obłądnego przerażenia.

– W szpitalu?! – zawołał jakimś dziwnym, piskliwym tonem. – Dlaczego w szpitalu? Czy ona jest chora?

Nie odpowiedziała zaraz, bo okropna prawda nie mogła jej przejść przez usta. Jaś odruchowo przeciągnął dłonią po włosach, oddychając ciężko, jakby był utrudzony ponad siły.

– Mów! – rozkazał.

– Emilka źle się poczuła, więc przeniesiono ją do szpitala w Cytadeli. Teraz czuje się o wiele lepiej. Panie z „piątek” dbają o nią. Ma świeżą bieliznę, dobre jedzenie, nawet książki. – Starła się go pocieszyć, ale nie potrafiła kłamać i Jaś jej nie uwierzył.

– Do diabła, Nino, nie okłamuj mnie! – wybuchnął. Wpił palce w jej ramiona i kilka razy mocno nią potrząsnął. – Muszę znać całą prawdę! Co jej dolegało?

Nina zapłakała, ocierając dłonią mokre policzki.

– Porońska – wyszeptała z bólem.

Jaś się zerwał i zatoczył jak pijany, wydając głuchy jęk. Przez długą jak wieczność chwilę wpatrywał się w nią błędnym wzrokiem, a potem wykrzyknął rozziewającym głosem:

– Coś ty powiedziała?!

– Mówiłam, że Emilka straciła dziecko. – Zatrzęsała się z przerażenia, bo w jego jasnych oczach dostrzegła czający się obłęd. – Misiu, braciszku najmilszy, miej litość nad sobą! – błagała, chwytając go za ręce i całując je.

Odepchnął ją od siebie. Pomyślała z trwogą, że chyba popełniła wielki błąd. Może nie należało mu o tym mówić?

Walenty przyniósł na tacy butelkę wódki i kieliszek. Nie czekając, aż kamerdyner otworzy butelkę, Jaś pochwycił ją i odbiwszy korek na kolanie, przytknął ją do ust i pił długimi łykami. Pustą butelkę cisnął z rozmachem, aż się rozbiła z przeraźliwym brzękiem na kamieniach alei. Stary kamerdyner wymienił z Niną prędkie zatrwożone spojrzenie i bezszelestnie zniknął z tarasu.

Jaś stał bez ruchu, z bezsilnie opuszczonymi ramionami, patrząc przed siebie dziwnym, jakby martwym wzrokiem. Przez jedną krótką, straszną chwilę wydało się Ninie, że widzi przed sobą szaleńca. Nie mogła znieść jego niemego cierpienia. Upadła przed nim na kolana i pochwyciwszy go za obie ręce, wpatrywała się w jego pełne rozpacz i nienawiści oczy.

– Jasiu, miej Boga w sercu! Ulituj się nad sobą! – wołała tak głośno, jakby chciała go obudzić z twardego snu. – Kochany, przecież Emilka żyje, a ty jesteś jej bardzo potrzebny. Prosiła, żebym ci powiedziała, abyś zachował spokój, cokolwiek się stanie. Mówiła, że kocha cię nad życie i była z tobą najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. To są jej własne słowa, przysięgam ci na moje życie. Kochany, wyrok może być złagodzony, bo starałyśmy się o to. Dam ci pieniądze, pojedziesz za nią, przekupisz strażników i uwolnisz ją. Przecież ludzie uciekają nawet z Syberii. Jesteście młodzi i będziecie jeszcze mieli dzieci. Błagam cię, tylko nie wpadaj w rozpacz. O mój ty najdroższy biedaku, przecież nie jesteś sam! Opamiętaj się, bo nie pora teraz na załamanie. Musisz być silny, dla Emilki!

Ale nic z tego, co mówiła, nie trafiało do jego świadomości. Był nieprzytomny z rozpacz. Usiadł w fotelu i odrzuciwszy w tył głowę, wpatrywał się w bezchmurne niebo, całe purpurowozłote od zachodzącego słońca.

– Co ty tam wiesz... – przemówił jakimś nieswoim, zadyszczanym głosem.
– Żyłem nadzieją, że chociaż cały poświęciłem się ojczyźnie i zapewne polegnę w powstaniu, to pozostanie po mnie moje dziecko. Gdyby mnie schwytano i powieszono, nie miałbym o to pretensji, ponieważ sam wybrałem taki los i wiedziałem, jakie mogą być tego konsekwencje. Ale Emilka...? Czy ktokolwiek miał prawo tak okrutnie pozbawić ją macierzyństwa? Co komu zawiniło moje biedne nienarodzone dziecko, że zabito je w łonie matki? Wydarto je przemocą! Jak można pastwić się nad kobietą mającą zostać matką? Moja nieszczęśliwa żona i zabite dziecko, tak bardzo przez nas upragnione! Przysięgałem Emilce przed ołtarzem, że nie opuszczę jej aż do śmierci, a teraz ona leży tam sama, bezbronna, pomiędzy tymi oprawcami o tygrysyich sercach, a ja nie mogę nic, zupełnie nic! Chyba tylko walić głową w ścianę i wyć jak skopany pies. Przecież ja kochałem ludzi i niosłem im pomoc, nawet wrogom, a oni uwięzili mi żonę i zabili moje dziecko! Teraz czuję w sercu tylko nienawiść!

– Misiu, najmilszy, uspokój się, na litość boską! – wołała Nina, przejęta do głębi duszy jego rozpaczą.

W jego ponurym wzroku zabłysła iskierka szyderstwa. Pochylił się ku niej i zionąc jej w twarz oddechem przesyconym alkoholem, wpatrywał się w nią szklanym, niesamowitym spojrzeniem, aż krew zastygła jej w żyłach. Nina się cofnęła, bo po raz pierwszy w życiu bała się go.

– Nigdy więcej nie mów mi o Bogu – powiedział na pozór spokojnie. – On nie istnieje, to ludzie wymyślili Go na obraz i podobieństwo swoje. Dlatego jest taki okrutny, prawdziwy potwór! Zniszczył moje szczęście, sprawił, że uwięziono Emilkę, i zabił moje dziecko. Za co?

Nina wydała okrzyk zgrozy.

– Jasiu, opamiętaj się! – zawołała z oburzeniem. – To nie Pan Bóg zabił twoje dziecko, tylko Moskale! Jeżeli On nie istnieje, to jak mógł cię skrzywdzić? Rozpacz dyktuje ci takie myśli. Braciszku, to grzech!

Szorstko odepchnął ją od siebie i z jękiem zaczął gryźć palce, a po jego chudych zarośniętych policzkach spływały duże łzy i wsiąkały w szarą powstańczą kurtkę. Nina nie mogła spokojnie na to patrzeć. Ponownie przypadła do niego i objąwszy go za szyję, tuliła do siebie, czując taki ból, jakby za moment miało jej pęknąć serce.

– Jasiu, pomyśl o matce. Ona ma tylko ciebie jednego na świecie. Obawiam się o jej zdrowie, bo ciężko przeżyła aresztowanie Emilki. Idź do

niej, kochany, porozmawiaj z nią – prosiła, patrząc na niego z miłością.

– Moja żona także ma tylko mnie. Jeszcze dziś pojedę do Warszawy, pójdę do kogoś z rządu, może do Majewskiego lub Gillera²⁸.

– Nie wolno ci tego zrobić! – wykrzyknęła z przerażeniem. – Zgubisz siebie i nas wszystkich! Nawet Uszakow wie, że Alek nie przebywa za granicą, ale walczy w powstaniu. Wie także o tobie, a Emilka od dawna była śledzona. Janek, zastanów się! Przecież w Cytadeli siedzą tak ważni ludzie, jak Dąbrowski i Szwarce, a także inni działacze, i nikomu nie udało się ich stamtąd wydostać. Zamierzasz sam zdobywać Cytadelę? Przecież oni z pewnością obserwują dom Emilki, złapią cię zaraz i powieszają!

– A niech powieszają – rzekł apatycznie. – Mam suchoty i jeśli nie zginę w powstaniu, wkrótce umrę. Zabili moje dziecko i już nic po mnie nie zostanie.

Nie pozwolił przemówić sobie do rozsądku. Nagłe nieszczęście, tak straszne i niezasłużone, całkiem załamało tego wspaniałego, radosnego człowieka. Nina nie wiedziała już, jak go pocieszyć i przekonać, by nie popełnił jakiegoś szaleństwa. Jaś był nieprzytomny z rozpacz. Naraz zerwał się i wcisnął na głowę konfederatkę.

– Jasiu, idziesz już? – spytała, patrząc na niego błagalnie. – Zostań i zobacz się z matką. Ona koniecznie pragnie cię widzieć. Jasiu, przysięgam ci, że Emilka zabroniła ci przyjeżdżać do Warszawy. Kochany, uwierz mi! Nie odchodź w takim stanie, odpocznij i prześpij się choć trochę. Aha, Jasiu, posłuchaj mnie, w naszej okolicy kręcą się kozacy. Trzeba koniecznie ostrzec kapitana Soszkiewicza. Słyszysz? Kozacy są w pobliżu! Jasiu, zostań do rana i pomów z matką! – Uczepiła się jego ramienia, za wszelką cenę pragnąc go zatrzymać.

– Puść mnie, Nino.

– Jezu, co ja powiem cioci, jak mnie zapyta o ciebie? – Wybuchła płaczem i zawodziła, zalewając się łzami.

– Postaram się przyjechać jutro. Wybacz, teraz nie mogę!

Podbiegła do balustrady i patrzyła, jak Jaś, śmiertelnie blady, z twarzą wykrzywioną cierpieniem i drgającą dolną szczęką, pijany i na wpół szalony, pospiesznie zbiega po schodach i wskakuje na zmęczonego konia. Ruszył przed siebie galopem i po chwili zniknął na końcu alei.

– Jasiu, wróć! – zawołała za nim, ale on już jej nie słyszał.

Nina bała się o niego, był prawie nieprzytomny i wypił na pusty żołądek pół litra wódki. Przez moment chciała osiodłać Mignon i popędzić za nim, ale prędko zrezygnowała z tego zamiaru. Jaś nie zniósłby teraz jej obecności. Miarą godnego pożalowania stanu jego umysłu były bluźnierstwa i wyparcie się Boga. A był człowiekiem tak głęboko religijnym i wierzącym w Boże miłosierdzie... Usiadła i gorzko zapłakała, nie wiedząc, co ma robić i do kogo się zwrócić po radę.

Nie czuła się dobrze, miała duszności i jakiś dziwny szum w uszach, jakby morze huczało w muszli. Przycisnęła dłoń do serca i wolno zeszła z tarasu, idąc cienistą aleją. Za nią postępował Grot z ogonem wtulonym pod siebie. Rozumiał, że działo się coś niedobrego, i skomlił cicho, patrząc na swoją panią. Spacer nie przywrócił jej spokoju, tylko jeszcze bardziej rozdrażnił, bo przypomniawszy sobie, ile razy chadzała tymi alejami z Jasiem i Emilką czy z mężem.

Wróciła do domu i nie mogąc sobie znaleźć miejsca, krążyła jak błędna po wielkich pokojach, żałując, że panna Lutówna wyjechała. Chciała z kimś porozmawiać, wtulić się w czyjeś ramiona i choć na krótką chwilę zapomnieć o tym, co się wydarzyło i co tak bardzo ją bolało. Weszła do malinowego salonu i zastała tam Jagę, która coś do niej powiedziała. Nie rozumiejąc ani słowa, Nina chwyciła się za głowę.

– Och, zostawcie mnie i dajcie mi święty spokój! – wrzasnęła histerycznie.

Kiedy niania w milczeniu wyszła z salonu, Nina usiadła przy fortepianie i zaczęła grać, a raczej walić w klawiaturę, wygrywając skoczne marsze. Raptownie urwała i uderzywszy obiema pięściami w klawisze, z hukiem zatrasnęła wieko instrumentu, wybuchając rozpaczliwym łkaniem. Zaalarmowani jej głośnym płaczem domownicy pukali do drzwi, pytając, co się stało. Nie czekała, aż wejdzie Jaga, tylko zerwała się i pobiegła nad staw. Nie mogłaby teraz znieść żadnych pytań, nawet czyjejs obecności. Wsiadła do łódki i wypłynęła na środek stawu, wiosłując ze wszystkich sił. Zmęczona opadła na dno łodzi i leżała tam kompletnie wyczerpana, modląc się, płacząc i rozmyślając. Z troską i żalem stwierdziła, że popełniła wielki błąd, informując Jasia o poronieniu Emilki. Ta wiadomość o mało go nie zabiła.

Po jakimś czasie spokój i cisza pogodnego wieczoru przyniosły jej ulgę. Nie było wiatru i pozłoczone ostatnimi promieniami słońca obłoczki odbijały

się w gładkiej jak atlas tafli wody. Do łódki podpływały łabędzie i dzikie kaczkę, zaintrygowane jej bezruchem. Leżała tak do zmroku, obawiając się powrotu do domu i spotkania z panią Salomeą. Na samą myśl, że musiałaby tego dnia odbyć jeszcze jedną dramatyczną rozmowę, przeszedł ją dreszcz.

Nie poszła na kolację, lecz przez taras weszła do sypialni i odprawiła czekającą na nią Uliśnię. Potem pośpiesznie się rozebrała i położyła do łóżka, nie umywszy nawet spuchniętej od płaczu twarzy. Kiedy tak leżała skulona, cichutko skrzypnęły drzwi i do sypialni weszła na palcach Jaga, niosąc szklanekę gorących ziół. Pochyliła się nad leżącą Niną i dotknęła ustami jej rozpalonego czoła.

– Moje biedne, kochane dziecko... Pan Bóg stanowczo za wiele ciężarów składa na twoje wątłe barki. Wypij to, kotuniu. To kwiat pomarańczowy i melisa. Przyniesie ci ulgę.

Dławiąc się i kaszląc, Nina posłusznie wypila pachnącą owocami herbatkę, oddała szklanekę i wpadła w ramiona niani.

– Ja już nie mogę, nianiusiu! – poskarżyła się żałośnie. – Nie mam siły i taka jestem zmęczona, zagubiona... – Tuliła się do Jagi, szukając u niej ulgi w cierpieniu.

Ale w jej kochających ramionach nie znalazła pociechy i usnęła przekonana, że już nikt nigdy nie zdejmie z niej brzemienia trosk i ciężaru odpowiedzialności.

W nocy przyśnił się jej zły sen. Znajdowała się w środku płomieni, dokoła niej wszystko się paliło, ale ogień nie parzył, bo nie czuła bólu, tylko strach. Obudziła się z krzykiem, spocona i przerażona. Długo się przewracała, udręczona bezsennością, zanim sen ponownie skleił jej powieki.

Rano otworzyła oczy z dziwnym uczuciem napięcia i lęku. Był już jasny dzień i słońce zaglądało do sypialni przez nieszczelnie zaciągnięte kotary. Nie zdążyła jeszcze sięgnąć po taśmę dzwonka, gdy do sypialni wpadła blada i wzburzona Jaga.

– Wstań, dziecko! – wykrzyknęła, sięgając jednocześnie do szafy w garderobie i rzucając na łóżko bieliznę i suknię. – Pośpiesz się! Pali się gdzieś w pobliżu...

Oczy Niny spoczęły na niej z dzikim przerażeniem. Momentalnie przypomniała sobie łunę z płonących Ciążyn.

– W jakim kierunku się pali? – zapytała, ubierając się trzęsącymi rękami, byle jak, w popłochu.

– Gdzieś w stronie Sieradowic. Pewnie kozacy znowu coś podpalili. Lepiej bądźmy gotowi na wszystko. Maryjo Święta, módl się za nami! Ani chwili spokoju – lamentowała Jaga, zapinając stanik sukni Niny na niezliczoną liczbę haftek, które wymykały się jej spod palców.

– Jaś przyjechał?

– Nie. Jeszcze go nie było, a pani Salomea śpi, biedactwo, dzięki Bogu. Kumosia zaparzyła jej wczoraj mocne zioła nasenne.

Zniecierpliwiona Nina wyrwała się z jej rąk i w niedopiętej sukni popędziła na strych, splatając po drodze potargane włosy w jeden gruby warkocz. Na strychu buchnęło na nią rozgrzane powietrze jak z rozpalonego pieca. Zręcznie niby akrobatka wspięła się po drabince na balkonik, z którego w noc wybuchu powstania obserwowała łunę nad Bodzentynem. Pałac stał na wzniesieniu i z tego miejsca roztaczała się szeroka panorama całej okolicy. Rozejrzawszy się, dostrzegła w miejscu, gdzie leżały Sarniki, wznoszącą się powoli ku niebu ciemną chmurę dymu. Wiejący z tego kierunku wiatr przynosił słaby zapach spalenizny. W ciszy poranka niósł się z dala dźwięk bijącego na trwogę dzwonu. Zaraz też z wieżyczki kaplicy grobowej rozległ się drżący, jakby przestraszony głosik sygnaturki, dającej sygnał wsi, że dzieje się coś niezwykłego.

Nina wpatrywała się przez chwilę w chmurę dymu, czując podświadomie, że zawisło nad nią jakieś nowe, potworne nieszczęście, którego rozmiarów jeszcze nie знаła. Unosząc wysoko suknię, zwinnie zeskoczyła z drabinki i narażając się na połamanie nóg, zbiegła do sieni, gdzie zgromadziła się już cała służba, oczekując na nowiny.

– To chyba Sarniki się palą! – wysapała z trudem. – Tylko nie wiem, wieś czy, nie daj Boże, dwór... Nianiu, proszę, zaopiekuj się ciocią, niech nigdzie nie wychodzi, bo Jaś lada chwila przyjedzie. Muszę sprawdzić, co się dzieje w Sarnikach. Być może wujostwo potrzebuje pomocy. Nie wiem, kiedy wrócę. Paweł... – zwróciła się do gapiowatego lokaja. – Biegnij co sił do pana rządcy. Niech zbierze parobków z siekierami i jedzie za mną do Sarnik. Walenty, proszę mieć oko na wszystko.

– Jaśnie pani hrabina nie powinna sama tam jechać! – zawołał kamerdyner.

– Tam może być bardzo niebezpiecznie, kiedy w pobliżu są kozacy. Niech pan Bochniak sam pojedzie – poparła kamerdynera pani ochmistrzyń.

Jaga także zamierzała stanowczo się sprzeciwić wyjazdowi Niny, ale już nie zdążyła.

– Ninko, ja nie pozwalam ci jechać! – rozległ się głośny okrzyk. Pani Salomea, obudzona hałasem w domu, stała na galerii i patrzyła na dół. – Poczekaj na Jasia.

Ale Nina nie zważała na ostrzeżenia. Uniosła oburącz spódnicę i popędziła do stajni. Za sobą usłyszała rozpaczliwy okrzyk niani, lecz nawet się nie obejrzała. Na dziedzińcu stali ludzie, spoglądając z niepokojem w kierunku, skąd wiatr przynosił swąd spalenizny. Coś do niej wołali, lecz nie zwróciła na to uwagi i pobiegła jeszcze szybciej. Wpadła zadyszana do stajni i pospiesznie osiodłała Mignon. Szeroka spódnica umożliwiła jej dosięść klacz po męsku. Dwaj młodzi stajenni, nie czekając na rozkazy, natychmiast zaczęli siodłać konie i pojechali za nią. Klacz, jakby wczuwając się w nastrój pani, biegła niby strzała wypuszczona z łuku. Pędziła przez pola i łąki, przeskakiwała skałki i wilgotne rowy pełne kwiatów.

W pewnym miejscu zatrzymała ją bystra rzeczka płynąca pomiędzy dosyć stromymi brzegami. Nina nie miała czasu, żeby zjechać w dół i szukać płycizny. Klepnęła klaczkę w szyję, jednocześnie mocno naciskając kolanami jej boki.

– Dalej, konisiu, skacz!

Mignon łypnęła na nią wystraszonym okiem, nerwowo zadrobiła w miejscu i cofnęła się dla nabrania rozpędu. Poderwana cugłami, chrapnęła głośno i odbiwszy się sprężystości tylnymi nogami, jak jaskółka przeleciała nad rzeczka, lądując na drugim brzegu, i nie zwalniając tempa, pobiegła

dalej. Warkocz Niny rozplótł się w pędzie, a rozpuszczone włosy powiewały za nią niby ciemny welon. Ostre staccato końskich kopyt po wyschniętej ziemi niosło się za nimi. Okropne myśli niczym stada czarnych kruków obsiadły ją i kracząc, wróżyły nieszczęście. Za sobą słyszała tętent wierzchowców jadących za nią stajennych. Pochylona nad końskim karkiem, smagana grzywą po twarzy, szeptała zbielełymi ustami:

– Jezu Chryste, zmiłuj się...

Przestrzeń dzielącą ją od Sarnik przebyła niemal błyskawicznie. Powstrzymała rozpędzoną klacz, patrząc ze wzgórze na bielejące w oddali chaty. Wieś, cała skąpana w blasku porannego słońca, leżała przed nią cicha i spokojna. Ale dzwon na wieży kościelnej bił nieustannie, a w oddali, ponad wysokimi szczytami topoli włoskich, unosiły się ogromne kłęby czarnego dymu. We wsi nigdzie nie widać było ludzi, zapewne pobiegli do pożaru.

Nina szarpnęła cugłami i ostro krzyknęła na zmęczoną Mignon, ponaglając ją do biegu. Wpadła na dworski dziedziniec cwałem i zadarła wodze, aż koń stanął dęba, a spod kopyt trysnęły fontanny piasku. Spojrzawszy przed siebie, zachwiała się na siodle. Płonął dwór! Nad wysokim łamanym dachem wielkiego domu unosiły się języki ognia, blade i anemiczne w świetle dnia. Chmura dymu powoli, leniwie dźwigała się w błękitne niebo, chwilami zasłaniając tarczę słońca. Wtedy na ziemię padał złowieszczy cień. Suche belki i deski chłoneły ogień i rzygały nim, obejmując coraz większą część dworu. Właśnie paliła się facjatka, w której Nina spędziła swoje dzieciństwo i wczesną młodość. Po okiennicach pełzały już języki płomieni, a poranny wiatr je wzmaczał. Z szeroko otwartego okna pokoju Bini powiewała biała koronkowa firanka, niby żaloszny symbol klęski. Naraz zwinęła się w ogniu, poczerniała i zniknęła.

Na dziedzińcu miotały się oszalałe ze strachu konie, ryczało bydło, siłą wyprowadzane z obór, także ogarniętych już pożarem. Dwór zajął się od stodoły, gdyż stamtąd wiał wiatr, niosąc całe snopy ognistych iskieł. Stodoła spłonęła całkowicie, jeszcze tylko dopalały się grube krokwie, łamiąc się z trzaskiem i zwęglone spadając na ziemię. Wokół zgliszczy stodoły i przed dworem stał w milczeniu zwarty tłum chłopstwa i służby dworskiej. Nikt jednak nie próbował gasić ognia. Tylko stary ekonom, zaufany sługa wuja Ksawerego, wyrzucał przez okna meble, dywany,

obrazy i co mu wpadło pod rękę. Ale nikt nie starał się mu pomóc, aby coś uratować.

Nina jednym rzutem oka oceniła sytuację, krztusząc się dymem i kaszląc. Oczy piekły, zachodziły łzami, a Mignon, przerażona pożarem, szarpnęła i próbowała wycofać się z dziedzińca. Nina zeskoczyła z siodła i przywiązawszy mocno klaczkę, podeszła do stojących w milczeniu ludzi.

– Dlaczego nie gasicie pożaru?! – zawołała, oburzona ich nieczułością. – Nie rozumiecie, że ogień może się przenieść na wasze chaty? Wtedy cała wieś pójdzie z dymem. Gdzie pan dziedzic i pani dziedziczka?

Stojący z ponurymi minami chłopcy rozstąpili się powoli. Wtedy ich zobaczyła. Wuj Ksawery leżał na wznak z szeroko rozrzuconymi ramionami. Na jego twarzy, w okropnie wytrzeszczonych oczach i otwartych ustach, malował się wyraz zastygłej w rysach zgrozy. Widocznie spadł z ganku, bo leżał ukośnie z nogami na stopniach schodów, a jego głowa spoczywała na ziemi. Ciotka Maria leżała wczepiona kurczowo zgiętymi palcami w jego surdut, jakby próbowała go podźwignąć. Nie było widać jej twarzy, bo głowę miała wspartą o piersi męża, ale na pewno również nie żyła. Pod nią na piasku utworzyła się duża kałuża krwi, poczerniałej już i zastygłej. Szeroka spódnica rozłożyła się wokół niej jak wielki czarny wachlarz.

Nina podeszła i wpatrywała się w ich zwłoki, nie czując absolutnie nic. Tylko głowa zaczęła ją dziwnie boleć, a serce biło wolno i nierówno. Przez jedną krótką chwilę wydało się jej, że ma ogień w mózgu, a w żołądku kawał lodu. Bez słowa stała nad ciałami najbliższej rodziny i tylko patrzyła. Na dziedziniec wpadli galopem jadący za nią stajenni i rzucili się do dworu, ratując, co jeszcze dało się wynieść z ogarniętego pożarem domu. Spostrzegł ją ekonom i wyszedł z palącego się już salonu, niosąc pod pachą cenny perski dywan.

– Lepiej niech jaśnie pani nie patrzy – wycharczał, spluwając czarną od sadzy śliną. Wziął ją za rękę i odciągnął na bok. Chrypiał i kaszłał, nałykawszy się dymu.

– Trzeba ich czymś przykryć – powiedziała sucho i wzięwszy od niego dywan, rozłożyła go na zwłokach wujostwa.

Potem odwróciła się od płonącego budynku i przysiadła na niskim murku dzielącym dziedziniec od ogrodu.

– Chcę wiedzieć, co tu się stało. Kto zamordował dziedziców i podpalił dwór? – odezwała się.

Miała cały czas wrażenie, że to ktoś inny, obcy i obojętny zadaje pytania spokojnym i beznamiętnym tonem. Ona nigdy nie umiała znosić cierpienia w milczeniu. Zaraz rozpaczała głośno, wylewając potoki łez albo złorzeczając. To z pewnością nie ona patrzyła na płonący dwór i trupy wujostwa, których mimo wszystko kochała.

Ekonom przetarł brudną od sadzy ręką policzki i łzawiące oczy.

– Stodołę podpalili kozunie – mruknął, przysiadając obok niej. – Patrzyłem na to i do śmierci nie zapomnę – westchnął ponuro i zaczął opowiadać.

Wszystkie wypadki wydarzyły się o świcie, gdy ludzie szli do roboty. Z lasu wypadł jeździec i gnał w stronę dworu, a za nim kilkunastu kozaków. Strzelali do niego, lecz pułowali haniebnie, a on zmuszał wierzchowca do najszybszego biegu i sadył jak ścigany jelen. Kilku kozaków próbowało go wyprzedzić i zabiec mu drogę, by wziąć go żywego do niewoli. Jeździec puścił cugle, a kiedy dwaj kozacy podjechali blisko, zostali ścięci szablą, jakby kto świece zdmuchnął. Strzałem z rewolweru zabił jeszcze jednego kozaka i wpadł na dziedziniec, a jego koń, gnając ostatkiem sił, runął martwy.

Ekonom zamilkł, opuścił głowę i dopiero po jakimś czasie podjął przerwany wątek:

– Akurat jaśnie pan dziedzic wyszedł na ganek, aż tu młody pan przypadł do niego i krzyczy, żeby mu dać konia, bo kozacy go ścigają. Pan ino się za głowę złapał, bo rozumiał, że zanim wyprowadzą nowego wierzchowca ze stajni, to kozacy już będą we dworze. Rozejrzał się i przykazał: „Do stodoły i zakop się w siano!”. A kozunie już wpadli na dziedziniec i wrzeszczą: „Kuda uszoł miatieżnik? Gdzie ten buntowszczyk?”. Jaśnie pan wskazał im ręką na ogrody i powiada, że pewnie uciekł przez park do lasu. Nie uwierzyli, psiawiary! Wpadli do dworu i latali po pokojach, wszystko rozbijając. Tłukli lustra, strzelali do obrazów, darli dywany i kilimy. Nic nie znaleźli, więc spędzili naród pod dwór i dalej tłuc chłopów batami, walić w mordę i grozić stryczkiem. Koniecznie chcieli się dowiedzieć, gdzie się ukrył buntownik. Taki wrzask się zrobił, jakby to nastał koniec świata. Jaśnie pan skory był do gniewu, ale tym razem tłumaczył im cierpliwie, żeby dali ludziom spokój, bo buntowszczyk dawno uciekł. Pokazywał im

nawet jakieś papiery, ale kozunie wcale go nie słuchali, tylko prali po gębach parobków i baby. Aż ci jeden psubrat widać chciał się im podlizać i dziedzicowi dokuczyć, bo wskazał ręką na stodołę. Bodaj go ta święta ziemia nie nosiła! Kozunie zara tam pobiegli, ale młody pan strzelił i jednego utrupił. To ich jeszcze bardziej rozwścieczyło. Wrzeszczeli: „Zdajsia!”, ale młody pan nie wyszedł, tylko strzelał do nich przez dziurę we wrotach. Poszwargotali między sobą i zaczęli kręcić warkocze ze słomy i ogień krzesać. Jaśnie pan dziedzic błagał ich, żeby tego nie czynili, bo całe zbiory z ogniem puszczą. Chciał im złotem płacić, ale co im tam zbiory... Otoczyli stodołę i podpálili z czterech stron. Kazali młodemu panu wyjść, ale on nie chciał się poddać i nie wyszedł. Stodoła zaraz się zajęła i gorzała wielkim ogniem, a gorąco buchało z niej jak z piekła. Kozunie czekały z nastawionymi pikami, aż młody pan wyskoczy, ale się nie doczekali. Jaśnie pan dziedzic stał na ganku i patrzył, a oczy to miał takie okropne, że do samego zgonu tego nie zapomnę. Ludzie poklękali i zaczęli się głośno modlić, a młody pan siedział w tym żarze i nie wychodził. Ale widać, że zaczął się żywcem smażyć, bo jął okropnie krzyczeć. Potem huknął jeden wystrzał... i cisza! A naszemu panu jakby rozum odebrało. Zaczął kozakom wygrażać pięściami, potem poleciał do dworu, przyniósł jakieś dokumenty i darł je, depcząc. Trząsł się cały i ciągle powtarzał: „Protestuję!”. Naraz zacharczał, chwycił się za serce i spadł ze schodów...

Stary ekonom przerwał i rozplakał się jękliwie, rozmazując na twarzy łzy i sadze. Wysmarkał nos, zakaszał i prawił dalej ochrypłym głosem:

– Jaśnie pani dziedziczka była w starej lodowni i nic nie słyszała. Dopiero gdy wyszła, zobaczyła, że stodoła się pali, i posłyszała wrzaski kozuniów. Wybiegła z domu i przypadła do pana, ale on, biedaczysko, już nie żył. Widać krew go zalała z tej zgryzoty. Pani jak oszalała rzuciła się na kozuniów z pazurami. Szarpała ich i gryzła, krzycząc takim głosem, że jak żyję, takiego nie słyszałem. Oganiali się od niej jak od utrapionej muchy, ale w końcu któryś się zeźlił i strzelił do pani. Przyczołgała się do pana ostatkiem sił i tak już ostała. Wszyscy poginęli. Na moich oczach cały ród szczeż! Jezusie, Maryjo, Józefie święty, cały ród! – Chwycił się za głowę i targając włosy, głośno szlochał.

Nina spokojnie wysłuchiwała szczegółów śmierci wujostwa, spoglądając na ogród i dziwiąc się, że wszystko tam jest jak dawniej. Alejki świeżo

wysypane piaskiem, na klombach jesienne astry, dalie i róże, a z lasu dochodził śpiew ptaków. Nie czuła wzruszenia i żalu, tylko głowa bolała ją coraz bardziej i usta miała białe, jak wycięte z opłatka. Dzwoniło jej w uszach, więc potrząsała głową, jakby się czemuś dziwiła. A dwór płonął jak stos pogrzebowy...

Chłopi, zmiarkowawszy, że nic tu nie wystoją, ukradkiem zaczęli zbierać wyrzucone przedmioty, chwycić bydło, konie i odprowadzać je do wsi. Tymczasem dach dworu zatrzęszczał, krokwie zaczęły pękać i zaraz runął sufit, miażdżąc kryształowe żyrandole. Ogromny słup dymu i ognia wzbił się pod niebo. Nina się odwróciła i patrzyła bez jednej łzy, obserwując dzieło zniszczenia. Odwieczne rycerskie gniazdo rodu Borutyńskich zamieniło się w ruinę. Trzechsetletnia siedziba rodzinna stawała się tylko kupą popiołów. A przecież ten dwór stanowił część historii narodu. Stąd wyruszali zbrojni jeźdźcy na Tatarów i Turków; z hetmanem Żółkiewskim pod Moskwę oraz Cecorę. Pod dach tego dworu młodzi Borutyńscy wprowadzali świeżo poślubione żony, hucznie chrzcili nowo narodzone dzieci. Tu oplakiwali zmarłych rodziców i krewnych. Stąd przodek wuja Ksawerego wyruszył zbrojnie w 1683 roku pod Wiedeń. Pod tym wysokim dachem rodziły się i umierały całe pokolenia. Na wieżyczkach po obu stronach domu dumnie łopotały chorągwie z herbami rodziny albo amarantowe ze srebrnym orłem. Polski dwór, który przez lata niewoli był ostoją narodowych tradycji, przestał istnieć. Nina spędziła w nim dzieciństwo i tu po raz pierwszy ujrzała Aleksa.

Denerwowały ją bardzo przeraźliwe lamenty bab z czworaków. Chłopi przestali zajmować się pozarem, bo bardziej interesowały ich piękne rasowe zwierzęta. Pośpiesznie wypędzali z podwórza świnie i cielęta, zaganiając je do własnych chlewów i obór. Zapewne w głębi duszy cieszyli się ze śmierci dziedziców i zagłady dworu.

Nina wstała i spojrzała na płonąca resztkę stodoły.

– A nie wiecie, kim był ten młody pan? No ten, co się zastrzelił? – spytała bez specjalnego zainteresowania. Ot, byle coś powiedzieć.

Ekonom wytrzeszczył na nią przekrwione od dymu oczy.

– Przeciem mówił. Nasz młody jaśnie panicz... znaczy się dochtór!

Chyba wydała okrzyk, ale nie była tego pewna.

– Jaś?

– Ano, Jan dali mu na chrzcie świętym. Ino niech jaśnie pani tam nie idzie. Nie trza! – przestrzegł ją, lecz nie posłuchała.

Podeszła do zgliszcz stodoły i rozkazała rozgrzebać nadpalone belki. Pod zwęglonymi wrotami znaleźli ciało Jasia. W zwęglonej twarzy śmiały się upiornie wyszczerzone zęby. Ta straszna maska o doszczętnie spalonych włosach i wykrzywionych trupim skurczem ustach wyglądała tak potwornie, że nawet niezbyt czuli chłopci, zdjęci przerażeniem, odwracali głowy i żegnali się, lękając tego widoku. W prawej zaciśniętej dłoni Jaś trzymał rewolwer, z którego ostatnim strzałem odebrał sobie życie.

Nina się pochyliła i delikatnie naciągnęła na niego jakąś płachtę. Wyprostowała się i powiedziała do ekonoma rozkazującym głosem:

– Zwłoki państwa należy przewieźć do kościoła, a trumny zrobimy w Makowie. O siebie nie musicie się troszczyć. Pójdziecie do Brzezińca, bo tam chętnie przyjmą uczciwego pracownika.

Uwagę starego zwrócił nienaturalnie wysoki ton jej głosu.

– Lepiej niechże jaśnie pani wraca do domu. Dopilnuję tu wszystkiego, bo chłopstwo kradnie pańskie dobro – powiedział, patrząc na nią ze współczuciem.

Na drodze zaturkotała bryczka, wioząca księdza proboszcza. Jechał od chorego z sąsiedniej wsi i dopiero z pagórka dostrzegł, że pali się dwór. Przejęty widokiem zniszczenia, wyskoczył żywo z bryczki i podbiegł do Niny.

– W imię Ojca i Syna, co tu się wydarzyło? Matko Święta, a czyje to zwłoki takie popalone? A tam kto leży? Nino, poczekaj, dziecko! Dokąd idziesz?! – zawołał, widząc, że ona z szeroko otwartymi oczami zmierza prosto w ogień.

Przystanęła i obejrzała się za siebie. Ksiądz właśnie uniósł płachtę okrywającą leżące na ziemi ciało. Naraz uświadomiła sobie, że ten spalony szczątek ludzki to przecież Jaś, ukochany braciszek, najlepszy przyjaciel, czuły i zawsze gotowy śpieszyć jej z pomocą. Wesoły, drwiący z patetycznych komunałów, stoczył tu, na oczach ludzi, swój ostatni bohaterski bój i samobójczą śmiercią dobitnie zademonstrował, że siłą charakteru i odwagą dorównuje swoim rycerskim przodkom. Nie prosił o łaskę i nie poddał się, wybierając honorową śmierć.

Dotknęła dłonią czoła; było rozpalone, a głowa pękała jej z bólu. Naraz świat zawirował dokoła niej, a ona runęła na ziemię, wymiotując i tarzając

się po piasku, targana strasznymi konwulsjami. Jęczała, wijąc się jak zdeptany robak. Potem chwyciła w obie dłonie garść białego popiołu ze spalonych ksiąg i cisnęła go przed siebie. Uleciał w powietrze.

– Neeee! – krzyknęła przeraźliwym głosem. Pociemniało jej w oczach i znieruchomiła.

Proboszcz rzucił się do niej, przejęty okropną myślą, że i ona umarła. Ale Nina tylko zemdlła i to było dla niej wybawieniem od męki.

Tymczasem dziedziniec zaroił się konnymi. Przybył pan Bochniak, wiodąc z sobą makowskich chłopów. Na widok spalonego dworu i trupów rządca omal nie zapłakał i natychmiast zatroszczył się o resztę dobytku, stawiając przy zgliszczach stróżów. Potem zajął się nieprzytomną Niną, próbując ją ocucić. Lecz ona nie odzyskała przytomności i ksiądz proboszcz postanowił sam ją odwieźć do Makowa i powiadomić panią Salomeę o nieszczęściu.

Przez całą noc Nina miotła się w strasznej gorączce, która na szczęście nad ranem spadła. Była bardzo chora, ale w południe podniosła się z łóżka, mimo hałaśliwych protestów Jagi. Nie miała czasu na wypoczynek, bo na jej głowę zwały się niezliczone obowiązki. Po Bini to ona była najbliższą krewną Borutyńskich. Oprócz pana Bochniaka i proboszcza nie miała do kogo się zwrócić o pomoc. Mira była w podróży, Emilka siedziała w Cytadeli, Jaś nie żył. Pani Salomea, dowiedziawszy się od księdza o tragicznej śmierci syna, prawie wpadła w obłąd.

Kiedy proboszcz przywiózł do pałacu nieprzytomną Ninę i powiadomił nieszczęsną matkę o śmierci Jasia, pani Salomea wyrwała się, chcąc jechać do Sarnik, by zobaczyć syna. Ale ksiądz stanowczo się temu sprzeciwił, pragnąc zaoszczędzić zbolełej kobiecie potwornego widoku spalonych zwłok jedynaka. Ze względu na obecność kozaków w okolicy pogrzeb miał się odbyć nazajutrz, wczesnym rankiem, w ciszy.

Odzyskawszy przytomność, Nina poleciła ostrzec leśny obóz. Pamiętała o tym nawet w malignie. Okazało się jednak, że kapitan Soszkiewicz już o tym wiedział. Wieczorem, w przeddzień śmierci, Jaś wrócił na Łysą Polanę, aby doglądać chorych na czerwonkę. Przekazał kapitanowi ostrzeżenie i zaraz potem odjechał. Braciszek Benon wspominał, że przyjaciel dziwnie się zachowywał, unikał kolegów i nie odzywał się prawie do nikogo. Nie

wiadomo, gdzie przez całą noc przebywał, przypuszczalnie musiał samotnie tułać się po lesie. Rano wybrał się do Makowa, aby porozmawiać z matką, i pewnie wtedy natknął się na kozaków.

Były to jedynie domysły, bo prawdy o ostatnich godzinach życia Jasia nie dowiedziano się nigdy. W nocy, przed samym pogrzebem, powróciła Mira i wiadomość o tragedii uderzyła w nią jak grom. Początkowo nie mogła uwierzyć w straszną śmierć przyjaciela, a potem zaczęła rozpaczliwie płakać. Nina, licząca na jej pomoc, pomyślała rozgoryczona, że jak zwykle wszystkie obowiązki spadną na nią. Ochłonawszy jednak z pierwszego wstrząsu, panna Lutówna serdecznie zajęła się panią Salomeą, nie odstępując jej na krok.

Przerażony Maciek przybiegł do Niny i całując ją po rękach i sukni, przysięgał, że nie odstąpi już swojej jaśnie paniuleczki i będzie nad nią czuwał. Nina nie miała czasu na rozpacz. Trupio blada, z zapadniętymi oczami i gorączką, osobiście doglądała przygotowań do pogrzebu. Telegraficznie powiadomiła Binię o śmierci rodziców i Jasia, nie licząc jednak na jej przyjazd. Wysłała także depezę do notariusza w Radomiu, który się zajmował sprawami majątkowymi wujostwa Borutyńskich.

Trzymała się na nogach tylko dzięki ziołom Kumosi i mocnej kawie. Czuła się tak źle, że noc poprzedzającą pogrzeb spędziła na fotelu, obawiając się zasnąć. We śnie nawiedzały ją koszmary, w których dramatyczna rzeczywistość mieszała się z upiornymi urojeniami. Siedziała w głębokim fotelu, przy płonącym kominku, z głową opuszczoną na piersi, wsłuchując się w monotony szum deszczu i zawroźnienie wiatru.

Rozmyślała o męczeńskiej śmierci wujostwa i samobójstwie Jasia, buntując się na niesprawiedliwość losu. Śmierć ciotki i wuja, a przede wszystkim ukochanego braciszka, była dla niej strasznym przeżyciem. Gdyby nie myśl o mężu, zapewne rozchorowałaby się lub kompletnie załamała. Czuwające wraz z nią kobiety półgłosem odmawiały litanie za zmarłych, różaniec i śpiewały pieśni żałobne, intonowane przez panią ochmistrzynię.

Dzień pogrzebu wstał prawdziwie jesienny, słotny i zimny. Fale ulewy niesionej wiatrem i chłód nie zachęcały do opuszczenia ciepłego domu bez koniecznej potrzeby. Po nieprzespanej nocy Nina z jękiem podniosła się z fotela i przez chwilę masowała sztywne, obolałe mięśnie. Zakładając ciężką żałobną suknię, uznała, iż wygląda jak mara. To spostrzeżenie skwitowała

wzruszeniem ramion. Od tej przerażającej chwili, kiedy zobaczyła zwłoki wujostwa i spalone ciało Jasia, coś się w niej załamało. Odniosła wrażenie, że młodość już minęła i nagle przybyło jej wiele lat. Zastanawiała się, jak to możliwe, żeby czuć się tak staro, mając dopiero osiemnaście lat.

Z drżeniem serca oczekiwała, jak się zachowa pani Salomea na pogrzebie syna, spodziewając się najgorszego.

– Czy ciocia już ubrana? – spytała Jagę, sięgając po kapelusz owinięty krepowym welonem. – Musimy się śpieszyć, bo już późno.

– Tak, ubrana. Mirunia i Kumosia jej pomogły. Matko Najświętsza! – Niania głośno westchnęła. – Jakże ciężko los doświadczył tę biedną kobietę. Synowa w więzieniu straciła wnuka, a teraz zamordowano jej syna i krewnych. Można już się tylko modlić o rychłą śmierć dla niej.

– Mylisz się, nianiu – rzekła Nina z przekonaniem. – Ciocia jest bardzo silną kobietą i potrafi wrócić do równowagi.

Narzuciła na ramiona czarny płaszczyk i przeżegnawszy się nieznacznie, poszła po panią Borutyńską. Stanąwszy przed drzwiami jej pokoju, głęboko zaczerpnęła powietrza. Bała się! W pokoju panował półmrok, bo okno zasłonięto kotarą i tylko na stoliczku paliła się świeca przed dużą fotografią Jasia. Obok stał wazon pełen róż. Spojrzawszy na jego młodzieńczą roześmianą twarz, Nina posiniała i poczuła, że brak jej powietrza. Przez chwilę oddychała głęboko i dopiero upewniwszy się, że głos jej nie zawiedzie, przyklękła obok fotela, na którym siedziała pani Salomea.

– Cioteczko najdroższa, już czas – szepnęła.

Pani Salomea miała twarz pożółkłą, nieruchomą, i przymknięte powieki. Kiedy otworzyła oczy, Nina skonstatowała z przerażeniem, że ta kobieta, tak jeszcze niedawno pogodna i pełna energii, zmieniła się w zgrzybiałą staruszkę. Spojrzały na nią oczy mętne od przelanych łez, zaczerwienione i nieopisanie smutne.

– Co mówisz? Ach tak, już idę – powiedziała, lecz nie ruszyła się z miejsca i siedziała, mnąc mokrą chusteczkę i bezmyślnie patrząc przed siebie.

Nina posłała pannie Lutównie rozpaczliwe spojrzenie, błagając o pomoc. Mira się pochyliła, objęła mocno starszą damę i siłą uniosła ją z fotela.

– Moja ukochana droga pani, musimy już jechać na nabożeństwo. Ksiądz czeka na nas – przypomniała serdecznie.

– Aha, prawda. To jedźmy – zgodziła się pani Salomea, nawet nie wiedząc, co mówi. – Emilciu, kochanie, podaj mi płaszcz i kapelusz.

Mira zagryzła usta do krwi, żeby nie wybuchnąć płaczem, a Nina oparła się o komodę, bo kolana zatrzęśły się pod nią. Wolno zeszły po schodach, podtrzymując z obu stron osłabioną panią Salomeę. Przed pałacem już stała karetka, wsiadły do niej wraz z Jagą i panią ochmistrzynią. Nina nie zgodziła się, aby w pogrzebie wzięła udział dworska służba i gospodarze ze wsi, bo zbyt duże zgromadzenie mogło zwrócić uwagę kozaków.

Konie ruszyły, a ona, wpatrując się w szyby zalane deszczem, przywołała w pamięci ten mroźny zimowy poranek, dzień ślubu Jasia. Wówczas obok niej siedziała Emilka, trzymając ogromny bukiet cieplarnianych róż. Pani Salomea zalewała się łzami, bo gdzieś zapodział się złoty dukat na szczęście. W sarnickim kościele czekał na nie Jaś, promienny i piękny w bogatym ślubnym stroju. Krótka trwała ich szczęście...

Nina prędko przełknęła ślinę, bo coś chwyciło ją za gardło i zaczęło dławić. Żeby się opanować, wbiła sobie paznokcie w ciało, aż do krwi.

Był zaledwie wczesny świt i w kościele panowała ciemność i cisza. Dopiero kiedy wysiadły z karety, dostrzegły kilka powozów wtajemniczonych sąsiadów i bryczkę wójta. Przed wielkim ołtarzem stały obok siebie trzy jednakowe trumny zarzucone kwiatami. Nina rozkazała spustoszyć ogród zimowy i najpiękniejsze kwiaty przywieźć do kościoła. Dopilnowała również, żeby trumna Jasia była zamknięta i mocno zabita gwoździami, bo pani Salomea ciągle się domagała, żeby pokazano jej syna. Na wieku jego trumny spoczywała amarantowa konfederatka. Emilka nie zdążyła jej uszyć, więc Nina obszyła ją białym barankiem i wyhaftowała srebrnego orła.

Usiadły w kolatorskiej ławce wujostwa Borutyńskich. Pani Salomea odrzuciła welon z twarzy, a oczy i jej rysy wyrażały ogromne cierpienie. Nie płakała, tylko wargi jej poruszały się cichą modlitwą. A może rozmawiała z synem? Nina chwyciła jej rękę i gładziła ją delikatnie. Ogarnęła ją taka rozpacz, że miała ochotę gdzieś przycupnąć i zakrywszy uszy rękami, oczekiwać chwili, kiedy zostanie przeniesiona do wieczności. Wpatrując się w trumnę Jasia, ujrzała jak na jawie jego uśmiechniętą twarz i błękitne rozmarzone oczy, kiedy po nocy spędzonej z Emilką wracał do leśnego obozu. „Jestem taki szczęśliwy, Nino” – powiedział wtedy,

pochylając się ku niej z siodła. Boże, a ona podle pozazdrościła mu tego szczęścia!

Proboszcz odprawiał nabożeństwo żałobne w asyście braciszka Benona i wyraźnie się śpieszył. Nina, słuchając łacińskich psalmów, miała nerwy tak napięte, że obawiała się, iż za moment pękną z hukiem i rozerwą ją na strzępy. Ogarnęło ją szalone pragnienie ruchu i nie potrafiła spokojnie usiedzieć. Podniosła się i nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia zgromadzonych w kościele osób, pobiegła na chór. Zapaliła dwie świece nad klawiaturą organów i ustawivszy rejestry, skinęła na organistę, aby jej kalikował. Położyła dłonie na pozólkłych klawiszach i spod jej palców popłynęły rozdierające, pełne łkań, bezgranicznie smutne i melancholijne dźwięki *Adagia g-moll* Albiniego.

– Tylko tyle mogę ci ofiarować, misiu, braciszku najmilszy – powiedziała cicho. – Ciociu, wuju, niech Bóg miłosierny nie pamięta wam win i policzy przedśmiertną mękę. Nigdy nie zapomnę o was, kochani.

Grobowiec rodziny Borutyńskich znajdował się w podziemiach kościoła, lecz do krypty wchodziło się z zewnątrz, od strony cmentarza. Poszli w ulewnym deszczu, a czarna chorągiew szamotała się na przedzie, szarpana porywami wiatru. Kościelny otworzył żelazne drzwi wiodące do podziemia, na wieko trumien spadło kilka garści ziemi, potem pochłonał je wilgotny ciemny loch. Za pnem pobliskiego drzewa Nina dostrzegła ze zdumieniem wysoką sylwetkę Wacia Barycza. Ryzykując spotkanie z kozakami, przybył do Sarnik pożegnać przyjaciela.

Na koniec ceremonii pogrzebowej proboszcz przyklęknął przed drzwiami krypty na mokrym piasku i złożywszy dłonie do modlitwy, zwrócił oczy ku zachmurzonemu niebu, żegnając zmarłych słowami poety:

*Ale Ty, Boże! który z wysokości
Strzały twe zrzucasz na kraju obrońce,
Błagamy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniej na śmierć naszą – słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
Niechaj nas przecie widzą – gdy konamy!*[29](#)

Cmentarz szybko opustoszał. Nina, ocierając mokre policzki, ujęła panią Salomeę pod ramię.

– Chodźmy już, cioteczko. Przemokłaś, powinnaś się położyć i wypocząć.

Pani Salomea, która przyjmowała kondolencje z kamienną twarzą, nie okazując żadnego wzruszenia, dalej stała na deszczu pod drzwiami krypty, dzielącymi ją od syna. Niespodziewanie wyswobodziła się z rąk podtrzymujących ją pań.

– Zostawcie mnie, proszę – odezwała się normalnym, mocnym głosem.

Podeszła do krypty, przyklękła i złożyła na drzwiach pocałunek. Potem szepnęła tak cicho, że tylko stojąca za nią Nina posłyszała te słowa:

– Do widzenia, syneczku.

Kobiety pomogły jej się podnieść i zaprowadziły do karety. Ale ona zwiśla im na rękach i zemdląca. Kiedy powóz ruszył, Nina obejrzała się za siebie, ale nie dostrzegła już znajomego widoku wysokiego dachu dworu, dwóch wieżyczek i rzędu strzelistych topoli włoskich w alei prowadzącej do domu. Nawet drzewa padły ofiarą strasznego pożaru. Pozostały po nich tylko zwęglone kikuty, żałosne i ponure.

„Jakie to szczęście, że ciocia straciła przytomność – pomyślała. – Nie wyobrażam sobie, jak ogromnie będzie cierpiała, gdy uświadomi sobie, że Jaś już na zawsze pozostał sam w ciemności...”

Nadeszły pogodne dni wczesnej jesieni. W łagodnym powietrzu płynęły niesione wiatrem srebrne nitki babiego lata. Ziemia pachniała gorzką wonią żółknących liści, więdnących traw i z wolna zamierającej przyrody, gotującej się do długiego zimowego snu. W parku kwitły jesienne róże, barwne georginie i kolorowe astry, a wysoko na niebie słyhać było krzyki odlatujących ptaków. Pałac stał cichy, dotknięty w przelocie tchnieniem śmierci.

Nina często zastanawiała się nad tym, co musiał przeżywać wuj Ksawery w tych ostatnich minutach życia, kiedy darł i deptał dokumenty świadczące o jego konformistycznej postawie życiowej i łaskach władz carskich. Może zobaczył przed sobą ducha ojca poległego pod Ostrołęką lub stanęło przed oczami jego duszy widmo starszego brata w kajdanach, zamęczonego w katorżniczej pracy w kopalni na Uralu? Pewną pociechą była dla niej świadomość, że odtąd nikt już nie ośmielił się wypominać wujostwu okrucieństwa względem poddanych i lojalności wobec zaborcy. W pamięci ludzkiej pozostanie na zawsze wspomnienie o dobrych Polakach, którzy

ponieśli śmierć, udzielając schronienia powstańcowi. Swoją bohaterską walką, męką i samobójczym zgonem Jaś odkupił ich winy.

Ze Świerszczyn nadszedł niepokojący telegram. Edward zawiadomił ją, że Binia, dowiedziawszy się o tragicznej śmierci rodziców i Jasia, ciężko zachorowała, a on musiał się zająć trojgiem małych dzieci i chorą żoną. Nina i tak nie oczekiwała nikogo ze Świerszczyn, bo nie zdążyliby przyjechać na pogrzeb, lecz choroba Bini ogromnie ją zmartwiła i natychmiast wysłała następny telegram z prośbą, aby Edward informował ją o stanie zdrowia siostry.

Od Aleksa nadal nie miała żadnej wiadomości. Poczte powstańczą z Borka przeniesiono w inne, tajne miejsce. Mira nie była już kurierem i do Makowa nie docierały wiadomości, gdzie toczą się walki, jeżeli jeszcze się toczą.

Zaledwie w dwa tygodnie po tragedii w Sarnikach nadeszła z Warszawy przerażająca wiadomość – sąd wojenny skazał Emilkę na dziesięć lat zesłania aż pod Archangielsk! Na próżno pan Maciejewski i panie z „piątek” powoływały się na przeżytą przez nią niedawno ciężką chorobę i zły stan zdrowia więźniarki, przedstawiając świadectwa lekarskie. Audytoriat Polowy utrzymał wyrok w mocy.

Pani Salomea, która po pogrzebie syna poważnie zaniemogła, jakby cudem odzyskała siły i razem z Niną wyjechała do Warszawy. Gdy po bezowocnych staraniach okazało się, że Emilka nie uniknie zesłania, pani Salomea powzięła postanowienie, że pojedzie za synową do Archangielska. Nina przeciwstawiała się temu zamiarowi ze wszystkich sił, starając się przekonać starszą panią, iż jest to szaleństwo, i przedstawiając jej trudności, które musi pokonać, żeby uzyskać zezwolenie na osiedlenie się w głębi Rosji razem ze skazaną, a potem przebyć samotnie tysiące wiorst, przemierzając całe ogromne imperium. Lecz pani Salomea postanowienia nie chciała zmienić i natychmiast rozpoczęła starania o zezwolenie na wyjazd do Rosji.

Do stolicy wtargnęła jesień o suchych, duszących upałach. Nina, niepokojąc się o męża i zdrowie Bini, z trudem zdobywała się na pozorny spokój. Miała wrażenie, że wieki upłynęły od dnia wyjazdu Aleksa. Siedząc w saloniku mieszkania państwa Maciejewskich, na kanapce obitej kwiecistym kretonem, raz jeszcze próbowała przekonać panią Salomeę:

– Cioteczko, miejże litość nad sobą – błagała, całując ją po rękach. – Od Archangielska dzieli nas pół świata! Nie zdołasz tam dojechać. A grób Jasia? Pozostawisz go i odjedziesz tak daleko? Ciociu, proszę, zastanów się, nie odjeżdżaj. Przysięgam, zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, by Emilka odzyskała wolność. Zwrócę się z prośbą do samego cesarza!

– Nie, moje ty kochane dziecko. – Pani Salomea pogładziła ją pieścizotliwie po rozpalonych policzkach. – Emilka nie przyjmie łaski od kata Polski! Grób Janka powierzam tobie, bo wiem, jak bardzo go kochałaś. Mój syn już na zawsze pozostanie w moim sercu. Boże, przecież Emilka nic jeszcze nie wie o jego śmierci i to ja muszę ją o tym powiadomić. Mój syn życzyłby sobie tego, żebym zaopiekowała się jego biedną, nieszczęśliwą żoną.

Pani Borutyńska mówiła to ze słodkim uśmiechem, ale znająca ją dobrze Nina zrozumiała, że jej decyzja jest ostateczna. Wyczerpawszy wszystkie argumenty, dała w końcu za wygraną. Rodzice Emilki nie mogli towarzyszyć córce na zesłaniu, mając na utrzymaniu jeszcze dwoje młodszych dzieci, toteż rozpacz ich była ogromna.

– Nie, to nic nie da – powiedziała Nina z rezygnacją, słysząc nazajutrz, jak pani Maciejewska jeszcze próbuje namówić panią Salomeę, by pozostała w kraju. – Cioci nikt nie przekona i ona już żyje tym wyjazdem. Będą rozmawiały z Emilką o Jasiu i wspominały go. Zauważyłam, że kiedy ciocia mówi o nim, jest jej nieco lżej, choć bardzo przy tym płacze.

Odtąd kobiety poświęcały cały swój czas, biegając po mieście i szukając dojścia do wyższych urzędników carskich. Nina ponownie odważyła się pójść do Belwederu w nadziei, że Wielenin powrócił. Omal nie zemdlą, dowiedziawszy się, że młody oficer pozostał już w Petersburgu. Prosto z Belwederu poszła do kościoła i siedziała tam przez trzy godziny, płacząc. Opłakiwała nie tylko zawiedzioną nadzieję na pomoc dla Emilki, ale i samą myśl, że nigdy więcej nie zobaczy Wielenina.

Wanda Umińska, jedna z tych cichych bohaterki czasu powstania, dotarła do więziennego szpitala i dostarczyła Emilce ciepłą odzież oraz bieliznę. Nina bez żalu podarowała jej swoje piękne futro z popielic, jeden z prezentów ślubnych od męża. Dla pani Salomei kupiła barankowy kozuch, a obu paniom sprawiła mocne buty na futrze. Wieczorami szyto pośpiesznie ciepłe suknie dla zesłanek. Na szczęście Ninie udało się dostać oryginalną jegierowską bieliznę z czystej wełny wielbłądziej, zdrową i bardzo ciepłą,

odpowiednią w klimacie podbiegunowym. Przygotowywano również suchy prowiant na drogę, bowiem podróż trwała czasami kilka miesięcy.

„W drodze wyjątku”, czyli za bajeczną łapówkę, zezwolono pani Borutyńskiej na osiedlenie się w miejscu zesłania synowej, lecz nikogo nie interesowało, w jaki sposób schorowana starsza kobieta dostanie się do Archangielska. Teraz już tylko oczekiwano na transport, który lada dzień miał wyruszyć z Dworca Petersburskiego na Pradze. Ze względu na wielką liczbę zesłańców transporty chodziły jak wahadła. Zdarzało się, że powstańcy wysadzali tory albo mrozy uniemożliwiały podróż. Wtedy czekano na transport kilka tygodni, trzymając ludzi w strasznych warunkach, bowiem skazańców traktowano o wiele surowiej niż aresztantów w czasie śledztwa.

[29](#) Juliusz Słowacki, *Pogrzeb kapitana Meyznera*.

Pewnej wrześnieowej nocy ktoś zapukał do drzwi mieszkania państwa Maciejewskich i szeptem powiadomił, że po północy z Cytadeli ruszają więźniowie na Dworzec Petersburski. Spodziewano się tego i od trzech dni wszyscy spali w ubraniach. Pani Salomea postanowiła zobaczyć się z Emilką i powiedzieć jej, że pojedzie za nią.

Pośpiesznie spakowano resztę najważniejszych rzeczy, a pani Borutyńska ukryła na piersiach woreczek z kwiatem z trumny syna i ziemią z cmentarza w Sarnikach. Wprawdzie miała tylko widzieć się z synową, lecz na wszelki wypadek wzięto także i jej rzeczy. Nina bez zbędnych słów wcisnęła jej do ręki woreczek ze złotymi imperiałami. Obie młodsze córki pozostały w domu, na dworzec pojechali tylko rodzice Emilki, pani Salomea i Nina.

Miasto już spało. Na cichych i pustych ulicach słychać było tylko turkot kół dorożek i stąpanie koni. Przez most dostali się na Pragę i dojechali przed stację kolei żelaznej. W poczekalniach zgromadziły się już tłumy ludzi pragnących pożegnać swoich bliskich. Oszklone drzwi na peron były szczelnie zamknięte, a szyby zamalowano wapnem. Wszędzie stali wartownicy, pilnując porządku. Udzielano sobie wzajemnie informacji, oczekując na przybycie więźniów. Na torach stał już olbrzymi eszelon, jeszcze pusty, złożony z wagonów towarowych o zakratowanych okienkach.

Pani Salomea wtuliła się w kąt poczekalni, a jej usta nieustannie poruszały się bezgłośnie żarliwą modlitwą. Patrzącej na nią Ninie serce krwawiło z bólu i ogromnego współczucia. Jednocześnie jej energiczna natura poszukiwała sposobu umożliwiającego nieszczęśliwej matce podróż z synową.

– A może cioteczka zmieniła zamiar i pozostanie z nami? – zapytała, przekrzykując hałas panujący w sali.

Pani Borutyńska podniosła na nią wilgotne oczy, a po jej bezkrwistych wargach przemknął leciutki uśmiech. Potrząsnęła głową i poprawiła kaptur, zsuwający się po jej zupełnie już posiwiałych włosach.

– Chcę jechać – powiedziała tonem niepozostawiającym żadnych wątpliwości.

Nina rozejrzała się bystro po sali i wzrok jej zatrzymał się na wchodzącym do poczekalni młodym oficerze z eskorty transportu. Jakiś wewnętrzny głos podszeptął jej, że widzi właściwego człowieka. W jednej

chwili podjęła decyzję i chociaż strach ścisnął jej serce, podeszła do Rosjanina, odrzucając z twarzy woalkę.

– *Monsieur*, czy zechce pan łaskawie wyświadczyć mi przysługę? – zagadnęła go półgłosem po francusku.

Mężczyzna, zdumiony i zaskoczony, zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem, ale ujęty pięknnością młodej damy, po krótkim namyśle skinął głową.

– Panie oficerze... – powiedziała prędko, obawiając się, że może nie zechce jej wysłuchać. – W tym transporcie znajdzie się wkrótce moja krewna. Ma dopiero dwadzieścia lat i jest bardzo chora, bo w więzieniu straciła nienarodzone dziecko. Nawet nie wie, że niedawno została wdową, a mąż jej zginął tragicznie. Panie oficerze, w imię Chrystusa, zaklinam pana i błagam, racz zezwolić, żeby razem z nią pojechała w tym samym wagonie jej teściowa. Ona jedzie dobrowolnie i ma wszelkie zezwolenia władz na osiedlenie się w Rosji. Panie, te nieszczęśliwe kobiety swoim cierpieniem wzruszyłyby nawet kamienie. Pan także jest młody, z pewnością ma pan matkę, może narzeczoną lub żonę. Moja krewna w zimie wyszła za mąż i razem z mężem z radością oczekiwali upragnionego dziecka. Teraz już nie ma dziecka, a mąż nie żyje. Jedzie na koniec świata, zesłana do Archangielska na dziesięć długich lat. Teściowa pragnie ją pielęgnować i wspierać w cierpieniu. Panie oficerze, zechciej okazać im odrobinę miłosierdzia i pozwól, aby wspólnie odbyły tę męczeńską drogę. Błagam pana, proszę z całego serca!

Nie wiedziała, skąd brała te wzruszające słowa i dlaczego zdecydowała się podejść do tego mężczyzny. Był młody, miał miłą, uczciwą twarz i w jego oczach dostrzegła iskierkę litości, gdy patrzył na zrozpaczony tłum. Wysłuchał jej, nie przerywając, a gdy umilkła, rozejrzał się. Stwierdziwszy, że nikt nie zwraca na nich uwagi, rzekł półgłosem:

– Proszę podać mi nazwisko pani krewnej. Kiedy umieścimy skazańców w wagonach, będziecie mogli wyjść na peron. Proszę mnie poszukać. Wskażę, w którym wagonie znajduje się pani krewna. A teraz proszę już odejść. Nie wolno mi rozmawiać z rodzinami więźniów. – Zrobił bardzo nieprzyjemną minę, a nawet uczynił taki ruch, jakby ją odpychał.

Nina błyskawicznie wyciągnęła z torebki notesik i udając, że sięga po chusteczkę, żeby otrzeć łzy, napisała mu na bilecie imię i nazwisko Emilki. Oficer nieznacznie wziął bilet i odszedł. Obserwujący tę scenę

Maciejewscy i pani Salomea byli do głębi serca przejęci i oburzeni brutalnością Rosjanina. Pani Borutyńska, płacząc, pochwyciła Ninę w ramiona.

– Chciał cię uderzyć! – jęknęła boleśnie. – O, moje najdroższe dziecko, to przeze mnie! Jakież to nielitościwy, zły człowiek! Nineczko, nie martw się o mnie. Pojadę jutro lub pojutrze innym pociągiem – mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że ten transport jest dla niej ostatnią szansą, gdyż sama nie zdoła przebyć tak olbrzymiej przestrzeni.

Nina oddała jej uścisk i zamiast płakać uśmiechnęła się przez łzy.

– Niech cioteczka się modli za tego Rosjanina – szepnęła jej do ucha. – Dzięki niemu pojedzie ciocia razem z Emilką.

Pani Salomea szeroko otworzyła oczy, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę? – Z całej siły przytuliła Ninę do piersi. – To za ciebie będę się modlić aż do śmierci. Byłaś dla mnie najlepszą córką. O, ja dobrze wiem, ile cię kosztowały starania o uwolnienie Emilki i zezwolenie na mój wyjazd. Nie mogę ci zwrócić tych pieniędzy, ale jeżeli modlitwa moja trafi do Pana Boga, to On ci wynagrodzi twoje poświęcenie i otoczy swą opieką pana Aleksandra.

Nina nie odpowiedziała, bo przed budynkiem dworca rozległ się przeraźliwy hałas – brzęk żelaznych łańcuchów uderzających o bruk. Nadchodzili katorżnicy, otwierając męczeński pochód skazańców z Cytadeli, Pawiaka i innych więzień stolicy. Obok morderców i pospolitych przestępców kryminalnych szli żołnierze powstania, skuci z nimi jednym łańcuchem. Wszyscy wyglądali odrażająco, celowo oszpeceni, żeby wzbudzać nieufność i strach. Skazanym na katorgę golono jedną połowę głowy, pozostawiając kosmyk włosów nad czołem. Nie przysługiwały im żadne prawa, nie traktowano ich jak ludzi. Byli jedynie mierzwą, zwierzętami pociągowymi, żywymi narzędziami pracy, przeznaczonymi do szybkiego zużycia. Przebywali pieszo tysiące wiorst, w upale lub trzaskającym mrozie, okryci tylko łachmanami. Ale kopalnie i fabryki domagały się coraz to nowych narzędzi pracy, więc dla pośpiechu pakowano ich do pociągów i wieziono na Ural i Sybir. Kiedy kończyły się tory, wyładowywano tę resztę, która przetrwała w zamkniętych wagonach, i bicząc chwiejących się na nogach biedaków, kopiąc upadających, zmuszano ich do marszu.

Z katorgi rzadko kto powracał. Tam, gdzie nie kursowały pociągi, zesłańców pochodzenia szlacheckiego przewożono kibitkami. Były to duże wozy bez okien, z ławkami, ciągnięte przez kilka par koni. Siedzący w nich ludzie stłoczeni byli jak śledzie w beczce. Wieziono ich na wschód w potwornych warunkach, nie troszcząc się, czy dojadą żywi. Zmarłych bez ceremonii wyrzucano z wozu. W ten sposób przesiedlano całe szlacheckie zaścianki z Litwy, Białorusi i Polski. Zsyłano wszystkich bez wyjątku: mężczyzn, kobiety i dzieci; młodych i starych. Zesłańcom odbierano prawo do herbu i traktowano jak chłopów pańszczyźnianych.

Z Warszawy wywożono więźniów transportami. Najpierw z Dworca Petersburskiego, potem już bezpośrednio z Cytadeli, po zbudowaniu tam stacji kolejowej. Za katorżnikami szli lub jechali wynajętymi dorożkami osiedleńcy. Były to osoby zmuszone do osiedlenia się na określony czas na terenie imperium. Przysługiwały im pewne prawa, których nie mieli katorżnicy i zesłańcy.

Pędzono setki, może tysiące ludzi, opróżniając więzienia i przygotowując miejsce dla następnych aresztantów, zwożonych ze wszystkich stron kraju. Obok dorosłych dreptały małe dzieci. Niektóre kobiety niosły w ramionach niemowlęta urodzone w więzieniu. Pomiędzy młodszymi wlekli się starcy, zaledwie rozumiejący, co się z nimi dzieje. Pochód był tak długi, że gdy pierwsze szeregi wstępowały na most na Wiśle, ostatnie dopiero opuszczały Cytadelę. Skazańców otaczały oddziały wojska, żandarmerii i kozaków, harcujących na swoich konikach i pilnujących, żeby nikt nie wymknął się z pochodu. Skamieniałe z bólu rodziny, stojące przed dworcem, patrzyły na ten męczeński pochód nieszczęśników objuczonych resztkami dobytku.

Ranek wrześnieowy był bardzo chłodny. Po nocnym przymrozku bielił się na trawnikach szron. Katorżnicy trzęśli się z zimna, bezskutecznie próbując się otulić więziennymi łachmanami. Rozległy się gwizdki, wrzaskliwe komendy dowódców eskorty, usiłujących zaprowadzić porządek. Strażnicy jęli biczami okładać ramiona i plecy skazańców. Z tłumu patrzących na to rodzin rozległy się krzyki i spazmatyczne szlochy. Kobiety mdlały, rozpoznawszy pomiędzy skutymi ukochaną twarz. Mężczyźni zaciskali pięści, ujrawszy w szeregu zesłańców żonę, córkę lub siostrę. Chwilami tłum przybierał tak groźną postawę, że eskortujący żołnierze nałożyli bagnety na lufy karabinów, gotując się do odparcia ataku.

Poczekalnie dworcowe rozbrzmiewały lamentami i zawodzeniem kobiet. Odliczanie trwało nieskończenie długo. Nareszcie strażnicy zaprowadzili jaki taki porządek i więźniów zapędzono na peron. Załadunek trwał prawie do wieczora. Razem ze skazańcami gehennę przeżywały ich rodziny. Dopiero kiedy ostatni więźniowie, głodni i spragnieni, znaleźli się w wagonach, a strażnicy zasunęli drzwi, zezwolono rodzinom wyjść na peron. Szalejące z rozpaczy gromady rozbiegły się, zaglądając do zakratowanych okienek, wywołując nazwiska i imiona krewnych. Panie z Komitetu Opiekuńczego Kobiet żegnały wszystkich odjeżdżających, podając im przez okna podarunki, słodycze i kwiaty. Uczynił się straszny hałas, rozległy się krzyki, płacze i nawoływania.

Pan Maciejewski z Niną prowadzili ślaniającą się ze zmęczenia panią Salomeę. Za nimi szła pani Maciejewska, pilnując tragarzy niosących ciężkie pakunki. Znajomy oficer stał przy pierwszym wagonie od lokomotywy. Skinął Ninie głową i uważnie sprawdził dokumenty pani Borutyńskiej. Stwierdziwszy, że dama posiada zezwolenie na pobyt na terenie Rosji, polecił strażnikowi otworzyć drzwi wagonu.

– Tam jest pani synowa, *madame* – zwrócił się po francusku do pani Salomei. – Jeżeli chcecie jej coś podać, to prędko wrzucicie pakunki, bo zaraz zamykamy wagony. Proszę wsiadać, *madame*.

Pani Salomea pożegnała się pośpiesznie, błogosławiąc każdego. Nie mówiła „do widzenia”, bo wiedziała, że dla niej już nie ma powrotu. Nie pozwoliła sobie jednak na chwilę słabości – oczy miała suche, twarz pogodną. Nina również żegnała ją, nie uroniwszy ani jednej łzy, chociaż rozumiała, że jest to podróż, z której się nie wraca. Ucałowała ukochaną ciocię tak, jak się całuje zmarłego przed zamknięciem trumny.

Oficer z kurtuazją podał starszej damie rękę, pomagając jej wspiąć się na cztery wysokie stopnie. Zniknęła we wnętrzu wagonu, nie obejrzawszy się więcej za siebie. Zamiast niej w drzwiach stanęła śmiertelnie blada Emilka. Jej rozwarte szeroko oczy wyrażały obłędny strach. Rozchyliła usta, chcąc coś powiedzieć lub krzyknąć, ale strażnik wepchnął ją do wagonu i zasunął drzwi, starannie je ryglując. Pani Maciejewska wydała dziki okrzyk rozpaczy i zemdląca, padając na płyty peronu. Mąż, trupio blady, wstrząśnięty straszynym wyglądem córki, ukląkł przy żonie, starając się ją ocucić.

Przy transporcie rozgrywały się sceny rozdzierające serce. Odgłos zatraskiwanych drzwi wagonów wydał się Ninie ostateczny, jak zgrzyt zasuwanej płyty grobowca. Dokoła ludzie płakali, krzyczeli, a kiedy jedne kobiety mdlały, inne szalały w ataku rozpacz. Bielejącym w zakratowanych okienkach twarzom przesyłano pocałunki i najczulsze słowa miłości. Niektórzy modlili się głośno, polecając skazańców Bogu.

Nad miastem zapadał cichy i pogodny zmierzch. Słońce już skryło się za horyzontem, wzdłuż torów zapłonęły lampy gazowe. Ogromna lokomotywa z wysokim kominem gwizdnęła ostro i wypuściwszy kłąb pary, sycząc, powoli ruszyła z miejsca. Koła zaczęły się coraz to prędzej obracać. Wagony eszelonu wolno przesuwały się wzdłuż peronu, mijając stojący tam tłum. Zamknięci w towarowych wagonach więźniowie zabierali z sobą czyjaś miłość, niespełnione marzenia i nadzieje, pozostawiając po sobie rozpacz i ból. Odjeżdżali, opuszczając najbliższych i ojczyznę.

Stojący na peronie ludzie mieli twarze zalane łzami, a w oczach płomienie nienawiści. Nina ledwie trzymała się na nogach, goniąc wzrokiem oddalający się pociąg. Pan Maciejewski podtrzymywał nieprzytomną żonę, nie odrywając wzroku od wagonu, w którym odjeżdżała córka. Płaczące rodziny zgromadziły się wokół księdza, żegnającego transport krzyżem i modlitwą. Niektórzy zaintonowali: *Kto się w opiekę odda Panu swemu*, ale w tej samej chwili z wagonu wiozącego katorżników zerwał się potężny chóralny śpiew:

*Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały.*

Zanim ludzie zdolali ochłonąć z wrażenia, pociąg przyspieszył, a do uszu stojących na peronie rodzin doleciał świst batów, odgłosy uderzeń i krzyki katowanych. Odpowiedział im rozpaczliwy jęk tłum. Czerwona latarnia na końcu eszelonu migotała coraz słabiej, aż zgasła w oddali³⁰.

Nina wyjęła z torebki sole i pomogła ocucić panią Maciejewską. Razem z nimi wsiadła do dorożki. Konie, ponaglone batem, pobiegły kłusem. Miasto jeszcze nie spało. Po ulicach przechadzali się mieszkańcy, wywabieni z domów pogodnym wrześnieowym wieczorem. Z restauracji i nocnych lokali dochodziły głośne śmiechy i dźwięki muzyki. Pan Maciejewski tulił do siebie w półprzytomną żonę. Nina oparła głowę o szorstkie obicie siedzenia

i przymknęła powieki. Jej tłukące się przedtem serce zaczęło bić regularnie, czuła jednak ogromne zmęczenie i dojmujący smutek. Nie mogła zapłakać, choć wiedziała, że płacz przyniósłby jej ulgę, oczyszczając myśli i łagodząc ból. Marzyła, żeby się położyć i zasnąć, choćby na wieki.

– Napiszę do cesarza – powiedziała, przerywając milczenie.

– Nie warto. – W głosie pana Maciejewskiego brzmiała rezygnacja. – Moja córka była kurierem Rządu Narodowego. Zięć odebrał sobie życie, aby uniknąć śmierci na szubienicy. Moskale mają na to dowody.

Pani Maciejewska drgnęła i otworzyła oczy, pełne nieopisanego cierpienia.

– Moje dziecko nie przyjmie łaski z rąk zbrodniarza na tronie! – powiedziała z zawziętością. – Przenigdy! Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedziała się od Salomei o śmierci Janusza.

Nina momentalnie przypomniała sobie stojącą w drzwiach wagonu Emilkę z obłędem w oczach i niemym krzykiem na ustach. Była przekonana, że obraz ten nie opuści jej do śmierci. Westchnęła ciężko, wyobraziwszy sobie, że jutro opuści Warszawę i powróci do domu już sama. Zupełnie niespodziewanie przyszedł jej na myśl wiersz poety Seweryna Goszczyńskiego³¹, deklamowany czasami przez Jasia:

*Obyście nigdy nie znali tych krajów,
Gdzie wieczna zima mrozem ścina dusze,
Gdzie gwałt i hańba – męczarnie – katusze
Prawem narodu – godłem obyczajów.
Obyście nigdy nie znali tych krajów.*

Nad dachami Warszawy wschodził srebrny sierp księżyca.

Kiedy następnego dnia Nina wsiadała do karetki pocztowej, miasto spowijała poranna mgła, nadając mu dziwnie nierzeczywisty wygląd. Było szaro, wilgotno i miało się na deszcz. Trzasnął bicz, karetka drgnęła, lekko skrzyknęły osie, a konie ruszyły równym kłusem, parskając rażno. Pocztowy powóz zagłębił się w mgłę poranka, wyruszając w daleką drogę do Makowa.

Nina rozmyślała o okrutnym losie, który zabierał jej kolejno ukochane osoby. Przyjechała do stolicy z nieśmiałą nadzieją, że może jednak Wielenin pomoże jej uwolnić Emilkę, a wyjeżdżała pozbawiona złudzeń, z rozpaczą i, niestety, sama. A transport wiozący Emilkę i panią Salomeę każdym obrotem kół oddalał się od kraju, pędząc na wschód.

Było jej bardzo przykro i wstyd, że odjeżdża, pozostawiając rodziców Emilki w nieszczęściu. Ale nie mogła im już pomóc i nie czuła się na siłach, by pozostać dłużej w tym mieście. Warszawa zawsze kojarzyła jej się z cudownymi dniami narzeczeństwa i małżeństwa, gdy razem z Alekssem i Jasiem chodzili na wykwintne kolacje, do teatrów i do parków na spacer. Byli wtedy tacy szczęśliwi i weseli. Teraz odjeżdżała, pozostawiając za sobą wspomnienia tamtych pogodnych dni. Jeszcze nie pogodziła się ze świadomością o śmierci Jasia i nie mogła spokojnie myśleć o tragicznym losie Emilki i pani Salomei. Na wspomnienie ich trojga jej serce przeszywał ostry kolec przejmującego bólu. Spoglądała przez okno karety na przesuwany się za nim jesienny krajobraz, w stronę fioletowo kwitnących wrzosowisk, i pełna głębokiego smutku, nie wstydziała się gorzkich, bezsilnych łez.

Jednak wracała w Góry Świętokrzyskie, a u kresu drogi czekał na nią ukochany dom, ramiona niani, może wiadomość od męża... Czekali na nią ludzie, których kochała, oraz nieznana przyszłość niosąca nowe wyzwania.

KONIEC TOMU VII

[30](#) Cały opis deportacji skazanych jest autentyczny.

[31](#) Seweryn Goszczyński (1801–1876) – poeta romantyczny, autor m.in. *Zamku kaniowskiego* czy *Króla zamczyska*.